

Jenot Codzienny
Chiny. Życie w kraju odrazy

Spis treści

It is normal!	6
Powakacyjne refleksje	7
Konkurs na najmiłsze miasto Chin rozstrzygnięty!	9
Jeżeli dziś wtorek, to jesteśmy w Belgii.....	10
Huainan Garden	13
Baby, did you forget your meds?	15
Jesienny drink	16
Nieśmiertelny: nowe życie.....	17
Bohater września	17
Złoty Tydzień, złota reneta, złota jenota	18
Viagra Wschodu.....	21
Epistoły	22
Piękno języka chińskiego.....	23
Party hard!	25
ERR_TIMED_OUT	27
Jak rzyć?!	29
<i>Piła</i> – remake chiński	30
Przegląd tygodnia	31
Chiński bestiariusz	34
Przypowieść	35
Żli muzułmanie z Xinjiangu	36
Chińskie Ferrero	39
Kroniki huainańskie	41
Szpital na peryferiach	43
Cegielka dla Szanghaju	46
Garść refleksji	47
Pamiętnik św. Mikołaja	48
Gacie wodza	52
Klątwa Mao	53
Nothing changes on New Year's Day.....	58
O psie, który kierował koleją	60
Praca dla Chińczyków	61
[8.01.2014].....	61
Chinese Democracy	62
Enteschaft	67
Nie płacz, kiedy odjadę	68
Hello, Dongkou.....	71
Jak zdobywano Dziki Wschód.....	74
Panda kameliowa.....	79
Zbrodnie i kara	82
Niebezpieczne związki	85
Deathly Hallows.....	87

Mędrzec ze Wschodu	88
Inspiracje kulinarne	92
Ciemna strona pracy.....	94
Szczęście niejedno ma imię	96
Changsha	100
Propozycja kulinarna na Wielkanoc.....	106
Rozpłasczeni bohaterowie	107
Praca w Chinach	111
Praca w Chinach, epizod drugi.....	113
Solenizanci.....	116
Beasts and Bumpkins	118
Mother tongue speaks to me in the strongest way I've ever seen.....	120
Fenghuang	122
Duanwu.....	126
Alkohole z Chin, cz. 1.....	129
Refleksje czerwcowe	133
Yunnan.....	135
Kunming.....	135
Yuantong Temple.....	136
Xi Shan, czyli Wzgórze Zachodnie.....	136
Okolice placu Jinbi.....	137
Yunnańskie skarby wsi.....	137
Lijiang.....	138
Baisha.....	139
Dali.....	139
Wymiar personalny.....	140
Kwaterunek.....	142
Aspekt bezpieczeństwa.....	143
Aspekt finansowy.....	143
Aspekt kulinarny.....	144
Aspekt towarzyski.....	145
Wakacje w Chinach.....	146
Top 6 naszych atrakcji. Bo 6 jest szczęśliwe.....	148
Prawda.....	150
Szczęśliwego Nowego Roku (szkolnego)	154
Kronika wypadków wakacyjnych	158
Rynek wolny czy powolny?	160
Ciemna strona księżycy	161
Czerwone korale, a Wschód też czerwony.....	164

I don't like the drugs but the drugs like me	166
No Pingguo, No Cry	166
Nie wszystko złoto, co się świeci.....	169
Airpocalypse Now	171
HuHeHaoTe.....	174
Na TAK.....	174
Na NIE	174
Atrakcje.....	175
Ciekawostki regionalno-kulinarne	179
Kwaterunek.....	179
Krajowcy	179
Xilamuren	180
Datong	183
Na TAK.....	184
Kwaterunek.....	184
Atrakcje.....	184
Datong	185
Jedzenie	186
Ludzie	186
Uciec, ale dokąd – Taiyuan.....	187
Na TAK.....	187
Atrakcje.....	187
Jedzenie	189
Kwaterunek.....	189
Na NIE	189
I Know What You Did Last November	190
You've got to get to the stage in life where going for it is more important than winning or losing.....	194
Nana or: How I Learned to Stop Worrying and Love the IELTS	197
You see, we're on a mission from God	199
Dzieci sieci	201
Czytać albo nie czytać? Oto są pytania!.....	204
Wangonomicon.....	206
Raport pelikana	208
Perkal i paciorki.....	212
Lingua franca nieużyta	214
Notatki o skandalu.....	219
Niezdolność ciężkość (po)bytu.....	222
To get rich is glorious	224
Skazani na Chiny	227
Freedom no longer frees you.....	228
Jenotaria kwietniowe	232
Confessions of a shopaholic – syf, kiła i mogiła	235
Funny Games (PRC)	239

Sunshine City 241

Taxi Driver 248

Atrocity Exhibition 250

Comment and Conquer 255

[3.09.2013]

It is normal. – fraza, którą usłyszymy ilekroć zaczniemy sugerować Chińczykom, że coś jest u nich bardzo popierdolonego. Jakież więc rzeczy są *normal*?

- To, że w okolicach popularnych terminów nie da się kupić biletów kolejowych na pięć dni przed odjazdem pociągu.
- To, że w normalny dzień nie da się kupić biletów na pociąg.
- To, że pralka pierze tylko przy użyciu zimnej wody.
- To, że ww. zimna woda wylewa się z pralki dookoła.
- To, że w lodówce nie działa światło, ergo tego się nie naprawia, to jest *normal*.
- To, że śmieci rzuca się absolutnie wszędzie.
- To, że dzieci leją i srają po ulicach, także w centrum miasta.
- To, że dorośli leją i srają po ulicach, także w centrum miasta.
- To, że można zostać potrąconym, idąc na zielonym po pasach.
- To, że można zostać przejechanym na chodniku.
- To, że rodzice wchodzą i wychodzą z klasy w trakcie lekcji.
- To, że na czas trwania lekcji nie wycisza się telefonu i odbiera połączenia przychodzące.
- To, że w czwartym roku nauki uczniowie nie są w stanie powiedzieć poprawnie więcej niż jednego zdania w języku wroga. Nierzadko nawet nie potrafią powiedzieć i tego zdania.
- To, że nauczyciele angielskiego po studiach nie są w stanie zlokalizować USA i Kanady na mapie.
- To, że pewne tematy zostają ucięte w mediach, a blogi ich dotyczące znikają z dnia na dzień.
- To, że nie wolno oficjalnie mówić o bardzo długiej liście rzeczy.
- To, że nikt nie czyta i ogólnie nie ma żadnych zainteresowań poza podtrzymywaniem swojej egzystencji.
- To, że w prywatnej szkole językowej krzesła i ławki się dosłownie rozpadają.
- To, że ktoś obcy robi nam zdjęcia na ulicy.
- To, że nieznajomy krzyczy do nas „hello,iloveyou,usa,fuckyou” na jednym wydechu.
- To, że o 11:30 pije się bai jiu, zwłaszcza w świetle tego, że wkrótce ma się mieć lekcję.

Powyższa lista nie ma znamion kompletnej. Niemal każdego dnia odkrywamy kolejne rzeczy, które są *normal* i to właściwie świadczy o tym, że my jesteśmy popierdoleni, a nie oni. Czekamy więc na dzień, w którym pogodzimy się z myślą, że szanghajska restauracja serwująca dania stylizowane na ludzkie odchody jest *normal*.

[5.09.2013]

Z okazji wakacji postanowiliśmy nieco zmienić formułę naszych „wypłodów”. Zamiast przesadnego rozwodzenia się nad kolejnymi dowodami wyjątkowości Chińczyków zebraliśmy co bardziej debilne w podpunktach. Wielka literatura to nie jest, ale w jakimś tam stopniu oddaje ducha kanikuł w Państwie Środka.

- W Hangzhou łódkarz wjechał w świątynię i stracił ją do wody. Wyszło mu tak, bo akurat czytał gazetę na telefonie, więc nie miał czasu rozglądać się po okolicy. Trafił nieźle, bo w jedną z najważniejszych w kraju. Co ciekawe, lokalna populacja go wsparła, że każdy może mieć ochotę poczytać gazetkę i nie można mu tego prawa odmawiać, no a łódkarze przecież pracują tak ciężko w czasie sezonu letniego. Zwłaszcza kilkanaście minut po 9 rano, kiedy to tak mądrze pokierował swą jednostką pływającą.
- Policja z Wuhan słynie z brutalności i chamskiego traktowania obywateli, wyjątkowego podobno nawet w skali chińskiej (to już chyba KGB siada). Poddani mają tego dosyć, więc pewnego dnia zorganizowali marsz przeciwko niej. Na drzwiach nieśli zwłoki ofiary policyjnej przemocy, człapali tak przez miasto w żałobnym pochodzie. W pewnym momencie ofiara zmartwychwstała, powiedziała, że chrzani, jest za gorąco i że musi się napić wody, po czym sobie poszła po picie. Komendant policji powiedział, że nie widzi żadnych racjonalnych argumentów przeciwko stosowaniu przemocy.
- Wuhan chyba idzie po tytuł chińskiego Wąchocka, jakiś pan obciął obcej pani włosy w autobusie. Motywy pozostają nieznane.
- ... a innego dnia młoda parka zginęła tragicznie i radośnie zarazem: współżyli oparci o okno, okno wypadło z futryny i polecili sobie kilka pięter w dół.
- Jak sobie radzić z upałem? W Guangdong, prowincji, która nawet w skali Chin uważana jest za ekscentryczną w swych preferencjach żywnościowych, polecają psie mięso, które ma właściwości schładzające. Polecają też kocinę, ale to nie na upały, nie, kocina pomaga balansować poziom yin-yang.
- Pan w Szanghaju próbował rozpiąć nieznanomej stanik podczas podróży metrem. Chyba pierdolnięty, bo w metrze przecież jest klimatyzacja, więc to nie przez upał.
- W Chinach nadal mieszkają ludzie pierwotni, po prostu jaskiniowcy. Problemem jest oszacowanie ich liczby, naukowcy mówią o około pięciuset osobnikach, naoczne obserwacje nakazują zakładać istnienie populacji ponad miliarda takich ludzi.
- 20 lipca pewien Chińczyk na wózku inwalidzkim odwiedził lotnisko w Pekinie. Z jakiegoś powodu postanowił nieco rozerwać samego siebie i port lotniczy, więc przyniósł ze sobą bombę i próbował wysadzić cały majdan w powietrze. Od razu jednak widać, że Made in China, bo ranił tylko siebie i jakiegoś pracownika. Jednak dzięki temu wyczynowi zaostrozono kontrole na wszystkich lotniskach w kraju. Cholernie mu byłam wdzięczny, gdy musiałem skorzystać z portu w Szanghaju i zamiast zwyczajowego potrójnego sprawdzania miałem jakieś pięciokrotne.

- Są różne prace – mniej kochane, bardziej lubiane, ciekawsze, nudniejsze, mniej lub bardziej dochodowe. Przez jakiś czas za robotę marzeń uważano zajmowanie się tropikalną wyspą, jednak w Chinach mają lepszą posadę. W centrum rozmnażania pand w Chengdu jest etat masturbatora pand. Chciałbym dowiedzieć się, co odpowiada on żonie na: „cześć kochanie, jak dzisiaj było w pracy?”. W Polsce pewnie by z tego zrobili staż gwarantujący atrakcyjny wpis do CV.



Lew z Luohe (źródło: NBC)

Zoo w Luohe zyskało sławę międzynarodową, gdy ich lew został zdemaskowany jako mastif tybetański, czyli pies. Dalsze śledztwo ujawniło, że i wilk ma w sobie coś z psa, w miejscu leopardów mają lisy, a zamiast węży objawiły się szczury. Prowadzący zoo biznesmeni wyjaśniał, że pieniędzy im ledwo wystarcza, co zapewne w jego mniemaniu wyjaśnia wszystko i nie ma problemu.

- Ningbo: pani, parkując samochód w garażu, najpierw załatwiła swego męża. Ten bardzo inteligentnie jej pomagał: stanął przy ścianie garażowej i pokazywał, żeby jechała. To pojechała, zginął na miejscu. Jednak Nagrodę Darwina zagwarantowało jej to, że zapomniała o takim drobiazgu, iż głowa jej wystaje przez okno, więc rypnęła nią o drzwi i również poszła na zielone pastwiska. Wszystko przeżyła siedząca na tylnym siedzeniu córka. Z jednej strony będzie miała traumatyczne wspomnienia, z drugiej jeżeli odziedziczyła wszystkie geny po rodzicach, jej życie nie powinno być przesadnie długie...

Konkurs na najmiłsze miasto Chin **rozstrzygnięty!**

[5.09.2013]

Konkurs na najmniej przyjazne turystom i zdrowemu rozsądkowi miasto wygrał w roku 2013 Pekin. Kapituła zawodów wskazała na liczne endemiczne atuty stolicy Państwa Środka, które sprawiły, że zdobyła ona nagrodę przez aklamację.

Wysoko oceniono kontrole bezpieczeństwa na każdej stacji metra, skąpe informacje w języku angielskim, brak tychże w jakimkolwiek innym języku, jak również pracowników miejsc turystycznych niemówiących ni słowa po angielsku. Naprawdę, trzeba mieć jaja, żeby na głównym dworcu w stolicy kraju posadzić panią, która nie mówi w ogóle po angielsku. Po rosyjsku, niemiecku, francusku, hiszpańsku, japońsku i koreańsku też zapewne nie. (nawiasem mówiąc-pisząc: Szanghaj też stara się nie pozostawać w tyle, tam siedzi pani i turyście podaje kołonoatnik – należy w nim odszukać swoje pytanie i właściwą odpowiedź, a jak ich tam nie ma, to amen, akurat większości zdroworozsądkowych opcji brakuje).

Reszty dokonał rozmiar miasta – łatwiej złapać syfilis w klasztorze niż poranne metro czy pociąg podmiejski do Badaling. Legendarne już w świecie świeże pekińskie powietrze i rozwiązania ułatwiające oddanie karty do metra (*the horror...*), „darmowy”^{*} Wielki Sternik, rekwirowanie zapalniczek w najmniej oczekiwanych miejscach i momentach, wykwalifikowana obsługa w hostelach (*English no, no English, sorry*)... Tak po raz kolejny Pekin zdobył Złotą Palmę.

** Wejście do mauzoleum Mao jest oficjalnie darmowe, ale nie można wnieść aparatu fotograficznego, zapalniczki ani telefonu i pewnie stu innych rzeczy. Należy je zostawić w depozycie, którego cena zależy od... ILOŚCI APARATÓW FOTO I TELEFONÓW. Około 30 kuai kosztowało mnie swego czasu to darmowe wejście. Potem okazało się, że powinno to być ok. pięciu kuai, ale powodzenia, że przyjmą bagaż od białego w takiej cenie.*

Jeżeli dziś wtorek, to jesteśmy w Belgii

[16.09.2013]

Wakacje są czasem, w którym kupujemy za jebicie drogie wycieczki do zawałonych tłumami ludzi kurortów, w których spotykamy się z podobnymi nam osobnikami, by wspólnie żłopać piwo nad hotelowym basenem i pierdolnąć sobie trzy tysiące zdjęć pod tytułem „Jak sułtan”. W naszej strefie klimatycznej czas wakacji przypada na lipiec i sierpień. W chińskiej strefie wpływów pojęcie urlopu nie istnieje, wszyscy żyją po to, by pracować do śmierci (która nastąpić powinna na stanowisku pracy). Mimo tych dogmatów, z roku na rok zwiększa się liczba żółtych turystów. Szacuje się, że około 100 milionów turystów z Państwa Środka odwiedzi destynacje z obowiązkowej listy każdego umiarkowanie wyrafinowanego turysty świata.

Wszyscy pielgrzymi z Państwa Środka marzą o podróży do Londynu, Paryża i Wenecji. Zdarza się jednak, że co bardziej światowi zabłąkają się także do innych miejsc.

Ostatnio pewien młodzieniec o otwartym umyśle i sercu wrażliwym na piękno budowli sprzed ponad trzech tysięcy lat trafił do Egiptu, gdzie tak bardzo zachwycił się zabytkami, iż postanowił oddać im hołd, podpisując się na jednym z nich. Młodzian szybko zyskał internetową popularność (zarówno w Chinach, jak i w pozostałych częściach globu) i grono zaciętych wrogów, którzy nie zrozumieli szczytnych intencji światowca. Nieco mniejszym echem odbiła się sprawa innego wrażliwca, który zbeczczył jeden z zabytków Zakazanego Miasta, składając swój autograf na starożytnym naczyniu.

Chiński turysta ma jeden cel: zrobienie sobie foty i wrzucenie jej na Weibo, by wszyscy jego znajomi wiedzieli, jak za jebicie się bawił i jakim królem życia jest. Determinacja, by zdobyć najlepsze ujęcie jest tak wielka, że czas spędzany na plaży, przyjęciu czy spacerze w parku przeznaczony zostaje w całości na uchwycenie własnego ryja w kadrze aparatu telefonu komórkowego. Trend ten występuje także w świecie zachodnim, aczkolwiek Chińczycy uczynili z niego przedmiot kultu niespotykanego nigdzie indziej. Absolutnie każde wyjście do restauracji wymaga kilkuset zdjęć. Wyprawa nad morze lub w góry to już pretekst do cykania zdjęć co dziesięć sekund. Za chuj nie mamy pojęcia, co z nimi robią poza wrzucaniem do netu, ale z jakiejś bliżej nieznannej przyczyny Chińczycy czują wewnętrzną potrzebę uwieczniania każdej sekundy swojej egzystencji.

Pierwszą ofiarą masowej chińskiej turystyki zostały Malediwy. Porządek świata złożył się tak, iż Chińczycy potrzebują wiz, by wjechać niemal wszędzie, aczkolwiek nie na Malediwy. Z tej okazji nuworysze Państwa Środka tłumnie odwiedzają wyżej wymienione wyspy.



Autograf chińskiego turysty w Egipcie
(źródło: „The Huffington Post”)

Specyfika ich pobytu polega na:

- głośnym zachowaniu;
- byciu roszczeniowym (płacę to wymagam!);
- walce o różne profity.

Numer trzy wymaga rozwinięcia: wiele hoteli na Malediwach oferuje specjalne promocje dla nowożeńców. Są to raczej miłe gesty w stylu butelka szampana, dzień pobytu gratis, no za darmo niczego się nie dostanie. Ale co tam, skoro można coś wydrzeć, to czemu nie? Z tej okazji powstał w Chinach dość intratny biznes fałszowania certyfikatów małżeńskich. W efekcie pracownicy recepcji rejestrują młode pary mające siódmy krzyżyk na karku, które przybyły z dziećmi i wnukami, ale twardo machają papierem, że dopiero się pobrały. Jest to absolutnie nierealne, nawet na Zachodzie byłoby dziwne, a tutaj po prostu nie jest to możliwe, żeby ktoś spędził życie na kocią łapę i dopiero koło szóstego krzyżyka postanowił wziąć ślub. Podobno czasem dają te certyfikaty nawet dwóm samcom-dwóm samicom, co jest jeszcze bardziej nieprawdopodobne.

Będąc waszymi przewodnikami po rzeczywistości, polecamy przygotować się na skreślenie z listy swych podróżnych destynacji miast takich jak: Londyn, Paryż, Wenecja, Rzym, Praga. Są one na tyle interesujące, że nawet pozbawieni wielkich horyzontów intelektualnych obywatele Państwa Środka czują potrzebę odwiedzenia ich. Ponieważ mówimy o około 100 milionach turystów, możemy być pewni, że to wszystko zadepczą i zaplują.

O ile w większości populacji zachodnich podróżują ludzie wykształceni, zainteresowani innymi kulturami, historią i zabytkami (w sensie: w ojczyznach zostało jeszcze gorsze tałatajstwo, niż pojechało na „ol inklózif”), o tyle z Chin wybywa nowobogacka hołota zainteresowana jedynie pierdolnięciem sobie foty na Weibo. Znamiennym przykładem zdolności chińskich turystów jest opisany w jednym z numerów naszego periodyku przypadek zamordowania delfina celem zrobienia slit foci.

Należy zadać sobie pytanie: dlaczego 20 lat temu nie było aż tylu chińskich turystów? Odpowiedź brzmi następująco: ilekroć kupiliśmy sobie trampki, T-shirt, skarpetki, komputer, krzeselko, śrubkę czy termosik wyprodukowany w pewnym azjatyckim kraju, wówczas przyczyniliśmy się do dobrobytu właścicieli pewnych fabryk, produkujących wspomniane przedmioty i kultywujących praktyki biznesowe, przy których opisy warunków pracy z *Germinala* wydają się niemal Skandynawią. Jeżeli wkurwi nas żółty człowiek pokładający się przed Wieżą Eiffela, zadajmy sobie pytanie, czy jesteśmy bez winy i kiedykolwiek, kupując coś w sklepie, pomyśleliśmy o tym, gdzie i w jakich warunkach zostało to wytworzone. Odpowiedź brzmi: nie, wszyscy mieli to w kicie. Przez ostatnie ponad 30 lat zachodni świat z upodobaniem korzysta z chińskich fabryk barachła, zajeżdżając własne gospodarki krajowe w imię oszczędzenia kilku złotych i nie zadając sobie pytań o okoliczności wyprodukowania dóbr wszelakich. Jak wiemy z trzeciej zasady dynamiki Newtona, każda akcja wywołuje reakcję. Reakcją Azji na import wszystkiego do Europy jest także chiński eksport ichnich turystów. O ile kiedyś można było zrezygnować ze sprowadzania towarów, o tyle z tego importowanego produktu zrezygnować się nie uda. Polecamy zapytać mieszkańców Wenecji, jak bardzo lubią chińskich turystów, którzy wpierniczają się statkami na Plac św. Marka. W imię tej przyjaźni i gorących powitań ostatnio pokazywali im gołe dupy.

Żeby nie było, że się uwzięliśmy i napierdalamy na biednych chińskich ludzi: [tu mamy poważne źródło](#), które opisuje akcje na Malediwach i to, że oficjał z Pekinu ubolewa nad zachowaniami rodaków. Że plują, że pchają się, że łażą po ulicach jak dzicy – no nie do wiary, za nic w to nie możemy uwierzyć, to muszą być jakieś bezpodstawne oszczerstwa, nikt kto zetknął się z chińskimi turystami tak powiedzieć by nie mógł.

Tymczasem burdele w Japonii podziękowały sobie za chińskich klientów ze względu na „różnice kulturowe”. Jedni Azjaci wpierniczyli drugim Azjatom zakaz wstępu, można powiedzieć, że to rasistowskie, że nie powinno się segregować ludzi w oparciu o ich paszporty, ale największe pytanie to, co też oni tam wyczyniali? Wspominane są pomysły nagrywania usług komórkami, ale jesteśmy pewni, że było jeszcze grubiej. I śmieszniej, i bardziej obrzydliwie.

[16.09.2013]

Mieszkam w Chinach już od jakiegoś czasu. Do pewnych rzeczy przywykłem, inne nadal mnie zaskakują. Najbardziej męczące dla mnie jest jednak to, że wiele rzeczy nadal mnie dosłownie, po prostu, wkurwia. Mieszkalem i żyłem w kilku innych krajach wcześniej. Podróżowałem niemało i odwiedziłem około pięćdziesięciu bytów politycznych. W jednych czułem się lepiej, w innych gorzej, w Irlandii i Gruzji mieszkalem nieco dłużej. Rzeczy mają się tak, że po jakimś czasie człowiek uczy się życia, znajduje sobie rzeczy do robienia w wolnym czasie, kształtuje się też lista dań, które się zamawia lub też nie. Nawet jeżeli gdzieś jesteśmy na tydzień, po trzech dniach będziemy wiedzieli, co jest bardziej lub mniej skomplikowane. Nauczymy się podstawowych fraz, może nawet zdań, które uczynią nasze życie prostszym. Lokalni będą je rozumieli, nieważne jak koszmarnie je wymówimy. Jednak nie w Chinach.

Po pierwsze, rzeczy, które irytują nawet po jakimś czasie pobytu. Listę otwiera chińska kolej. Na papierze jest super, pociągów są tony, o każdej porze dnia i nocy, zależnie od budżetu człowiek sobie wybiera, kiedy i dokąd jaką klasą chce jechać. W praktyce wygląda to tak, że stoi się w kolejce epickich rozmiarów przez jakieś 40 minut. Potem okazuje się, że biletów na wybrane połączenie nie ma. Potem dowiadujemy się, że możemy jechać za dwa dni, ale pod warunkiem, że weźmiemy miejsca stojące. Najbardziej wkurwiające jest to, że zaprzyjaźnieni Chińczycy nie mogą zrozumieć czemu to człowieka tak denerwuje. Nie mogą też uwierzyć w to, że w „twoim kraju” kupno biletu na pociąg zajmuje poniżej dziesięciu minut i niemal zawsze możesz wybrać dowolne miejsce, klasę i przedział cenowy. Chińczycy nie dowierzają w historie o tym, że istnieją miejsca o takiej wolności podróżowania. Jednak ponieważ powszechna edukacja i formatowanie ludzi przynoszą rezultaty, wszyscy w tym kraju będą twierdzili, iż jest to absolutnie naturalna kolej rzeczy, że kolej jest niewydolna.

Po drugie, wkurwia człowieka wysłuchiwanie ciągle tych samych odpowiedzi na te same pytania. Listę tychże otwiera „China is a developing country”. Fraza ta zdaje się usprawiedliwiać absolutnie wszystkie niedogodności z którymi spotykamy się każdego dnia: od twardego łóżka, przez niedziałającą pralkę i lodówkę bez drzwi, jak również wieczne kłopoty z ciśnieniem wody. „China is a developing country” odpowiada na pytania dotyczące ruchu ulicznego, srających w miejscach publicznych ludzi, absolutnego braku zainteresowań zarówno pośród uczniów, jak i dorosłych, plucia w restauracji, palenia przy niepalących, robienia firmowych libacji w środku tygodnia, braku komunikacji szefostwa płci męskiej z personelem płci żeńskiej, nonsensownego wożenia pociągiem 50-litrowych baniaków z olejem, worków na kijach, pustych butelek, misek oraz grzebieni bez zębów i wentylatorów mających po przynajmniej 20 lat. Ilekroć stwierdzimy że coś w Chinach jest spierdolone, dziwne, idiotyczne, wówczas nawet od wykształconych i względnie cywilizowanych ludzi dowiemy się, iż „China is a developing country”. W mniemaniu Chińczyków hasło to powinno wystarczyć za usprawiedliwienie wszelakich niedogodności życia codziennego. Prawdopodobnie w ten sam sposób wyjaśniają, dlaczego zajęli Tybet i Sinciang...

Po trzecie, opisany niegdyś ruch uliczny. Żadne słowa nie oddadzą tego, co czuje człowiek, którego taksówka przejeżdża na pasach. Chcesz przejść ulicę? Masz zielone? Myślisz, że możesz wkroczyć na zebrać bez rozglądania się? To chyba cię popierdoliło. Najpierw

przejedzie cię pan z wózkiem jadący na bazar. Potem skuter. Następnie taksówka, po niej poprawi autobus. Później znowu pan z wózkiem, aż w końcu rower. Światła drogowe są w Chinach dla jaj. Kiedy w pewnym chińskim mieście mogliśmy zaobserwować wyłączenie świateł na dużym skrzyżowaniu, bezpieczeństwo i płynność ruchu znacznie się poprawiły. Nie ma znaczenia, czy przechodzimy na zielonym, czy czerwonym, po pasach czy nie. Bez oczu dookoła głowy rozdziobią nas kruki, wrony. Nawet policja wali na czerwonym!

Nie ma też sensu robić z siebie męczennika, jest wiele aspektów życia w Chinach, które są całkiem przyjazne. Na pierwszym miejscu niemal wszyscy plasują jedzenie: gdy już nauczymy się zamawiać żarcie, to czekają nas cudowne doświadczenia kulinarne w cenach dosłownie śmiesznych z zachodniego punktu widzenia. Dobra zupa koło szkoły kosztuje cztery RMB, 2 PLN. Niezły makaron to 3,5 RMB. Każde z nich wystarcza za posiłek. Chwilę zajmuje nauczenie się wybierania, ale można wyszukać super owoce i ciekawe warzywa. Da się kupić niezłe czerwone wino do 20 kuai.

Z aspektów pozażywnościowych: pensja wystarcza i to z takim okładem, że ponad połowę sobie odkładałem, dzięki temu wakacje miałem dość przyjemne. Mieszkanie opłaca nam szkoła, nie jest ono może idealne, ale jakoś ostatnio w Polsce pracodawca nie płacił mi rachunków za prąd i wodę. Ludzie bywają upierdliwi, ale wynika to raczej z ich ciekawości niż z wrogości. Można wyjść w gaciach albo piżamie na ulicę i wiele to nie zmieni, tak samo będą się gapić i krzyczeć „hello!”. Lepsze to jednak niż krakowskie „Wisła czy Cracovia, chuju?”. Jest bezpiecznie do wyrzygania, nie kradną, nie biją, nawet rzadko oszukują. Jest wiele rzeczy dużo tańszych niż na Zachodzie. Zastrzeżeń do życia w ChRL mamy jakieś parę milionów, ale ogólnie jest to jedno z najłatwiejszychżyć, jakie mieliśmy.

Baby, did you forget your meds?

[16.09.2013]

Tradycyjna chińska medycyna jest legendarna. W niemal każdym większym mieście europejskim możemy trafić na znawców tematu. Z racji niespotykanej okazji życia i mieszkania w ChRL dołożyliśmy starań i zgłębiliśmy temat. W formie tabelarycznej opracowaliśmy najbardziej sekretne zdobycze chińskiej medycyny ludowej.

OBJAWY	SUGEROWANA FORMA LECZENIA
Ból gardła	Napić się dużo gorącej wody
Nieżyt nosa (katar)	Napić się dużo gorącej wody
Ból stawów	Napić się dużo gorącej wody
Uczulenie, wysypka	Napić się dużo gorącej wody
Ból głowy	Napić się dużo gorącej wody
Rozstrój żołądka	Napić się dużo gorącej wody
Złamana kończyna dolna lub górna	Napić się dużo gorącej wody
Ucięta kończyna dolna lub górna	Napić się dużo gorącej wody
Skrecony kark	Napić się dużo gorącej wody

Oto sekretny przepis na najważniejszy lek chińskiej medycyny ludowej: H₂O

Dzięki posiadaniu przyjaciółek żyjących pośród Chinek udało nam się dotrzeć do wiedzy prawdziwie sekretnej. Menstruacja a jej postrzeganie przez Chinki: nie wolno jeść lodów! Jak również niczego ostrego, kwaśnego i jakiego tam jeszcze. Tydzień przed też nie. Czyli jakaś połowa życia bez wyraźniejszych smaków.

Powyższe restrykcje są jednak wielce nieznaczne przy tym, co związane jest z ciążą. Przede wszystkim przez miesiąc po porodzie nie wolno się umyć, gdyż grozi to nawet śmiercią. Niestety nie ustalono, skąd, jak, gdzie, kiedy i kto to wymyślił, ale jak któraś urodzi np. w czerwcu, to zapach w domu musi być z tych przyjemniejszych, zapewne można na niego wabić sępy. Zgodnie z inną zdobyczą myśli chińskiej uważa się, że podczas ciąży kobieta nie może oglądać telewizji, chyba że będzie ubrana w ołowiany fartuch. Komputer w ogóle nie wchodzi w grę, ciężarne Chinki rzucają pracę w drugim miesiącu w trosce o dobro dziecka. Fartuch waży w cholerę, a do tego noszenie go nie jest zbyt zdrowe, niemniej pamiętajmy o jednym: dla zdecydowanej większości Chinek poród to doświadczenie jednorazowe, niepowtarzalne. Niedziwne więc, że starają się, by przebiegło ono w warunkach idealnych. W takich momentach lata życia w mieście z zanieczyszczonym powietrzem i dekady żarcia produktów, które świecą w ciemnościach, odchodzą na boczny tor. Najważniejsze jest, by to magiczne promieniowanie z telewizora nie dotknęło płodu. Chociaż nie, najważniejsze jest picie ciepłej wody!

Medycyna często pokrywa się z odżywianiem i dietą. W imię tego czujemy się w obowiązku wspomnieć, że jedzenie korzenia łopianu wpływa korzystnie na możliwości seksualne mężczyzny (podobnie jak jedzenie jeleniego fiuta, rogu nosorożca i tygrysa).

Jesienny drink

[19.09.2013]

Żeby pokonać Chińczyków, musisz zacząć myśleć jak Chińczyk. Kierując się tą myślą, przygotowałem urodzinowego drineczka dla mej wybranki.



Składniki:

- filiżanka w kwiatki (prawdopodobnie zadziała też z inną, ale nie testowano)
- papieros (najtańsza marka dostępna na rynku powinna być w porządku)
- baijiu (nie przesadzajmy z ceną)
- kacze jajo (ugotowane, obrane ze skorupki)
- marchewka (surowa)
- makaron (ryżowy)

Potencjalne dodatki: kacza głowa (może, a nawet powinna, służyć jako czarka).

Instrukcja wykonania:

Bierzemy filiżankę, wrzucamy wszystkie wymienione powyżej dobra, zalewamy baijiu. Pijemy do pierwszych wymiotów lub zgonu. Desperaci mogą zjeść kacze jajo. Makaron rozpuszcza się po jakichś trzydziestu minutach. Marcheweczka pozwala nam zachować odpowiedni balans witamin, które mogłyby zostać wypłukane z organizmu za pomocą alkoholu. Papieros nie wydaje się mieć większego wpływu na smak drineczka, ale co to za drink bez papierosa? Wyglądał podejrzanie salonowo bez tego składnika.

Nieśmiertelny: nowe życie

[25.09.2013]

Dnia 19 września pewien sędziwy pan w Qingdao celebrował 111. urodziny. Wiek piękny i godny, jednak co jeszcze wspanialsze: pan wciąż całkiem kontaktuje umysłowo. Jego sekret jest jednym z najpiękniejszych roku 2013. Dożył tak sędziwego wieku nie dlatego, że co rano biegał, medytował, jadł roślinki, czy też mieszkał w malowniczej górskiej wiosce. Nie, przeżył tak długo, bo pił baijiu. Od 10. do 90. roku życia. Dzień w dzień. Mieszkańcy wioski wyliczyli, iż spożył przynajmniej osiem ton baijiu, a prawdopodobnie więcej. Osiem ton baijiu na 80 lat daje tonę na dziesięć lat, 273 mililitry dziennie, trochę mniej w latach przestępnych. Facet wszystko pamięta, trochę mu siada zdrowie, jada głównie owsiankę i cukierki, swej ulubionej świniny już nie może.

Można chyba wysnuć taki wniosek, że jeżeli wątroba da ci radę, to dzięki wódzie nie zdebilejesz. A przynajmniej dzięki baijiu. Obawiamy się jedynie, że normalny człowiek wolałby umrzeć na miejscu, niż pić 273 mililitry baijiu dziennie, choćby nawet miał to robić jedynie przez tydzień, a nie 80 lat.

Bohater września

[30.09.2013]

19 września, czyli w sam Mid-Autumn Festival, jedno z najważniejszych chińskich świąt, policjant na komendzie w Wuhan (powtarzamy: to magiczne miasto) odebrał telefon. Po drugiej stronie słuchawki był siedmiolatek, który został sam w domu i spotkał go pewien rzadko spotykany u dzieci problem. Zapewne go w szkole nauczili, że jak ma problem, to wtedy należy koniecznie zwrócić się do policji. Problem był istotnie poważny: rodzice poleźli w diabły (do dziadków), a dzieciak... zgłodniał. Policjant chwilę pomyślał, po czym pojechał pod podany adres i zawiózł chłopakowi mooncake'i, tradycyjne chińskie ciastka świąteczne. Zadzwoił też po jego rodziców, pouczył ich, by bardziej dbali o pociechę i oddalił się.

W Polsce historia ta skończyłaby się nieco inaczej. Starszym wjebaliby karę, odebrali prawa, obciążyli kosztami interwencji, zrobili program o wyrodnym rodzicach i zaprosili tłum ekspertów, którzy wspominaliby o tym, że też bywali głodni w dzieciństwie, a ich dziadkowie za Niemca i Ruska, a zresztą można jeść szczaw i mirabelki. Gdyby jakiś policjant oszalał na tyle, żeby coś dzieciakowi przynieść, to potem miałby naganę z wpisem do akt, a już jakby pojechał tam radiolą, to ło jezu, benzyna przecież się zmarnowała! Inna sprawa, że polski siedmiolatek wie, że od policji to jak najdalej. Mógłby więc zadzwonić po księdza. Ten by na pewno bardzo chętnie przyjechał, zwłaszcza po usłyszeniu „bo ja jestem sam w domu”, tylko istnieje ryzyko, że raczej zrobiłby dziecku gimnastykę poranną, niż dał jedzenie. Istnieją takie straszne momenty w naszym życiu, gdy orientujemy się, że Chiny potrafią być lepsze dla człowieka niż pewien kraj Unii Europejskiej.

Złoty Tydzień, złota reneta, złota jenota

[30.09.2013]



W paru miejscach na świecie wymyślono coś takiego cholernie socjalistycznego jak urlop pracowniczy. Wiecie, rozumiecie, zwłaszcza jeżeli robicie na etacie, raz na czas przysługuje wam parę dni, w których możecie sobie jechać w przysłowiowe pizdu na wakacje. Mniej więcej wszyscy wiemy, jak wygląda urlop. O czym za wiele nie myślimy to, że na Zachodzie ludzie korzystają z niego turami. Większość w lipcu i sierpniu, jedni wolą wcześniej, inni później. Jeżeli potraktujemy UE jako jeden organizm z populacją około pół miliarda ludu, to wiemy, jaki burdel jest od mniej więcej maja do października na całym kontynencie. Grille na dzikich plażach, korki na egzotycznych wyspach, kolejki, by wejść na niedostępne górskie szczyty.

Teraz proszę sobie wyobrazić, że UE ma 1,3 miliarda ludności. Że urlopy nie istnieją, ale w zamian za to wszyscy dostają wolne w tym samym czasie, który trwa około tygodnia. Że większość osób skazana jest na transport publiczny. Jeżeli macie bardzo, bardzo bogatą wyobraźnię, to strzelicie sobie w łeb. Albo zobaczycie Złoty Tydzień w Chinach.

O ile w krajach zachodnich wiele dyskusji odbywa się na temat wyższości Wielkanocy nad Bożym Narodzeniem, o tyle tutaj można rozważać walkę o drugie i trzecie miejsce na podium (pierwsze to zdecydowanie Spring Festival). Jedni wolą Mid-Autumn Day, inni Golden Week. Pierwsze daje tylko dzień wolnego, ale jest osadzone w tradycji. Drugie nie, ale zapowiada przynajmniej trzy, a zazwyczaj pięć dni wolnego.

Golden Week ma tradycję sięgającą aż 1999 roku. Wtedy to wymyślono, że wprowadzi się wolne na jesień. Czemu? Żeby ludzie pojechali do rodzin? Nie. Żeby ludzie wydali zarobione pieniądze i napędzili nieco konsumpcję wewnętrzną. Przy okazji wybrano najbardziej oczywistą datę: 1 października. W 1949 roku powołano tego dnia do życia Chińską Republikę Ludową. Konkretniej zrobił to Wielki Słownik. Nie wiem, czy istnieje drugi kraj na świecie, w którym tzw. niepodległość świętowano by tydzień. Z drugiej strony, jakoś mogę z tym żyć, że dostałem trzy dni wolnego.

Zeszłoroczny Złoty Tydzień w liczbach

- 86 milionów podróżowało drogami, autostrady zawiesiły na ten czas pobieranie opłat.
- 7.6 miliona poleciało sobie samolotami.
- 60.9 milionów wybrało pociąg.
- Na turystykę wydano 1,77 miliarda RMB.

W 2013 pewnie będzie jeszcze grubiej, bo popularność święta wzrasta z roku na rok. W 2012, w ciągu JEDNEGO dnia, Zakazane Miasto odwiedziło 182 TYSIĄCE turystów, ale to i tak mało, bo mauzoleum Sun Jat-sena – 215 tysięcy.

Każdy wie, że w czasie Bożego Narodzenia lekko nie jest, sklepy zamknięte, wódkę trzeba przepłacać na stacji benzynowej, do kina też nie bardzo. 26 grudnia zazwyczaj ludziom już wali na dekiel tak, że lecą do miasta. Wyobraźmy sobie, że to wszystko trwa jeszcze dzień dłużej, a nierzadko łączy się z weekendem. Początkowo Złoty Tydzień naprawdę był tygodniem, teraz przysługują tylko trzy dni wolnego. Cała ekonomia siadała, eksport szedł się kochać (wy tłumacz kontrahentowi z Zachodu, że przez tydzień nie ma po co dzwonić). Do tego okazało się, że przychody są mniejsze od oczekiwanych.

Dla obcokrajowców jest to raczej smutny czas. Ostatnie badania pokazały, że 64% siedzi tutaj dla pieniędzy, nie dlatego, że jakoś kocha Chiny. Bilety lotnicze są horrendalnie drogie (już na poziomie czerwca ceny były nieźle podniesione, teraz o dziwo nie jest tak okrutnie). Bilety kolejowe to w naszym wypadku nieco dłuższa opowieść. Od 1 stycznia 2013 roku w całych Chinach bilety kolejowe można kupować z dziesięciodniowym wyprzedzeniem. W całych? Nie, ostała się jedna galijska anhujańska wioska, gdzie bilety sprzedawane są dopiero na pięć dni przed odjazdem. Dla niegramotnego Chińczyka to przysłowiowy ciul, bo bilety można też kupować przez internet, pod warunkiem, że ma się chińskie ID. Na paszport się nie da, w sumie nie wiem dlaczego, nikt mi nie był w stanie tego wyjaśnić. Z okazji świąt bilety często sprzedawane są nawet na 15 dni wcześniej. Nasza koleżanka Julia mieszka w Ningbo. Z Huainan to tylko 10 godzin pociągiem, w skali chińskiej to rzut beretem, taki dystans ledwo średni. Umówiliśmy się, że wpadniemy do niej 30 września i sobie posiedzimy wspólnie ze trzy dni, pogadamy, opijemy wódeczkę z Polski.

19 września poszliśmy na dworzec po raz pierwszy. Według Chińczyków, w tym roku bilety można było kupować na 15 dni przed datą podróży. Kazano nam wrócić 24 września. 24 września poinformowano nas, że biletów na wybrany przez nas pociąg nie ma, w zamian możemy wziąć super drogi pociąg typu G. Jedzie wprawdzie tylko jakieś cztery godziny, ale kosztuje 292 kuai. Razy dwie osoby w dwie strony, to się robi prawie 1200 RMB, 600 PLN. Trochę drogo, zwłaszcza w kraju, gdzie pełno osób zarabia miesięcznie około 1500-2000 RMB. Z naszych wielkich planów Złotego Tygodnia w miłym towarzystwie wyszedł gucio. Już tylko marginalnie wspomnę, że każda wyprawa na stację to przynajmniej 40 minut zabawy, szczęśliwie daleko nie mamy, ale stanie w kolejce nie jest naszym ulubionym sposobem spędzania wolnego czasu. Zwłaszcza stanie, żeby zostać odprawionym.

Co roku Chiny są świadkami drastycznych scen właśnie w okolicach Złotego Tygodnia i Spring Festival. Dla Chińczyków, to jest być albo nie być, jeżeli im się nie uda pojechać do domu, to nie zobaczą rodziny przynajmniej kolejne kilka miesięcy. Problemem są też odległości, np. wiele osób z Syczuanu pracuje w Guangdong, pociąg jedzie około 30 godzin.

Mnie by się nie chciało, pięć dni wolnego to 120 godzin, pociąg razy dwa to 60, równo połowa wolnego w zajebanym po sufit wagonie. Jeżdżenie samochodem gwarantuje uwalenie się w korkach, jak również daje szansę na wzięcie udziału w wypadku. Z okazji darmowych autostrad trafiają na nie ludzie, którzy w życiu tam nie byli, uczenie się jazdy przynajmniej setką w czasie największego natężenia ruchu nie jest do końca najlepszym pomysłem. Kiedyś był jeszcze majowy Złoty Tydzień, ale go skasowano. W zamian dano parę pojedynczych świąt w ciągu roku. Łącznie Chińczycy mogą nacieszyć się 11 wolnymi dniami w ciągu roku.

Nasz kolega David niegdyś robił dla kapitalisty w Guangdong. Zgodnie z przepisami dano ludziom urlop. Drugiego dnia jego trwania przyszli do fabryki i poprosili, żeby im pozwolono pracować, ponieważ do domu nie udało się pojechać, a nie wiedzą, co mogliby robić poza pracą.

[2.10.2013]

Od wieków Chińczycy mają obsesję na punkcie swoich przyrodzeń. Wytłukli całe gatunki, bo wierzyli, że np. róg nosorożca jest dobry na fiuta. Fiut tygrysa też jest dobry na fiuta. Korzeń łopianu jest dobry na fiuta. Połowę rzeczy ludzie jedzą tu, bo wierzą, że są one dobre na fiuta.

Udało się chyba jednak znaleźć zwycięzcę w kategorii „najdurniejszy sposób na poprawę pracy fiuta”. Jest to oczywiście alkohol. Nazywa się Tezhi Sanbian Jiu, czyli „alkohol z trzech przyrodzeń” (ta pasja do wymyślania nazw...). Zgodnie z etykietą, w skład napoju wchodzi trzy przyrodzenia: jelenia, foki (prawdopodobnie kanadyjskiej) i psa. Napój jest tani, bo samych przyrodzeń w nim nie ma, zostają jedynie wykorzystane w procesie fermentacji. Niestety, póki co nie udało się nam zdobyć tego specyfiku, więc pozostaje nam jedzenie łopianu.



Buteleczka trunku
(źródło: Sinosplice.com)

[2.10.2013]

Pytania do redakcji. To pozwoliliśmy sobie wziąć z prywatnej korespondencji:

*Jak Wy to baijiu tak w siebie lejecie bez oporów?! Myśmy próbowali parę razy,
ale było tak obleśne, że się poddaliśmy.*

Droga Joanno!

Kto powiedział, że bez oporów? Każde posiedzenie z baijiu komentowane jest wielokrotnie w stylu: „ech, w Polsce mielibyśmy wódkę, w Gruzji czacę, a w Arabii Saudyjskiej benzynę. Tu mamy baijiu”. Przede wszystkim, baijiu należy schłodzić. Nie wpływa to w ogóle na jego walory smakowe, ale chyba minimalnie mniej obrzydliwe pachnie. Można je rozrobić z colą, ale wtedy jest jeszcze gorsze, zaufajcie nam. Z fantą, spritem, sokiem pomarańczowym, wszystkim normalnym, wychodzi syf. Z tonikiem też nie jest lepiej, a w Chinach i tak go nie ma. Jedyny z chińskich napojów, który trochę pomaga, to herbata: jedni wolą czerwoną (brytyjski kolega), inni (w tym my) zieloną. I tak sprawy to nie ratuje, różnica jest taka jak między walnięciem się w jajo młotkiem pięciokilowym i trzykilowym. Po prostu strasznie boli.

Istnieje teoria, niegdyś przez nas wspominana, że po wypiciu trzystu dawek baijiu człowiek odkrywa, jaki to cudowny trunek. Kiedyś liczyłem, ile tego szczęścia miałem, wyszło koło setki. Gdzieś, w jakimś bardzo indywidualnym, abstrakcyjnym momencie, odraza minimalnie się zmniejsza. Nie do poziomu akceptacji, ale jakby to ująć... Gdyby każdego poranka lali nas w ryj na odlew martwą rybą, to po jakimś tygodniu zaczęlibyśmy to akceptować. Nie cieszyć się z tego, nie mówić, że to jest w porządku, ale jakoś mniej byśmy krzyczeli, bo po prostu wiedzielibyśmy, co nas czeka po wstaniu z łóżka. I tak właśnie jest z baijiu, chociaż chyba wolelibyśmy wariant ichtiologiczny. Jedna rzecz się nie zmienia, każdy poranek po, to jest istny Mickiewicz, to jest „wpląnąłem na suchego przestwór oceanu. Wóz nurza się w baijiu”, smaku nie pozbędziesz się przez wiele godzin, jedyne, co ratuje, to obłędnie ostre jedzenie z pobliskiego bazaru. I piwo.

Lejemy z oporami, ale jak widzimy ceny zachodnich alkoholi, to wrodzone skąpstwo pozwala nam pokonać odragę. Potem siedzimy i mówimy sobie: „ej, ale następnym razem weźmiemy ludzki alkohol. Ależ tak, nigdy więcej tego syfu. Nie, won z oszczędzaniem, tak nie można żyć. Ostatni raz to baijiu!”. I tak do następnego...

Piękno języka chińskiego

[7.10.2013]

Po życiu przez ponad pół roku w kraju wroga wypadałoby znać jego język. Nauka idzie nam, delikatnie mówiąc, opornie. Przyczyną numer jeden jest nasze lenistwo, jednak przyczyną numer dwa jest natura języka chińskiego. Wydawałoby się, że będąc otoczonym językiem każdego dnia, zacznie się go niemal automatycznie rozumieć. No nie bardzo. Rozumiemy pojedyncze słowa i wrzaski, ale nie ma mowy o tym, żebyśmy zrozumieli jakąś wymianę zdań.

Piękne w języku chińskim są tony. Pierwszy miesiąc słuchałem samouczka chińskiego i próbowałem zrozumieć, co to znaczy, że pierwszy, a co że trzeci. W końcu o wiele bardziej biegły kolega z USA powiedział mi: pierdol tony, ucz się słówek i fraz, tony ci się wtedy same chwycą. Przyznaję rację, idzie lepiej, gdy nie myśli się o tonach, a po prostu powtarza ze słownikiem lub Chińczykiem.



Totoro z dumą prezentujący zestaw

Pewnej deszczowej niedzieli, czyli we wtorek, przecenili w markecie flashcardy do nauki chińskiego. Dziwne w sumie, że je tu mają, bo nie wiem, kto by się miał uczyć. Mieli kilka zestawów, wybraliśmy warzywa. Z ogniem w oczach ruszyliśmy do domu, by w końcu nauczyć się paru najpotrzebniejszych słów po chińsku.



*Zestaw pierwszy, czyli co to kurwa jest?
I dlaczego bym miał chcieć to zjeść,
o kupowaniu nawet nie wspominając*



Zestaw drugi, czyli i ty zostaniesz królikiem lub koziołkiem



Zestaw trzeci, czyli fajne słowa

Większość słów po chińsku składa się z kilku znaków lub innych słów. Podobnie jest z warzywami. Pomidor składa się ze znaków oznaczających ilość czegoś oraz znaku widzieć. Czyli „widzę ilość”. Wygrywa ogórek, składa się ze znaków żółty i melon. Chcesz kupić ogórka? To proś o żółtego melona. Ciekawe, o co się prosi, gdy chce się kupić żółtego melona. Pewnie o fioletowy czosnek.

Zestaw czwarty czyli wielcy nieobecni: Skoro uwzględniono takie potrzebne słowa jak pięć odmian liści, to po co by miano dać jakieś banalne ziemniaki? Kukurydzę? Buraki?

[9.10.2013]

Nasz brytyjski kolega miał urodziny. Z tej okazji zebrała się ponad połowa emigracji osiadłej w Huainan. Ta szczytna rocznica została wykorzystana jako pretekst do zrobienia tego, co umiemy najlepiej, czyli narąbania się. Oto raport dotyczący związanych z tym doświadczeń.

1. Opowieść o baijiu

Wracałem ze spotkania z Chińczykami, oczywiście wypiliśmy pełno baijiu. Siedzę w taksówce i nagle czuję, że źle, chcę wołać, żeby się zatrzymał, ale nie zdążyłem. Posrałem się w spodnie. Po prostu, nagle moje zwieracze mi podziękowały za to baijiu.

2.

Chińczycy są uczeni, że to bardzo miło powiedzieć obcokrajowcowi, że jego kraj jest piękny. Ma to wielką wartość, bo często nie mają zbyt dużego pojęcia nawet o swoim, niemniej jest to jedno z dyżurnych zdań. Gdybym za każde „Poland is a very beautiful country” dostawał kuaia, to chyba bym drugą pensję uzbierał.

Pewien Chińczyk bardzo chciał nas poznać, oczywiście żeby sobie poćwiczyć angielski. Niestety zazwyczaj ćwiczyć angielski chcą tacy, co go nie znają niemal w ogóle, a do tego są mało interesujący. Tak też było tym razem, standardowo (*Skąd? Z Polski. Polska jest bardzo piękna!*), rzuciłem do brytyjskiego kolegi:

– *Ech, tobie jak mówią to chociaż wiedzą o czym, ale mnie to trafia, pewnie nawet kontynentu z Polską nie jest w stanie zlokalizować, ale to piękny kraj.*

– *Ty, a spróbujmy* – powiedział i przeszedł na chiński.

Powiedział rozmówcom, że Polska leży w Afryce. Chińczyk się zgodził i poszedł w swoją stronę. Chwilę się pośmialiśmy, a ten powrócił i nawija po chińsku. Pytamy, ki diabeł teraz?

– *Dziwi się, że nie jesteście czarni.*

Czarny jest za to nasz kolega z USA. Chinka wyznała mu, że bardzo jej się podoba. Ucieszył się, ale po chwili okazało się, że Chince wpadł w oko, bo lubi ona czekoladę.

3.

Jako stałym klientom pozwolono nam rzucić okiem na zaplecze. Mają tam teraz kocięta. Trzymają je uwiązane na sznurkach, bo przecież jeszcze by mogły gdzieś pójść.

4.

W lokalu jest jedna toaleta, co przy obsadzie czasem sięgającej kilkudziesięciu osób bywa problemem. Gdy pierwszy raz stałem w kolejce, chiński kolega przekonywał mnie, że możemy się wysikać obok knajpy i nie ma co czekać. Gdy stałem drugi raz, przyszła Chinka i pyta, czy do kibla. Nie, podoba mi się tutaj, tu jest mój kawałek podłogi. Tak, do kibla. Ona musi. A ja nie muszę, myślisz? Ale ona bardzo musi. No dobrze, znaj moje dobre serce. Weszła, czekam na zmiłowanie. Przychodzi chiński kolega.

– *Zajęte?*

Kolejny odkrywca...

– *A kto tam jest?*

– *Ta panna niska, co z nami gadała chwilę, siostra tego wysokiego, co z nami siedzi.*

– *O, dobra.*

I otwiera drzwi. Oczom naszym ukazuje się podcierająca się Chinka. Ten krzyczy, że sorry i zamyka. Ja mu, że panie, mówiłem przeca, że zajęte, nie wierzyłeś na słowo? Panna wyszła, ja mówię, że to jego wina, ona „haha-hihi”, wchodzimy, lejemy (z racji trudności sanitarnych leje się czasem w kilku chłopca), a ten do mnie:

– *Cholera, nie udało mi się zobaczyć jej cipki, tylko nogi.*

– *Mnie też się nie udało* – podniosłem go na duchu, gdy już mi przeszedł opad szczęki.

Gdy szedłem po raz kolejny, pognął ze mną tłusty Chińczyk, który z nami siedział. Spytał, czy możemy odlać się razem. Mówię, że tak, chociaż nieco dziwne, że czekał, aż pójdę. Gdy weszliśmy, chłop oglądał mój sprzęt, a potem wysikał się do umywalki (chwała, że nie był tam w temacie numer dwa...). Mówiłem mu, że może łać do dziury ze mną, ale on uparł się wysikać do zlewu.

Byłem w życiu w paru knajpach w paru różnych krajach. *I've seen things you people wouldn't believe*, jak mawiał Rutger Hauer. Jednak z pokorą pochylam głowę: jeden wieczór w chińskiej knajpie detronizuje 95% libacji mego życia.

[9.10.2013]

Co jakiś czas wspominamy, że mieliśmy kłopoty z netem. Postanowiliśmy nieco rozwinąć problematykę i przybliżyć nieszczęśnikom mieszkającym poza Państwem Środka realia przeglądania sieci z kraju wiecznego szczęścia.

Chwilami blokowane są rzeczy raczej zaskakujące i nie bardzo kojarzące się z czymkolwiek „złym”. Wiemy, że w Chinach tłamszona jest wolność słowa, wiemy, że kłamią, że oszukują, że wolny Tybet. Korzystając ze zdobytych w pocie czoła doświadczeń, poniżej piszemy, co i jak bardzo nam zabierają:

- Najpopularniejszy portal społecznościowy świata.
- YouTube – to jest najbardziej upierdliwe, bo prędkość przez VPN jest taka, że nie da się oglądać niczego.
- „The Tibet Post”, jak również artykuły po angielsku, które dotyczą Tybetu, po polsku raczej przechodzą bez bólu.
- Wszystkie większe serwisy blogowe – Wordpress, Blogspot – upierdliwe, bo wielu świetnych nauczycieli pisze blogi i zamieszcza materiały właśnie tam. Działa Blog.pl, Blox.pl, Weebly, Tumblr.
- Strony z filmami przyrodniczymi z paniami (i panami, i rogacizną). O dziwo, niektóre polskie działają, ale po angielsku nie.
- Wiele amerykańskich serwisów informacyjnych. Na pociechę: „The Huffington Post”, a z brytyjskich „Guardian” działa.
- Amnesty International (w życiu nie byłem na ich stronie).
- Pełno japońskich stron (to nas umiarkowanie boli).
- Wiele stron z torrentami, ale parę działa, więc filmy przyrodnicze pobierać się da.
- Przez jakiś czas blokowali stronę świadków Jehowy, ale poddali się w obliczu prawdy o Bogu i już można delektować się ich materiałami. Oczywiście to mam jako startową.
- Dość dużo niezależnych chińskich serwisów informacyjnych.
- O dziwo działa strona Al-Dżaziry – samą telewizję wyrzucono z Chin za jakiś reportaż o tym, jak tu pięknie (z naciskiem na toalety).
- Jeżeli są zadymy etniczne w Sinciang (a są nierzadko), to wtedy może być blokada na wiadomości o tychże. Polskie raczej przechodzą, angielskie raczej nie.
- Instagram działa, więc można na bieżąco wrzucać foty swoich posiłków!
- Bywa i w drugą stronę: niektóre strony (np. www.peb.pl) nie wpuszczają ludzi z chińskim IP.

Da się to bardzo łatwo obejść. Trzeba się podpiąć przez serwer proxy (darmowe są dość powolne i zawodne, płatne są lepsze, ale ognia i tak nie będzie). Ewentualnie można skorzystać ze stron przekierowujących, ale jakość jest fatalna, wszystko trwa, a potem się jeszcze źle wyświetla.

W zamian jest Weibo i QQ (pierwsze za Facebooka, drugie za Twittera), w całości kontrolowane przez państwo, używane tylko przez chińskich internautów. Zamiast YouTube’a jest YouKu, da się żyć, znajdziemy bez bólu klipy popularnych artystów, ale oczywiście np. Kononowicza już nie. Trochę filmów też jest, zazwyczaj bez lektora, za to niemal zawsze

z napisami. Podobno *Skyfall* miał u nich premierę najpierw na YouKu, a potem w kinach. Google działa, ale wolniej, niż powinno. Chiński zamiennik to Baidu, który nie daje sobie rady z alfabetem łacińskim, za to bardzo chętnie rzuca obrazkami z pornografią. Chciałbym poznać autora tej wyszukiwarki, pewnego dnia szukałem obrazka, wpisałem coś w stylu „cat, table, cartoon”. Dało mi takie foty, że usiadłem.

Oferty VPN są łatwe do znalezienia. Wystarczy ~10\$ miesięcznie, dostajemy IP (np. z Niemiec lub Kanady), więc może powstać pytanie: dlaczego zezwala się na takie praktyki? A dlatego, że gdyby zachodnie firmy i banki miały wszystko przesyłać po chińskich łączach i nie były w stanie wejść sobie na niektóre strony, to mogłyby się spakować i pożegnać ChRL. A że przy okazji korzysta z tego paru nauczycieli i bardziej prywatnych ludzi, to już niech będzie.

Chińczycy wszystko produkują we wspaniałej jakości, to powszechnie wiadomo. Właśnie taki też jest chiński internet: mapy z Baidu są podobno niedokładne, YouKu naćkane reklamami do porzygu, wyszukiwarki działają durnie, wszystko działa raczej powoli. Chińczycy jednak nie są w stanie uwierzyć, że „nasz” internet to coś nieco innego niż ten ich i zawsze cholernie się dziwią, gdy narzekamy. W życiu jednak nie widziałem, żeby Chińczyk lub Chinka weszli na stronę w języku innym niż chiński. Nawet ci bardziej ogarnięci bywają w wielkim szoku, gdy im się pokazuje, że newsy światowe są nieco inne niż w ich kraju i że np. o Cyprze wszyscy pisali w kwietniu (w Chinach temat pojawił się po tygodniu).

Patrząc na tę listę, poza informacjami dotyczącymi kwestii „drażliwych”, blokowane są portale społecznościowe, gdyż władza boi się, że ludzie skrzykną się i pójdą obalać system, ewentualnie jakiegoś lokalnego partyjnego wariata. Albo jeszcze im przyjdzie do głowy zakładać partie wspólnych interesów. Dziwi jednak brak znajomości tematu przez cenzurę. Przecież Facebooka nie używa się do obalania systemu, a do pokazywania znajomym zdjęć kotów na jednorożcach.

[16.10.2013]

Różne rzeczy wyczyniało i pewnie jeszcze wyczyniać się będzie po alkoholu. Różnego też stopnia zdarzało się ponosić uszczerbek na zdrowiu. U mnie wygrywa dwanaście szwów na głowie, kolega wpadł do ogniska i wygrał oparzenia drugiego stopnia. Jakieś złamania, setki pomniejszych sińców i zadrapań, każdy ma kilogramy takich historii.

Jednak wszystko i wszystkich przebił pan Peng z Zhumadian (prowincja Henan) i myślimy, że szybko mu tytułu króla robienia sobie krzywdy nikt nie odbierze. Pan Peng wracał sobie koło 1 w nocy po dobrej pijatyce z kolegami. Zorientował się, że zapomniał kluczy, więc postanowił pokonać dwumetrowy płot od ogrodu sąsiada i tym sposobem dostać się do własnego domu. Poszło mu tak sobie, bo spadł i upadł na grabie. Nie, nie wbił ich sobie w plecy. Upadł w tak magiczny sposób, że wbił sobie trzonek w rzyć. Na 28 centymetrów w głąb. Przez ubranie. W pierwszym szpitalu mu nie mogli pomóc, w drugim dopiero dwójka specjalistów kilkanaście godzin później wykonała zabieg. Ze względu na długość i grubość kija, do asysty wezwano strażaków. Operacja się udała, a mogło być mało zabawnie, bo ciało obce uciskało nerwy przy kręgosłupie.

Zastanawia kilka rzeczy: czy aby na pewno pan Peng spadł tak niefortunnie, czy też kryje się za tym inna, jeszcze lepsza historia? Alkohol, Chińczycy, rzeczy w tyłku, to nie byłby pierwszy taki przypadek.

Druga sprawa: Zhumadian ma tylko trochę ponad 300 tysięcy ludności, czyli w skali chińskiej to ledwie miasteczko, pewnie wszyscy się znają. Jak pan Peng tam będzie teraz żył, to trudno nam powiedzieć. Jeżeli jednak ktoś chce autograf od naszego bohatera, to zapewne już każdy mieszkaniec bez problemu poda jego adres turystom.

Pod [tym linkiem](#) można zobaczyć, jak wygląda Chińczyk z grabiami w dupie. Stoi nad nim paru strażaków z piłą łańcuchową. Nie mamy serca repostować. Na drugim zdjęciu intryguje pan doktor z komórką. Zapewne właśnie wysyła do wszystkich w książce adresowej MMS-a: „a takie tam, z pracy, nudno dzisiaj”.

[22.10.2013]

Chiny zaskoczyły nas wielokrotnie. Wydawało nam się, że już osiągnęliśmy etap doświadczonego mandaryna, który niczemu się nie dziwi, tylko spokojnie obserwuje rzeczywistość i czasem ją równie spokojnie skomentuje. Myliliśmy się.

To informacja z 2012 roku, ale nie straciła przesadnie swej aktualności i wymowy. Kilka lat temu z dość dużym zainteresowaniem spotkał się film *127 godzin*. Kto widział, pamięta kulminacyjną scenę (tę, zanim zaczynają grać Sigur Ros). W Chinach jednak takie rzeczy to dzień jak co dzień, nic wielkiego. Pan Zheng Yanliang ma 47 lat i od lutego 2012 roku począł cierpieć na straszny ból prawej nogi. Chłop, który całe życie ciężko tyrał i miał opinię niezniszczalnego, nagle zaniemógł, ledwo się mógł przemieszczać. Wizyty w kilku klinikach przyniosły wiedzę o tym, że to jakieś bardzo rzadkie schorzenie, nikt nie wie, jak to leczyć. Zheng dosłownie siedział w domu (bo leżeć z bólu nie mógł), wył i jadł leki przeciwbólowe, które i tak wiele mu nie pomagały. Kończyna dolna pokryła się wszystkim najgorszym, oszczędności wydano na lekarzy i lekarstwa. Okazało się, że konieczna jest amputacja. Jednak na szpital pieniędzy brak, a lokalny lekarz odmówił wykonania zabiegu jako przekraczającego jego umiejętności.

Pan Zheng pomyślał. Pewnego dnia odprawił żonę spać. Gdy wróciła po jakichś 20 minutach, czekał ją wielce niecodzienny widok: na łóżku obok małżonka leżała odpiłowana noga, na stoliku cztery zęby trzonowe i parę narzędzi domowego użytku. Po prostu pan Zheng już miał dosyć, bolało go, znikąd ratunku, więc ZA POMOCĄ PIŁKI DO METALU I NOŻYKA DO OBIERANIA OWOCÓW ODCIĄŁ SOBIE NOGĘ JAKIEŚ 15 CENTYMETRÓW OD BIODRA! Piłka tego nie przeżyła i trzasnęła na pół. Zęby sobie wygryzł z bólu podczas tego chałupniczego zabiegu. Z racji zakrzepicy nie było nawet za wiele krwi.

Impreza jednak może mieć ciąg dalszy, gdyż lewa noga zaczęła wykazywać dokładnie takie same objawy jak wcześniej prawa. Na razie trwa walka i próby zatrzymania rozwoju choroby, jednak może być powtórka z rozrywki. Pan Zheng mówi, że ból związany z domowym zabiegiem to dla niego mniejszy problem niż to, że został ciężarem dla swojej rodziny i nie może ich dalej utrzymywać. Żona ma cukrzycę i chorobę serca, a na powyższym obrazku widzieliśmy, jak bardzo pomocna jest chińska służba zdrowia dla tych w potrzebie. Spodobały nam się niektóre komentarze rodaków pana Zhenga:

- „Kocham mój kraj!”.
- „Błogosławiony socjalizm! Żyjący w złych kapitalistycznych krajach nie rozumiecie naszego szczęścia”.

Uruchomiono akcję pomocy biedakowi. Mamy nadzieję, że uda się zebrać odpowiednią sumę pieniędzy, żeby... Nie, nie po to, żeby zafundować mu leczenie czy lekarstwa. Po to, żeby mógł pojechać w grudniu do Xiangtan na obchody 120. rocznicy urodzin Mao Zedonga. Jak to zobaczy, to mu się na pewno poprawi, i to tak, że o własnych siłach pobiegnie odwiedzić letnią rezydencję dobrodzieja.

[1.11.2013]

Parokrotnie pytano mnie, co przejawiam w opisywaniu Chin. Asekuracyjnie powiem, że niewiele, a szczerze powiem, że nic. Wiem, że nikt mi nie uwierzy, tylko szalenie mógłby mi uwierzyć. To jest parę scenek z ostatniego tygodnia, który nie był jakiś przesadnie obfity w cudowne wydarzenia. Naprawdę, to nie jest „the best of” życia w Chinach, to są sceny, w których biorę udział właściwie każdego tygodnia. Wiem, że brzmi to jak jaja i wiem, że trudno mnie brać na poważnie. Spróbujcie uwierzyć w następujące historie:

- Córka sprzedawczyni ze sklepiku dwa metry obok naszej szkoły wychodzi ze sklepu. Dziewczę ma jakieś osiem lat, ale raczej dziesięć. Chce się jej... Defekować, nie spotkać księdza Gila. Jeżeli wyjdzie po schodach jedno piętro, to będzie już niemal w naszej toalecie, z której korzysta jej matka i druga pracowniczka, plus pełno osób akurat przechodzących w pobliżu i znających położenie przybytku. Ona o tym wie, jej matka o tym wie. Ale co z tego, skoro córka wychodzi, kuca i stawia kloca między dwoma zaparkowanymi samochodami. Na oczach moich (na szczęście nie dosłownie) i każdego przechodnia.
- Prywatna szkoła zaczyna tracić uczniów na rzecz innej. Rozpoczynają się działania, by przywrócić jej dawną świetność, czytaj: liczebność uczniów. Pomysłów jest parę, a nowych ciągle przybywa. W tym tygodniu skierowano cały pion administracyjny do drapania schodów z brudu, co ma poprawić wizerunek szkoły. Nalepili też nowe naklejki. To, że obok schodów jest... Nie toaleta, nie kibel, ale po prostu obrzydliwy, cuchnący sracz, to akurat luz. To nie ma wpływu na obraz szkoły, że smród niesie się na kilkanaście metrów po okolicy.

Chciałbym to jakoś zrozumieć, chociaż tak naprawdę chyba nie. Szkoła zaczyna się o 8:30. Od 8:10 ze zwiększającym się natężeniem przybywa uczniów i ich rodziców. Dobra, mamy tam sześć sal, po jakieś 20 parę sztuk dzieci w grupie, czyli musi być dużo osób. Musi też być dużo rodziców, to wszystko jest zrozumiałe. Co jednak nie jest, to fakt, że stado ojców, ledwo dostarczą dzieci do szkoły, idzie się wysrać do naszej szkolnej toalety. Powtórzę: dwie oszczane dziury w kafelkach, z bardzo ubogim systemem spłukiwania. Z czterech umywalk działają dwie, ale to nie ma znaczenia, bo żeby ktoś mył ręce to święto niemal. Kurwa, to chyba jest po prostu żelazny punkt w ich grafikach na weekend, sobota 8:20 oddają dzieciaka na lekcje, a potem się idę porobić i oczywiście nie myję rąk, bo po co, fajnie mieć gówno za paznokciami. Oczywiście zostawiają po sobie taki chlew, że trudno tam potem wejść. Zaczynam, podejrzewać, że w domach mają jeszcze gorsze kible i dlatego to taki cymes poszaleć w szkole.

Żeby nie było, że przegięcia są jedynie na nurcie gastrycznym: omawiam (to o wiele za wiele powiedziane, ale „stękamy, jęczymy i walczymy ze światem” brzmi gorzej) lekcję z Chinką. Będzie na maxa zaawansowanie, bo mam poćwiczyć z dziećmi cyferki do sześciu i frazę *how old are you*. Pytam, czy nie ma w tej grupie nikogo starszego niż sześć lat.

– *Ależ są, większość ma osiem lat.*

No to za bardzo sobie nie pogadamy o ich wieku, skoro mają znać cyfry tylko do sześciu. Zróbmy do dziesięciu, wiele trudniej nie jest opanować, a przyda się do paru innych rzeczy.

– *Jak mam uczyć dzieciarnię do sześciu skoro mają po osiem lat?*
 – *Dasz im kostkę, rzucą i powiedzą.*
 – *Kostka jest super, ale podaje wyniki od 1 do 6. Można mnożyć razy dwa, ale to nic nam nie da, skoro mamy ich uczyć do sześciu. Może jednak nauczymy ich do dziesięciu?*
 – *Nie, bo w książce jest do sześciu. Nie można więcej.*
 – *To jak mi podadzą swój wiek? Kto ma więcej niż sześć, to won do domu?*
 – *Rzucą kostką.*
 – *A jak ktoś wyrzuci jedynkę (w grupie szesnastu uczniów dość prawdopodobne), to co? Mam go/ją uczyć „I am one year old”?*
 – *Tak.*

Robimy lekcję. Okazuje się, że jednak bez ósemki nie pójdzie, więc dzieci mówią mi po chińsku, a ja im po angielsku. I tak się bawimy. W końcu uczę ich, jak jest siedem i osiem. W planie miało być, że znają zwierzęta, więc wchodzę na znane mi bardzo dobrze ścieżki: *1 cat – 2 cats.*

– *5 cats.*
 – *Nieeee-e-e-e, nie można, tego nie ma w tej książce, to jest dopiero w drugim tomie, to będzie w przyszłym roku!* – chiński wrzask przerywa moją zabawę.
 – *Hmm, w miarę im idzie, może nauczymy ich z wyprzedzeniem? Być może jakoś im się to przyda, liczba mnoga czasem pojawia się w angielskim.*
 – *Nieeee, nie można ich uczyć liczby mnogiej. Mogą za to mówić: one cat, three cat.*

Robimy więc całe ćwiczenie: *five fox, six dog, two panda*. Jakież to wzbogacające! W końcu jest po lekcji, żegnam się i mogę iść do domu. Z poczuciem cudownie wypełnionego obowiązku i dobrze zrealizowanej misji.

Ludzie nie mogą mnie zrozumieć, gdy mówię, że moi chińscy współpracownicy to skończeni idioci i że kultywują najgorszy z możliwych systemów edukacyjnych, jak również tego, gdy mówię, że tu się naprawdę ciężko pracuje, bo robota wymaga wyłączenia mózgu. Inna nauczycielka powiedziała, że byłoby dobrze, gdybyśmy powtórzyli sobie owoce, warzywa i zwierzęta. Na moją uwagę, że już chyba to tam robiliśmy (nie chyba, a na pewno, i to przynajmniej dwa razy, a chyba trzy), dowiaduję się, że nie, na pewno nie. Mnie to wisi kalafiorem, miałem tę lekcję sto razy, robię ją automatem, ale skoro rodzice tych uczniów płacą, to może jednak spróbowalibyśmy ich czegoś naprawdę nauczyć?

Ludzie nie chcą wierzyć, że słynący z pracowitości Chińczycy mogliby wyczyniać takie jaja. Przyszło pytanie od księgowej z organizacji mnie zatrudniającej. Księgowa pisze plus minus po angielsku, jakoś nie przyswoiła sobie, że w zdaniu powinno być orzeczenie, pewien sztyk też nie jest takim złym pomysłem, więc James Joyce do czytania ten mail to nie jest. Pytanie zasadza się na tym, czy w październiku miałem jakieś wolne dni, czy też nie chorowałem (bo jak chorowałem, to wtedy po wynagrodzeniu srogo jadą – witamy w kraju socjalistycznym). Odpisuję, że nie, ale wyrobiłem nadgodziny, a konkretnie to pracowałem w jeden dzień weekendowy, więc wypada mi za niego zapłacić. Po chwili nadchodzi odpowiedź: czyli musimy ci obniżyć wynagrodzenie, bo nie pracowałeś. Siny z wkurwienia piszę w punktach, że dnia tego i tamtego cała szkoła miała wolne, a ja musiałem iść do pracy i odbyć ekstatyczną lekcję, za którą bym chciał coś dostać, bo taki chuj ze mnie, że nie będę tu pracował dla idei. Odpowiedź: „to dobrze, to oni mi zapłacą normalnie, łaskawie nie obniżą

mi wynagrodzenia, że pracowałem więcej”. Napisałem, że dobrze, zapłaćcie normalnie, zobaczycie, jak świetnie na tym wszystkim wyjdziecie na dłuższą metę. Ludzie się dziwią, gdy mówię, że świat powinien żyć w strachu, bo wyhodował kraj z ponad miliardem zachłannych obywateli...

Chcieliśmy pojechać do Nankinu, daleko nie mamy, 240 kilosa. Z Huainan dostępne są następujące połączenia: 14:05, 14:19 i 15 (geniusz na miarę PKP) i jeszcze 18:45, wszystko nie pasuje, więc trzeba by jechać z przesiadką w Hefei. Tu się okazuje, że wszystkie bilety wyprzedane. Dlaczego? Bo chińskie koleje się modernizują, uruchamiają pełno połączeń obsługiwanych przez pociągi typu D i G, a likwidują typu K. Na tej trasie pociąg typu K kosztuje około 40 kuai, typu D 80 zaś G 120. Chińczycy unikają tych pociągów jak ognia, więc wykupują K, gdy tylko się da. Ponieważ Chińczyk może sobie kupić bilety przez net z dziesięciodniowym wyprzedzeniem, a obcokrajowiec nie, nasze szanse nie prezentują się za dobrze. Dałoby się wydać na ten pociąg D, no ale odchodzi z Huainan East – legendarnej stacji (nikt tam nie był i nikt dokładnie nie wie, gdzie ona jest) położonej na obrzeżach miasta, do której nie da się dojechać inaczej niż taksówką (podobno jest autobus, ale nikt nie wie, jaki numer i skąd jeździ). Taksiarze nie chcą takiego kursu i biorą DWA RAZY więcej, bo liczą sobie za to, że wrócą puste, więc byłoby to dodatkowe 40 kuai (a potem trzeba wrócić,). Znowu jeżdżenie z przesiadką zajmuje w cholerę czasu, bo trzeba sobie na nią zarezerwować jakąś godzinę, do tego płaci się więcej za bilety. Ludzie dziwią się, gdy mówię, że idzie tu ochując z nudów, bo jakakolwiek wycieczka kosztuje chore pieniądze i jest strasznie skomplikowana logistycznie.

Huainan stara się o jakiś status lepszego miasta, dokładnie nie wiemy co to jest, ale z tej okazji władza postanowiła cywilizować metropolię. Policja żwawo łązi po ulicach i daje szczerze mandaty za złe parkowanie, a potem pali pety z ukaranymi i rozmawia o czymś, zapewne o kodeksie drogowym. Usunięto też wszystkich ulicznych sprzedawców, kociołki z zupą, patelnie z makaronem, babcie z pietruszką. W efekcie straciliśmy główne źródło pożywienia, warzywa z bazarków są o wiele lepsze niż ze sklepów, do tego w sklepach nie ma np. soi, a mandarynki i korzenie łopianu są o wiele droższe. Pytanie, czy ludzie powrócą za dwa dni, czy też znikną na zawsze.

To właśnie Chiny: żeby dostać jakiś papierowy status, który raczej wiele mieszkańcom nie da, jednym odbiera się zarobek, a tysiącom możliwość taniego zjedzenia posiłku. Znając jednak tutejszy zapał do robienia różnych rzeczy, za parę dni wszystko powróci do normy, ludzie dalej będą parkowali po skrzyżowaniach, a wesoło bulgoczące kociołki zajmą krawężniki. Może lepiej byłoby reedukować to wszystko, że poza parkowaniem gdzie popadnie, to na przykład jeżdżenie na czerwonym nie jest zbyt fajne? Że jak się smaży makaron, to nie trzeba oleju wylewać na ulicę? Nie no, to by przecież zajęło więcej czasu, a efekty, jeżeli w ogóle jakieś, byłyby dopiero po pewnym czasie. Ludzie nie rozumieją, gdy mówię, że proces cywilizowania Chin często przybiera bardzo dziwny wymiar.

Powtórzę: to jest przegląd tygodnia. Nie chciałbym zostawiać odbiorcy z poczuciem, że życie tutaj to straszny koszmar i tylko płacz, więc napiszę też, że bardzo miło spędziliśmy dzień z chińskimi znajomymi nad wspaniałym sycuańskim hot potem, że dobre wino z Sinciang jest na promocji, że dostałem niespodziewaną godzinę wolnego, że kierowniczką była w delegacji, więc mieliśmy w pracy cudownie święty spokój, aż dyrektor podarował mi dwa piwa po wspólnej lekcji. Nie wszystko jest beznadziejne, ale jednak parę rzeczy jest.

[2.11.2013]

Wszyscy wiemy, że Chińczycy jedzą psy. Stereotyp ten wbił się w pamięć przeciętnego człowieka lata temu, i nawet współcześnie, gdy mieszkańcy Państwa Środka coraz bardziej ograniczają psinę, to przeświadczenie o zamiłowaniu do dań z tzw. najlepszego przyjaciela człowieka jest wszechobecne. Znacznie mniej osób wie, że obecnie pies stał się wyznacznikiem statusu społecznego (zwłaszcza pies rasowy) i że kosztuje raczej srogo, więc kompletnie bez sensu byłoby konsumowanie go.

Jednak takie banalne hodowanie też za ciekawe nie jest, więc żeby jakoś urozmaić sobie szarość życia, Chińczycy postanowili swe psy farbować.

Etap pierwszy: chaotyczne rysunki na czworonogu. Zaobserwowane podczas wycieczki do Kangding.



Etap drugi: pies mający wyglądać jak typowa chińska dzika zwierzyna. Etap trzeci jest mało kynologiczny, ale wpasowuje się w trend poprawiania natury. Jest jednak zbyt cudowny by mógł być prawdziwy. Zdjęcia te pojawiły się w necie w roku 2010 roku i póki co ciągu dalszego nie było. Gdyby to jednak była prawda...



Przedstawiamy ostateczną broń Chińskiej Republiki Ludowej w walce ze zdrowym rozsądkiem: Pandagatora

(źródło: <http://bitsandpieces.us/2010/08/13/pandagators>)

[8.11.2013]

Może się wydawać, że jesteśmy sceptycznie nastawieni do historii i teorii, które wyjaśniają przeszłość, teraźniejszość i przyszłość Chin. Wszystko wydaje nam się uproszczone, bardzo ogólne, krzywdzące, stereotypowe lub naginające fakty dla swych potrzeb. Natknęliśmy się już na tyle, że wyczuwamy je na kilometr. Tak nam się jednak tylko wydawało, bo niedawno nasz chiński przyjaciel zaprezentował nam opowieść, która naprawdę mówi o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Chin. I nie trzeba wcale dużo czytać, żeby dać sobie radę z zagadnieniem. Jedynie pięć poniższych linijek.

Kiedyś żył sobie rybak, który każdego poranka udawał się na połów.

Pewnego dnia pomyślał: „co ja się męczę, osuszę jezioro i nie będę musiał więcej pracować”. Tak też zrobił, wyzbierał wszystkie ryby, sprzedał je, zarobił dużo pieniędzy. A to, że zniszczył przyrodę, pozbawił wszystkich w okolicy źródła pożywienia i możliwości zarobku, w ten sposób skazując ich na śmierć, ani trochę go nie obeszło.

Mamy nadzieję, że dzięki tej krótkiej historii zrozumieliście przeszłość, teraźniejszość i przyszłość Chin.

Żli muzułmanie z Xinjiangu

[14.11.2013]

Napisali (i to nawet w polskich mediach) o tym, że na placu Tiananmen byli łaskawi się wysadzić w powietrze muzułmanie z Xinjiang (Sinkiang po polsku, ale nie wygłupiajmy się). Nazwa oznacza Turkiestan Wschodni. Wydarzenie szalu nie wzbudziło, ale żyjąc tutaj, człowiek ma nieco inną perspektywę (choć i Chińczycy w Anhui nie wydawali się tego bardzo przeżywać). Gdy jednak przeczytałem polskie media i komentarze do nich, to musiałem sobie usiąść na chwilkę.

Po pierwsze, wszystkie doniesienia, jakie znalazłem, to przepisanie tego, że takie coś miało miejsce. Nie widziałem, żeby ktoś się pokusił o naświetlenie problemu Xinjiangu i skąd ci ludzie na Tiananmen, czemu się wysadzili, co właściwie można o tym myśleć. Potem zobaczyłem wpisy o tym, że Chiny powinny ograniczyć imigrację muzułmanów, więc chwilę się zbierałem z podłogi.

Zacznijmy tak: po roku 2001 spoko jest mówienie, że muzułmanie to miłośnicy kóz i że należy to wszystko wymordować. Wystarczy komuś rzucić teksty o obrzezaniach, o Arabii Saudyjskiej, o którymś z zamachów i voilà, jasne jest, że wierzących w Allacha należy posłać do piachu, a im szybciej to zrobimy, tym lepiej. Za ustawienie dyskursu na ów temat gratulacje powinien po wsze czasy zbierać George W. Bush, jak i wszystkie media, które sprawę nakręcały i bezrefleksyjnie opowiadały (i opowiadają nadal) o tym, że przyjdą i nas skrzywdzą. Jest to wybitnie zabawne w kontekście liczebności muzułmanów w Polsce, zwłaszcza gdy zderzy się ich działalność z opowieściami hierarchów kościelnych. Zapewne tak jak mało który Polak chce być utożsamiany z księdzem Gilem, tak być może nie każdemu wyznawcy Allacha po drodze z bin Ladenem, ale gdzie tam, oni wszyscy tacy sami, jak nie WTC, to Chiny.

Po drugie, każdy niemal ogarnięty choćby śladowo w temacie wspiera wolny Tybet. Tybet to Dalajlama, to buddyści, to męczeni przez Chińczyków. A Xinjiang? Ki pieron? Ktoś o tym słyszał w ogóle? To kraj w Afryce jest?

Po trzecie, chyba mało kto wie, skąd ten Xinjiang wziął się w Chinach. Tybet to sprawa jasna, to wie każdy młody i stary bojownik o wolność, wzięli i zajęli, a tu historia nie jest przesadnie odmienna. Pierwszy raz Chińczycy podbili te tereny dawno temu, ale z czasów nieco bardziej współczesnych: Xinjiang trafił do Chin w 1949 roku i to nie dlatego, że chciał. Bo chciał do Związku Radzieckiego – ludzie tam to musieli mieć jaja, za późnego Stalina pchać się do ZSRR... Jednak los podarował im ChRL, a konkretnie rzekomo sami obalili władzę i powitali z otwartymi ramionami chińską armię (wersja nieoficjalna: obalili im władzę i wprowadzili swoją). Wcześniej sprawa jest dość zamieszana, jedni chcieli do ZSRR, inni wolności, inni do Chin. Następne lata nie obfitują w informacje o tym, co tam się działo. Przez wiele lat Xinjiang był zamknięty dla turystów lub też potrzebowali oni specjalnego pozwolenia, by móc go odwiedzić.

Naprawdę, kolejne prawie pięćdziesiąt lat to oficjalna wersja, a tej to szkoda nawet czytać. Wiadomo, że pomagali mudżahedinom w walce z ZSRR (to były te czasy, gdy Afganistan, Pakistan i Ujgurzy się całkiem w Waszyngtonie podobali – jakże to koło historii się kręci...). Wydaje się, że w 1989 roku mieli nadzieje związane z ruchem 4 czerwca, bo i sami

zaczęli podnosić głowę, aż tak, że w kwietniu 1990 roku zginęło 20 osób w zamieszkach.

Gdy już coś się przedostawało do wiadomości publicznych, to pojawiało się kilka dość sprzecznych wersji. Incydentów nie brakowało – wybuchające autobusy, starcia z policją, wersje wydarzeń skrajnie odmienne. I tak na przykład wydarzenia z 4 sierpnia 2008 roku: taksówkarz i sprzedawca warzyw ujgurskiego pochodzenia wjechali ciężarówką w grupę biegnących policjantów, następnie obrzucili ich materiałami wybuchowymi i pocięli maczetami, w efekcie zabijając szesnastu. Jednemu z nich bomba domowej roboty urwała ramię, drugi zginął, gdy z nożem rzucił się atakować posterunek policji. Wersja turystów, którzy byli świadkami: dwóch policjantów rzuciło się z maczetami na innych policjantów. Widziało to też dwóch reporterów z Hongkongu i jeden z Japonii. Spędzili miło kilka godzin na posterunku, Japończyk dostał jeszcze kontrolny wpierdol „bo złamali przepisy”. Pamiętajmy, że sierpień 2008 to święta data, wtedy to była przecież olimpiada!!! Wielkie święto, wielki czas, kiedy to Chiny pokazały światu, który kraj robi najlepsze olimpiady. A te chamy chciały im to zepsuć!

Albo styczeń 2007, chińska policja z dumą ogłosiła rozbięcie dwóch terrorystycznych obozów, przy tym zabicie 18 osób i aresztowanie 17. Problem w tym, że wiele osób protestowało, że nigdy nie wykazano żadnych związków tych ludzi z żadną bojówką. Organizacje praw człowieka tam sobie pogadały, ale na tym się skończyło. Według wersji bardziej ujgurskiej, ludzie protestowali przeciwko prywatyzacji kopalni węgla i nie byli żadnymi terrorystami. Doszło do zadymy z policją, zginął jeden funkcjonariusz, więc ich rozstrzelali grupowo i pogonili, dobijając po okolicy.

W lipcu 2009 mieli kolejny odcinek niepokoju w regionie, poszło o bijatykę Ujgurów z Hanami w Guandong. Bijatyka miała być wynikiem zgwałcenia Chinki. Zginęła nieokreślona liczba osób – według chińskich źródeł dwóch, według ujgurskich osiemnastu. W Urumczy (stolicy regionu) była taka zadyma, że zginęło pod dwieście osób, a ponad 1000 zostało rannych. Przysłano szybko jakieś 20 tysięcy policjantów, przyjechał nawet prezydent i sytuację w końcu udało się opanować.

Z moich skromnych doświadczeń personalnych i wiedzy o historii Chin: kłamanie jest w porządku, jeżeli służy sprawie wielkich Chin, więc szkoda mi oczu na czytanie oficjalnych wersji. Jestem skłonny przyjąć każdą ujgurską, a te wydawane przez władze klasyfikować jako brednie. Zresztą pełno stron dotyczących tematu jest zablokowanych, widać Chińczycy nie wierzą w to, że prawda ich wyzwoli.

Cała sprawa ma też aspekt demograficzny. Do XIX wieku Chińczyków tam za wielu nie było, dopiero potem zaczęto ich zachęcać do osiedlania się w sąsiedztwie Ujgurów. Jeszcze w 1953 roku ludność Han stanowiła zaledwie 7% ogółu. Dzisiaj to około 40% Hanów do 42% Ujgurów (reszta to np. Kazachowie), ale ponieważ dystrybucja jest bardzo nierówna, są rejony, gdzie Hanowie to zdecydowana większość. W tym tempie, za 50 lat mogą nie mieć za wesoło, bo obecna tendencja powodów do radości nie daje. Mieszkający tam Chińczycy też się średnio bawią, pieniądze wprawdzie robią dobre, ale lokalni ich nienawidzą (prawdziwie zaskakujące). Ujgurzy mają za to przesrane w reszcie kraju, często ogłoszenia o pracę stawiają wymagania: „nie może być Ujgurem”.

Pekin chce tych terytoriów, bo Partia dziko pokochała pustynie (są tam trzy solidne), góry Pamiru i depresje. Xinjiang ma największe zasoby gazu ziemnego w całym kraju, do tego pełno węgla, ropy i innych bogactw naturalnych. Opowieści o projektach pomocy regionowi

i wyrównywaniu szans może sobie Pekin wsadzić, jako wolny kraj Xinjiang z populacją około 20 milionów byłby przynajmniej Iranem, a może i Arabią Saudyjską, z zapewne mniejszym odjazdem religijnym. Dlatego też ich dążenia do niepodległości są skazane na porażkę, prędzej Pekin zrezygnuje z Tybetu i Tajwanu niż z największej części kraju pełnej cholernie cennych surowców.

USA wyświadczyło wielką przysługę Xinjiangowi: w roku 2002 wpisało organizację ETIM (Islamski Ruch Wschodniego Turkiestanu) na listę organizacji terrorystycznych. To mniej więcej takie subtelne zaproszenie Chin do robienia sobie tam tego, czego tylko chcą i walenia równo w ryj tych, których by mogły interesować jakieś bardziej niezależne wizje rozwoju terytorium.

Dlatego właśnie (i jeszcze z paru innych powodów), mieszkańcy Xinjangu prawdopodobnie postanowili dokonać ataku na serce swej kochanej ojczyzny, czyli plac Tiananmen. Być może myśleli, że dzięki temu ktoś się bardziej zainteresuje ich problemami. Oczywiście się pomylili, bo telewizja jest do pokazywania zajebistych programów o tańcu i Ligi Mistrzów, a nie skomplikowanych kwestii narodowych z Azji Środkowej.

Przywódczynią nieformalną wolnego Xinjangu jest Rebiya Kadeer, Ujgurka (patrzcie no, tacy ciemni muzułmanie, a tu kobieta liderem), która od 2000 do 2005 roku posiedziała sobie w chińskim pierdłu „za stworzenie zagrożenia dla Chin”, bo wysłała informacje o sytuacji w regionie do emigracji. No to nie dziwne, to osadzenie było konieczne i dziwić się jedynie należy, że takie krótkie. Gdy z pierdła wyszła, udała się na wycieczkę i żyje sobie w USA (skąd niektórych Ujgurów już wydalonono, ale nie do Chin, paru siedzi też w Guantanamo – takim obozie, który prezydent Obama zlikwidował już parę lat temu).

Rebiya Kadeer urodziła się w roku 1946, więc parę lat już ma, ale jeżeli naprawdę chce zwrócić uwagę na problemy Xinjangu, powinna wziąć udział w jakimś popularnym talent show. A jeszcze lepiej rozebrać się do rozkładówki jakiegoś popularnego czasopisma dla dorosłych. W ten sposób można współcześnie zwrócić uwagę na problemy mniejszości etnicznych, a nie jakimś durnymi samobójczymi atakami. Ponieważ dzisiaj, 15 listopada, obchodzi urodziny, przekazujemy jej tę cenną radę w ramach prezentu. Oczywiście obok popularyzowania wiedzy o jej regionie.

[16.11.2013]

Chiny słyną z wielu zjawisk, jednym z nich jest podrabianie wszystkiego, co tylko wpadnie im w ręce i tworzenie rodzimych wersji zachodnich produktów z subtelnie zmienioną nazwą. Trend ten nosi nazwę *shanzhai*, co dosłownie znaczy „górska wioska” (witamy w języku mandaryńskim). Będąc w Państwie Środka, stykamy się z podróbkami każdego dnia, najczęściej w postaci pociesznych ubrań z logo Abibasa czy Bolce & Bagbana, innym razem podziwiając kolejny „oficjalny salon Apple” otwarty w naszym mieście. Ostatnio trafiliśmy jednak na coś nowego.

Chwaliliśmy się na fejsbuczku, że przyszło nam śpiewać na wielkim chińskim weselu. Impreza była naprawdę wystawna, odbywała się w restauracji położonej w centrum miasta, ilość i jakość jedzenia i napojów przebiła poprzednie śluby, na których byliśmy gośćmi. Widać było, że organizatorzy nie poskąpili kasy. Tradycyjnie na pożegnanie otrzymuje się słodycze od młodej pary. Dotąd dostawaliśmy kartonowe pudełeczka zdobione serduszkami, misiami, uśmiechniętymi ludzikami, wypełnione różnego rodzaju cukierkami. Tym razem udało się nas zaskoczyć: otrzymaliśmy puzderka, które wyglądały na małe bombonierki Ferrero Rocher. O ile w Polsce nie byłoby to wielkim szaleństwem, o tyle tutaj produkty Ferrero osiągają ceny wykraczające poza codzienny budżet większości obywateli (nasz także). Dopiero w siedzibie mieliśmy chwilę na dokonanie inspekcji podarunku...



*O jakie pocieszne kwiatki nakleili...
Zaraz, a co tu jest napisane?*



Niech was diabli...

Oczywiście smak różni się od oryginalnych pralin marki Ferrero. Na szczęście i tak są to najlepsze chińskie słodczy, na jakie dotąd trafiliśmy.

[18.11.2013]

Drogi pamiętniku, czyli kolejny zwykły tydzień z życia w Chinach... Wiedziałem, że dział wiedzy „idiotyczne chińskie wyjaśnienia najbardziej oczywistych problemów” kryje przede mną jeszcze wiele zagadek. Jedną z nich jest ta dotycząca kwestii zimna i chłodu. Huainan leży na szerokości geograficznej Bliskiego Wschodu, jednak zimą mają „normalną”, czyli bliżej jej do polskiej niż libańskiej. Już w marcu wesoło nie było, ale zapowiada się, że jesień będzie jeszcze lepsza.

Wspominałem, że sala nauczycielska nie jest ogrzewana. Jest to prawda, aczkolwiek ma ona tak zwane drugie dno. W każdej klasie stoi klimatyzator, który można ustawić nawet i na 30 stopni. Jednak przecież wówczas zużywałby prąd, więc nie, niech stoi i zbiera kurz, a nauczyciele i uczniowie niech siedzą w grubych ciuchach, bo to przecież szkoły nic nie kosztuje, że marzną. Ludzie kichają, smarkają, ale nie włączają. Wykładnia? Uczniowie mogliby się pochorować, gdyby weszli z zimnego do ciepłego, zgrzaliby się i by im zaszkodziło. Do tego klimatyzacja wspiera przenoszenie się grypy i innych chorób. Podobno również rodzice uważają, że dzieci lepiej się uczą, gdy mają warunki nieco bardziej ekstremalne i że szkoła nie powinna ich przesadnie rozpieszczać.

Wyszukałem aż coś takiego: [ile kosztuje energia elektryczna w poszczególnych krajach świata](#). Jak widzimy, w Chinach jest bardzo tania. Gdyby jednak nawet była nieco droższa? Gdy parę tysięcy lat temu moi przodkowie wynajdywali koło i takie tam, to zapewne przyświecała im idea ułatwienia życia sobie i kolejnym pokoleniom. Zapewne jakaś inna przyświecała Chińczykom pierwotnym i współczesnym. Za to jeżeli dzięki tym genialnym, rockefellerowskim oszczędnościom zachoruje taka liczba osób, że gdy trzeba będzie odwołać choćby jedną lekcję, wówczas szkoła straci jakąś dziesięciokrotność tego, co oszczędzi na ogrzewaniu.

Jeszcze parę słów o tym, że dzieci lepiej się uczą, gdy jest im niewygodnie. Myślę, że nasza szkoła plasuje się bardzo wysoko w rankingach, jeżeli uznamy to kryterium za wyznacznik jakości edukacji – rozsypujące się krzesła bez oparcia, temperatura zawsze gorsza niż na zewnątrz (jak gorąco, to w salach jeszcze goręcej, jak zimno, to jeszcze zimniej), ławki z dziurami, niewystarczająca liczba koszy na śmieci, ergo wiadomo, długo by wymieniać. Oczywiście rekordy niewygody to toalety – za mało, za brudne, za śmierdzące, często z niedziałającą spłuczką. Żeby było jeszcze fajniej i bardziej po chińsku, może zaproponuję rodzicom, że w ramach stwarzania tych niewygód sprzyjających nauce będę walił przez łeb deską każdego raz na dziesięć minut. Jak dopłaca ekstra, to dziecię będzie tłuczone deską z wystającym gwoździem i kantem. Wtedy na pewno nauczy się wszystkiego w tydzień. W sumie strach, bo jeszcze skłonni są uznać, że to świetny pomysł.

Kilka stopni żenady już tu przeżyłem, ten nie jest największym z nich, ale i tak miło. Jakieś trzy tygodnie temu szkoła kupiła nauczycielom wskaźniki. Dziwne aż, do tej pory używaliśmy pałeczek do jedzenia połączonych taśmą klejącą. No działało, ale jednak rozsuwany, metalowy wskaźnik to wyższy stopień wtajemniczenia. Jeden rozpadł mi się w rękach po tygodniu używania, po prostu rozleciał się na kawałki. Dwa dni później to samo przydarzyło się na mych oczach koledze, został mu w rękach sam uchwyt. Wkrótce potem

odkryłem, że wszystkie się rozleciały, dobre, bo chińskie. Oczywiście w międzyczasie powyrzucano pałeczki, bo musi być nowocześnie, to przecież prywatna szkoła. Skończyło się na tym, że dostałem od koleżanki patyk, w miarę prosty nawet i to nim wymachiwałem w trakcie lekcji. Ciekaw jestem, ile kosztowały te wskaźniki, znając moją dyрекcję, to nie bardzo wiele, co przy okazji wyjaśnia kwestię jakości.

Nie wiem, jakim cudem nasza sprzątaczką jeszcze się nie zwolniła, zwłaszcza po ostatnim tygodniu. Wiem, że wspominam o kiblu nader często. Tym razem nie wspomnę. Mam nawet zdjęcie, ale internet jest wystarczająco obrzydliwy bez niego. Powtórzę jednak: skoro nasza sprzątaczką to przeżyła, to człowiek może przeżyć wszystko. Chce się jednak zadać pytanie: dlaczego? Dlaczego dorosły człowiek zostawia toaletę w takim stanie? Z powodu pewnych uwarunkowań anatomicznych jasne jest, że nie zrobiło tego dziecko.

Gdyby mi dali gówno zawinięte w papier, to miałbym więcej pomysłów na użycie jego niż tego, co dostałem od jednej z nauczycielek. „This/that/your”. Koniec. Rób lekcję. Wykleciłem więc temat na *demonstratives (this/that/these/those)*, robię. Okazało się, że liczby mnogiej nie znają. Luz, bo okazało się, że nie znają też szyku zdania, więc spędziłem lekcję nad ustalaniem, czy *car yellow*, czy może jednak *yellow car*.

Tydzień wygrał kierownik, lałem sobie, gdy ten wbił do toalety, powitał mnie, ściągnął gacie i rozpoczął defekację zakrojoną na dość szeroką skalę. Chyba jeszcze nigdy tak szybko nie lałem i nie marzyłem o wyjściu z kibla. Chociaż kusiło, żeby też spuścić gacie i postawić kloca wspólnie z szefem. Bez odpowiedzi pozostaje tylko jedno pytanie: za jakie winy???

Wiele moich lekcji odwiedzanych jest przez rodziców. Trochę to dziwne, w normalnych szkołach na świecie rodzice nie mogą być w salach, muszą prosić o zgodę dyrekcję szkoły, żeby wizytować lekcje. W sumie mnie to wali, już się przyzwyczailem, że mogę mieć i z ósemką wizytujących. Parę razy nawet się ucieszyłem, najbardziej gdy wizytował dziadziusz jednego adepta. Pызate dziecko, nadaktywne, nawet nie takie złe, ale wierciło się, gadało z kolegą, musiałem upomnieć parę razy. W końcu dziadek wstał, podszedł do niego i tak mu przywalił w pałę, że szyby w oknach się zatrzęsły. Niestety większość rodziców cholernie przeszkadza, pomagają dzieciom z ćwiczeniami (ośmiolatek i matula siedzi nad nim, żeby dobrze pisał). W sumie lepiej, że się interesują, niż gdyby pili na krawężniku pod szkołą, ale chyba jasne, że nie bywam zachwycony. Najgorsze są pindy, co odbierają komórki i gadają. Powaga, pannie najpierw dzwoni telefon (w marcu to jeszcze królował *Gangnam Style*, więc dodatkowe rozproszenie grupy), ta dziesięć sekund myśli, czy odebrać, dzieci się gapią na nią, w końcu odbiera i gada mi pełnym głosem w sali. Gdy to się pierwszy raz wydarzyło, to zdębiałem, nawet nie dałem rady powiedzieć „wypierdalaj!”. Teraz już przywykłem, chociaż co ja o nich i ich poziomie myślę, gdy to się dzieje...

Jednak jest wyższy poziom rodzicielskiego chamstwa: wczoraj podczas jednej z mych lekcji pani matka obcinała sobie paznokcie. Lecą te jej szpony na podłogę, obcinacz robi „klik-klik”, w końcu panna wyjmuje pilniczek i „szszsz”. Przy tym wchodzenie wszędzie jak do obory przestało mnie dziwić.

Nie samą pracą i szkołą człowiek żyje. 11.11 poza tradycyjnymi burdami w Warszawie wypada Dzień Singla, który w Chinach jest dość obchodzony. Poszliśmy drużyną zachodnią, pierwsze 20 minut nie mogliśmy wejść do knajpy, bo łącznie jakieś dziewięć osób chciało sobie porobić z nami zdjęcia. Jak już siedliśmy, to przyszedł Chińczyk w pizamie, pozachwycał się urodą żeńskiej części naszej pary i zapytał, czy może zrobić pamiątkowe zdjęcia.

[26.11.2013]

Tydzień zaczyna się w środę. W tę akurat wszystko szło normalnie, dobrze i rozsądnie. Dopiero wieczór przyniósł wyczyn Kierownika, który po raz kolejny dał mu pewne zwycięstwo w kategorii „gwiazda tygodnia”. W każdą środę i czwartek wieczorową porą edukuję dzieci. Ma to wiele sensu, gdy o 17:30 zaczyna się uczyć grupę złożoną z 5-8 latków (pominę milczeniem sensowność takiego grupowania uczniów, proszę zgadywać, czy nauka lepiej idzie młodszemu, czy starszemu). Staram się to robić ciekawie, ale mi nie dają, więc powtarzamy do wyrzygania wszystko. Po jakichś siedmiu miesiącach nauki uczniowie potrafią bardzo niewiele, ale to wina systemu – zakaz pisania, czytania, wszystko sobie powtarzamy jak idioci po sto razy. Ostatnio podział wygląda tak, że ja robię 45 minut, a ostatnie 15 minut robi Kierownik, wyjaśnia zawiłe kwestie gramatyczne (*have* to nie to samo, co *can I like*). Wszystko jest cycuś, tylko na następnej lekcji niczego nie pamiętają, więc mamy tu niekończącą się zabawę – co tydzień można robić plus-minus to samo. Tyle tytułem przydługiego wstępu.

W środę Kierownik trąbił bajiu w kuchni już o 11:30 i widziałem, że czuje się zajebiście. Zapach też można było opisać tym słowem. Szczęśliwie mnie nie zaprosił. Gdy o 18:15 wbił do klasy, ledwo trzymał się na nogach. Trochę mu się pomyliło, co mamy robić, bo zaczął udawać samolot. Dzieci były wniebowzięte, piszczały z radości, a gdy zrobił pociąg, to Bieber nie ma takiej publiki. W ciągu tych piętnastu minut dwa razy tak się zatoczył, że myślałem, że wywinie orła. Tymczasem na sali obecna piątka rodziców.

Czy trudno jest ułożyć domino? Nie, nie jest trudno. Trzy dorosłe osoby potrzebowały odpowiednio około trzech (Vivian), czterech (Gloria) i siedmiu (Kevin) minut, by zrozumieć, że nie, tego się nie układa losowo! W tym szaleństwie jest metoda!!!

Szkoła kupiła mopy. No, to jest poważna inwestycja. W jednej z książek jest sekcja, że dzieci coś sprzątają, więc może będą teraz spędzały ten unit w toalecie.

Zawsze w piątek chodzimy o 17 na pobliski bazar, żeby sobie coś zjeść. Ceny umiarkowane, jadło w porządku, atmosfera jedyna w swoim rodzaju, akurat na godzinę relaksu przed wieczorną lekcją. Cała szkoła o tym wie, ale od dobrego pół roku nikt mnie tam nie szukał, chociaż do jakiegoś czasu zapraszałem i czasem ktoś szedł jeść ze mną. W tenże piątek pojawił się jednak kierownik. Zachwycony, że tam jestem, zapłacił za makaron (3,5 RMB), przyniósł więcej jadła, no i oczywiście flaszkę. Dziecięcą dość, bo jedynie 250 ml. Wyjaśnił, że to po to, bym lepiej prowadził lekcję wieczorem. Policzyłem w głowie, dobra, jem ostre, nie będzie cuchnęło wodą, pijemy. Ledwo zaczęliśmy, padły pytania, czy przedłużę u nich kontrakt, bo wtedy podwyżka, mniej pracy, praca dla obojga, więcej wakacji, no po prostu bajka. I gdy już miałem jakieś takie sekundy zwątpienia, czy może faktycznie nie byłoby dobrze tu zostać, pojechać na trzy tygodnie zimowych wakacji do jakiejś Indonezji, bo przecież nie jest aż tak źle, to wtedy Kierownik przeszedł do wyjaśniania mi bardziej zawiłych kwestii:

– *Nie lubię pieniędzy, pieniądze to problem, pieniędzmi trzeba się dzielić (stary, to włącz ogrzewanie!). Niektóre nauczycielki zarabiają więcej od ciebie.* – tu litania imion – *Jednak to nie znaczy, że ty nie możesz zarabiać więcej od nich...*

Finansowo to ja nie narzekam. Da się tu zarabiać więcej, w sumie mało kto zarabia mniej, ale przy chińskich cenach bez bólu ponad połowę pensji odkładam, a za mieszkanie mi płacą. Na co jednak narzekam, to arcydebilny poziom przynajmniej połowy pracowników, totalny chaos organizacyjny, głupota wyniesiona do rangi zalety, niemożność załatwienia podstawowych spraw i jeszcze takie tam. Proszę zwrócić uwagę, że na pierwszym miejscu wymieniam głupotę współpracowników. Poinformowanie mnie, że te kretynki, które nie przygotowują swoich lekcji, które robią podstawowe błędy w każdym zasranym zdaniu angielskim, panny i mężatki, które są leniwe, głupie i tępe jak kula, które pracują pod każdym względem mniej ode mnie, dostają miesięcznie więcej, raczej nie sprawiło, że zapalałem dziką żądzą, chęcią i misją do siedzenia tutaj. Oczywiście mógłbym zostać tu po wsze czasy i mieć względnie bezstresowe życie, ale chyba wolę wioski w Kambodży.

Pod koniec tego spotkania nastąpiło, co nastąpić musiało: dyrektor wyrzucił butelkę po baijiu w krzaki. Targ, w cholerę ludzi, można zostawić, biedni zbierają śmieci, ktoś by sobie zarobił, ale nie, król życia i biznesmen, butla z rozmachem w krzaki.

Tu następuje przejście do wyjątkowości weekendu: zamiast lekcji, wybrałem sobie chorobę. Już wieczorem za dobrze mi nie było, ale w sobotni poranek odkryłem, że nie bardzo jestem w stanie utrzymać się w pionie, że gorączka, że boli, że umieram. News do szkoły, że sorry, potem jakieś 16h snu z przerwami na chińską medycynę. W sumie opłaca się chorować w Chinach, za trzy lekarstwa (paracetamol, ziołowe granulki do rozpuszczania, syrop o smaku Jaegermeistera) wyszło jakieś 20 kuai (około 10 zł). Niedzielnny poranek wielkich zmian nie przyniósł, czyli gorączka, brak łaknienia, zawroty głowy, łamanie w kościach. Ustaliliśmy, że w wolnej chwili szkolna delegacja przejdzie się ze mną do szpitala na leczenie. Dzięki doświadczeniom Julii wiedziałem, że standardową procedurą leczenia grypy jest aplikowanie kroplówek i że to naprawdę działa.

Koło 10:40 rano ruszyłem z nadzieją, że wkrótce nadejdzie ulga. Najpierw zabrano mnie do tradycyjnego chińskiego lekarza-zielarza. Gdy zobaczyłem, że facet rysuje yin-yang i siedem linii w notesiku, to nieco się przeraziłem. To jest oczywiście bardzo ciekawe, interesujące, nigdy nie miałem okazji przetestować metod z tej szkoły medycyny, ale wolałbym je poznać, jak będę miał nieco niższą gorączkę i nie będzie mnie bolało absolutnie wszystko. Pan się chwilę nacieszył tym, że biały, potem ustaliliśmy, że mam 39,4 stopni gorączki, co stanowi rekord mego żywota i z tej okazji zaczął masować mi dłonie, a raczej ugniatać kostki. Po jakiejś minucie miałem łzy w oczach, ale o dziwo, ból z całego ciała skoncentrował się w głowie i kciukach. Zastanawiałem się, czy to tak minie od razu, zastanawiałem się, czy moje kłykcie to wytrzymają, a najbardziej frapowało mnie to, że jeszcze parę sekund i zwymiotuję, bo łeb mi dosłownie rozsadało. Potem torturom poddano mój kręgosłup i kark, powiedziano, że uszy są zbyt chore, żeby im teraz pomóc. OK, czyli pójdziemy do szpitala. Trochę mi ulżyło, zielaarz był dość klimatyczny, ale obawiam się, że akurat na grypsko te metody działają tak sobie.

Spodziewałem się wszystkiego najgorszego od tego szpitala. Czytałem o placówkach, w których pościel bywała zakrwawiona i zaszczana, ludzie palili na salach, toalety horror, do tego procedur brak i walka o miejsce w kolejce. Z drugiej strony, byłem w paru polskich szpitalach i jednym gruzińskim, więc de facto ciekaw byłem, który kraj wygra. Szok, po prostu szok! W chińskim szpitalu jest czysto, nie ma kolejek, panie przekierowują z okienka do okienka. Wejście-okazanie ubezpieczenia-rejestracja-skierowanie-badanie-zakup leków-

przejście na salę zabiegową zajęło w sumie niecałe trzydzieści minut! Toż przecież ja przychodząc w Krakowie ze skierowaniem na umówioną porę, siedziałem czasem ponad godzinę, książek tony przeczytałem dzięki polskiej służbie zdrowia, a w biednych, socjalistycznych, strasznych Chinach wszystko mam w kilkanaście minut??? Potem główne danie, czyli sala z kroplówkami. Najpierw musiałem jeszcze pokazać pani doktor zad, ucieszyła się, zrobiła mi zastrzyk (niech ich Perun strzeli za to, jak delikatnie... Chyba że to z onieśmielenia dźgnęła jak bandytę bagnetem), zachichotała, i wskazała miejsce. Usiadłem na jednym z kilkudziesięciu foteli, wsadzili mi kroplówkę i przez następne dwie godziny czytałem książkę, panie pielęgniarki zmieniały tylko kolejne buteleczki. Tu trochę smutniej, bo wiedza o przydatności rękawiczek ochronnych jeszcze nie dotarła do Chin i tymi samymi łapami pani pisze i wbija igły. Koniec kuracji.

Drugiego dnia poszedłem jeszcze po coś na uszy, bo dalej bolały. Wizyta zajęła 15 minut, dostałem dwa specyfiki – diabli wiedzą jakie.

Podsumowując te dwie krótkie wizyty: chiński szpital wygrywa z polskim o jakieś czterdzieści długości. Ze zjawisk nieco patologicznych to „jedynie” wspomniany brak rękawiczek przy wykonywaniu zastrzyku, paru panów palących w korytarzu i to, że 90% gabinetów przyjmuje chorych przy otwartych drzwiach, nierzadko po kilka osób jednocześnie. Do każdej sali obowiązuje system numerków, przed salą wisi ładne LCD, na nim lecą numerki i chyba trochę reklam farmaceutyków. W gabinecie standard polski, czysto, niektóre sprzęty starsze, inne nowsze. Wszystko skomputeryzowane i połączone ze sobą (dzięki temu odkryłem, że źle wpisali moją datę urodzenia, drobiazg). Leki chińskie wydają się być typowo chińskie, co mam opisanego producenta, to jeden z Syczuanu, drugi z Hubei – żadnego logotypu Roche’a, Novartis, Bayera czy innego dobrodzieja nie stwierdziłem. Pewnie właśnie dlatego kosztują po parę kuai. Personel miły, uśmiechnięty, do tego w cholerę ich wszędzie – być może dlatego nie ma kolejek na połowę *Anny Kareniny*. Podobno chińscy lekarze nie zarabiają szalowo, ale też podejście jest takie, że tutaj to normalny zawód, a nie wielka kariera i krok na drodze do leczenia własnych kompleksów kosztem innych.

Po trzech dniach wyszedłem niemal na prostą. Po to, by powrócić do nieogrzewanej salki w szkole i zacząć pracować nad hodowaniem kolejnej choroby.

Cegielka dla Szanghaju

[18.12.2013]

Co można schrzanić podczas budowy budynku? Rury, piony, okna, podłogi, szyby wszelakie, dach, piwnice, instalacje. Wydawałoby się, że przeciętny Polak wie o tym bardzo wiele. Być może, ale jeszcze więcej wiedzą Chińczycy.

Prawie ukończony trzynastopiętrowy budynek w Szanghaju położył się dokładnie tak, jak stał. Deweloperowi zabronili sprzedawać resztę inwestycji (ciekawe, czemu...), więc zapewne piękna plajta za tym poszła.

Jest kilka wyjść z sytuacji. Mogą po prostu się wprowadzić i mieszkać w takim, jaki jest. Parę rzeczy się przerobi, zamiast lamp sufitowych będą kinkiety, prysznic w ścianie, toaleta też, a wyro można przecież wszędzie postawić. Mogą otworzyć muzeum pod hasłem: „Pierwszy płaski budynek świata”. Prawdopodobnie też jedyny, przynajmniej tych rozmiarów.



Chińska szkoła architektoniczna

(źródło: <https://www.reuters.com/article/us-china-building-idUSTRE55QoJV20090627>)

[21.12.2013]

Ostatnio smog w Chinach był taki, że pisali o tym nawet za granicą. U nas w normie, smog w Huainan jest chyba 90% czasu, przestaliśmy nawet zauważać. Co było do wygrania, wygrał pan z CCTV, który napisał o tym, że smog daje Chinom wiele dobrego: dzięki niemu ludzie są bardziej zjednoczeni, równiejsi, lepiej myślą, są bardziej dowcipni i więcej wiedzą. Jeżeli chcecie do nich dołączyć, to próbujcie np. w Chongqing, Luoyang lub w Harbinie. W tym ostatnim to nawet niedawno wolne dostali, bo nie dało się wyjść na ulice. Panu dziennikarzowi zaś nauczyć się polskiego, z taką zdolnością interpretowania faktów będzie miał pełno zleceń na zielonej wyspie wzrostu gospodarczego.

Pisali też o panu, który był z panią na zakupach. Sprawa trwała tyle czasu, że koleś w końcu skoczył z siódmego piętra w galerii handlowej i zabił się. Rozumiem go bardzo dobrze.

Klasyka dowcipu z dawnych czasów:

– *Panie majster, Roskie w kosmos poleciały!*

– *Wszystkie?*

– *Nie, jeden.*

– *To co mi głowę zawracasz?*

Chiny zaś jako trzeci kraj świata wylądowały na księżycu. Nie poleciał niestety nawet jeden Chińczyk. Ładnie nazwali swój pojazd – Jadeitowy Królik, mamy nadzieję, że odbiorcy wiedzą dlaczego („Gazeta Wyborcza” odkryła to dopiero przy drugim artykule na ten temat). Fajnie się ułożyły artykuły na China Smack, obok newsa o lądowaniu na księżycu jest o tym, że ludzie mieszkający w pekińskich kanałach zostali eksmitowani. Zdjęcia straszne, jeden pan tam mieszkał od dwudziestu lat, druga pani w wieku emerytalnym, w ciągu dnia zbierali śmieci, żeby przeżyć. Układ tych artykułów to chyba najlepsza synteza Chin, jaką do tej pory widzieliśmy.

Uroki Huainan

[21.12.2013]

Stronie <http://www.wherethefuckshouldigofordrinks.com/> wydaje się, że jest mądra. Podajemy nasze miasto i nam napiszą, gdzie można iść się zrębać. Wpisaliśmy: Huainan. CAN'T FIND YOUR FUCKING LOCATION. TRY AGAIN! Zaskakujące.

[22.12.2013]

Tym razem postanowiliśmy wyprowadzić uderzenie wyprzedzające i nie oddawać dyrekcji możliwości wygrania tygodnia. Umówiliśmy się drużyną obcokrajową i wręczyliśmy w niej zaproszenia na libację z okazji świąt. Oczywiście dołączyli do nas pijani lokalni, ich angielskiego tyle, co u nas chińskiego, więc gadaliśmy do siebie jakieś straszne głupoty w obu językach. Starym zwyczajem zostawili nam parę rzeczy: papierosy, piwa, orzeszki, a także... kacze głowy.

Było już po 1 w nocy, gdy siedzieliśmy z Damioenem i zastanawialiśmy się, czy „chcemy”. Chcemy nie dotyczyło kwestii posiadania kaczki, bo tego nie chcieliśmy, ale zdobycia doświadczenia, jakim jest zjedzenie sobie kacznej głowy. A konkretnie mózgu. Po kilku minutach debaty, zdecydowaliśmy się spróbować. Wzięliśmy specjalne rękawiczki i zanurzyliśmy ręce w wielkiej stercie pociętych na pół kaczych łbów. Wyszarpałem dla siebie kawałek, Damioen jeszcze powiedział, że to mało, więc wybrałem większy, potem wziąłem głęboki oddech i jedziemy. Tragicznie nie jest, smak podobny nieco do wątróbki (na tyle, na ile go pamiętam po prawie sześciu latach bez mięsa). Konsystencja bardzo płynna, rozpływa się w ustach, a nie w dłoni. Jeżeli ktoś lubi mięso, to nie powinien tu mieć problemu. Oczywiście jeden eksperyment wystarczył, drugiej połówki kaczego ośrodka dyspozycyjnego już nie próbowałem, zgaduję, że smakował dokładnie tak samo. Nasza ulubiona kelnerka nieźle się ubawiła z tej walki, potem powiedziała, że jeżeli nam nie smakowało, to nie możemy się poddawać, bo jest o wiele smaczniejsze na ciepło.

Miewam chwile, gdy lubię sobie pomarnować czas i spać do tak zwanego południa. Zwlekliśmy się późno, zrobiliśmy śniadanie i zasiedliśmy do internetów. Zdziwiło mnie, że mam dość dużo maili w skrzynce „oficjalnej”, otwieram, a tam pani Ping – główna rekruterka z organizacji mnie zatrudniającej. Akurat miała mi odpisać na coś, więc oczy mi z orbit wyszły i kurwa trafiła, gdy zobaczyłem, że pyta mnie, czy szkoła dobrze ją poinformowała, że za trzy dni wyjeżdżam i rzucam pracę. Szkoła teraz chce pieniędzy od pani Ping, bo ja złamałem kontrakt. Poszedłem sobie zapalić.

Trzymając się za jaja, stół, krzesło i sufit napisałem, iż musiało dojść do jakiejś pomyłki. Nie, szkoła wie, że moim ostatnim dniem pracy będzie 19 stycznia. Ustaliliśmy to we wrześniu, gdyż szkoła chciała, żebym został do połowy lutego, popracował trochę bez kontraktu, bo im pasuje. Powiedziałem wtedy, że to najpóźniejszy możliwy termin dla mnie. Ba, jeżeli się nie mylę, szkoła musi zapłacić coś więcej organizacji i mnie z okazji ukończenia kontraktu. Byłoby dla nich pięknym prezentem, gdybym na miesiąc przed końcem go zerwał. Tak więc, droga pani Ping, szkoła pierdoli bzdury i chce się mnie pozbyć, żeby oszczędzić parę kuai.

Przejrzałem sobie inne zapiski, za co mnie można dyscyplinarnie zwolnić:

- Więcej niż pięć spóźnień w semestrze – mam zero do tej pory, raczej nie planuję zmieniać tego stanu.
- Upośledzenie mowy – mogliby próbować tędy, ale skoro nie zgłaszali żadnych zastrzeżeń od lutego, to chyba nie przejdzie, że nagle zacząłem bełkotać w sposób dziko niezrozumiały. Do tego Ping nas wszystkich oglądała w trakcie lekcji pokazowych, więc jękały by nie puściła.

- Opcja imienia księdza Gila, czyli seks z uczennicą lub uczniem. Tu dochodzi więzienie i 5000\$ kary. Dzieci są w wieku 5-14 lat, a dla mnie tutaj nawet 20-latki są jakieś za młode.
- Więcej niż 15 dni choroby w semestrze – na razie mam dwa, wprawdzie temperatura w salach wynosi około zera, ale jakoś się jeszcze trzymam. Uczniowie trzymają się gorzej i ich ubywa, ale co tam, oszczędzamy! Zakładając, że miesięczny koszt grzania... A, nawet mi się nie chce. Jeżeli przez zimno szkoła straciła więcej niż czworo uczniów, to już się to finansowo nie kalkuluje. Obstawiam, że straciła wielu więcej.

Oczywiście następnego dnia udało się bez problemu potwierdzić, że moja data opuszczenia szkoły to jednak 19 stycznia. Wręcz zdziwienie, że pytam. Stwierdziłem, że co sobie będę żałował, wiele do roboty nie mam, więc wziąłem swój biały pysk i trulem Vivian o tym, że chamstwo, niesprawiedliwość, upadek obyczajów i zaprzaństwo. Sprawa jednak miała poważniejszy oddźwięk, bo Kierownik aż był trzeźwy cały dzień (no, do 19, potem nie wiem). Temat umarł, zastanawiałem się, czy coś gadać o tym, ale mam w pamięci liczne publikacje na temat biznesu w Chinach. Tak, to normalne, że próbuje się oszukać człowieka, a gdy to się nie uda, to potem się z nim współpracuje dalej, jak gdyby nigdy nic. Nie, według Chińczyków nic złego się nie dzieje, po prostu próbowałem cię oszukać, ale mi się nie udało, więc będziemy wspólnie robić dalej.

Tydzień naznaczony był dziwnymi znakami. Niby święta, ale bez przesady, że Dyrektor przychodzi codziennie trzeźwy? Nawet wieczorami? Rozniesie go w końcu, wiem, co mówię. W piątek tradycyjne spotkanie w tradycyjnym chińskim, więc dopiero potem dowiedziałem się, że nasza szkoła już od lutego będzie mogła zatrudniać obcokrajowców, bez korzystania z organizacji i pośredników. Udało się już wszystko dograć i uzyskać stosowne pozwolenia. Bardzo się cieszę, bo to już nie pierwszy raz, a dokładniej sprawy ujmując: nasza szkoła ma ten zaszczyt po raz trzeci, mogli już zacząć zatrudniać w kwietniu, czerwcu i wrześniu. To znaczy tak ogłaszano, ale jakoś potem temat zniknął. Z tejże racji dowiedziałem się, że zostaję na drugi semestr. Uśmiechnąłem się radośnie, gdy koleżanka Yang mnie o tym poinformowała. Udzieliłem jej kontrwywiadu, to znaczy powiedziałem, że 20 stycznia może nas łapać na dworcu, jeżeli się chce pożegnać.

Zastanawia mnie, czy jest jakaś granica pieprzenia bzdur, po której rozstępują się niebiosa i schodzi z nich Jezus, żeby rozpierdalać. No tutaj to chyba wychodzi Mao z otchłani piekielnych. Dobrze, wiem, że nie ma, jeszcze bardziej mi już też w życiu w żywe oczy kłamano, ale widzę, że kolejne tygodnie będą przyjemne. Na razie wielka krzywda mi się nie dzieje, a że po 20 stycznia powiedzą, że cham oszukał i uciekł, to już mnie jakby mniej. Najpierw pewnie będzie, że sobie bydlak pojechał na wakacje i zaraz wróci, a potem, że nas okłamał i uciekł. Problem, że ja mówię prawdę współpracownikom, więc może wyjść dziwnie, ale czy to mój problem.

Przeprowadzono nauczycielom lekcję kaligrafii. Na ile znam ich precyzję, dokładność i dbałość o detal, to pewnie chcąc napisać, co też jest na zadanie domowe, piszą jakiś bełkot. Lekcja skończyła się tym, że ponad połowa grupy grała na telefonach, a pani prowadząca cieszyła się, że chociaż trzy osoby to klepią. Asystentka Yang dostała pałę za swój charakter pisma. Hardcore to być nie mógł, z 10 znaków napisanych na tablicy rozpoznałem sześć, większość po trzy machnięcia, więc poziom wybitnie podstawowy, ale i tak okazało się, że źle piszą.

Szkoła twardo się trzyma polityki rodem z Syberii, ale nauczyciele zaczynają się wyłamywać: odpalają grzanie na początku lekcji na jakieś 20 minut, a potem je gaszą. W ten sposób, gdy władza wejdzie do sali w trakcie przerwy, to zastanie ją przepisowy ziąb, ale chociaż środek lekcji da się przetrzymać. A w sumie to jest durne i ciągle zdejmuję polar, by za chwilę go ubrać. W nocy woda zamarza, więc o 8:30 też tropików nie ma, ale polityka szkoły jest jasna: grzejniki włączać tylko na wyraźne żądanie rodziców.

Jak już o lekcjach mowa, bywają piękne chwile: miałem wieczorną grupę, którą w miarę lubię, ale często jest w niej nudno, poza tym start o 18, a to wszystko 9-11 lat. Poszło jednak jak z marzeń, cisza jak makiem zasiał, wszyscy patrzyli i tylko chwytały kolejne ćwiczenia. Rzadko się zdarza tak ładnie trafić, aż cieszyłem się, że siedzi mi na sali audytorium paru nauczycielek i to widzi. Patrzcie, tak się robi – karty, kości do gry, obrazki ze zwierzętami – i mówią sami, niektórzy nawet pełnymi zdaniami. A nie badanie długości tonu w każdym słowie, znęcanie się nad literką krzywo napisaną i „th” ledwo wydukany.

W sobotę był fokus (dobre, słowiańskie słowo) na mikołaja, część pierwsza. Dyrektor już dobre dwa tygodnie temu zajął, że kupił strój i że będę rozdawał dzieciom prezenty, ubawimy się po prostu po pachy. Ponieważ było to w ramach lekcji, to specjalnie nie protestowałem, chociaż oczywiście zajęcia do odrobienia, ale większy oddech w tym bloku chociaż. Na pewno za ten strój nie przeplacił, pasek zrobiony z jakiejś taśmy video chyba, a po dwóch klasach rozleciał się worek. Wkrótce potem urwał się rękaw od kurteczki, a przy rundzie popołudniowej – sznurek od spodni i pasek. Po może godzinie użytkowania wszystko się pokudłaciło i sypało się ze mnie jak z choinki. Worek zamienił się w zawiniątko, z którego leciały słodycze. Dzieci zachwyty, rodzice ogólnie też, a ja tylko bałem się, że spadną mi spodnie i będzie wstyd. Miałem pod spodem drugie, ale wyobraźmy sobie tę dziką radość młodych Mandarynów, gdyby pan nauczyciel z dalekiego kraju nagle stanął ze spodniami opadniętymi do kostek. A jeszcze lepiej wypierniczył się na pysk. Gazetka spełniała swoje zadanie, zadawałem im pytania, adepci nauk szukali odpowiedzi, najczęściej bezskutecznie, w nagrodę dostawali słodycze i pierdoły. Pewnym niepokojem napełnił me serce dziadziuś, który stał przy oknie i miał wyraz twarzy, jakby go właśnie trafiał szlag, gdy widzi jak symbol opium dla ludu wręcza garściami przyszłości narodu kapitalistyczne gówna. Adam z UK wspominał, że niegdyś bywały jaja z okazji promowania religii, gdy się mikołajki robiło. I jak już machnięto mi w Chinach z milion zdjęć, to w trakcie tej imprezy dołożono drugi. W niedzielę byłem nadal sfokusowany na byciu mikołajem. Wyszło wybitnie źle, bo szkoła zaoszczędziła i nie dokupiła słodyczy. A pytałem nawet w sobotę:

– *To na dzisiaj, czy na dwa dni?*

– *Na dzisiaj, na dzisiaj, rozdaj wszystko, jutro będzie więcej.*

No i lipa, wchodzę do sali z trzydziestką uczniów z pięcioma cukierkami w łapach. W jednej klasie zrobili mi klasyk, czyli pociągnęli za brodę. Idę do kolejnej, sekretarka mówi „a, tam nie musisz niczego dawać, oni są starsi, to im nie trzeba”. Super, po prostu, kurwa, super, tylko czemu ja muszę być twarzą tego cyrku? Dlaczego uczniowie w sobotę dostawali fajne długopisy, zabawki, w ciul słodyczy, a w niedzielę bieda? Spodnie się całkiem posypały, ale sekretarka zszyła. Do kompletu podały się rękawy kurtki, a zamiast paska miałem sznurek w kolorze niebieskim. Wyglądałem jak mikołaj, który przeszedł wieczorową porą urocze krakowskie osiedle Prokocim z szalikiem Wisły na szyi. W końcu sekretarka się zreflektowała, że już nie mam niczego, skoczyła do sklepu po cuksy. Dzięki tej przerwie mogłem stanąć

w pełnym stroju mikołaja przed szkołą i spalić peta, co wzbudzało zainteresowanie pośród ludności lokalnej. Co, mikołaja z petem nie widzieliście?

Niektórzy nauczyciele sami kupowali prezenty uczniom, dokładnie ci, których bardziej lubię, o coś się postarali, zapewne antycypowali, jak szcudra będzie szkoła, w końcu nie pierwszy dzień w niej robią. Zaniosłem torbę do sali Vivian i położyłem na krześle, mówię, że wam tu mikołaj zostawia trochę słodczy i wasza urocza nauczycielka je rozda. To, co się wydarzyło potem... Uczniowie się rzucili i zaczęła się walka, wyrwali wszystkie kable z telewizora i komputera, przesunęli cztery ławki, wywracali się i tratowali w walce o najtańsze biszkopty, Vivian też prawie wywrócili. Wielki głód? Nie, chińska klasa średnia, a raczej jej latorośl.

Wieczorowa lekcja była z jedną z moich ulubionych nauczycielek, która wychodzi z założenia, że ja zawsze wiem, co robić. To w sumie prawda, zwłaszcza na tle tego, ile one mają pomysłów, ale gdy mam stadko rodziców na sali, średnio lubię z nią omawiać kolejne ćwiczenia i rozważać, czy aby nie są za trudne. Obrazek z mikołajem za trudny. Ćwiczenie z pisania listu za trudne. W trzecim roku nauki dzieci nie są w stanie robić ćwiczeń z poziomu A1, do tego jeszcze często upraszczanych. Jakoś dopłynęliśmy do brzegu, ale wiem, że w kolejnym rozdaniu zajęć będzie to samo: „a niech se głupi biały przygotowuje, jakoś to pójdzie, co ja będę marnowała dziesięć minut mego życia na przejrzenie z nim tej lekcji wcześniej. Mogę przecież w tym czasie pograć na telefonie albo poszukać ciuchów na Taobao”.

Sprawa ze świętami była dość ciężka, bo nie wolno za bardzo mówić o tym, że Gwiazdka ma konotacje religijne. Moi uczniowie muszą myśleć, że ludzie na Zachodzie są dość popierdoleni, drzewa do domów wnoszą bez większego powodu i żrą indora. Mikołaj to tutaj Father Christmas, anioł w jednej grupie wzbudził niemal panikę rodziców, więc potem już nie mówiłem o takich zjawiskach paranormalnych.

Pomyślmy też o świętach z chińskiego punktu widzenia: ludzie na całym świecie celebrować narodziny Żyda sprzed 2000 lat. Do tychże doszło za sprawą nastolatki, której nigdy nie tknął męczyzna. Aby upamiętnić to zdarzenie, wierni wnoszą do domów choinki – święte drzewa germańskich pogan, których na Bliskim Wschodzie wielu nie uświadczysz i dekorują je badziewiem, które produkują nasze fabryki w Guangdong. A, jak chcą, to niech sobie kupują, praca i pieniądze z tego są.

Żelazna logika chińskich uczniów przełożona na angielski:

– *How old are you? I am 10 years young* – ma to sens, nie jest w końcu stary.

- Uczennica rzuciła do mnie: „take away your clothes”. Chciała pokazać, że zna frazę, a że wie, że lubię, gdy używają słów w kontekście...
- Skoro święta to są Christmas, to jak będzie nazywał się pierwszy dzień? Christma Eve. Niegłupie, skoro trzy dni to Christmas, to jeden to Christma. To dobrze, że liczba mnoga zaczyna w końcu być zauważana, nawet jeżeli efekty są tak intrygujące.
- Słowo, jakie zna uczeń w grupie A1: *mare*, czyli klacz.

[26.12.2013]

Wiele jest dni w roku, tak wiele jak jedynek w 365, a czasem nawet w 366. Taki dzień jest jednak tylko jeden. Przed 120 laty urodził się Wielki Sternik, człowiek, który odmienił losy Chin i całej ludzkości. W ramach wspomnienia najciekawszego i najlepszego podług myśli, że o zmarłych dobrze albo wcale, wspominamy jego „żółte gacie”.

*Młoda służąca pracująca w rezydencji, w której zatrzymał się Mao,
przez trzy dni i trzy noce wszystko czyściła i sprzątała.*

Kilkadziesiąt lat później wspominała, jak wezwał ją kierownik:

– Czy mogę Ci powierzyć najlepsze i najwspanialsze zadanie? – spytał.

– Oczywiście! – odpowiedziała.

Okazało się, że chodzi o upranie bielizny Mao.

Och, to była bielizna przewodniczącego Mao. To coś naprawdę fantastycznego (...).

Bielizna była przepocona. Żółta. Koszula, długie kalesony (...).

Myślałam o przewodniczącym Mao: był przywódcą ludu całego świata, a jednak jego życie było takie ciężkie [!]. Bielizna wydawała się taka cienka, że bałam się ją trzeć, zamiast tego delikatnie ją głaskałam. Co by się stało gdybym ją uszkodziła? (...)

Bałam się, że ktoś zobaczy bieliznę suszącą się na dworze i coś zrobi, (...)

dlatego co kilka minut wychodziłam i sprawdzałam czy już wyschła. (...)

Nie było elektryczności i nie miałam elektrycznego żelazka, ale musiałam coś zrobić, żeby bielizna ładnie wyglądała, dlatego zanim całkowicie wyschła, złożyłam ją i wsadziłam pod szybę na biurku (...).

Gdy oddałam ją kierownikowi, powiedział:

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze.

*Myślałam jednak, że to nie ma żadnego znaczenia,
jeśli przewodniczącemu Mao nie spodoba się moja praca.*

[30.12.2013]

To był tydzień, w którym byliśmy chorzy. Inni nauczyciele byli chorzy. Nasi sąsiedzi byli chorzy. Nawet podwórkowe koty nie wyglądały najlepiej.

Mile złego początki były takie, że zawitała do nas na wigilię grupa wieloetniczna i wielonarodowościowa.. Takich ilości zachodniego żarcia, picia i pigmentu nie widziałem od niemal roku.

Ser żółty zaskoczył feerią smaku i zapachu, z czekoladą akurat jesteśmy na bieżąco, ale jakoś z alkoholem odpuszczaliśmy ostatnio, więc gdy pojawił się Absolut Raspberry (a raczej Raspberri), to niemal wykorkowałem na serce z wrażenia, że alkohol może być taki dobry.



Jack Daniels również wpisał się w ten nurt, ale niestety Smirnoff już nie. Podejrzewamy, że jakiś mędrzec w rozlewni postanowił zarobić, więc wlał do butelek po Włodzimierzcu słynnego nazwiska specyfik bardziej lokalny. Chamstwo, bo cena oczywiście pozostała zachodnia. Była to wigilia typowo staropolska, taka, jaką pamiętamy z czasów pacholących: dwóch czarnych, paru Chińczyków, Mao Zedong na ścianie, baijiu i wódka zachodnia zapijana piwami, przegryzana czekoladą, serem i chipsami.

Mój kontrakt gwarantuje mi wolne 25 grudnia. Poszedłem w tej sprawie do kierownika. Dowiedziałem się, że pracować nie będziemy, ale będziemy wspólnie świętować. Ucieszyłem się jak człowiek, któremu zdiagnozowali syfisy. Już wiedziałem, że będzie koszmarnie. Imprezy szkolne zawsze oznaczają zmarnowany czas, pozostawało jednak kilka pytań: czy tym razem to tylko czas, czy też nerwy i zdrowie? Czy będzie to bardzo długi wymiar kary, czy może jednak bardziej humanitarny i w pół dnia się uwiniemy? Wyruszyliśmy o porze dość wczesnej jak na imprezę, bo o 13. Udaliśmy się do Stajenki, to znaczy do KTV. Tego samego, co zawsze, bo nasz kierownik zna ichniego i nie trzeba płacić. Dostaliśmy ten sam pokój, co zawsze, czyli 666 (drugi najlepszy, zaraz po 888). Muzyka ta sama, co zawsze, hity z okolic 1995 roku. Ludzi niby więcej niż zazwyczaj, ale i tak nikogo do pogadania, bo kto może, to nie przychodzi na te libacje. W takich przybytkach dają za darmo wrzątek i to właśnie było do picia. Dla przyzwoitości zamówiono dwa malutkie dzbanki herbaty, poszły w 30 minut. A potem już tylko wrzątek, niczym nieskrępowana ekstaza pochłaniania litrów wrzątku. Do jedzenia zamówiono tacę owoców. Jedną na kilkanaście osób. Nauczyciele nie pierwszy dzień tam pracują, życie znają, więc przynieśli swoje żarcie – orzeszki, słonecznik.

Pomieszczenie zasadniczo nie było ogrzewane, to znaczy co jakiś czas chwilę wiało ciepłe powietrze, ale nie miało to większego wpływu na nasze samopoczucie termiczne. Podobnie jak to, że było nas naście osób w tym pokoju, wszyscy w kurtkach, było nadal dramatycznie zimno, co chyba aż dziwiło lokalnych, bo przecież jak jest dużo osób, to się pokój grzeje. Spędziliśmy tam... Godzinę? Nie. Dwie? Nie. Trzy? Nie. BITE, KURWA, PIĘĆ GODZIN! PIĘĆ GODZIN NA ORZESZKACH, SŁONECZNIKU I WRZĄTKU.

Po trzeciej skończyły się śpiewy, wszyscy siedzieli i klepali w komórki, prawie nikt z nikim nie gadał. Byłem już na paru imprezach pracowniczych w życiu, ale to po prostu rekord koszmarny, mordęgi i czasu trwania. Kusiło mnie wyskoczyć, kupić wodę i rozkręcić to, bo już się po prostu nie dało, ale ciągle naiwnie wierzyliśmy, że coś do jasnej nędzy ruszy, że wniosą tort, wprowadzą modelki i tańczące mopsy, bo przecież to niemożliwe, żeby nas ktoś trzymał bez żadnego sensu i celu w tej jebanej chłodni.

A jak bawił się kierownik? Tego nie wiem, bo kierownika niestety nie było, najwidoczniej nie mógł uczestniczyć w tym szampańskim evencie, w tych obfitych bachanaliach, w ekstatycznych przedawkowaniach wrzątku, aż para szła uszami, w rozbieraniu oczyma nadobnych współpracownic zakutanych w puchowe kurtki. W końcu po 18 zawinęliśmy się do restauracji. Marzyliśmy tylko o tym, żeby to się skończyło.

Plusów restauracji było kilka: ciepło, więcej do jedzenia i do picia. Wymiar kary krótszy, bo tylko jakieś dwie godziny. Szkoła chyba przechodzi kryzys, w maju-czerwcu na takich spotkaniach stoły uginały się od żarcia, wszyscy objadali się do pierwszych wymiotów, a dyrekcja pytała, czy może domówić czegoś. Teraz jedzenie znikło w dwadzieścia minut. Potem graliśmy w lokalną wersję butelki, tu zamiast butelką kręci się górną częścią stołu, na kogo wskaże rybi pysk, ten musi wybrać: prawda lub wyzwanie. Wymysły do drugich były na miarę czasów Kaliguli: dziewczyna ma się oświadczyć chłopakowi. Ktoś ma z kimś wypić mały kieliszek baijiu. Ja miałem pocałować dziewczynę, więc ucałowałem sześciolletnią córkę kucharki. Ubaw po same pachy, no ale z alkoholem i ciepło, więc można było siedzieć. To, że jedzenia nie było wiele, to jeszcze można zrozumieć, ale były tylko trzy butelki baijiu i nie schlaliśmy się do nieprzytomności, ba, nawet jeszcze zostało nieco, gdy zarządzono wyprawę do domu.

Smutne to zjawisko wpisuje się w szerszy trend, który jest dla nas bardzo trudny do zrozumienia. Kierownik chyba tak się zafrapował gnębiącymi go troskami, że przestał pić, a przynajmniej już nie pije tak, jak zwykł. 11:30, a ten trzeźwy. 17:30, trzeźwy. Rano nie wali od niego wódą. Podejrzewam, że popija, ale to już nie to, to już nie ciężka lampa o 16. Jeżeli poszedł na odwyk, to się cały biznes rozpiardoli w drzazgi, bo albo stanie się drażliwy, albo dostanie napływu sił witalnych i wszystko zacznie poprawiać. Ani jednego, ani drugiego nikt nie zniesie. Shirley wywiało na całego, w szkole jej zero, na kolacji jej zero, podobno jeździ na jakieś ważne spotkania, bo nasza szkoła została włączona do jakiejś sieci. Chyba rybackiej albo sieci łowienia jeleni.

Podczas oficjalnej kolacji złożyło się tak, że siedzieliśmy koło jednej z nowych nauczycielek, Lisy. Z braku innych możliwości gadania (z drugiej strony Bazydło), coś tam zarzuciłem. Okazało się, że panna jest wysoce podejrzana klasowo – interesuje się Japonią, uważa amerykański styl życia za cudowny. Była w pewnym momencie wtopa, bo padło pytanie o muzykę. Jej ulubiony zespół to Backstreet Boys. Myślałem, że sobie jaja robi. Gdy zapytała o mój, to nie chciałem komplikować, powiedziałem, że Nine Inch Nails. Ona nie zna. Szok,

robili przecież wspólne projekty z Backstreet Boys... Jednak dalsze gadanie i wymiana mailowa doprowadziły do tego, że okazało się, że Lisa uważa, że Chińczycy są nieefektywni, że Japończycy o wiele lepiej zorganizowani i ciężiej pracujący. Chińczyk mówiący, że Japonia jest lepsza od Chin... Tego jeszcze nie mieliśmy. Jeszcze może powie, że Tajwan to nie Chiny, wtedy ją chyba zadenuncjujemy, a jej rodzina dostanie rachunek za nabój.

Następnego dnia, w 120. rocznicę narodzin Mao Zedonga, przypadkiem dokonałem rewolucji, którą historia zapamięta jako rewolucję klimatyczną. Wlazłem skacowany do sali, poczułem mróz na twarzy i wydarłem ryja: „pierdołę, kurwa, ja mam dosyć, włączamy klimatyzację, jak będą jaja, to ja zapłacę te 0,8 RMB za godzinę, ale dzisiaj jest -4 i nie będę siedział w takim jebanym mrozie do chuja nędzy”. Okazało się, że właśnie taka mowa na miarę Aleksandra Wielkiego była potrzebna, klimatyzację włączyli, zanim skończyłem się pienieć. Od tej pory włączamy klimatyzację w salach, chociaż diabeł tkwi w szczegółach, o tym wkrótce.

Koło 15 zacząłem pokasływać i czuć się kiepsko. Po godzinie poprosiłem koleżankę, żeby mi napisała, jak się w tym języku nazywa coś na gardziel. Po dwóch godzinach wiedziałem, że jestem baardzo chory. Podczas wieczornej lekcji prawie upadłem. Kierownik żegnał mnie słowami, że ma nadzieję, że mi się poprawi. Miałem ochotę odpowiedzieć: luz, nie bój się, przyjdę do pracy. W domu leżałem bez ducha, obok drugiej osoby tak samo leżącej bez ducha. Następnego dnia ciąg dalszy, katar, gorączka, praca, zawroty głowy. W pracy niemal wszyscy to samo, z małą różnicą: człowiek cywilizowany potrafi wysmarkać się w chusteczkę, nie połyka kataru i nie chrumczy przy tym jak maciora, gdy się prosi. Niektóre Chinki jeszcze do tego etapu nie dotarły, więc miałem parę razy ochotę podejść i powiedzieć: masz tu, kochanie, paczkę chusteczek, kosztuje ona jakieś cztery jiao. Smarcz, proszę, w to, tylko ostrożnie, bo sobie bluzeczkę i twarzyczkę upierdolisz. Niestety, nie wymyśliłem, jak im wyjaśnić, że gdy musisz sobie kichnąć, to uprzednio zasłoń ryj, a nie pluj po okolicy. Bawi mnie, gdy czasem słyszę o tym, że szukają zachodnich mężów.

W końcu przełom, czwartego dnia powrót do normalności dla połowy z naszego duetu. Podejrzewam, że to dzięki chodzeniu do pracy, po prostu takie jaja tam są, że nawet lichy spieprza. Niestety nie udało nam się wybrać do Pekinu, by tamże powitać Nowy Rok. Wydawało się, że będzie pięknie, hostel rzut kamieniem od Tiananmen zarezerwowany, bilety kolejowe kupione, a tu wszystko trzeba było odwołać. Jeszcze do paru godzin przed się wahaliśmy, ale wyszło, że nie da rady. Fajne jest to, że na chińskim PKP oficjalnie oddają 90% ceny biletu, ale do tego wałą taką liczbę opłat manipulacyjnych, że mi z 257 RMB oddali 206. Za to dostałem całą garść kwitków na te wszystkie opłaty. Kusi mnie zrobić taki numer, żeby kupić najtańszy możliwy bilet, to chyba jest 7,5 RMB. Jak mi dadzą te wszystkie manipulacyjne, to chyba wyjdzie, że im jeszcze muszę dopłacić, że zwracam, zamiast pojechać jak człowiek. Ktoś się musiał nieźle ucieszyć, dwa bilety na jedyny tani pociąg do Pekinu z Huainan dostępne na kilka godzin przed odjazdem.

Drugi incydent z tego tygodnia, którego szybko nie zapomnę, to historia wielce gastryczna, szczęśliwie nie moja. Podczas lekcji w grupie 5-7 małe pomieszczenie bez okien wypełnił obrzydliwy smród. Ktoś nie wytrzymał napięcia związanego z zawilościami odmiany czasownika *have*. Uciekłem na drugi koniec sali i stamtąd kontynuowałem myśl. Widziałem dzieci, które więdną jak kwiaty, gdy ich zmysł powonienia doświadcza tego, co mój chwilę wcześniej. Widziałem moją co-teacherkę, która wkłada nos w kołnierz kurtki. Widziałem

jednego z nich, który śmieje się jak dziki. Po chwili wiedziałem, że nie ma już ucieczki, stałem w przeciwnym rogu sali i zaczynałem zielenieć na twarzy. Co-teacherka wymyśliła ratunek: kazała dzieciom wziąć kartki papieru, książki, zeszyty i wachlować. Otworzyła też drzwi na korytarz. Autor całego zamieszania był tak z siebie dumny... Był to jego jedyny wkład w całą lekcję.

Jeszcze w temacie ogrzewania: polityka szkoły chyba obecnie jest taka, że jeżeli na sali są rodzice, to niestety grzejemy. Jeżeli zaś nie ma, to nie ma co marnować prądu. Jedni się poddali, inni z nadzieją wypatrują rodziców, inni wietrzą sale przed końcem lekcji, by kierownictwo nie kapnęło się, że pozwolili sobie zrobić palmiarnię na jakieś może nawet 15 stopni. Powoli zaczynam skreślać kolejne grupy. Jeszcze trzy tygodnie, ale już wiem, że po raz ostatni uczyłem w klasie młodego skunksa i dwóch innych koszmarów z Bazydłem. W tym wszystkim zakończyłem też wspólną misję z Vivian, która odchodzi na macierzyński i prawdopodobnie szybko nie wróci (szok, pewnie się będzie z porodówki rwała, żeby pobiec do kochanej szkoły). Odkąd się lepiej poznaliśmy, czyli od jakiegoś maja, nasze lekcje miały ręce i nogi, a w ciągu ostatnich dwóch miesięcy bywały nawet bardzo dobre. Nigdy nie kichnęła w dystans i zawsze miała chusteczki. Przegadaliśmy ze sobą milion rzeczy i będzie mi jej brakowało podczas tych ostatnich trzech tygodni na zakładzie karnym, choćby jako źródła informacji o tym, co dzisiaj nam władza jest łaskawa pieprzyć. Najbardziej jednak żałuję, że nie zdążyłem jej powiedzieć, że mam nadzieję, że jej dziecię nie będzie łąziło z gołą dupą po ulicy.

[31.12.2013]

Z okazji końca roku nadchodzi czas podsumowań. Ludzie tworzą listy, na których opowiadają o tym, że widzieli fajny film lub posłuchali dobrej muzyki. Najczęściej widzieli dziesięć fajnych filmów i tyle samo niezłych płyt słuchali. Gazety piszą listy – w sensie zestawienia – gdzie opowiadają nam, że jakaś wojna była ładniejsza niż pozostałe, krew żołnierzy bardziej czerwona, a debilne piosenki nacjonalistyczne lepiej brzmiały niż inne. Ropy też jakby więcej się tam przelało. Portal Shanghaiist znalazł lepszy sposób na podsumowaniu roku: najlepsze smogi i wydarzenia okołosmogowe. Poniżej przedstawiamy ich listę z naszymi komentarzami, jeżeli takowe mamy.

- Mędrcy w Pekinie wymyślili, że gotowanie uliczne odpowiedzialne jest za zanieczyszczenie powietrza. Powiedzieli to w maju, a w listopadzie odpowiednie siły ruszyły w miasto i poniszczyły liczne garkuchnie. Przy tej okazji wiele osób wyrażało wątpliwości, czy uliczne ruszty są odpowiedzialne za więcej niż 2% smogu w mieście.
- Padł rekord świata w jakże radosnej kategorii: najmłodsza dziewczynka z rakiem płuc. Ma osiem lat. Zapewne nie zachorowała wyłącznie od świeżego powietrza, a miała też jakieś predyspozycje genetyczne, historię raka w rodzinie itp., ale wierzymy, że jednak to nie przypadek, iż pochodzi z Chin.
- Podczas pokazu mody w Nankinie modelki musiały nosić maski chirurgiczne, nie dlatego, że brzydkie, a gdyż takie było dobre powietrze. Liczymy na to, że zaczną występować z maskami gazowymi lub butlami tlenowymi. Zresztą nie ograniczajmy się do pokazów mody, również konkurencje sportowe mogłyby uwzględnić warunki lokalne i stworzyć takie kategorie, jak bieg w masce tlenowej i z butlą gazową na plecach.
- Na początku grudnia było tak ślicznie w Szanghaju, że wedle panującej skali zanieczyszczenia wyszło, że żyć się nie da. Władze w rezultacie zmieniły skalę.
- Eksperci zaczynają informować o niskiej jakości nasienia mężczyzn w Szanghaju. Winien smog. Według nas po prostu jedzą za mało korzenia łopianu.
- Pan w jednej ze szkół wynalazł sztukę walki, która pomaga walczyć ze smogiem.
- Hangzhou: zamiast zwyczajowego podnoszenia flagi przed szkołą pewnego dnia dzieci musiały dokonać tego komputerowo. Przyczyna oczywista.

Na liście zabrakło fajnego październikowego smogu z Harbinu, ludzie musieli zostać w domach, szkoły i autostrady zamknięto na trzy dni, wstrzymano ruch lotniczy. Dopuszczalne międzynarodowe normy zostały przekroczone PIĘCDZIESIĄT razy.

Mamy też małą własną radość do tego pięknego ogrodu: pewnego czerwcowego dnia ruszyliśmy do szkoły. Gdy dotarliśmy na miejsce, płakaliśmy. Myśleliśmy, że to alergia na coś, pewnie jakaś chińska brzoza pyli. W szkole okazało się, że wszyscy mają ten problem i ryczą jak bobry z depresją. Popołudniu widoczność była na poziomie góra pięciu metrów. W następstwie z nieba spadły ptaki, sam widziałem dwa martwe, a tu ulice zamykane są dwa razy dziennie, więc na pewno było tego o wiele więcej. Taki urok mieszkania w mieście obok kopalni węglowych. Pocieszano nas, że to dobrze, że mieszkamy parę kilometrów od samych kopalni, bo tam było gorzej. Nie wiemy jak gorzej, kamienie unosiły się w powietrzu?

Nothing changes on New Year's Day

[6.01.2014]

Przeżyłem już kilka sylwestrów. Do tej pory szczyty wkurwienia u mnie z okazji tego wyjątkowego dnia osiągalni busiarze z Zakopanego i Poronina („dzisiaj podnieśliśmy ceny trzykrotnie, nie podoba się, to spierdalać”), ale chyba zejda na drugie miejsce w rankingu. Z jednej strony, jestem w stanie zrozumieć, że Chińczycy obchodzą Nowy Rok przy okazji Spring Festival. Z drugiej strony, kalendarz przeskakuje jak u nas, a 1 stycznia jest wolny. W jedynej knajpie w mieście z tej okazji zero imprezy. Ta sama nędza, co zwykle. Żadnej nuty, żadnych dekoracji, standard. O 0:30 skończył się normalny alkohol. Tak, zostały im same chińskie, a i tych nie za wiele. Mówię do kelnerki, że chciałbym wódkę, ale ludzką, nie chińską. Oferuje mi chińską. Mówię, że chcę ludzką. Oferuje mi whisky. Mówię, że znam ich whisky lepiej, niż bym chciał i pytam, czy może mają coś zachodniego. Na to ona, że mam iść do domu, bo jestem pijany. Tępa pipo w okularach, gdyby nie wasz kochany ojciec narodu, który wyrócił ten kraj do góry nogami, za taki tekst pierdolnięty w sylwestra do klienta, który nie leży na barze, nie ubliża ci, tylko prosi o coś tak dziwnego jak wódka, szukałabyś nowej pracy. A gdyby w tym mieście było więcej knajp niż cała jedna (no jest burdel, ale tam chodził nie będę), to pewnie byśmy się już nigdy nie zobaczyli.

No ale o czym ja mówię, jak w taki dzień właściciel przed północą idzie do domu? Już kiedyś złapaliśmy go w tym barze, że przelewa podłg wódkę do dobrych butelek. Cała impreza była dość solidnie koszmarna. Po pierwsze, wiele się nie działo z okazji Nowego Roku. Po drugie, napierdoleni ludzie robili sobie z nami zdjęcia co dwie minuty. Ludzie, kurwa, ledwo stali, ale nagle odczuwali potrzebę, żeby nas brać w objęcia i cyknąć fotkę. Po dziesiątym kliencie zaczyna to nużyć. Kolega Gerald przyprowadził Chinę, panna lat trzydzieści (tu to już wyrok!). Dziewczę o jakiejś 22:30 zwija się do domu. Pytamy, czy z księżycy spadła, sylwester, Nowy Rok, siedź chociaż do północy. Nie, bo rodzice. Kopciuszek, edycja lokalna, sam Kopciuch wersja emerytalna, zaś reguły gry z okolic przedszkola. Ale to właśnie Chiny, jak się nie podoba po ichniemu, to do widzenia. Ma się podobać. Że jest do dupy, to możesz zachować dla siebie.

Tak radośnie rozpocząłem nowy rok, którego pierwszy tydzień minął mi głównie pod znakiem pielęgnowania w sobie nienawiści do chińskiej mentalności. Moja dyrekcja dalej twardo łże innym nauczycielom, że zostaną na drugi semestr. Lata mi to, ale wyjaśniam sprawę po niemal kilka razy dziennie.

– Kierownik powiedział, że zaoferował ci bardzo dużą podwyżkę.

– Tak, szalową, tak szalową, że spadamy stąd 20 stycznia.

Ta sama osoba w dwa dni później:

– Kierownik powiedział, że może jednak zostaniesz.

– Nie, nie zostanę.

Dzień kolejny, znowu:

– Kierownik mówił, że zostaniesz.

– Pogadamy po 20 stycznia, czy zostałem.

Jedna z mych koleżanek wdała się ze mną w rozmowę. Okazało się, że ma zamiar odejść ze szkoły. Że ma już tego dosyć, że prawie trzy lata, że konkurencja lepiej płaci, mniej gnębi i oferuje lepsze warunki. Poradziłem jej uczynienie właśnie tego. Gadaliśmy sobie tak miło i nagle mi gruchnęła newsa. Gdy ponad dziesięć miesięcy temu przybyłem do tego pięknego zakątka świata, szkoła zaoferowała mi darmowe lunche. Kucharki zabroniły nawet zmywać po sobie, a gdy potem dołączył do mnie mój Aligator, najpierw oboje dostawaliśmy darmowe lunche, a potem oferowali dla niej na wynos. Lunche szkolne bywają różne, raz atrakcyjne jak gacie Mao, kiedy indziej całkiem smaczne. Zawsze pozwalają one jednak na ustalenie, co właśnie jest najtańsze na pobliskim bazarze, jak dają kapustę, to jasne, że jest niemal za darmo. Lotos? Aha, czyli można dostać kilo za 1 RMB jakieś. Do tego ryż, Magda Gessler mogłaby mieć parę uwag, ale wygodnie dostać jedzenie w miejscu pracy. Dowiedziałem się, że cała reszta składu nauczycielskiego płaci za nie po 5 RMB i że ostatnio kierownik uskarżył się, że ja-my nie. Pośmialiśmy się trochę, policzyliśmy sobie, ile to może być warte, wyszło nam, że z prądem, olejem, wodą i pensją kucharki, to ma małe szanse przeskoczyć 3 RMB w wersji największy wypas. Za 5 to można dostać bardzo wiele fajnych rzeczy na bazarze. Najpierw myślałem, żeby unieść się honorem i zaoferować mu pieniądze, a potem uznałem, że po co? Niech powie normalnie, zacznę wtedy chodzić jeść na bazar, chociaż mi zejdzie więcej czasu, to nie dam krwiopijcy zarobić. Może przy okazji okaże się, że szkoła straci twarz, jeżeli się tam przestanę stołować.

Dowiedziałem się też, że obecnie szkoła zatrudnia wszystkich nowych na nielegalu, nie mają oni żadnych umów. Nie znam się na chińskim prawie pracy, ale chyba coś by tam sobie ojczyzna życzyła dostawać w podatkach.

Nadszedł weekend, nastaly lekcje. Pytam nauczycielek, co robić, jedne mówią więcej, inne mniej. Jedna mówi, że przybory szkolne:

– *Robiłem to trzy razy w tej grupie...*

– *Oni to bardzo dobrze potrafią, więc zrób jeszcze raz.*

Rzeczywiście, to umieli świetnie. Niestety, okazało się, że już niczego poza tym nie potrafią. W trakcie lekcji inna mi mówi, że się pomyliła i że dała mi lekcje do innej grupy. Jęknąłem, zrobiłem tę inną, bo szczęśliwie miałem i to przy sobie. Tak sobie pomyślałem: ty masz cztery grupy. Ja mam ponad 30, ale to mnie się nigdy nie zdarzyło pomylić.

Inna rozpoczęła lekcję od poinformowania mnie, że nienawidzi tej grupy i że się z nimi nudzi. Że zgłaszała kierownikowi, że grupa jest za duża, że rodzice przychodzą na lekcje i potęgują chaos. Obiecał jej, że rozwiąże problem i zabroni im przyłazić, ale to już dawno mówił i nie rozwiązał tego kółka matek, babć i dziadków. Gdybym ja ci, słonko, powiedział, ile on mi już tu problemów obiecywał rozwiązać, a ile faktycznie rozwiązał...

O psie, który kierował koleją

[6.01.2014]

We wtorek ogłoszono wyrok w sprawie wesołego pana kolejarza z Hohhot. Dzięki radosnej działalności łapówkarskiej pan kolejarz zgromadził 21,48 milionów dolarów. Pan był dość zdolny, bo zajęło mu to zaledwie cztery lata. Uważamy, że zadał tym samym kłam tezie, iż kolej musi być deficytowa. Zarobił głównie na cargo i transporcie węgla – biuro kolei decyduje o tym, czyj towar kiedy i jak pojedzie, co pozwala na chwycenie paru groszy na boku. Sąd uznał, że facet winny jak diabli. I jakież to wyrok pan kolejarz dostał? Wpis do akt? Nagana? Zwolnienie z pracy? Nie. Czapę.

To tylko wierzchołek góry lodowej pt. „Afera kolejowa”. Ostatnimi czasy chińskie sądy nagrodziły dość dużo osób awansami do celi śmierci. Nie wykonują im póki co kar (i pewnie nie wykonają), ale efekt jest naprawdę niezły. Może dzięki tym paru procesom kilku urzędasów zastanowi się, czy na pewno warto wziąć jakieś pieniądze pod stołem.

Przy okazji chciałbym zgłosić do tej nagrody kasjerów z dworca w Huainan, którzy uparcie odmawiają uznania prawa obcokrajowców do kupowania biletów na 10 dni przed odjazdem pociągu i dalej uważają, że dopiero na pięć dni wcześniej możemy.

[8.01.2014]

Chiny w oczach Zachodu to zazwyczaj dramat, komunizm i wyzysk człowieka przez człowieka. Oto tendencyjny przegląd ofert pracy z prowincji Anhui. Lokuje się ona na 14. miejscu w rankingu chińskiego bogactwa, czyli raczej biedniej niż ogół kraju.

- Sprzedawczyni na straganie z mrożoną herbatą w Hefei (stolica prowincji): 1800-3000 RMB, czyli od ok. 900 PLN do 1500 PLN.
- Restauracja w Huainan, zakres zarobków: 1800-5000 RMB (900-2500 zł).
- SPA, zapewne też agencja towarzyska, przedział: 4000-8000 RMB (2000-4000 zł).

Skąd to wiem? Chińskie prawo wymaga umieszczania stawek w ogłoszeniach. Nie piszą tu, że chcą młodych i dynamicznych z wyższym, tylko ludzi do pracy za tyle na takich stanowiskach. Podane powyżej przykłady to są najniżej płatne prace dla ludzi bez kwalifikacji. Pracy wydaje się być w cholere, ciągle widzimy ogłoszenia, że szukają. Jakiegolwiek stanowisko wymagające kwalifikacji, to już jakieś 5000 RMB. W Szanghaju też szukają, tam nawet sklepowe startują od 3000 RMB. Staże i praca za darmo nie istnieją, podobno są nielegalne.

Oczywiście, wiemy, że to wszystko bzdury. Po co nam pani, która zrobi herbatę cytrynową, skoro świat zachodni promuje cudownych piłkarzy, wybitnych dziennikarzy i pracowników korporacji? Jakież to ja będę miał pożytek z pracy kobiety wyciskającej cytryny, wobec tego, że Robert Lewandowski strzeli bramkę? Dlatego godzina pracy Roberta to jakieś 4000 euro, a miesiąc pracy pani z cytrynami, to jakieś 400. Za światłe myśli redaktora Lisa płaci się pensję jakichś 15 pań od herbaty, za szkolenie z coachingu przynajmniej dziesięciu. Po co nam tak prozaiczne rzeczy jak jedzenie i picie, skoro możemy w zamian partycypować w światowych zmaganiach futbolu, dziennikarstwa i trendów pracy?

Dlaczego tu pracy jest tak wiele, a w Europie kraje takie jak Hiszpania, Grecja czy Macedonia zdychają? Bo jakieś dwadzieścia lat temu nasi kochani kapitałiści pracę tu wysłali. W imię optymalizacji kosztów.

Co jeszcze gorsze: życie w Chinach jest o tyle tańsze, że te 1800 RMB wypada sobie przeliczyć na siłę nabywczą polskiego 1800 PLN. I teraz sobie zobaczcie, kto jest nędzarzem, kto żebrze na ulicach, kto jest niewolnikiem i kto zarabia główniane pieniądze.

[10.01.2014]

Poniższe rozważania dotyczą tego, czy demokracja jest taka super, jak nam ciągle mówią i czy system monopartyjny, który dominuje od 1949 roku w Chinach, jest bardzo zły. Są to dość długie rozważania, które dotyczą miliona rzeczy i na pewno nie są kompletne, ale ponieważ to nasza impreza i będziemy bredzić, o czym chcemy, to czemu nie?

Demokracja jest najlepszym ustrojem na świecie. Wie o tym każdy Polak od zarania dziejów, latami walczyliśmy i w końcu możemy cieszyć się cudownym porządkiem rzeczywistości, co pozwala nam patrzeć z wyższością na kraje, którym aż tak się nie powiodło i muszą zadowalać się pośledniejszymi systemami politycznymi. Wtedy trzeba im przynieść demokrację (lub też demokracje, zależy jak na to patrzeć) na bagnietach, a potem patrzeć, jak wiele radości i szczęścia im sprezentowaliśmy. Podobnie jak i nam, w końcu każde święto demokracji, czyli wybory, jest z dawna wyczekiwane i tłumnie oblegane – bywa, że nawet jakieś 45% uprawnionych chodzi głosować. Tych, którzy udadzą się do lokalu wyborczego, czeka możliwość oddania głosu na kandydatów z licznych partii (lub też na niezależnego). Ilekroć idę na wybory, czeka mnie chwila dzikiej ekstazy po spojrzeniu na listę kandydatów. Połowy się nie zna, z drugą połową brzydziłoby się wypić wódkę w parku. Cholernie trudno mi myśleć, że mam jakieś wybitne szczęście, że mogę sobie wybrać oprawcę krajowego lub lokalnego na kolejne kilka lat.

Gdyby Chiny były biedniejsze, to pewnie byśmy im przynieśli wolność, ale póki co trzecia wojna światowa jest umiarkowanie nęcącą perspektywą, więc chyba będzie im dane dalej kultywować swoje porządki. Chiny są krajem jednej partii, socjalistycznej – jakoś ta tendencja cechuje wszystkie państwa, które zmierzają w stronę jutrzeńki komunizmu, że więcej niż jedna partia zawiązać się tam nie może. Czy to ZSRR, czy Kuba, czy Albania, zawsze jakoś jest tylko jeden głos ludu, o Korei Północnej nawet nie mówiąc. Po prostu, ten głos jest tak donośny, że o ja pierdolę i wszystkim innym jest wstyd cokolwiek powiedzieć. Dlatego też idą popełnić samobójstwo w jakiejś szarej piwnicy.

W Chinach wodza wybierają partyjni z najwyższego pułapu partii – Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych, czyli ichniego sejmiku. Do tego ciała można dostać się z jednego z okręgów. Liczba przedstawicieli ludu jest skromna, około 3000 osób. Tyrają jak dzicy, bo jest jedno spotkanie rocznie, trwa za to dwa tygodnie, zwyczajowo na wiosnę. Nie jest to jednak takie dziwne, bo z racji rozmiarów kraju oszaleliby, gdyby musieli co chwilę jeździć do Pekinu i z powrotem do swojego miasta. Co dość ciekawe, ich kompetencje nie są jasno określone, więc bywają jaja, czytaj: spory o zakres uprawnień. Możliwości sprawowania jakiejś poważnej funkcji w mateczce-partii nawet na poziomie lokalnym określone są tytułem filmu Briana De Palmy z roku 1996, w którym główną rolę zagrał Tom Cruise (*Mission: Impossible*). Trzeba być z rodziny z tradycjami, trzeba też mieć tę siłę przebicia, która sprawia, że od lat najmłodszych człowiek czerpie perwersyjną przyjemność z bycia szmaconym, wykorzystywanym i nikim, w sensie członkiem partii. Oczywiście kręgosłup trzeba mieć giętki jak NRD-owska gimnastyczka. Jak o tym pomyślę, to się przecież tak niesamowicie różni od zachodniego systemu wielopartyjnego... Jednak do matecznika ChRL należy ponad 80 milionów członków!

W demokracji każdy może zagłosować. Dlatego też programy partyjne są tak przyjemną lekturą, a potem mają bardzo dużo wspólnego z właściwym sprawowaniem władzy i wdrażanymi reformami. W Chinach program partii znany jest chyba tylko temu, kto go kiedyś spisał. Nikt nawet nie marnuje oczu na lekturę. Ogólnie: masz tyrać w imię wielkości ojczyzny. Jeżeli tyrasz na państwowym, to może zobaczysz emeryturę, gdzie indziej raczej nie. To też niesamowita różnica, w końcu ludzie w demokracjach mają luz i pracują sobie parę godzin tygodniowo, tylko po to żeby się nie nudzić, a wraz z osiągnięciem wieku emerytalnego jadą pod palmy. A jak ja sobie pojadę za jakieś 36 lat...

Pewną różnicą jest to, że tutaj Partii za bardzo krytykować nie można. Znaczący można, ale przyjemniej jest we własnych czterech ścianach. Kolega Chińczyk powiedział, że póki sobie narzekacie przy wódce u kumpla to luz, ale spróbuj coś zorganizować publicznie, a już nie daj boże jakiś marsz czy wiec, to wtedy nie będzie dobrze. Lista tematów, o których pisać nie można, ma chyba z kilometr. Pragnę zauważyć, że i na Zachodzie wolność słowa nie jest taka absolutna, jak lubimy myśleć i nie tak dawno jeden za obrazę prezydenta miał problem. Jednak reedukacji u nas nie zrobią, to na pewno, do tego niemal dowolnie mądre lub durne myśli można publicznie wygłaszać i raczej nie grozi nam za to nic strasznego, tu zdecydowanie chiński system monopartyjny jest gorszy dla obywatela.

W takim razie może im pomóc i wprowadzić demokrację? Zastanawiałem się parę razy, jak wyglądałaby chińska demokracja. Myślę, że tak:

- Wybierani są głównie piosenkarze, modelki, aktorzy i aktorki.
- Politykiem chce być każdy, więc liczba kandydatów sięgałaby przynajmniej kilkuset w każdym mieście (a pewnie i tysiąc by zamknęli w paru miejscach).
- Dzięki temu karta wyborcza miałaby jakieś 20 stron litanii nazwisk, niektóre by się powtarzały po parę razy.
- Programy byłyby bardziej fantastyczne niż twórczość Stanisława Lema i Philipa K. Dicka. Jak mnie wybieriecie, to dam każdemu 10000 kuai i nowy samochód.
- Do parlamentu trafiłyby absolutne cymbały, pewnie nawet paru nie do końca piśmiennych.
- 3000 przedstawicieli narodu nie zdążyłoby się nawet przedstawić przez całą kadencję.
- Każdy ciągnąłby w swoją stronę – polityk z Anhui dla Anhui, polityk z Xinjiang do siebie. Te prowincje mają ze sobą tyle wspólnego, co Polska z Kamerunem. W efekcie zdobycie jakiegokolwiek większości byłoby mało prawdopodobne.
- Parę prowincji ogłosiłoby od razu secesję – Tybet i Xinjiang to te oczywiste ze względów etnicznych, ale myślę, że przed nimi zrobiłby to Szanghaj, ze względów ekonomicznych i kulturalnych. Mogłoby być parę innych miejsc, które by podziękowały, bogaty Guangdong raczej by mógł nie chcieć dopłacać do takiego Hunanu;
- Mieszka tu kilkadziesiąt mniejszości etnicznych, to są miliony ludzi, którzy nie do końca kochają dominującą ludność Han.
- Trzy miliony innych problemów, których nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić.

Gdy przybyłem do Chin, myślałem sobie, że Partia to bydlaki i ciemniźcyiele ludu. Po tych paru miesiącach myślę o nich nieco lepiej i moje główne zastrzeżenia dotyczą przeszłości i cenzury. Pierwsze to hektary rzeczy, większość związana z wujkiem Mao (że też ludzie nie zauważają tego, że cep umarł w 1976 roku i jakoś szybciotko im się poprawiło) i oczywiście 35 maja 1989 roku.

Zastanawiam się, czy Partię należy winić za poziom ludzi. Z jednej strony kładą im do głowy bzdury, z drugiej nam też kładą, a jakoś nie wierzymy we wszystko, co nam powie TV albo ekspert. Ogólnie podziwiam ich za efektywność i trzymanie tego wszystkiego w ryzach. Politycy w stylu polskich by tu popłynęli w tydzień. Jeżeli spojrzymy na historię Chin dekadami, to od niemal 40 lat każda kolejna jest lepsza. Ludziom się poprawia, fakt, że z poziomu absolutnej nędzy, ale powoli wychodzą na prostą, ostatnio nawet coraz szybciej. Na początku roku 2013 zniesiono obowiązek wizowy na pobyty tranzytowe w Pekinie, potem dodano jeszcze parę miast, efekty cudowne. Jestem pod ogromnym wrażeniem licznych systemów metr w całych Chinach, wiaduktów siedmiopoziomowych w Szanghaju, to są inwestycje, których na Zachodzie pewnie by nie zrealizowano, w krajach azjatyckich Bangkok i Kuala Lumpur są w okolicach tej ligi, ale jednak nie aż w tej. To wszystko wymaga niesamowitej koordynacji, myślenia, planowania i wykorzystywania zasobów ludzkich. Ma to nierzadko i ciemną stronę, w Pekinie zburzono niegdyś mury miejskie, żeby postawić obwodnicę, w Guangzhou zniszczono groby, pełno takich rzeczy odwalili w ramach modernizacji kraju. Co wyklinamy czasem pociągi to jedno, ale wszystko się poprawiło w ciągu ostatnich paru lat i dalej modernizuje.

Są pewne podobieństwa między systemami mono- i demokratycznym. Kolega mi się skarżył, że u nich władza kłamie w temacie bezrobocia. No a u nas to mówi najszczerzą prawdę. Opieka zdrowotna dla bogatych? Tu i tu. Płatne autostrady? Check! Rujnowanie środowiska? O tak, tu wygrywają, ale demokratyczne Indie też grają w ich lidze, chociaż jednak nie aż tak skutecznie.

Czy coś wyróżnia Chiny politycznie na plus? Tu się tępi korupcję, przynajmniej niektórych. Do tego stopnia, że podobno od objęcia urzędu przez Xi Jinpinga sklepy luksusowe w całym kraju plajtują, bo ludzie boją się obnosić ze swoim bogactwem i przestali kupować drogie alkohole (my w to nie możemy uwierzyć, ale tu bywa baijiu za 3000 kuai) i papierosy (jakieś 100 kuai, jak chcesz poszpanować, 50 PLN za paczkę!).

Najpierw poszedł siedzieć pan policjant z Chongqing, potem złożył zeznania i dołączył do niego Bo Xilai, jeden z czołowych polityków kraju i szef Partii w ważnym okręgu. Jego proces trwał PIĘĆ dni. Na Zachodzie trwałby latami, po drodze facet by wszystko przepisał na żonę i szwagra. Tu zaś przepadek majątku i dożywocie (partyjnych podobno nie skazuje się na czapę). Pytanie jednak, na ile skazano go za korupcję, a na ile za postawienie na złą opcję partyjną. Jednak taki Stasiu Łyżwiński miałby tu bardzo krótką piłkę. Obawiam się, że i Lech Wałęsa by nie dał rady za wiele porządzić. Partia trochę dba o standardy. Gdy syn prominenta rozwalil się samochodem na obwodnicy Pekinu, a w aucie znaleziono ciało jego i dwóch kobiet – jednej nagiej, drugiej półnagiej – to tatuś musiał podać się do dymisji, co jest tu uznawane za normalne zachowanie. Trochę to jest podłe: nie widzę powodów do składania urzędu przeze mnie, gdyby (zakładając tak abstrakcyjną sytuację) moja matka pochłala, siupnęła sobie koksu i rozwalila się z nagimi Samoańczykami na pokładzie. Tu jednak wychodzi się z założenia, że skoro to moja rodzina, to i ja taki mogę być. Nie jest

to do końca durne, ale znowu mam w rodzinie ludzi, którzy kierują się nieco innymi zasadami życia niż ja i w życiu nie chciałbym podpisać się pod ich grzechami (a oni pod moimi). Inna sprawa, że ich korupcja jest legendarna, a przeciętny chiński polityk o wiele bogatszy niż jego zachodni kolega. Niemniej ryzyko, że pewnego dnia będzie zmiana warty i posadzą pod zarzutami wzbudzającymi oburzenie społeczne, istnieje.

Obok demokracji istnieje także idea merytokracji. Zakłada ona, że prawo do głosowania mają tylko ludzie, którzy na nie zasługują, definicja tychże jest umowna – mogą to być wykształceni, mogą to być bogaci lub łączący jedno z drugim. Gdy studiowałem sobie nauki polityczne, trochę o tym gadaliśmy. Plusy są takie, że głosują ludzie rozumiejący programy polityczne, rozumiejący realia i nie dający się nabrać na kielbaskę wyborczą. Minusy są takie, że ludzie ci mogą wybierać tylko polityków, którzy będą chcieli robić im dobrze i nic nie pomogą biedniejszym. W pewnym sensie ta idea jest tu realizowana: partia rozpoczyna wyłapywanie potencjalnych członków na etapie przedszkola – najlepsi uczniowie dostają czerwone szarfy pionierów. Z mojego doświadczenia wynika, że człowiek z szarfą niemal zawsze będzie najlepszym uczniem w klasie – w prywatnej szkole mam przegląd kilku publicznych i gdy widzę chusty pod szyjami, to wiem, że tam uzyskam odpowiedź na pytanie. Potem istnieje szansa, że dostanie się na studia i tam zaproszą go do partii. Może się nie zgodzić, według mojej wiedzy obowiązku nie ma i kary nie będzie, ale jakby chciał, to tędy droga do dobrobytu i kariery. Powiedziałbym, że jest to chiński wariant merytokracji, cymbałów do partii się raczej nie wpuszcza. Oczywiście kandydat nie może mieć żadnych zaszłości w stylu rodzina z Tiananmen, dziadek na Tajwanie. Z takimi to nawet sobie na studia nie pójdzie. Jakoś jednak nie słyszano chyba póki co partyjnego mówiącego po angielsku. Sama merytokracja miała miejsce w historii Chin już w II w p.n.e. Jak widzę zdebiliałych kierowców taksówek, sprzedawców arbuzów sikających po płocie, trajkoczące pracownice Tesco, to myślę, że chyba lepiej, że nie mają oni wpływu na kształt polityki tego kraju.

Opowiada się nam, a większość ludzi łyka to bezkrytycznie, że w Chinach jest źle, bo nie ma tu demokracji. Mogę wymienić jakieś trzy tysiące rzeczy, które są złe w Chinach, ale chyba nie załapie się pośród nich temat demokracji, no cenzura się załapie. Co sobie cenię, po zakończeniu procedur imigracyjnych, Chiny mają mnie w dupie. Nie podnoszą mi VAT-u i innych danin, nie oczekują ode mnie niczego, a ja od nich. Życie jest o jakieś trzy długości mniej upierdliwe niż w Polsce. To samo mają obywatele. W roku 2006 byłem w Kanadzie. Z rozmów z przygodnymi ludźmi wyszło mi, że nie mają pojęcia o tym, kto jest ministrem, jaka jest dokładnie struktura władzy, ledwo kojarzyli premiera. Najpierw pomyślałem, że ciemnota. Potem dopiero zdałem sobie sprawę, że mają to w pycie, bo ma to dokładnie zerowy wpływ na ich życie. Chiny są bliższe tego modelu niż polskiego. Tu ludzi też jedno wielkie gje obchodzi, co tam wymyślili w Pekinie, bo na nasze życie w Huainan ma to zazwyczaj zerowy wpływ.

Jedną z chińskich wykładni o polityce jest następująca: dzięki systemowi jednopartyjnemu politycy nie tracą czasu na kłótnie i walkę o wyborców, tylko koncentrują się na realizowaniu programu (ciul wie, jakiego...). Z jednej strony, w partii są różne frakcje, to w końcu tysiące osób na najwyższym szczeblu i miliony niżej, więc są różnice zdań (największa znana w 1989). Z drugiej: tak, to działa i ma sens, przynajmniej tutaj. Z trzeciej: nie, nie chciałbym nie mieć opcji odsunięcia od władzy cymbałów aktualnie ją sprawujących.

Z czwartej: cudowna ostoja demokracji, czyli USA, od ponad wieku oferuje do wyboru całe dwie partie, które często nie różnią się niczym poza osłem i słoniem.

Póki jest rozwój i wszystko plus minus gra, to mają wygodnie i nikt nie będzie raczej walczył, żeby ich odsunąć. Jeżeli jednak pewnego dnia sprawa się rypnie, to wkurwieni pasterze z pochodniami i widłami będą dokładnie wiedzieli, pod jaki adres się udać. Nie będzie jak w PL („a bo to wina poprzedniego premiera i rządu i to do nich idźcie”). Inna sprawa, że ludzie tu tyle znieśli w ciągu ostatnich 60 lat, że nie wiem, co by się musiało wydarzyć, żeby wyszli na ulice, chociaż upadek z wyższego konia boli bardziej.

Problem nie polega jedynie na tym, że Chiny nie są demokracją, problem bardziej zasadza się na tym, że obecnie rządzący w innych krajach są często tak odjebani od życia normalnych ludzi, że już nie wiem, gdzie bardziej. Jasne, miło byłoby gdyby tu zapanował bardziej sprawiedliwy porządek, który dopuszcza do głosu większą ilość poglądów. Problem polega na tym, że chyba niekoniecznie potrzebna im demokracja w naszym stylu, bo po chińsku wyjdzie z niej burdel.

1 października fajerwerków nie odpaliliśmy i raczej się nie zanosz, żebyśmy zostali ich wielkimi fanami, ale w Polsce też nie planujemy zapisywać się do żadnej partii i wychwalać władzy, tylko dlatego, że raz na czas można sobie iść zagłosować, bo potem co? Posłowie, senatorowie z mego regionu ciągle będą wypytywać mnie, co bym chciał zmienić, co też komplikuje mi życie, co dałoby się poprawić? Gdy zaś skończę opowiadać, co też mnie boli, to oni pójdą zatroskani pracować nad nowelizacjami prawa? Ja zaś oddam się pogawędkom z radnymi miejskimi i dzielnicowymi, których bardzo interesuje, co też jeszcze można osiągnąć na szczeblu lokalnym, żeby mi było wygodniej żyć. Tu przynajmniej rzeczywiście nie marnują czasu, żeby mi mydlić oczy.

[12.01.2014]

Tydzień zaczęliśmy od wyprawy do stolicy prowincji celem dokonania *medical checku*. Pozwalam sobie na termin anglojęzyczny, bo po polsku chyba nie ma odpowiednika dokładnego. Taka ogólna medycyna pracy, orzeczenie o zdolności do pracy – jakiej konkretnie, już nie jest powiedziane. Stolicą prowincji Anhui jest Hefei, wdzięczne, kameralne miasto o oficjalnej populacji około siedmiu milionów. Cudowna osada, w której jest beton, wiadukty, wykopy (budują im akurat metro, w Chinach to sprawa nieco mniej unikatowa i dramatyczna niż w Polsce) i minimalny ruch samochodowy odbywający się po pięcio- i sześciopasmówkach. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu, komplet badań zajął niecałą godzinę. W rejestracji gadali po angielsku, może nie szalowo, ale zrozumieliśmy się. Łącznie odwiedziliśmy siedem pomieszczeń: RTG, mocz, krew, EKG, USG brzucha, pomiary wzrostu i wagi, wzrok, ciśnienie i chyba szumy serca jakieś. Człowiek wychodzi z jednego, wchodzi do drugiego. W Polsce to bym tu widział ładną zabawę na tydzień, no przynajmniej cały dzień, a tu godzina. Radość nieco mąciło, że ta przyjemność obecnie stoi 457 RMB za osobę... Srogo, ale wyboru nie ma, chce się pracować w kraju „chińskiego snu”, trzeba się wkupić w łaski. Zresztą w Polsce pewnie i tak wyszłoby to drożej...

Skończyliśmy o 10:10. Potem nas pogrzało i postanowiliśmy pospacerować po mieście. Człowiek był tyle razy, może już nigdy w życiu nie będzie, coś mu ciekawego umknie. O ja pierdole... Zeszło nam ze cztery godziny, podczas których nie widzieliśmy niczego nawet śladowo interesującego. Liczyliśmy, że znajdziemy centrum handlowe z zachodnimi rzeczami w lepszym wyborze, niż oferuje nasza miejscina. „Stare” centrum miasta ma mniej lat niż ja. Oczywiście znaków orientacyjnych za wiele nie ma, bo tylko jakiś popierdolony pojeb mógłby pojechać zwiedzać Hefei, więc pozostało nam łażenie na azymut i pytanie ludzi. Mordęga przez duże M, Kurwa przez nie mniejsze K.

Po dwóch dniach dostaliśmy wyniki badań. Tak się ucieszyliśmy, że mamy wątroby w normie, że się od razu postanowiliśmy napić. Nasz ulubiony bar (jedyne ze stosunkowo sensowną muzyką i obsługą, która mówi nieco po angielsku) otworzył kolejną siedzibę. Zaproszono nas na otwarcie. Wewnętrzny głos zwany doświadczeniem mówił mi, że trzeźwy do domu nie wrócę. Miejsce dość podobne do pierwszego, za to bliżej nas, kibel jeszcze całkiem czysty. Ceremonii otwarcia towarzyszyły oczywiście fajerwerki, ale lepszy efekt wywołało pudło które pozostało po pokazie pirotechnicznym – zaczęło się efektownie palić, oczywiście nikt z obsługi nie wpadł na to, że można je ugasić, tylko wynieśli je na ulicę i tak się uroczo jarzyło przez dobre pół godziny. Chiński odpowiednik wieczoru przy kominku.

Miło nam się siedziało i gadało z Damioenem i Chińczykiem imieniem Ethan. Potem siedzieliśmy z Andym, właścicielem, ochłaj totalny. W pewnym momencie Andy podał Chivas Regal. „Ooo, w końcu dobry alkohol!” – naiwnie pomyśleliśmy... Na pewno do czegoś jest dobry, można nim pewnie wyczyścić zębatki w rowerze, pewnie nawet coś odrdzewić. My to niestety piliśmy. Żarłem do tego kacze głowy. Chivas Regal i kacze głowy. Tym razem były ciepłe i świetnie przyprawione. Próbowaliśmy nimi nawet wznosić toasty, ale Damioen się nie skusił. Udało się jednak stworzyć kaczą wersję bruderschafta – enteschaft, czyli zamiast drineczka kaczy mózdzek. Ponieważ „kaczka” to obecnie moje ulubione słowo po chińsku

(wymowa: „jaaa dzyyy”), to w kółko jeszcze bredziłem, że „jaaaa dzyyy”. Jak Chinka dnia poprzedniego poszła ze mną do marketu (z jej pomocą zakupy trwały jedynie dwa razy dłużej niż zwykle), to też jej mówiłem, że wiem, że kaczką to „jaaa dzy”. Gdy mnie uczniowie podczas jednej z lekcji spytali, co umiem po chińsku, to im też wyjawiałem, że „jaaa dzyyy”.

W drodze powrotnej pan taksówkarz zrobił chyba najlepszy kurs w jego karierze. Podwiózł nas jakiś kilometr, czyli z jednego końca ulicy na drugi, do naszej siedziby.

Nie płacz, kiedy odjadę

[31.01.2014]

Już od ponad tygodnia jesteśmy na wakacjach. Tak nam się spodobało, że zapomnieliśmy dopisać ostatni rozdział naszej opowieści o życiu i pracy w kolorowym Huainan. Nadrabiamy to dzisiaj.

Niektórym brakuje daru wiary. Mi też się w tym temacie nie przelewa. Myślałem, że już do końca świata będę robił na chińskim folwarku pańszczyźnianym, by moja kierowniczką mogła sobie kupić fajniejsze ciuchy. Niemniej magiczny kontrakt dobiegł końca. Po prostu, 19 stycznia to był mój ostatni dzień pracy na rzecz pewnej szkoły.

Kierownictwo postanowiło trzymać w sekrecie fakt mego odejścia. Dołożono starań, by nikt nie wiedział o tym, że już nie będę uświetniał swą osobą ich placówki. Dzięki temu nie wszyscy byli na bieżąco. Chciałem cywilizowanie pożegnać się z ludźmi, z którymi pracowałem przez ostatni rok lub przynajmniej kilka miesięcy. „Chciałem dobrze, wyszło jak zwykle, no chuj, mnie już nie będzie, sobie sami dacie radę albo i nie, *sayonara*, jak mawiają wasi wrogowie”. Paru osobom powiedziałem plus minus to, innym się nie udało. Niech sobie dyrekcja kłamie na całego, i tak moje na wierzch wypłynie, bo Chinki z nudów opłotkują, co trzeba.

Wtajemniczeni (czyli jakaś połowa populacji miasta) wiedzą, że wyjeżdżamy, więc zaprosili nas na *hot pota*. Na którą godzinę można się umówić, gdy mówi się „dinner”? Amerykanin powiedział, że 5-7 wieczorem, Brytyjczyk, 3-7. Chińczycy zaś powiedzieli, że na 11. RANO. Niech będzie, przecież po co bym sobie miał pospać w wolne? Spotkanie z całą pompą, przyszli nauczyciele, którzy już dawno nie pracują z nami, przyszli też wtajemniczeni. Rozmowy w 90% po chińsku, ale przynajmniej pojedliśmy dość dobrze, obalili po piwie, miły start dnia. Koło 13 wydawało się, że to już koniec tych atrakcji, ale nie, myliliśmy się: to teraz do KTV. O kurwa... Chcieli nam sprawić przyjemność, a wyszło nieco inaczej. I to delikatnie mówiąc. Tym razem przynajmniej było ogrzewanie, ale i tak raczej nudno, a do gadania za głośno. Z jedzeniem postarali się bardziej niż szkoła, więc przynajmniej orzeszki, chipsy i po piwie na głowę. Na cztery godziny siedzenia. Małym piwie.

– *W waszej nowej lokalizacji może nie być KTV.*

– *Obawiam się, że będzie, ale dzisiaj nacieszyliśmy się zdecydowanie na zapas.*

Z plotek szkolnych: nowa szkoła w Ningbo na razie kosztowała 50 tysięcy RMB, nie 100. Jak tak dalej będzie topniała ta stawka, to się okaże, że za darmo. Prawdziwie piękny pomysł kryje się jednak w kwestii rekrutacji pracowników: dyrekcja chce zatrudnić ludzi w Huainan i wysłać ich do Zhejiang. Tam mają im zostać opłacone mieszkania, prawdopodobnie pokoje sześćcioosobowe. Bo tak będzie taniej. Teraz przełożę to na realia

polskie: chcesz zatrudnić ludzi w Białymstoku, a potem wysłać ich do Poznania z białostockimi pensjami, by pomieszkali w warunkach akademickich. Idą zakłady:

- Albo nikogo nie znajdują.
- Albo znajdują ludzi na katastrofalnym poziomie. Ludzi, którzy im uciekną, bo w Ningbo znajdują sobie lepsze prace, bo w Ningbo jest nieco więcej szkół angielskiego i o ile pewnie niską ceną dałoby się wiele ugrać, o tyle nie wróżę sukcesu w kwestii jakości.

Potencjalne problemy: w Zhejiang mówią w swoim wariacie chińskiego, tak odmiennym, że ludzie z Anhui go nie rozumieją. Chińczycy są dość rodinni, więc o ile jeszcze pogodzą się z wyjazdem do dużego miasta, by robić karierę i kasę, o tyle trudno zrozumieć, czemu chcieliby oddalić się od rodzin, by mieć to samo, co tu, ale za to przy wyższych kosztach życia.

Tajemnicą poliszynela jest to, że większość nowych nauczycielek jest nieco mniej wykwalifikowana niż poprzednie rozdanie, które sobie poszło do lepszych prac. Narzekają na to rodzice, których intryguje również częstotliwość zmian w obsadzie pedagogicznej, podobnie jak i rozmiar grup. Ostatnio padł rekord: 34 osób w jednej sali! Przypomnę, że to prywatna szkoła. Co jeszcze lepsze: połączono w ten sposób dwie grupy, które są na różnym poziomie zaawansowania. Tę lepszą akurat znam dobrze, więc było mi durnie robić im lekcję, która jest dla nich dowcipem. Dyrekcji nie ruszyło, bo i w następnym tygodniu ich nie podzielili.

Gdy przybyłem, to podobno mieliśmy pod 1500 uczniów. Teraz około 800. Śmiem twierdzić, że to nie moja zasługa. Rok temu byli tu ludzie z doświadczeniem (chińskim, bo chińskim, ale jednak). Teraz mamy świeżynki po studiach. Przykręćcie jeszcze trochę śrubę, płacicie jeszcze mniej, to na pewno wam się to nie rozpiardoli z łoskotem.

Recepta ratunkowa jest prosta: dać ludziom motywację finansową, zagonić do roboty tych, którzy siedzą i grają na tabletach (w wielu przypadkach nie wiem jakiej roboty, chyba jedynie miotłę im dać), rozwiązać od dawna zgłaszane kwestie (rozmiar grup, rodzice w salach) i mieć nadzieję, że nie jest za późno. Ale o czym ja mówię, skoro nowi nauczyciele nie mają żadnych umów i pracują za jakieś śmieszne grosze, a pierwsza wypłata kończy się dzikim dramatem i nieporozumieniem? Skoro przez TRZY miesiące nie udaje się znaleźć rozwiązania takiego problemu, że nauczycielka idzie na macierzyński, więc może ktoś powinien przejąć jej grupę? Że kolejna odchodzi za dwa tygodnie, inna w kwietniu, a następne dwie są w ciąży? To już nie mój burdel i nie moje dziwki, ale po raz kolejny widzę, jak zachłanność morduje biznes, który mógłby wyżywić legion.

Były też smutne aspekty wyjazdu z Huainan. Po raz ostatni spotkałem się z Davidem. Nie znam słów w żadnym języku, by wyrazić moje uczucia wobec jego osoby. W sumie żegnaliśmy się aż trzy razy, on chyba też nie zaczął żywić obrzydzenia wobec mnie. Pożegnanie numer jeden to KTV, numer dwa w naszym mieszkaniu – wszedł na chwilę, żeby zabrać jakieś niepotrzebne nam rzeczy. Gadaliśmy ponad dwie godziny. O wszystkim, tak jak zawsze.

O Chinach, Polsce, Europie, Azji, bananach, aronii i cenach lotów. Ja piłem piwo, on mleczną herbatę. W sumie też jak zawsze. Dałem mu wielkiego kota, który macha łapą i przynosi szczęście. Kupiliśmy go razem w kwietniu, za moją pierwszą wypłatą (niecałą, 90 RMB kosztował – David wyszukał przecenę ze 135), z racji rozmiarów nie było szans, żeby go tachać ze sobą. Trzeci raz, w ostatni dzień, gdy nas odwiózł na dworzec i czekał z nami

na spóźniony autobus. Gdy odjeżdżaliśmy, stwierdziłem, że przez ten rok tak bardzo go polubiłem, że chyba nawet mógłbym przyjechać do Huainan, żeby go ponownie spotkać.

Zaprosił mnie rzecz jasna i kierownik. W samo południe obaliliśmy baijiu, pooglądaliśmy porady zdrowotne wiszące na ścianach restauracji i pożegnaliśmy się. Oczywiście nie mówiłem, że będę dalej w Chinach, więc wymyślił, że powinienem jechać do domu, spotkać bliskich, a potem wrócić. Najlepiej samemu i oczywiście znowu pracować u nich, bo już mogą zatrudniać obcokrajowców. Chinki obiecywały sprzedawać newsy, czy ktoś się pojawi na moje miejsce, a jeżeli tak, to jakie będą tego efekty. Wierzę, że pocieszne.

Nasz ostatni dzień roku węża w Chinach był krótki: pojechaliśmy na lotnisko w Wuhan i wsiedliśmy w samolot do Bangkoku, tym samym zostawiając za sobą zimnicę i wielkie obchody nowego roku chińskiego (czytaj: największą migrację we współczesnym świecie, to zaś czytaj: tłok i drożyzna). Powrócimy dopiero w roku konia, zwierzęcia bez wątplenia bardziej przyjaznego niż wąż.

[19.02.2014]

W obliczu końca kontraktu stanąłem przed dylematem: co dalej? Chiny Ludowe czy jednak nie Chiny Ludowe? Większość ludzi zdrowych na umyśle ucieka z Chin po skończeniu swego kontraktu (a niemało osób i wcześniej). Jeżeli ktoś zostaje, dokłada starań, żeby przenieść się do któregoś z wielkich miast, gdzie zarobki są wyższe, a życie nieco bardziej cywilizowane, w rozumieniu: jak na Zachodzie. Trend ten nieco mnie dziwi, bo duże chińskie miasta są strasznie zanieczyszczone, podobnie zatłoczone, a i przestrzeń jest w nich o wiele droższa, chociaż oczywiście miło móc sobie kupić ser żółty i normalne pieczywo.

Wyższe zarobki większość wydaje na życie (opłacić sobie mieszkanie w Szanghaju...), natomiast zadupia są dość dobre do oszczędzania, bo w tango nie ma gdzie pójść. Trochę o tym pogadaliśmy, trochę inne okoliczności pomogły podjąć decyzję. Napisaliśmy do organizacji mnie opłacającej, czy nie chcieliby może zatrudnić nas obojga na jeszcze semestr, dać mi jakąś podwyżkę i relokować – najlepiej na południe kraju, najlepiej do szkoły ze starszymi uczniami. Wiele sobie nie obiecywaliśmy, ale uznaliśmy, że jeżeli chociaż trochę będą udawali, że starają się uszanować nasze wole (taka część przeliku u ptaków), to zostaniemy. Odpowiedź była szokująca: wszystkie zachcianki obiecano nam spełnić, podwyżki 10%. Prawdopodobnie dlatego, że takich wariatów, którzy po roku w prywatnej szkole chcą dalej siedzieć w Chinach, to jeszcze nie mieli. Potem pomyśleliśmy: „a, tak napisali, że zrobią, potem się okaże, że się nie da”. Im bliżej było terminu, tym bardziej wychodziło, że nie okłamali. Wypłatę dostaniemy dopiero za chwilę, ale obecnie oboje cieszymy się legalnymi papierami do pracy przez najbliższy rok, jesteśmy na południu Chin w prowincji Hunan, a nasi uczniowie urodzili się w okolicach 1998-1999 roku.

Chyba bardzo się nie pomyłę, gdy założę, że nazwa „Hunan” nikomu na Zachodzie wiele nie mówi. Gdy oznajmiliśmy Davidowi, dokąd nas wyślą, rzucił od razu: „the spiciest food in China”. Po chwili namysłu dodał, że to miejsce narodzin Mao Zedonga i że jak my tu sobie pozwalaliśmy znieważać Wodza, to tam nas zabiją, gdy będziemy upierali się na bardziej zachodnią wersję oceny dokonań Wielkiego Sternika. Ponieważ nigdy mu nie ujawniliśmy nawet połowy swych przemyśleń nt. Geniusza Hunanu, zrobiło się trochę strasznie. Na pociechę dowiedzieliśmy się, że w Hunanie jest wiele skalnych parków. Geograficznie ustaliliśmy, że stolicą jest Changsha, a drugie ważne miasto to Shaoyang. O naszej docelowej miejscinie dowiedzieliśmy się, że istnieje, jest około godziny drogi z Shaoyang i że łowi się w niej ryby na dynamit. Aż chciało się jechać! Najważniejsze: w Hunanie nie ma za wiele przemysłu, czyli istnieje szansa, że odetchniemy – dosłownie sprawę ujmując, a także odświeżymy sobie, jak wygląda niebo.

Droga do Hunanu wiodła przez wakacje w Tajlandii, przylot do Makau i przepływ do Hongkongu. Jeżeli ktoś potrzebuje informacji o obecnych regulacjach wizowych ChRL, to służymy. Sprawa jest raczej nudna, wymaga przynajmniej dwóch dni, 1320 HKD i niezłego kawałka lasu równikowego wyciętego na formularze, deklaracje i inne pierdoły, które akurat uznawane są za bardzo ważne w tym sezonie.

Główna siedziba naszej organizacji mieści się w Yangshuo, jednej z flagowych destynacji turystycznych Chin. Śliczne góry, dwie wielkie ulice handlowe, pełno knajp z dziewczynkami, restauracji, a angielski to zna nawet pani w budce z piwem. To taki wygaszacz ekranu dla nowych nauczycieli: „patrzcie jakie te Chiny piękne, proste i jak łatwo zachodnie rzeczy kupić”. No a potem jedziesz na zadupie i możesz sobie wspominać Yangshuo, dziewczynki z barów, ludzi mówiących po angielsku i czyste powietrze. Przejechaliśmy przez kwaterę główną i wypełniliśmy trochę papierów. W Chinach nigdy nie jest tak, że nie da się wypełnić kolejnego formularza, podpisywać swoich danych, numerów wiz, czy też polepić zdjęć. Chyba nawet dzieci w przedszkolach siedzą, piszą swoje dane i lepią zdjęcia, najlepsza zabawa z możliwych.

Przydzielono nam opiekuna, który miał zająć się przetransportowaniem nas do Dongkou. Przedstawił się jako Donald, imię, które zapewne otrzymał ze względu na uderzające podobieństwo do takiego kaczora znanego z filmów animowanych. Wyruszyliśmy wcześniej rano, najpierw do Guilin, potem złapaliśmy pociąg do Yongzhou (tyle samo mi to mówi, co i każdemu Polakowi). Fajnie mieć Donalda, bilety pójdzie kupić, żarcie zamówi. W Yongzhou czekał na nas samochód ze szkolnym kierowcą i nauczycielem angielskiego. Przesadnie się nie wyluzowaliśmy i jakoś szaleńczo dużo nie gadaliśmy, trochę o szkole, trochę o kraju. Zapytał mnie o ulubione miasto w Chinach. Mówię, że Szanghaj, on że jego to Hongkong. Kusiło mnie:

– *Ej, pytałeś w Chinach!*

On dość dziwnie patrzył, gdy wyraziliśmy zachwyt tym, że nie widać żadnych fabryk, a za to widać słońce. Pożyj sobie rok w Anhui, to zrozumiesz. Przy lunchu zadeklarowaliśmy chorobę psychiczną, czyli niechęć do mięsa. Tak, do ryb też. Znając chińskie ryby i sposób ich podawania (jeb całą rybę w tłustą zupę, szukaj tam sobie mięsa między płetwami, głową i ogonem), po roku postanowiliśmy zrezygnować i z rybiny. Jedno z podanych dań utwierdziło nas w przekonaniu, iż była to słuszna decyzja. Namawiano mnie nawet na piwo, ale ja znam te numery, najpierw namawiamy na picie, a potem się napierdala, że chłop przyjechał chlać, a nie pracować.

W Dongkou zabrano nas do naszego nowego mieszkania. Pierwsze odczucia były mieszane: sypialnia i salon niezłe, ale kuchnia i łazienka przez wspólny korytarz, na którym sąsiadka hoduje koguta? No cóż, lubię zwierzęta, da się żyć, ale prywatność nie wydaje się być priorytetem dla naszych gospodarzy. Po chwili jednak nastroje nam się poprawiły: wszystko fabrycznie nowe – lodówka, płyta do gotowania, garnki, bojler, toaleta, pralka, saturator do wody, klimatyzacja, komputer, głośniki, meble, w tym łóżko i pościel. Bierzemy, koniec z horrorem w wesołym mieszkaniu z lat 80-tych, gdzie odpadają krany, drzwi do lodówki, a patelnia ma za sobą dwie generacje chińskich rodzin.

Ponieważ Dongkou jest w Hunanie, a Hunan jest w Chinach, zabrano nas bardzo szybko do restauracji („Może powinniśmy się lepiej ubrać? Nieważne, nieważne, idziemy!”). Byliśmy przerażeni: nikt nie palił, nikt nie przyniósł baijiu, nikt nie pluł i nie smarkał. Żeby chociaż charknąć, beknąć może? Przyszedł FAO (Foreign Affairs Officer), ubrany w całkiem dobre ciuchy i wyglądający wielce cywilizowanie. Przyszła Jenny, która miała się nami zajmować – Harry oficjalnie mniej, ale zadeklarował, że możemy go nękać o każdej porze dnia i nocy. Ma sens, że dali nam Jenny, która mówi po angielsku o wiele gorzej od niego i sprawdza w słowniku słowo *director* – pomyślałem. Honor uratował i najlepsze

wrażenie zrobił na nas szef ochrony: ciuchy menela, ledwo wszedł, to zapalił i już w sumie nie przestawał ćmić, zaraz też pojawiło się piwo. Z lekkim opóźnieniem przybył dyrektor całej szkoły, szczęśliwie nawalony jak stodoła i cuchnący baijiu. Poczęstował mnie najlepszymi papierosami z Hunanu i po 20 minutach poszedł, bo ma dużo roboty (a pewnie raczej dlatego, że angielskiego w szkole nie miał, za to teraz miał baijiu).

Zabawa trwała w najlepsze, obaliliśmy około piętnastu piw, wymieniliśmy standardowe uprzejmości („to zaszczyt, że do nas przyjechaliście” – „to zaszczyt, że nas goście”). Dowiedzieliśmy się, że w szkole jest zaledwie około 5000 uczniów, klasy po jakieś 60-80 osób. Mniej więcej tego oczekiwaliśmy, tak samo, jak oczekiwaliśmy, że dadzą jakieś porąbane kości z mięsem, kolejną rybę i troszeczkę zieleniny. Popasu wielkiego nie było, ale i głodni od stołu nie odchodziliśmy.

Po jakiejś godzinie miał miejsce raczej niecodzienny incydent: do naszego pokoju restauracyjnego wparował dość donośnie młodzieniec – drzwi otworzył z kopa i coś krzyknął, wyglądało i brzmiało na to, że kazał nam wypierdalać. Nasz FAO (do tej pory udało się nam go umiejscowić jako nieco starszego Jackiego Chana) wziął go na spacer. W czasie trwania tegoż musiał chyba biedaka usynowić dość dobrze (sukinsynu-skurwysynu), bo gdy wychodziliśmy, to chłopak prawie ryczał.

Baliśmy się, że zapraszają nas do KTV, a tego byśmy chyba nie dali rady, nie pierwszego dnia, błagamy! Szczęśliwie zabrali nas do sklepu, żeby dokupić najważniejsze rzeczy do naszego mieszkania. Centrum handlowe rozmiarów rozsądnych, chiński standard – na drugim piętrze sprzęty domowe, ciuchy i kosmetyki, na pierwszym jedzenie. Wokół tego smętnie snuje się obsługa, której jest za dużo i która nie ma niczego do roboty. Nie wierzyliśmy, nasi gospodarze upierali się, żeby wszystko brać jak najdroższe i najlepsze (czyżby tak się tutaj defraudowało państwowe pieniądze?). Beknęli łącznie ponad 1800 RMB, dostaliśmy nawet ponad kilogram kawy, jogurty, pełne wyposażenie kuchni, ręczniki, zastawę stołową, trzy koszyki pełne różnych sprzętów. Że było nam durnie, to mało. Ledwo się zmieściło w bagażniku samochodu terenowego.

Koło 23 udało nam się to wszystko jakoś rozłożyć po mieszkaniu i mogliśmy w końcu runąć na ryje, uprzednio umywszy się luksusowymi kosmetykami w gorącej wodzie i wytarłszy się nowymi ręcznikami. Zasypialiśmy przy naszym nowiutkim grzejniku i cieszyliśmy się temperaturą nieosiągalną w poprzednim przybytku. Z jednej strony, wszyscy (a Chińczycy to już szczególnie) robią nowym nauczycielom na dzień dobry wygaszacz ekranu. Z drugiej jednak strony, rzadko tworzą aż tak piękną i drogocenną makatkę.

Jak zdobywano Dziki Wschód

[26.02.2014]

Kochany pracodawca wylicza nam pensję według dość prostego schematu: wynagrodzenie podzielone przez liczbę dni w miesiącu. Jeżeli miesiąc ma dni 30, dostaje się za każdy nieco więcej niż gdy ma 31. Dlatego chorować lepiej w grudniu niż w listopadzie, bo mniej człowiekowi potrąca za dni, które przepadły. Najlepiej oczywiście pracować jak najwięcej w lutym. Wymyśliłem więc, że chociaż jesteśmy zrabani po podróznym czwartku, to upieramy się, żeby pracować w piątek – w ten sposób zapłacą nam też za dwa dni weekendowe, a prawdopodobieństwo, że się zajedziemy, było niskie.



Moja reakcja na propozycję spotkania w szkole o 9:30 w piątek była więc taka
(źródło: Quickmeme.com)

Ku naszemu pewnemu zaskoczeniu w szkole w miarę wiedzieli, co z nami robić, zupełnie jak nie Chiny. Wprawdzie posiedzieliśmy sobie jakieś 30 minut, jedząc orzeszki i pijąc wrzątek, ale w jakieś dwie godziny udało się ustalić plan zajęć i pokazać nam pi razy drzwi, gdzie która klasa, a gdzie boisko i potencjalne gniazdo rozpusty, czyli żeński internat. Dostaliśmy też własne biuro. W życiu nie miałem biura, korpoboks to najlepsze, co miałem, zazwyczaj to i biurko trudno było wywalczyć, a tu biuro na dobre 20m². Ściany, jakby ktoś właśnie po nich rzygnął, szyba w oknie trochę wybita, ale dali nam grzejnik, saturator do wody i dwa biurka z solidnymi fotelami.

Szkoła oczywiście gigantyczna: pracujemy w nowym budynku, gdzie są klasy 1 i 2, czyli uczniowie 15-17 lat. Mieszkamy zaś w starym, obok nas uczęszcza poziom trzeci, z którym nie mamy lekcji, bo nie mają czasu na pierdoły, tylko uczą się do Gaokao, żeby dostać się na uniwersytet, zrobić wielką karierę i żyć chińskim snem. Ledwo skończyliśmy tour,

przydzielono nam nową opiekunkę. Okazało się, że Jenny ma jakieś inne, szalenie ważne obowiązki, zaś od teraz zajmie się nami Shirley. Mądrzejszych ludzi też już w życiu spotykałem, ale płakać też nie było o co, po angielsku rozumiała lepiej niż poprzedniczka, a i tamta w najbliższym czasie nie podniesie liczby chińskich laureatów Nobla.

Wiedzieliśmy bardzo dobrze, że Donald jest w delegacji. Pewności nabraliśmy, gdy zabrał nas na kolację. Że zamówił w cholerę żarcia, to jedno, to norma (bo jak zabraknie, to tracisz twarz, więc lepiej powyrzucać, niż żeby goście zjedli do końca), ale że to wpierniczył wszystko, i to głównie samemu... Nie wiem, jak średnich rozmiarów Chińczyk może zjeść wielką rybę, pół miski makaronu, kilka ciastek, pełno warzyw, potrawkę mięsną i zapić litrem słodkiego napoju kukurydzianego, a na koniec dojeść ryżem. My we dwójkę nie skonsumowaliśmy nawet połowy tego, co nasz zachłanny towarzysz.

Wiedzieliśmy też, że pierwszy weekend będzie nie nasz, więc nawet się nie schlaliśmy. Chińczycy bardzo lubią dowiadywać się, że ich kraj jest specyficzny. W sensie nie o tym, że wrzucają ludzi z Falun Gong do więzień i cenzurują na potęgę, a o tym, że tyle ciekawych rzeczy w sklepach i że takie to skomplikowane. Dzięki rocznemu doświadczeniu poszło nam nieźle, Shirley była pod wrażeniem tego, że potrafimy sami zrobić zakupy i gotować. Musiała to oczywiście naocznie sprawdzić.

Nasz koguci sąsiad z korytarza wyprowadził się w sobotę, a raczej został zaproszony na obiad. Akurat paliłem, więc widziałem, jak sąsiadka go zabiera. Wyciągnęła go z klatki za nogi. Chwilę walczył, a potem się porobił ze strachu. Gospodyni była przygotowana na to, miała pióra po poprzednim kogucie, wytarła nieszczęśnikowi podogonie i zabrała go do kuchni. Usłyszałem jeszcze trzepot skrzydeł, suchy trzask i ostatni szelest brata koguta. Potem jeszcze można było wyczuć jego obecność na bankiecie, który zaszczyciły swą obecnością kumy sąsiadki (o jaki trajkot, aż palić się odechciało wychodzić).

W niedzielę zaprosili nas na lunch, czyli chłanie. Poznaliśmy całą galerię nauczycieli z naszej szkoły. Po angielsku wiele nie mówili, ale jedni chcieli sobie robić z nami foty, inni zapalić i napić się. Zachwyceni, że nam ostre smakuje, my zachwyceni, że ostre, mała, hunañska idylla. Co najważniejsze: bez baijiu! Zamiast tego łotaliśmy wino ryżowe z czajnika. Zaskakująco smaczne, zaskakująco wiele razy Harry musiał chodzić domawiać. Bawiło mnie, że kolesie mieli mnie za gieroja, bo robiłem szklankę na raz. Po baijiu to to jest dziecięcy poziom picia.

Potem nastąpiło nieuniknione: KTV. Wszystkie nasze dotychczasowe wizyty w KTV sprowadzały się do tego, że o ile my jeszcze jakoś tam się wczuwamy i drzemy ryje na całego, o tyle Chińczycy stoją, jakby im kij w odbycie wsadzili i deklamują zaangażowane liryki miłosne niczym maturzysta Norwida. Trwa to godzinami, po dwóch nie wie się, czego się chwytać, gdybym nie był chłopcem, to nie miałbym się tam w ogóle czym bawić. Ponieważ wszystko kosztuje w cholerę, to pije się wrzątek i zagryza arbuzem (pierwsze za darmo, drugie chyba też). Budynki KTV są nieco w stylu twierdz, ogromne gmaszyska z setkami sal, w drodze do kibla idzie się pogubić. Nie wypadało nam jednak odmówić nieco kulturalnej rozrywki, więc przesadnie nie oponowaliśmy, KTV z nowymi współpracownikami, trzeba to przejść, podobnie jak ospę w dzieciństwie. Tu jednak nastąpiło zaskoczenie: nasi nowi koledzy mają styl nieco bardziej zbliżony do naszego. Zwłaszcza jeden, który się niezgorzej nawalił winem ryżowym, zadawał szyku, skakał, darł się. Również i Donald się nie oszczędzał, nastrój nam się w miarę udzielił i przerobiliśmy w jedno popołudnie więcej piosenek niż przez cały zeszły

rok. Chwilami był to istny szal, chińscy współpracownicy nie bardzo dawali sobie radę z angielskim, więc krzyczeli do mikrofonów „aaaa”, „eeee”, „yeaaaaa”, specjalnie nie trafiając w miejsca, gdzie śpiewanie tego miałoby jakikolwiek sens. Najbardziej aktywny zawodnik wziął mnie na plecy i nosił po pokoju. Szkoda tylko, że nie zrobili poprawki z wina ryżowego, bo byśmy się ubawili jeszcze bardziej.

Jednak w końcu przyjechaliśmy tu do pracy, a nie imprezować i bawić się (no, przynajmniej oficjalnie). Oczywiście cały tydzień stawialiśmy się trzeźwi, czysti i wypoczęci. Mamy po 23 klasy, w każdej możemy robić tę samą lekcję, co nieco skraca czas konieczny do planowania. Na pierwszy ogień poszła zgadywanka: zgadnijcie, jakie jest moje ulubione zwierzę? Tak, kot, bo koty są niezależne, mądre i ładne. Nie lubię węży, bo mogą ujebać. A wasze ulubione zwierzęta? Zgadnijcie, jakie jest moje ulubione miasto w Chinach? Szanghaj, bo lubię nowoczesną architekturę i te wszystkie wielkie budynki. A wasze? I tak kilka razy, o jedzeniu, przedmiotach szkolnych, planach na lato. Zakładając, że idealna lekcja to 70-30 (70% czasu mówią uczniowie, 30% nauczyciel), to byliśmy daleko, bliżej 50-50, ale w niektórych klasach nawet to szło. Broń jest niestety obosieczna, wyobraźcie sobie ten ogień do opowiadania po raz osiemnasty o tym, że lubi się pomidory, a nie jada kaczek. Gdyby jeszcze uczniowie walili jakieś fajne odpowiedzi, a tu większość sadziła dokładnie to samo.

Mawiają, że raz do roku i nienabita strzelba musi wypalić, a jak się ma ponad 1000 uczniów, to czasem się trafi coś minimalnie kreatywnego. Wygrał wszystko chłopak, który zapytany o ulubiony dzień tygodnia odpowiedział, że lubi niedzielne popołudnia, bo wtedy może siedzieć w wannie i się samemu bawić. Było parę fajnych abstrakcji, np. „Nazywam się Szczur, więc nie lubię kotów, bo mi zagrażają”.

Inny budował wszystkie odpowiedzi na swej pasji do wędkarstwa – nie lubię kotów, bo to moja konkurencja w łowieniu ryb, lubię nadmorskie miasta, bo tam można łowić ryby, chciałbym studiować gdzieś nad morzem, bo ryby. W weekend pojadę na ryby, w te wakacje pojadę na ryby, w życiu chciałbym łowić ryby. Tu się chociaż uśmiełem, bo większość banał i musimy się więcej uczyć dla dobra naszego kraju.

Chińczycy nieco inaczej rozumieją ideę imienia. O żadnym świętym im oczywiście nie mogę powiedzieć, więc za bardzo nie da się tego wyjaśnić, że w świecie zachodnim nie używa się imion takich jak Smok, Szczur, Tiny Thinking, Foolish. Również nie bardzo da się przybrać imienia i nazwiska po kimś znanym – w jednej klasie miałem Obamę, zebraliśmy łącznie trzech bin Ladenów i kilkunastu Kobe Bryantów. Nie brakuje entuzjastów personaliów w stylu LZH, XCS – wołaj takiego do odpowiedzi, jak on swojego imienia nie rozumie. Intryguje, czy uczeń o imieniu Fuck Sky wie, co sobie wybrał i czy napisze kiedyś to imię na jakimś teście. 23 lekcje razy 40 minut daje w sumie 920 minut, jak doliczę sobie okienka i przerwy lunchowo-obiadowe, to spędzam w szkole około 32 godzin, połowę z tego zajmując się swoimi sprawami, gadając z nauczycielami, uczniami, pisząc im komentarze po lekcjach, jedząc i pijąc herbatę. Szczęśliwie nie zaczynam za wcześnie, raz nawet o 11:50, więc mogę się solidnie wyspać.

Refleksje po pierwszym tygodniu w małej chińskiej szkółce na prerii:

- Klasy po 60-80 osób da się uczyć, chociaż raczej przeprowadzać lekcje, a nie nauczyć. Wielka w tym zasługa uczniów, którzy są wytrenowani do siedzenia cicho. Uczy się de facto góra dziesięć osób, a resztę ma się jako tło.
- Spodziewałem się poziomu dna i donośnych odgłosów pukania od spodu. Szczęśliwie, w większości klas jest kilka osób, które są w stanie coś tam powiedzieć. Poprzeczkę zawiesiłem już tak nisko, że niemal leży na linii bramkowej. Mają tu zwyczaj nagradzania oklaskami poprawnych odpowiedzi, więc jeżeli nieszczęśnik powie trzy zdania (choćby totalnie połamane), to ma owacje. Chwalę w sumie każdą próbę zabrania głosu. Zobaczymy, dokąd na tym dojadę – czy uznają, że „co za cymbał, cieszy go cokolwiek, co wydukam”, czy też może więcej osób zacznie próbować mówić.
- Uczniowie mają przynajmniej siedem lekcji języka wroga w tygodniu, niektórzy nawet i 9. Jest to ich jakiś dziesiąty rok nauki angielskiego. Ze mną każda grupa ma po jednej, więc wiele się spinać nie muszę, że niczego nie potrafią i gje na tym egzaminie napiszą. Jest rzeczą niewiarygodną, że po tylu latach i takiej liczbie godzin języka ludzie ci mają tak straszne kłopoty ze skleceniem zdania, które ma sens i chociaż śladową strukturę, nie wspominając nawet o nieco swobodniejszym mówieniu. Większość tych problemów jest związana z myśleniem (lub też jego nieobecnością), które z kolei jest efektem tego cudownego systemu edukacyjnego, ale to temat na osobne rozważania.

Jak wszyscy zainteresowani wiedzą, w niedzielę skończyły się IO w Soczi, Kanada podwójnie wygrała w hokeja, Polska wygrała klasyfikację generalną z Chinami, ogólna idylla. O czym już mało kto wie, w ten sam trend wpisał się nasz sobotni wieczór. Do swego domu rodzinnego zaprosiła nas uczennica trzeciego roku. Przyszła w piątkowy wieczór, miała kartkę, a na niej zapisane, co chce powiedzieć. Po jakichś piętnastu minutach rozmowy spytała, czy byłoby możliwe, żebyśmy odwiedzili jej dom. Byłoby, wielkich planów na weekend nie mieliśmy, a istniała szansa, że się ubawimy, w najgorszym razie przeżyjemy ze dwie godziny nudy. Postanowiłem powiedzieć o tym naszym opiekunom, tak na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że to jakaś straszna zbrodnia – do mnie do domu nauczyciele towarzysko nie przychodzili – to lepiej się wywinąć z tego. Trochę dymu oczywiście było. Parę smsów i rozmów też. W końcu udało nam się przekonać ich, że NIE BOIMY SIĘ OSIEMNASTOLETNIJ CHINKI, KTÓRA JĄKA SIĘ Z NERWÓW, GDY Z NAMI ROZMAWIA!!! Podejrzewaliśmy też nieśmiało, że jej krewni to raczej nie ludzie z kategorii rodziny Sawyerów z *The Texas Chainsaw Massacre*.

Nasza nowa chińska przyjaciółka ma na imię mniej więcej Niuje. Jej głównym dramatem jest to, że nie chce żyć chińskim snem, nie chce mieć męża, wyższego wykształcenia i dobrej pracy w dużym mieście, bo chce malować. Chciała, żebyśmy to wyjaśnili jej rodzicom, ale szczęśliwie nie dobrnęliśmy do takich tematów. Pogadaliśmy ze wszystkimi, oni płakali, że nie wiedzieli wcześniej, że nie jemy mięsa i że wszędzie bekon i kaczka, my, że przepraszamy, że nam wystarczy z naddatkiem to, co jest bez mięsa. Zadali nam wszystkie standardowe pytania, udzieliliśmy wszystkich standardowych odpowiedzi (Chiny takie piękne, ludzie tacy mili, uszanowanko, bardzo nam tu dobrze, ładnie bardzo i przyjemnie). Mieszkanie mieli czyste aż do przesady, gdyby ich ktoś wywiózł do laogaiu, to nie

znaleźlibyśmy chyba wielu śladów obecności lokatorów. Żadnych dekoracji, gołe ściany, tylko TV, typowy stół, typowe plastikowe krzeselka dookoła niego, saturator do wody, kuchnia z szablonu, wszystko bez żadnych śladów personalizacji. Pooglądaliśmy ich zdjęcia z czasów, gdy mieszkali w Shenzhen – trafia mnie niemal, ilekroć widzę, że ludzie wywalają dobry biznes, bo muszą wracać zajmować się rodziną. Mieli tam cukiernię, ale oczywiście trzeba było wrócić do rodziców na zadupie w Hunanie. Oczywiście też, że tego za nic nie można powiedzieć.

Potem gadaliśmy głównie z Niuje i próbowaliśmy jej wyjaśnić, że jeżeli chce opuścić Chiny, to musi mieć paszport, a to chyba nie tak łatwo u nich dostać. Do tego jeszcze musi mieć jakąś wizę, jeżeli chce do Unii lub USA. Dużą częścią dramatu jej życia jest to, że jej zabronili rysować i malować, bo ma się uczyć do egzaminu na studia. Przez to rok wcześniej uciekła z domu na tydzień i wcale nie chciała wracać, ale nie wystarczyło jej pieniędzy na dłuższą rozłąkę z rodziną. Sugerowaliśmy, że może mogłaby studiować coś bardziej artystycznego, ale kochani rodzice wybrali jej klasę z fizyką i chemią (których to oczywiście nienawidzi), więc musi iść na studia techniczne. Zasugerowałam, że może niech już idzie na te techniczne (na jakieś tam ją przyjmą) i wtedy spróbuje się uniezależnić finansowo. Dziewczyna (jak na poziom naszych uczniów) świetnie mówiła po angielsku, więc też i w tę stronę sugerowaliśmy, że może próbować angielski, znamy nauczycielki, które mówią gorzej od niej. Okazało się, że na tle klasy jest raczej średnia, ma wyniki z testów w okolicach 60-70%. Pokazała nam te testy, typowa mordęga, która zniechęci każdego do nauki języka, wybierz pomiędzy past perfect, past perfect continuous, passive past perfect continuous... Pytania do czytanek łatwe, ale słownictwo przesadnie wyszukane. Pocieszyliśmy ją, że to nie takie ważne w życiu, że w tekście o kosmitach źle wybrała tytuł paragrafu.

Na koniec zrobiliśmy sobie wszyscy zdjęcia, a Niuje uparła się wynagrodzić nam bardzo skromną kolację (jakieś cztery-pięć misek jedzenia, do pierwszych wymiotów niemalże) i podarowała kilka kilo mandarynek, orzechów, ostrego tofu i żużub. Mimo szczodrych prezentów nie wychodziliśmy w skowronkach. Po pierwsze, nie wydaje nam się, żeby nasza koleżanka wpasowała się w to piękne społeczeństwo, a w Chinach jest bardzo mało opcji bycia poza nim (i nie że Polska człowieka rozpieszcza wyborem ścieżek kariery, ale aż tak strasznie jeszcze nie jest). W Hunanie jeszcze mniej. Po drugie, wymyślono, że jak nie jemy mięsa, to i na pewno nie pijemy, więc ojciec nie podał nam wcześniej przygotowanego baijiu. Patrzyliśmy więc kaprawym wzrokiem na butelkę w jednym rogu pokoju i fachowy słój do fermentacji przy drzwiach do kuchni.

Niuje nie jest jedyną osobą, która nas odwiedziła. Przychodzą zazwyczaj w grupie kilkorga uczniów, jedna jest tłumaczem, ma na kartkach zapisane dwadzieścia rzeczy, które chce nam powiedzieć. Chwała, jeżeli rozumie informację zwrotną, zazwyczaj wymaga to trochę gimnastyki, czasem słowa po chińsku z naszej strony. Wzruszyła nas silna liczbą grupa, która wizytę rozpoczęła od śmiałej i odważnej deklaracji:

– *Nie jesteśmy komunistami!*

Jeszcze parę miesięcy naszej dywersji i odzyskamy odwiecznie piastowski gród Pekin!

[6.03.2014]

Nasz drugi tydzień w szkole imienia Pierwszej Średniej spędziliśmy bardzo spokojnie. Korzystając ze zwycięskiej formuły z tygodnia poprzedniego, przygotowaliśmy dla wszystkich klas to samo. Tym razem lekcję o reklamach. O ile w większości grup część ostatnia (wylosuj produkt i go sprzedaj) jakoś poszła, o tyle rozmowy o TV przerażały. Furorę wzbudzał fakt, że w ramach lekcji pokazywaliśmy im reklamy serka Panda. W pewnej klasie padła uwaga, że głośniki są za cicho i że oni tam z tyłu nie mogą zrozumieć, co też ci ludzi mówią. Zamarłem. Zadałem straszne pytanie:

– *Czy te reklamy są po angielsku?*

– *Tak, tak!*

Mam opisać moją minę, czy też sami nie dacie sobie rady jej wyobrazić? Pytania do tego trzeba było tak upraszczać, że chwilami już prawie pytałem, czy to sarna, czy jednak panda. W jednej grupie chłopcy postanowili się pobić, gdy tylko zadzwoniono na przerwę. Próbowalem im wyjaśnić, że mogą z tym poczekać, aż wyjdę z klasy, ale oni wiedzieli lepiej. Poszedłem po innego nauczyciela, ale on nie widział problemu, a właściwie uznał, że to ja jestem pierdolnięty, żeby się takimi rzeczami przejmować. Zebrałem też w ciągu tygodnia parę okrzyków „fuck you!”. Nie będę się gonił z nimi po korytarzu. Skoro im media tłuką do głowy, że Zachód to zło (w myśl Radia Erewań: „Raz mówicie, że Zachód zmierza ku przepaści, a potem że wkrótce go prześcigniemy.”), to w sumie dobrze, że wrzółku na głowę nie wylewają. Przyznam, że gdy z sali padało „fucking shit” w trakcie mych bojów z komputerem, miałem ochotę powiedzieć, że dokładnie to samo pomyślałem. Jeden z uczniów powiedział nawet, że komputer jest beznadziejny, bo został zrobiony w Chinach. Co racja, to racja.

Napisałem jednak podsumowanie w tygodnia, w którym zawarłem serię przemyśleń na temat tego, co w szkole wypada, a czego nie, zadałem serię pytań retorycznych, w stylu, czy do swych nauczycieli chińskiego krzyczą przez długość korytarza „HEY, YOU!”. Stwierdziłem, że nie chcę przesadzić, bo sobie więcej krzywdy zrobię, więc dałem do zatwierdzenia Harry’emu, naszemu stróżowi. Losy mej wiadomości przypominają te kamienia rzuconego w wodę. Z podobnym powodzeniem mogłem swoje podsumowania wykorzystać w toalecie, a najlepiej w ogóle ich nie pisać. Zamiast w poniedziałek rano powiesić im to w widocznym miejscu, wisi wywieszony poprzedni apel do narodu. To też taka chińska tradycja, gdy jest problem, wówczas udajemy, że problemu nie ma, więc on tym samym przecież na pewno sam zniknie. Wydaje się, że być może dopiero problemy ze smogiem wykażą tutejszym mędrcom, że ten genialny system nie zawsze działa, chociaż na razie podchodzą do sprawy w jego duchu.

Na drzwiach naszego gabinetu wisi pudełko, do którego uczniowie mogą wrzucać swoje pomysły na lekcje, listy, lub pytania. Oczywiście niczego w tym stylu w nim nie znajdujemy, do tej pory zebrały się dwie wiadomości, jeszcze parę doręczono nam do rąk własnych. Rękopisy te życzą nam radosnego pobytu w Chinach i wszystkiego, co najlepsze, przepraszają za niecywilizowane zachowania i mówią, iż są one efektem różnic kulturalnych. Pokażcie mi, kochane dziatki, kulturę w której chłop sprzedaje drugiemu latarę w imię przyjaźni, a „jeb się!”

oznacza radosne pozdrowienie. Odpisujemy to w duchu wrażliwych kulturoznawców, dziękujemy za listy, zapewniamy, że to raj i że nie płaczemy po nocach. I tak miło, że się komuś chciało coś naskrobać.

Jeżeli istnieje feministka, która potrzebuje materiału do przeprowadzenia badań mających wykazać katastrofalny poziom mężczyźni na tle poziomowi kobiet na jakimś odległym zadupiu świata, to chyba mogę podać jej pewien adres. A nawet zaprosić do pierwszej szkoły średniej w Dongkou. Intelktualnie panie przeważają jakoś 70 do 30, chociaż bywają i super faceci. Co ciekawe, część chłopięca jest albo naprawdę świetna, albo nie istnieje, bardzo rzadko trafia się coś pomiędzy. Jednak jeżeli chodzi o tępe chamstwo, to jeszcze żadna dziewczynka niczego nie osiągnęła, za to stawka męska wytrwale podnosi poprzeczkę. Miałem już chłopców krzyczących mi „fuck you” przez drzwi, „laowai” to nawet nie zliczę. Podobnie koleśi ostentacyjnie ziewających w trakcie lekcji, bekających, przeciągających się i jęczących, jakby doszli albo się posrali. Naprawdę, rzygać się chce, jak się to widzi (przynajmniej się jeszcze nikt nie porzygał, mam nadzieję, że pod koniec semestru będę mógł napisać to ponownie). Na dzieci mam tolerancję, ale widok siedemnastolatka, który ma kłopoty z kontrolowaniem swych pierwotnych instynktów, wkurwia mnie do łez. Z drugiej strony, skoro tu jednym chórem dzienniki TV i gazety tłuką im tępy nacjonalizm do głów zamiast zasad używania sracza i chusteczek, to co się dziwić? Dziewczynki szczęśliwie wzbudzają mniejszą odrazę, co najwyżej mają wąsy.

Wizyty naszych uczniów ustały, niczym ucięte nożem. Po paru dniach udało się odkryć dlaczegóż to: nasi opiekunowie stwierdzili, że będzie to dla nas zbyt męczące i wszystkim tego kategorycznie zabroniono. Wyjaśnialiśmy, że luz, że naprawdę możemy poświęcić wieczór lub dwa, że przychodzą tylko najlepsi, a i tak możemy z nimi prowadzić rozmowy głównie o żarciu, ale już nikt nie przyszedł.

Mam dwie teorie na temat zakazu. Pierwsza to, że nasi opiekunowie naprawdę boją się, że się przepracujemy, że chcemy być mili, ale to ponad nasze siły. Druga jest ciekawsza: dopóki gadamy z uczniami w klasach, to ani my, ani oni nie możemy sobie pozwolić na żadną dywersję, bo przecież jest kilkadziesiąt osób, więc na pewno ktoś by doniósł. Natomiast, gdy siadają z nami w nieco mniejszym gronie, to wówczas po rozmowie o tym, jakie Chiny są piękne, być może nasi uczniowie opowiedzą nam trochę historii o tym, że bardzo lubią szkołę, jeszcze bardziej szanują ten swój kult rodziny, co też myślą o władzy, jak niesamowicie obchodzą ich kwestie terytorialne, jak to chiński sen im się przyśnić nie może. To jest rzeczywiście trochę dla naszego dobra, bo co ja mam powiedzieć komuś, kto chce uciekać z domu w dniu swej osiemnastki? Żeby posłuchał sobie Springsteena *Born to Run* i uciekał? Albo, że nie lubi szkoły, to że nie jego wina, bo nienawiść do tejże instytucji w formie w jakiej tu istnieje, to jest najzdrowszy odruch, świadczący o tym, że na przekór wszystkim i wszystkiemu, mimo ciągłej indoktrynacji z każdej możliwej strony, zachował jeszcze resztki zdrowia psychicznego? Ewentualnie możemy sobie powiesić cytaty z Biblii: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie i nie zabraniajcie im, albowiem takich jest Królestwo Boże”. Jednak obawiam się, że nie wzbudzi to zrozumienia, ani też przesadnie nie odmieni sytuacji.

Mimo tych zakazów uczniowie próbują z nami gadać w trakcie przerw i posiłków. Jedna z uczennic przyniosła mi *Damę kameliową* i spytała, czy znam. Znam, ale nie czytałem. Bo ona to bardzo lubi, czy mógłbym przeczytać i czy moglibyśmy porozmawiać. Mógłbym i moglibyśmy. Zastanawiałem się w trakcie lektury, czy dając mi książkę o miłości chłopca

i kurtyzany, próbowała coś delikatnie zasugerować.

Praca dla szkoły publicznej ma zaskakujące plusy: wszystko im się w tabelkach musi zgadzać, a na koniec miesiąca wyszło, że mam dwie nadgodziny. Akurat w drugim tygodniu odpadła mi jedna lekcja, bo jakieś ważniejsze pierdoły mieli. Nadgodzin miałem po 20 minut z każdego tygodnia, w sumie 40 minut, czyli dokładnie tyle, czego nie odbyłem. Do tego wliczają w nie moją ulubioną grupę, więc mówiłem, że nie muszą tego regulować. Nie zrozumieli, przynieśli mi w zębach 200 RMB i pytali, czy ja się zgadzam. Co się miałem nie zgadzać, wziąłem, rzadko dwie stówy przychodzą piechotą człowiekowi do gabinetu.

[11.03.2014]

Trzeciego tygodnia postanowiliśmy jeszcze bardziej przymusić uczniów do mówienia. Wyczarowaliśmy lekcję kryminalną: najpierw omawiamy różne przestępstwa, potem je wspólnie oceniamy. Następnie szczęśliwiec losuje kartkę ze zbrodnią, opowiada o niej klasie, ta zaś wydaje wyrok. Wydawało się, że w tej części będzie w cholerę gadania, zabawy, kłótni i kontrowersji. Taaa... Miałem tak w najlepszej grupie, strasznie chcieli ze mną dyskutować o gwałcie, ale nie dałem się. Reszta poszła mniej więcej tak. Po pierwsze, uczniowie nie znają słów takich jak *terrorism* i *drugs*, o innych nawet nie mówiąc. No ale dobra, wdraża się w trakcie. Co z tego, jeżeli Mandaryni uważają, że przejechanie kogoś samochodem zasługuje na karę śmierci, a uprowadzenie samolotu na karę pieniężną? Ogólnie wszyscy się dziwili, że chcemy czegoś od nich, bo oni przyszli spać. Doszedł też problem intelektualny, okazało się, że dupni uczniowie śmieją się z lepszych, nazywają ich psami i pacholkami obcokrajowców. W efekcie w większości grup najlepsi przestali gadać. Słabsi nie są w stanie, więc miałem niemało lekcji, w trakcie których zadawałem pytania i bezskutecznie czekałem na narodziny odpowiedzi. Wyrwanie do odpowiedzi dziewczynki, która tydzień wcześniej całkiem ładnie mówiła, nie przynosiło efektów, milczała, by ponownie nie zostać parobkiem imigranta. Z drugiej strony, te pytania były tak banalne...

Może przesadzam, może nie powinienem wymagać od ludzi, którzy uczą się DWUNASTY rok angielskiego, żeby podali mi cechy dobrego policjanta? I to nawet nie pełnymi zdaniem, tylko łaskawie krzyknęli jakiś przymiotnik. Po dwóch lekcjach zgadzałem się nawet na rzeczownik. Wiele to nie pomogło. Miewałem takie kurioza:

– *Co cechuje dobrego policjanta?*

– *Przystojny.*

– *A dobrą policjantkę?*

– *Ładna.*

Odpowiedzi na miarę siedemnastolatków. Po dwóch dniach zacząłem robić lekcję o weselu. Tam ja mówię więcej, uczniowie mniej. W sumie nie powinienem, ale co? Mam sam sobie odpowiadać na pytania o morderstwie? Ale i ze ślubem wiele lepiej nie było. Po roku w Chinach i trzech weselach mam jakieś pojęcie o tym, jak to wygląda. Moi uczniowie wiedzą mniej ode mnie. I tak lecimy:

– *O której zaczyna się wesele?*

– *O 2 w nocy.*

Wszystkie moje były koło południa...

– *Jaki jest strój pana młodego?*

– *Czerwony garnitur!*

Koszulka polo, gówniana koszulka, czarny gajer – takie widziałem.

– *Ilu jest gości weselnych?*

– *Ponad 1000.*

Hmm, koło setki bym powiedział.

Wymowa moich uczniów potrafi chwilami powalić, coś tam pytam, uszu mych dobiega „100 eels”. Pytam się, czy to tradycja, prezent, jedzenie, jeszcze coś innego.

– *One hundred eels.*

Po chwili okazało się, że chodzi o „100 years”. Inna grupa, słyszę *bought*. Nie pasuje mi za nic. Literujemy. *Bother*. No rzeczywiście, pisze się podobnie, wymawia niestety inaczej.

Czasem to nawet szło, dowiadywałem się, że ci bardziej ogarnięci chcieliby wyrwać kogoś z zagranicy („najlepiej z Polski”, nierzadko padało, zaskakujący wybór!), a potem oddalić się w stronę zachodzącego słońca. Oczywiście nie brakowało odpowiedzi, że trzeba się parzyć ze swoimi, bo to patriotyczny obowiązek. Przepłynąłem ten tydzień, ale za karę nakazałem większości grup nauczyć się słów z podręcznika do następnej lekcji. Niestety bardziej chyba siebie ukarałem, bo obawiam się, że wiem, jak to będzie wyglądało. Słowa są durne i bardziej będę zaskoczony, jeżeli naprawdę to przygotowują, niż jeżeli nie.

Nie samą pracą człowiek żyje. Z racji weekendu postanowiliśmy wybrać się do pobliskiej metropolii, Shaoyang. Szukaliśmy po necie czegoś o tej miejscinie o populacji trzech milionów, wiele nie znaleźliśmy, artykuł, że patologia i drugi, że nie ma po co jechać. Ależ nam się chciało! Plan był prosty: wybywamy, w jakieś półtorej godziny dojedziemy, zakupy, zachodnie jedzenie, powrót. Taaa... Autobus jechał ze trzy godziny, zatrzymywał się w każdej wiosce po drodze. Raz nawet na 40 minut. Przesłuchałem chyba ze cztery płyty. Wyświetlano nam filmy ze Stallone’em, najpierw całe *Rambo 4*, potem niemal całe *Escape to Victory*. Nie wiem, czy kiedykolwiek oglądałem dwa filmy ze Sly’em w jeden dzień.

Dotarliśmy tak późno, że pognaliśmy do najbliższego marketu. Na naszej liście zakupów była wódka, białe wino, buty sportowe rozmiar 45, puzzle 1000 elementów, normalne pieczywo, pepsi light lub cola zero. Udało się kupić jedynie colę i kiepskie pieczywo, całej reszty wielki sklep nie miał. Miał za to Chińczyków w liczbie kilku milionów, którzy szybciotko przypomnieli nam, czemu od jakiegoś roku rozwija się u nas rasizm. A raczej nie rasizm, gdybym zobaczył białych tak się zachowujących, to też by mnie krew załała. Chyba mi kiedyś odbiorą ten cenny dyplom z kulturoznawstwa. Wpuściłbym tam paru profesorów, co nam mówili ładne rzeczy o społeczeństwach rozwijających się, ciekawe, ile by wytrzymali. Autochtoni darli się, pchali w każdą stronę, łazili pod prąd, blokowali schody ruchome, puszczała swoje dzieci luzem (dwa razy się na jakimś gnoju prawie wywaliłem), pchali się w kolejkach, po prostu *Horror w Wesółych Bagniskach*. Najgorsze są chińskie miasta średnich rozmiarów, w małych się mniej spieszą i nie aktorzą aż tak na cywilizowanych, w dużych się nieco już wyrobili, ale w średnich to po prostu katastrofa.

Powrót był mniej radosny, bo jak dzień idzie chujowo, to iść chujowo nie przestanie tak nagle. Najpierw nasz człowiek w Dongkou okazał się nie wiedzieć absolutnie nic o Shaoyang. W końcu odkryliśmy, że autobusy jeżdżą z innego dworca, niż nas wysadzono. Wydawało się, że już witamy się z gąską, ale o czym zapomnieli powiedzieć, to że kierowca wysadzi nas zaraz przy wjeździe do miasta, bo i po co miałby jechać na dworzec? Niech sobie człowiek połazi i poszuka. Nie wiem na kiego chuja budują w Chinach dworce dla autobusów, o ile zazwyczaj zaczynają z nich podróże, o tyle niemal nigdy tam nie kończą, tylko wywalają człowieka na poboczu drogi. Jak nie znasz miasta, to masz wkurw +10, stratę czasu albo zabawę z taksówką.

Wyszło cholernie drogo, wiele się kupić nie udało, zmęczyć owszem, cały wolny dzień zjebane, witamy w Chinach. Każda podróż po tym kraju sprawia, że przez kolejny miesiąc nie mam zamiaru ruszać się z domu. Tym razem było dokładnie tak jak zwykle. Za miesiąc pewnie znowu się gdzieś przejeździemy i znowu nas trafi szlag.

[11.03.2014]

Jednym z najwspanialszych krajów świata jest Kanada. Od jakiejś mniej więcej dekady interesuje mnie on nieco bardziej niż inne, nawet odbyłem studia kierunkowe w jego temacie, a i ma cudowna praca magisterska tegoż kraju dotyczyła. Nawet jednak bez tak wspaniałych fundamentów wiele osób wie, że Kanadyjczycy są w cholerę uczciwi, tolerancyjni i w swym ogóle pozbawieni uprzedzeń rasowych. Wszystko jednak do czasu.

Prawo migracyjne przez lata pozwalało na ubieganie się o obywatelstwo za dokonanie inwestycji. W pewnym sensie można sobie było kupić to obywatelstwo, pod warunkiem, że wpakowało się pieniądze (800 tysięcy CAD) w jakiś biznes w Kraju Klonowego Liścia. Dla porównania, UK, Australia i Nowa Zelandia mają podobne programy, tylko tam za wejście płaci się od pięciu do dziesięciu milionów dolarów i nie od razu dostaje prawo pobytu. Na tym tle Kanada jest banalna. Reguły gry zmieniły się 11 lutego 2014 roku. Stwierdzono, że się nie opłaca, biznesmeni wcale nie chcą płacić podatków w Kanadzie, z dwudziestu lat podatków jest mniej niż ze zwykłego pracownika administracji, do tego wyjeżdżają, jak im pasuje, a ich wkład w społeczeństwo jest mizerny. Jeszcze dokładniej nie wiadomo, jakie będą nowe przepisy, ale nasi czytelnicy już zapewne wiedzą, kto się przyłożył do zajechania tego systemu. Bracia Chińczycy i siostry Chinki. Obecnie kolejka wniosków wynosi 65 tysięcy aplikacji. Za nic nie zgadniecie, skąd pochodzi 46 tysięcy. Za nic też nie zgadniecie, 80% aplikacji ludzi jakiej narodowości okazywało się być fałszywe.

Pewna grupa dziesięciu Chińczyków to się aż tak wkurwiła na tę niesprawiedliwość, że zwołała spotkanie w Pekinie. Potem na konferencji ogłosili, że chcą pozwać Kanadę, że ta podle zmieniła zasady swej polityki imigracyjnej.

Po pierwsze zastanawia, kto miałby rozstrzygnąć w tej sprawie i jaki miałby być wyrok. Może taki: wpuście, chamy, Chińczyków! Nie widzieliście, co oni zrobili ze swoim krajem? Jak możecie ich skazywać na życie tam? To bestialstwo!!!

Po drugie, Kanada ma doświadczenia z imigracją od dawien dawna. Jest pewnym wyczynem wścieknienie ich do tego stopnia, że zrobili coś takiego. Może nie wszystkie przepisy i dokonania Kanady w temacie są wielkie, ale na wielokulturowości zjedli zęby, zanim ta stała się modna w Europie. Skoro na Chińczykach też, to może ktoś by tak pomyślał, czy i tym razem nie wiedzą lepiej.

Po trzecie, z 2,6 miliona Chińczyków, którzy wyjechali na studia za granicę, wróciło tylko 1,1 miliona. Czyli 1,5 miliona gdzieś się zagubiło, taka sprawa. Populacja Kanady to obecnie niecałe 35 milionów ludu. Istnieje ryzyko, że dorzucenie im paru Chińczyków, choćby biznesmenów, nie wpłynie korzystnie na jakość życia.

Gratulujemy Kanadzie, która nie dość, że ma znowu złoto w hokeju, to umocniła się na pozycji najlepszego kraju świata, oddalając od siebie jednym przepisem 46 tysięcy chińskich biznesmenów. A raczej pół miliona, bo przecież jeszcze matka, córka, kochanka, babka, teściowa, wuj, ciotka i pani z sąsiedztwa, co robi dobre mantou.

[19.03.2014]

Zrobiłem lekcję na zamówienie jednej z uczennic: o systemie szkolnym w ich i moim kraju. Przyznam, że trafiłem idealnie, zaangażowanie o wiele większe niż zazwyczaj. Wielu z ogniem w oczach opowiadało, jak bardzo kochają szkołę i swoją młodość. Dowiedziałem się paru ciekawych rzeczy. Mam wrażenie, że niektóre grupy kłamały, żeby wypaść lepiej, bo im dalej w las, tym lepsze i bardziej europejskie odpowiedzi dostawałem.

Każda klasa ma przewodniczącego, do trzech sztuk ich bywa, zwą ich liderami. Liderzy klas wyłaniani są w sposób typowy dla Chin, czyli pan nauczyciel przychodzi i mówi, kto będzie liderem. Wódz może stracić swoją pozycję, jeżeli opuści się w nauce. Na pytania, jak reprezentuje interesy uczniów, odpowiadali zgodnie, że nijak.

System kar wydaje się rozbudowany na papierze, ale chyba wielu uczniów nie poddaje się takim szykanom. Żeby były kary, to muszą być i zbrodnie (w myśl takiej książki *Zbrodnia Ikara*). Zbrodnie są znane z polskiej edukacji, takie jak używanie i posiadanie telefonów w szkole (w sumie nie tak źle, bo mi nikt nie gra i nie dzwoni w trakcie lekcji).

Jest też łatwy do zrozumienia nakaz noszenia szkolnych bluz połączony z zakazem dekorowania ich. Tych betów wszyscy nienawidzą, skarżą się na to, jakie one piękne i dobrej jakości (wiemy, gdzie je wyprodukowano). Mimo zakazu niektórzy wdzianka jakoś tam próbują upiększać, zazwyczaj zbierają autografy innych uczniów albo próbują przerysować coś mangowego-anime. Cieszę się, że mi szkoła tak życia nie uprzyjemniała, przesadnie im nie zazdroszczy. Obowiązuje zakaz noszenia makijażu, farbowania włosów i oczywiście długich włosów u chłopców – za tak zwanych moich czasów chyba był zakaz makijażu, ale poza jedną wariatką nikt go przesadnie nie egzekwował, a i uczennice nie przeginały pały. Z długimi włosami u samców chyba było tak, że lepiej nie, ale nie goniono człowieka z nożycami.

Co do kar, bo bez kar byłoby nudno. Podano mi parę standardowych, znanych i u nas: postawienie w kącie, telefon do rodziców, relegowanie ze szkoły. Bardziej spodobały mi się lokalne: nauczyciel może kazać uczniowi biegać wokół dziedzińca lub wykonywać ćwiczenia fizyczne. Co zabawne, karą za przyjście bez stroju szkolnego jest nakaz stania przed salą przez jedną lekcję. Toż ledwo się cieplej zrobi, to będę widywał po sto osób przed klasami.

Te wszystkie przepisy są w miarę rozsądne i racjonalne, da się je zrozumieć, nawet jeżeli nie zgadza się z nimi. Są jednak sekcje kodeksu wykroczeń, które nieco dziwią. Zakaz gry w karty (w tym w karcianego mahjonga) jest do zrozumienia, chociaż nie sądzę, żeby powstały u nich jaskinie hazardu. Jednak zakaz gry w szachy (zarówno perskie, jak i chińskie) już nieco zaskakuje, nasi nauczyciele specjalnie nie narzekali, gdy spędzaliśmy wyjazdy szkolne, tłukąc w tę szlachetną grę. Wyjaśniono mi, że szachy odciągałyby od nauki i pochłaniały czas, który powinien być przeznaczony na poznawanie chuj wie czego, pewnie angielskiego, matematyki i fizyki. Przy okazji, wszystkie klasy zgodnie mówią, że uwielbiają chiński. Jasne jest więc, że niczego na nim nie robią.

Zakaz wszystkich zakazów. Z cyklu stosunek z tygrysem amurskim, czyli trochę śmieszne, trochę straszne. W szkole obowiązuje zakaz zakochiwania się – jak go nazywają moi uczniowie, czyli zakaz posiadania chłopaka-dziewczyny i okazywania sobie uczuć, co jest

karane wydaleniem ze szkoły. Mam trzy tysiące młodzieży w wieku 15-17 lat mającej zakaz zakochiwania się. Aż kusilo zapytać, czy mogą sobie dawać w rękę, czy za to też relegują.

Pozwolę sobie na taką wrzutkę: od lat interesuję się różnymi totalitaryzmami, dystopiami, historią tego, co człowiek zrobił drugiemu, próbuję zrozumieć, skąd się to bierze, jak to wymyślają, że to potem działa. Też dokąd ten cały burdel obecnie zmierza. Czasem wydaje mi się, że już rozumiem, żeby za chwilę stwierdzić, że jeszcze bardziej nie rozumiem, jak się to wszystko wydarzyło.

Rozmawiam w jednej z lepszych klas o tym, co wolno, a czego nie. Dochodzimy do tego zakazu uczuć. Pytam, jak się to mierzy, skąd szkoła może wiedzieć, że ktoś kogoś kocha, czy chodzi o pocałunki, trzymanie się za ręce, bo zgaduję, że nie petting (no dobra, trochę inaczej zapytałem). Mówi mi taka typowa dziewczynka w okularach, co zawsze chce wszystko odpowiedzieć:

– *Gdy zobaczę, że ktoś komuś okazuje uczucia, to wówczas moim obowiązkiem jest doniesienie o tym do nauczyciela. Osoby okazujące sobie uczucia wyrządzają krzywdę samym sobie i tym, w których się zakochują.*

Zamurowało mnie. Na dobre pięć sekund. Nie wiem, kiedy mnie ostatnio tak ścięło z nóg. W końcu wybełkotałem, że tak, świetnie, dziękuję za ten głos w dyskusji. Wyobraźcie sobie, że... A może nie, to nie ma sensu. Zresztą dobra, spróbujmy: mamy siedemnaście lat. Zapiierdalamy do nauczyciela, bo zobaczyliśmy gdzieś, że jacyś ludzie z naszej klasy ze sobą gadają i może nawet się przytulają. W naszej głowie rodzi się jedyna możliwa myśl: muszę ich ratować, bo wyrządzą sobie krzywdę! Jakie to szczęście, że jestem na posterunku, że mogę im pomóc, tylko muszę pobiec po pana od matematyki. Próbuję sobie wyobrazić, co by zrobił mój wychowawca, gdybym ja mu takiego newsa przyniósł. Chyba tak by to mniej więcej wyglądało:

– *Proszę pana, proszę pana, bo tam się Kaśka z Tomkiem całują!*

– *To się od nich odpierdol i im nie przeszkadzaj.*

[22.03.2014]

Są pewne plusy idiotycznej obsesji edukacyjnej Chińczyków – uczniom ciągle robione są egzaminy próbne. Dzięki nim dostaliśmy od losu po dwa dni wolnego. Akurat nasze paszporty są na komendzie, bo jedno dostaje pozwolenie na pracę, a drugie rejestrują po raz trzeci, więc wyjazd poza miasto nie wchodził w grę, ale jest tyle ciekawych filmów i książek, że nie ma sprawy. Te grupy, które miały szczęście mieć lekcje, dostały *Harry'ego Pottera*. Zjawisko niby popularne w Chinach, ale łącznie zebrałem trzy osoby, które przeczytały wszystkie książki, może z pięć, które widziały wszystkie filmy. Tytułów w oryginale nie znają, więc operowaliśmy cyferkami. Większość grup gadała bzdury, a podanie cech Voldemorta i Hagrida przerastało ich. Szczęśliwie chwilę już tu jestem, więc miałem plan B, C i D.

Gadaliśmy więc o smokach, magicznych zdolnościach i magicznych zwierzętach. Chwilami było smutno, w sumie trzy osoby po wybraniu zdolności do podróżowania w czasie powiedziały, że chcą cofnąć się do momentu, gdy miały po cztery lata, bo wtedy rodzice mówili im miłe rzeczy, nie krzyczeli na nie i nie musieli chodzić do szkoły. Ku memu zaskoczeniu, niektórzy uczniowie mieli cudowne pomysły na magiczne zwierzęta: kot, który mówi biegle w czterech językach (chiński, japoński, angielski, francuski), bo mógłby być tłumaczem podczas podróżowania. Osa, która nie umiera po użądleniu człowieka, bo by się nią karało złych ludzi. Wygrał uczeń, który chciałby mieć smoka i zrobić nalot na Japonię.

Niektóre grupy szalały w temacie „Harry Potter w Chinach”. Mógłby pracować w wojskach ochrony pogranicza. A jak wyglądałby chiński Hogwart? Tak jak tu, nie chodziłby do żadnej magicznej szkoły, tylko uczył się normalnych przedmiotów, bo by mu kazali.

Tymczasem drugie z nas postanowiło przerobić z pierwszoklasistami pierwszą lekcję z cudownej książki do *spoken English*. Temat: choroby. Pierwsze ćwiczenie: Wolałbyś mieć SARS, świńską grypę czy ptasią grypę? Dlaczego? Kiedy już udało się pozbierać z podłogi po przeczytaniu pytania, kilkoro uczniów szczęśliwie wyartykułowało najmądrzejszą odpowiedź na to arcydurne pytanie: nie chcę mieć żadnej z tych chorób!

Najciekawszą część lekcji stanowiły dialogi, które mieli ułożyć uczniowie. Schemat banalny, przychodzi baba do lekarza, lekarz ma dać jakąś poradę. Spora część uczniów zdolna była jedynie wydukać, że boli ich głowa i że najlepsze na to jest picie wrzątku. Szczęśliwie zebrało się kilka pereł. Jedna dziewczynka mówi drugiej, że strasznie ją boli brzuch od kilku dni. Ta udaje że ją bada, po czym krzyczy „Oh my Lady Gaga!!! Jesteś w ciąży!”. Przyszła matka wydała z siebie okrzyk rozpacz. Jeden z uczniów, zapytany: „Co powinna zrobić Sally, która ma katar i boli ją głowa?”, odpowiedział: „Położyć się i umrzeć”.

Niefinansowy dodatek do pensji miałem, gdy w wolny dzień poszedłem zjeść na szkolną stołówkę. Dopadł mnie uczeń z jednej z grup, którym przepadła lekcja: „Czy dałoby się odrobić?”. Aż mnie wmurowało, ponieważ to jedna z najlepszych klas, powiedziałem, że nie ma sprawy, kiedy tylko obu stronom pasuje. Dałem mu mój terminarz, po godzinie wrócił, że przenieśli historię na ostatnią lekcję, w jakieś moje okienko się wcisnęli. Ostatnie w tej klasie mają akurat prace własne, czyli oficjalnie robienie zadań domowych, a praktycznie spanie, jedzenie albo walenie w jajo. Klasa musiała uprosić chłopca od historii, żeby się przeniósł na lekcję, którą mają wolną, bo tak im zależy, żeby sobie ze mną pogadać. To na jakąś chwilę wystarczająca odpowiedź, dlaczego się męczę, żyjąc chińskim snem.

Mędrzec ze Wschodu

[22.03.2014]

Jednym z najpopularniejszych produktów prowincji Hunan jest napój wyskokowy zwany przez nas Mędrcem. Łatwiej go chyba dostać niż coca-colę, pewnie nawet sklepik szkolny prowadzi sprzedaż tego cuda spod lady. Miano Mędrca uzyskał dzięki etykietcie.

Wypiłem w życiu hektolitry alkoholi z różnych stron świata. Pijałem już chińskie baijiu za absolutne grosze, pijałem i luksusowe. Różnicy nie ma, kac po wszystkich jest fatalny, doznania smakowe w tym samym rejestrze odczuć, ale w jakimś stopniu się przyzwyczailem, podobnie moje wnętrzności. Kupiłem Mędrca i stał sobie u nas w mieszkaniu, czekając, aż będziemy mieli nastrój na rozmowę ze starcem.

Pewnego wieczoru stwierdziłem, że golnę sobie, no bo co mi zależy. Napilem się może jakieś 10 mililitrów. Oczy wyszły mi z orbit i dostałem dzikiego odruchu wymiotnego, który przeszedł w kaszel. Chwilę później poczułem fajerwerki w żołądku. Smak nie chciał mnie opuścić przez następne parę godzin. Mędrzec poszedł na półkę, to znaczy za szafę. Nigdy nie piłem czegoś takiego. Gdyby istniała techniczna możliwość transferu cieczy po łączach netowych, postawiłbym tego Mędrca przy tym wpisie i nakłaniał każdego, żeby sobie spróbował, a potem opowiedział, jak bardzo mu się podoba.

Wymyśliliśmy, że można by to importować i sprzedawać jako lekarstwo. Po pierwsze jako niezawodny środek wywołujący bulimię. Jesz posiłek, potem czterdziestka Mędrca i nawet do łazienki nie dobiegniesz, zrzygasz się, jak stoisz.

Drugie zastosowanie znalazłby w leczeniu alkoholików. Sadzasz koleś na sali i mówisz, że jak chcą alkoholu, to proszę, tu jest Mędrzec, niech piją, ile wlezie. Obstawiam, że nawet najwięksi bohaterowie osiedlowych ławek pogapiliby się na to i wytrzeźwieli.

Trzeci pomysł: psychoterapia Mędrcem. Polewasz go ludziom, którzy mają złe wspomnienia. Jak złe by nie były,



*Kosztuje to niewiele, 12 RMB
za butelkę (około 6 PLN)*

te związane ze spożyciem Mędrca je pokonają. Zapewne dałoby się tym także czyścić rany, w końcu ma 52% alkoholu.



Drużyna AA. Oni już rozmawiali z Mędrcem

Alpaca out of fucking nowhere

[29.03.2014]

Są takie tygodnie, gdy wszystko jest popierdolone. Ten należał do nich. Szczęśliwie więcej z tego ubawu niż dramatu.

W poniedziałek uczeń postanowił sobie zażartować i zyskać szacun pośród kolegów, więc na pytanie, jakie zwierzątko chciałby mieć, odparł mi, że takiego magicznego konika *caonima*. Mówię, żeby o tym wszystkim opowiedział, klasa się pokłada ze śmiechu, a mój mózg powoli syntezuje jeden z nielicznych znanych mi zwrotów po chińsku. *Cao* – jebać, *ni* – twoją, *ma* – matkę. Jeszcze poprosiłem o powtórkę, bo może coś źle usłyszałem, ale nie, dobrze. Klasa się tarza, niektóre uczennice czerwone ze wstydu, więc miałem jasność.

– *Synu, ja wiem, co to znaczy.*

– *Och, jest taka odmiana konika...*

– *To ja pójdę po tej lekcji i zapytam kierownika studiów językowych o tego konika.*

Nastrój na lekcji siadł totalnie. Po wszystkim przyszła delegacja. Odprawiłem, więc odeszli na dwa metry. Chłop jękał się, męczył, błagał o wybaczenie za swe skandaliczne zachowanie. Słuchałem, póki mnie to bawiło, przemyślałem sprawę, zastanowiłem się, czy kazać mu pisać samokrytykę, ale olałem, odprawiłem go, że może iść spokojnie.

Myślałem sobie, że problem ma wiele aspektów, ale nie wiedziałem jak wiele. Zdecydowałem się puścić to płazem-gadem, bo gdybym o tym opowiedział przełożonym, to dyrekcja musiałaby klienta srodze ukarać. Gdybym wiedział, że zrobią to rozsądnie, to bym poszalał, ale nie chciałbym, żeby go za coś takiego relegowano, bo to nie jakieś najgorsze bydlę. Dyrekcja mogłaby też schować głowę w piasek i to ja bym wyszedł na idiotę. Uznałem, że dobra, klasa widzi, ten, łykając łzy, przeprosza, chciał zostać gwiazdą drużyny, nie został, niech będzie i tak. Tylko teraz będą myśleli, że jak znam bluzgi po chińsku, to ja umiem wszystko w tym języku i udaję, że nie rozumiem.

Trzy dni później przyszła do mnie ich nauczycielka, jedna z najlepszych w szkole. Gadamy o administracyjnych cudach. Ach, bo uczeń był u niej w sprawie konika. Se myślę: po kiego wała to ciągnąć, ja sprawę zamknąłem, to co eskalujesz?

Okazało się, że jest taki konik. Konkretnie jest to alpaka. Chińskie słowa mają wiele znaczeń, ja już to wiem, ale kto by wymyślił, że *cao* znaczy jebać, ale też trawę. *Ni* znaczy twoją, ale też błoto. *Ma* znaczy matkę i konia, to akurat wiedza podstawowa. Okazało się, że alpaka to trawa-błoto-koń, brzmi niemal identycznie jak „jebać twoją matkę”. Tony są trochę różne, pisze się całkiem inaczej, ale brzmi identycznie. Co ja mam myśleć o języku, który na zwierzę z drugiego końca świata mówi „jebać twoją matkę”?



Obraz podsumowujący ten tydzień



Zbadanie sprawy przyniosło jeszcze więcej efektów. Na przykład to radosne zdjęcie Ai Weiweia z alpaką nabiera innego sensu. Matka to także kochana Partia Komunistyczna Chin

We wtorek mam takie hektary lekcji, że w okolicach szóstej zaczynam zastanawiać się, czy to mówiłem, czy tylko pomyślałem. W pewnym momencie zdiagnozowałem sobie, że mam do tego omamy wzrokowe, bo zaczynam widzieć piwo, gdzie go być nie może. A konkretniej w drugiej ławce po lewej. Mrugnąłem, piwo nie zniknęło. Jedna z uczennic uznała, że dobrym dodatkiem do naszego spotkania będzie zrobienie browaru. Zamurowało mnie i wszyscy wywalili oczy razem ze mną. W końcu rąbnąłem dość głośno: co to jest? Co ty wyrabiasz? Piwo zniknęło pod ławką. Atmosfera oczywiście siadła, ale najgorsze było to, że dostałem ataku śmiechu i resztę lekcji musiałem się mocno trzymać i myśleć sobie, co zrobić ze zdobytą w ten sposób wiedzą. Wszystkie możliwości z dnia poprzedniego wchodziły w rachubę, a do tego mogli jeszcze zacząć ze mnie robić wariata, że mi się na oczy rzuciło, że to na pewno nie było piwo, tylko mleko w puszcze albo że zasadniczo pić w szkole nie można, ale czy to 3,6% gje nazwałbym piwem? No właśnie. I będę się kłócił, że akurat dość dobrze wiem jak wyglądają ichnie piwa? A co mnie to obchodzi, niech pije, ja też lubię piwo, jak miałem 17 lat też mi pasowało.

Czekałem, co będzie w środę. Czy ktoś przyniesie baijiu na lekcje, czy założą mi kosz na głowę, czy może coś jeszcze innego? Tym razem poszło dość bezboleśnie, poza tym, że chłopak dostał ataku płaczu, gdy spytałem go, czy spędza dużo czasu z rodzicami. Okazało się, że rodzice rąbią w jakiejś fabryce w Guangdong i bardzo rzadko ich widuje. W ciągu tej samej lekcji uczennica uznała, że gdy pytam, czy często biorą leki, to musi mi opowiedzieć o tym, jak ją tydzień temu przesrało. Najlepsza uczennica w klasie, mówi, że to było tak: musiała iść do kibla, bo ją brzuch bolał. W tym kiblu długo siedziała i robiła „brzydkie rzeczy” (raczej nie chodziło jej o brandzłowanie się). Że brzuch ją dalej bolał, zażyła lekarstwa, ale znowu musiała iść do kibla, że znowu tam spędziła niemało czasu, potem była jeszcze raz, ale w końcu jej pomogło. Wyobraźcie sobie, że macie siedemnaście lat i przy całej klasie opowiadacie swoje przygody toaletowe. Chociaż tutaj to chyba mniejsze tabu, bo na pytanie „jak lubisz spędzać wolny czas z kolegami?”, chłop odparł, że lubią razem chodzić do kibla i nie była to odpowiedź, która wzbudziłaby jakiś popłoch na sali.

Powoli dochodzimy do punktu wrzenia w temacie odwiedzin naszych uczniów. Bywają dni, że spędzamy dobre dwie godziny, odpowiadając kolejnej grupie gości na te same pytania: czemu nie jesteśmy małżeństwem, czemu nie mamy dzieci, czy lubimy tofu, czy lubimy Dongkou, jaka jest pogoda w Polsce; hektary innych bzdur.

Mamy fotę księdza Gila na tarczy do rzutek i musimy wszystkim wyjaśnić, kto zacz. Ponieważ jest podpisana „Interpol”, to jeszcze, co to Interpol. Ubawiła nas koleżanka FuJin, która wzruszyła się i powiedziała, że to taki biedny człowiek, tyle rzutek w twarzy teraz ma. Gdybyśmy tylko mogli go wam przysłać na zastępstwo za nas...

Jeżeli komuś wydaje się, że życie w egzotycznym azjatyckim kraju jest ekscytujące, to powinien przeżyć ten tydzień (jak i zapewne większość nadchodzących) na naszym zadupiu. Nie dzieje się absolutnie nic, wielkim wydarzeniem ostatnich dni było to, że wywaliło prąd w centrum handlowym, a w drugim przecenili wino i pojawiła się woda mineralna z Hongkongu.

[29.03.2014]

Długo trzymaliśmy się daleko od banałów o tym, że Chińczycy jedzą psy, ale dłużej się nie da. Oto nasz weekendowy obiad.



Hot pot z płochacza

Oczywiście to tylko zalewa do *hot pota* (danie chyba nie ma polskiej nazwy, przecież jakiś „gorący garnek” brzmi arcydurnie). Hot pot to chińskie fondue, robi się tak, że bierzemy zalewę i walimy ją do gara, otrzymujemy zupkę, do której wrzucamy kolejne składniki. Gotuje się to, a my wybieramy, co akurat się zrobiło. Jest trochę zasad, które rzeczy kiedy należy wrzucić, jak się je z Chińczykami, to wtedy urastają one do rangi najważniejszego rytuału świata. Prywatnie robimy na hura, chociaż siłą rzeczy ziemniaki je się później niż tofu. Pasuje zasadniczo wszystko, takie danie tygodnia do sprzątania lodówki. Chińczycy robią w tym dziesięć rodzajów mięsa, my sobie wrzucamy grzyby, tofu, warzywa i makaron. Samej zupy się nie spożywa, służy tylko jako zalewa (w restauracji z Chińczykami się nie je, w domu się je). Jest to dość socjalne danie, konsumuje się je zawsze w kilka osób, dużo przy tym gada, ustala, co dorzucić. Na koniec powinno się popić rosółkiem, żeby się lepiej trawiło. Nazwa nie kłamie, dobry hot pot jest cholernie ostry i tłusty, pozostaje przy tym jednym z naszych ulubionych chińskich dań. Miasto słynące z hot potów (jak również upałów, korupcji i zanieczyszczenia powietrza) to Chongqing. Prowincja Syczuan ma również znaczne osiągnięcia w temacie.

Akurat ta zalewa jest specjalnie przygotowana do zrobienia w niej psa. Mimo obrazka, nie sądzę, żeby ktoś zdecydował się na poświęcenie golden retrievera na posiłek – psy rasowe są bardzo drogie i świadczą o statusie społecznym właściciela (tu wszystko świadczy o statusie społecznym...). Je się chyba jakieś bezdomne, psina ma często swoją sekcję na bazarach. Traktowana jest po prostu jak zwykłe mięso, czemu jakiejś racji odmówić nie można. Pomysłem dość okrutnym (pisze człowiek z kraju, w którym świnie się żywcem do wrzątku wrzuca) jest ten, iż psa należy najpierw solidnie obić kijem, bo gdy spuchnie, to mięso lepiej smakuje i łatwiej odchodzi od kości. Pewnie jest w tym jakaś racja, a w tutejszej rzeczywistości zwierzęta nie są przesadnie szanowane (napisał człowiek z kraju, w którym schroniska dla zwierząt wyglądają jak obozy koncentracyjne i większość ma to w dupie).

Psina nie jest jakimś przesadnym hitem, mniej więcej jak wieprzowe nóżki dla Polaków – niektórzy to jedzą, większość się brzydzi. Chyba ich szkolą, żeby obcokrajowcom opowiadali pierdoły, że nie lubią, bo już trzy razy zebrałem tę samą historię o tym, że nie jedzą, bo w dzieciństwie mieli psa. Jeżeli ktoś by poszukiwał mocnych wrażeń kulinarnych, powinien udać się do Guangdong. Tam poza psami jedzą też koty – podobno świetnie balansują poziom yin-yang w organizmie.



Nie jedzcie pieseła! :(

[8.04.2014]

Mieliśmy kilka fajnych pomysłów na prima aprilis. Wkręcić naszych uczniów, że toalety na Zachodzie wyglądają jak w Chinach. Powiedzieć im, że Tybet nie jest chiński. Albo że Tajwan zdecydował się przyjąć komunizm. Tylko wtedy moglibyśmy mieć „secunda aprilis” w stronę najbliższego lotniska międzynarodowego. Ponieważ wkrótce (dokładnie piątego kwietnia) miało mieć miejsce wielkie święto, czyli sprzątanie grobów, robiliśmy lekcję o chińskich świętach. Początkowo wydawała mi się zbyt banalna, jakby u nas pytać ludzi o to, czemu obchodzi się Boże Narodzenie i Wielkanoc. Oczywiście dobraliśmy święta w ogóle niezwiązane z żadną z religii. Wszystko tak ogólnochińskie i oczywiste, że obawiałem się, że mi zabraknie rzeczy do wyjaśniania.

Myliłem się. Poza barierą językową, okazało się, że oni po prostu nie wiedzą. Kilkadziesiąt osób nie jest w stanie powiedzieć, dlaczego to robi się to czy tamto, a jakie znaczenie ma ryba albo biały królik na księżycu. Gdyby na głupocie i ignorancji dało się coś posadzić, to miałbym hektary takich upraw.

W paru grupach robiłem temat różnic między Chinami a Zachodem. To nawet działało. Wszystko to w oparciu o ciężką pracę Yang Liu. Oczywiście musiałem dobrać te bardziej radosne, więc od razu odpadło podejście do problemów, a po dwóch lekcjach i sposób ustawiania się kolejki. Dwie grupy, którym to pokazałem, przeżyły traumę i wstyd, bo przecież im nie można powiedzieć, że przy kupowaniu biletów jest syf i że zachowują się jak najgorsza hołota. Nie, nie, to tracą twarz i jesteś niemiły, o złych rzeczach lepiej nie mówić.

Spotkaliśmy kiedyś pierdolniętą panią na ulicy. Przedstawiła się jako Amily, nie dała się przekonać, że jednak Emily jest bardziej mainstreamowe. Mówiła całkiem niezłe po angielsku, problem tylko, że słowa nie składały się w żadne zdania. Może zrobiła o jeden test za dużo i coś się jej odkleiło. Jakoś z rozpędu dałem jej mój numer telefonu, bo byłem pewien, że nigdy nie zadzwoni – mój stary numer miało dobre kilkaset osób, a dzwoniły może cztery. Amily jednak okazała się być bardziej śmiała, najpierw pisała mi durne smsy, coś o spaniu, coś całkowicie bezsensu. W końcu zapytała, czy to prawda, że hoduję rybki akwariowe, bo chciałyby zobaczyć moje egzotyczne okazy. Początkowo kurtuazyjnie odpisywałem, ale w końcu to olałem, bo nie miało najmniejszego sensu.

Gdy pewnego wieczoru schodziłem po lekcjach na zakładową stołówkę, nagle usłyszałem, że ktoś do mnie mówi. Nie mogłem zrozumieć, o co też tej osobie chodzi i dopiero po kilku minutach tej męki udało się nam ustalić, kto też jest źródłem bełkotu. Wszystko wskazuje na to, że przyjęli psychiczną na stanowisko nauczycielskie. Kariery długiej pani nie wróżę, ale mam nadzieję się trochę uśmieć. Mam też nadzieję, że to nie uczniowie się ubawią, gdy zobaczą, jak bardzo ona mi truje dupę.

Czego nie wymyślisz: w trakcie lekcji uczniowi uciekła mysz. Kolejna lekcja: po ławce biega królik. Chyba już wiemy, jaki będzie następny zakaz w szkole.

Wkurw na ten tydzień: uczennica stwierdzająca, że ja muszę być do dupy nauczycielem i nie mieć żadnych kwalifikacji, skoro uczę w takiej zapyziałej norze jak Dongkou. Gdy będziecie mieli kolejne trzęsienie ziemi czy inny tajfun i przyślą wam pomoc z zagranicy, to idź i popytaj tak ratowników z jakiejś organizacji humanitarnej. Ale tak, ja też się czasem dziwię, co ja tu robię. Uczennica chciała również wiedzieć, jaka jest moja ciemna strona, bo przecież każdy człowiek ma ciemną stronę, a ja się zawsze dużo uśmiecham i ich chwale. Niech mnie jeszcze parę osób tak popyta, to zobaczy moją ciemną stronę, najdokładniej to jak będzie leciała ryjem w dół z czwartego piętra. Pradawna chińska mądrość na ten tydzień: Człowiek jest jak drzewo – kilka ciosów siekierą i pada na ziemię!

Szczęście niejedno ma imię

[16.04.2014]

Szczęście niejedno ma imię, wiem o tym. Zapewne jednak nie ma na imię Amily, tylko raczej Marlena Dietrich albo Gloria Swanson. Na pewno nie Amily. O tym dowiedziałem się już, kiedy poznałem posiadaczkę tego imienia.

Amily zadzwoniła do mnie w niedzielę po 22 i pierdoliła w sumie sam nie wiem, o czym. Nie gadka szmatka, ale bełkot z oderwanej jaźni. W poniedziałek spotkała mnie w szkole i kontynuowała bezmyśl dnia poprzedniego. Dała mi prezent: krem wybielający. W pierwszej chwili pomyślałem, że do odbytu. Jednak nie, do twarzy. Bo nie jestem wystarczająco biały. Nie próbowałem zrozumieć tego gestu, jak i nie próbowałem zrozumieć tego, co też Amily mi mówiła. Jednak z 40 minut przerwy spędziłem ponad 20, słuchając jej bełkotu. „A mógł zabić!”, a raczej: „a mógł sobie czytać gazetkę i drapać się po jajach”.

Lekcje dobiegły końca. Amily wpierdoliła mi się do gabinetu. Wszyscy Chińczycy kulturalnie pukają i pytają, czy można, jeszcze nigdy nie powiedziałem „nie”. Oczywiście, nie ona. Wzięła sobie mój kalendarz, otworzyła na kodach krajów i miast. Rozpoczęła liczenie. Chyba je dodawała. Po kilku minutach zeznała:

– 271.

Przyjeliśmy to spokojnie. Zgodnie z prawdą powiedzieliśmy, że idziemy do domu i że widzimy się kiedyś tam. Żegnamy! Niestety uparła się, żeby iść z nami. I poszła. Tematów wspólnych mieliśmy dokładnie jedno okrągłe zero, więc człapaliśmy przez centrum Dongkou w składzie Jenot, Aligator i Amily w ciszy. Kupiłem papierosy i cztery piwa belgijskie.

– *Och, jesteś taki bogaty!*

No ba, 25 RMB, 12,5 PLN za to dałem. W końcu doczłapaliśmy do naszego kampusu i próbujemy jej wyjaśnić:

– *My tu, ty nie tu.*

– *Tak, tak!*

– *My idziemy na obiad, ty nie.*

– *Tak, tak!*

– *Spierdalas, a my nie.*

– *Tak, tak!*

Strażnik leje ze śmiechu. W sumie go rozumiałem, ale nie podzieliłem jego radości. Zadzwoniłem do naszej opiekunki, Shirley. Że ja przepraszam, że przeszkadzam, że ja kocham wszystkich Chińczyków i wszystkie Chinki (zwłaszcza takie dobrze rozwinięte z drugiej klasy), ale nie Amily, Amily jest poza moją listą. Shirley nie wie, o co mi chodzi, ja w sumie też nie wiem, jak jej wyjaśnić, skąd wytrzasnąłem wariatkę na tym zadupiu. Szczęśliwie, Amily zniknęła samoczynnie.

Wtorek. Podobno Amily mnie szuka, ale nie może znaleźć. Akurat tak się złożyło, że nasza organizacja przysłała do nas wizytację w postaci Donalda. Ja we wtorki mam lekcje cugiem, nie mam czasu na niego i na nic innego, więc odpadła mi jego wizytacja w naszym legowisku. Pewnie przyjechał zobaczyć, czy nie wysmarowaliśmy ścian gównem i czy nie hodujemy kur w łazience.

Okazało się, że przecież możemy spotkać się na lunchu. Donald ciągnie nas dobrego kilosa do swojej ulubionej restauracji w Dongkou. Jest naprawdę tanio, ceny od 6 do 12 RMB. Zamawia dania bez mięsa, bo oboje przypominamy mu, że nie jemy kaczek, kur i bawołów. Przez następne dwadzieścia minut oglądamy ściany, tłuczemy muchy i obserwujemy lokalnych gamoni w trakcie spożycia baijiu. Donald napierdala na telefonie, zapomniał o nas. Po paru minutach anglojęzycznej kurtuazji, przeskakujemy sobie na polski:

- *Chujowo tu.*
- *Na pewno się nie zrujnuje.*
- *Śmierdzi.*
- *I muchy latają.*

Po dwudziestu minutach podali jedzenie. Poza standardem: ryż, pomidory z jajami, bakłażan – dali *ku guo*. Po polsku to jest przepęklą ogórkowata, więc wszystko jasne. *Ku Guo* jest gorzkie i obrzydliwe, pewnie dlatego po angielsku zwą to *bitter gourd*. Podobno jest zdrowe. Donald zeznał, że to kocha. Ja zeznałem, że mam lekcję za 20 minut i że już się najadłem, co w sumie było zgodne z prawdą – bakłażana było tyyyyle, podobnie jaj z pomidorem. Robię sobie też notatkę w głowie: nigdy więcej *ku guo*. Na koniec Donald wali z działa o największym kalibrze:

- *Ale nam ten posiłek tanio wyszedł! To tylko 8, to 12, super tanio!*

Lunch biznesowy po chińsku, uszanowanko! Przy okazji tego posiłku mogliśmy oglądać dokładnie 47 zdjęć dziecka Donalda. Niestety bez Kaczora. Mówiliśmy chóralnie, że jeszcze nigdy nie widzieliśmy, żeby ktoś tak ślicznie się spuścił. Że takie dziecko z jego obrzydliwej pały! Cud narodzin!!! Ślij do Gila, na kursy prenatalne! No, tu już postnatalne. Biorąc pod uwagę, ile z nas zdzierają za pracę w Chinach, to jest to nasze dziecko bardziej niż jego.

Aż dziwne, że nie pytał, czemu my nie mamy dzieci. Po odpowiadaniu na to pytanie około dwustu razy, opracowaliśmy pakiet odpowiedzi:

- *Cieężko je ugotować i są łykowate.*
- *Ona jest bezpłodna, a ja jestem impotentem.*
- *Składamy dzieci w ofierze szatanowi.*
- *Wolimy adoptować jakiegoś Chińczyka.*
- *Nienawidzimy dzieci.*
- *Zaprzysięgliśmy dotrzymywać czystości aż do śmierci.*
- *Tam obok jest fajna klinika aborcyjna.*

Niestety nie pytał.

Sytuacja meteorologiczna ułożyła się tak, że zaczęło lać. Donald akurat miał coś innego do roboty, więc musieliśmy iść z buta do szkoły. Weszliśmy na sześć minut przed rozpoczęciem lekcji. Ociekający wodą, z fryzurami jak późny Bowie i zapachem jak wczesny *laogai*. Zdjąłem z siebie, co zdjąć mogłem. Uczennice były za, ja trochę przeciw. Gdy moja błękitna koszula suszyła się w gabinecie, ja prowadziłem lekcję w koszulce z wielkim *I LOVE HONG KONG* na kłacie. Radości z tego powodu nie brakowało, „Oh, Michael! Sooo cuteeee!!!”. Czwarty krzyżyk idzie, a człowiek jeszcze potrafi rozkręcić wioskowe azjatyckie siedemnastki.

Nie był to bynajmniej koniec atrakcji na ten tydzień. Okazało się, że szkoła jest pod takim zajebistym wrażeniem moich lekcji, że chce sobie jedną nagrać na video. Najchętniej

to „już, teraz”.

– *Już, teraz to mam lekcję u takich orłów, że możecie tam nagrać program ornitologiczny, a nie lekcję.*

Pozwolono mi wybrać trzy grupy, które moim zdaniem się nadadzą, a oni wybiorą. Szczęśliwie, wybrali najlepszych. Zasuwa w środowy poranek, wbijam do klasy, wszyscy siedzą jak na mszy. Dyżurna podchodzi i wręcza mi papier toaletowy.

– *Nie, dziękuję, nie muszę akurat teraz... Aaa, do nosa, a to dobrze.*

Odpalam lekcję i... Powerpoint się zjechał. Konkretniej, klikanie. Nie da się przełączać slajdów. To ja siedziałem po nocy wczoraj, żeby to ślicznie zrobić, a u was w komputerze się coś spierdoliło? I ten nagrywa, że ja se rady nie daję z technologią. Po chwili i on nie daje. Dobra, robimy na podglądzie. Sama lekcja jakoś poszła, śmiesznie nawet chwilami, jednej dziewczynie filizanka się rozbiła w drobny mak, idea pracy w parach nieco pokonała ich możliwości, ja się chyba raz spierdoliłem, ale wydaje mi się, że lekcja do wybronięcia. Wybrałem temat o komputerach, w miarę to przemyślałem, do tego byłem pewien, że nie da się powiedzieć niczego zbyt ciekawego dla mej dyrekcji. W tej nagrywanej klasie poszło bez kontrowersji, ale w innych dostałem odpowiedzi, które mogłyby przełożonych średnio rzucić na kolana:

– *Lubię internet, bo mogę oglądać filmy z Japonkami (czyli pornosy).*

– *Nie lubię tego, że nie mamy dostępu do Facebooka i Twittera, bo nam Chiny zabroniły.*

– *Tylko dzięki internetowi wiemy cokolwiek o zniknięciu samolotu w Malezji.*

By było, jakby to poszło w trakcie tej nagrywanej lekcji...

Okazało się, że jedna z mych uczennic bardzo chce nam pomóc z załatwianiem transportu na dworzec autobusowy. Uznaliśmy, że wiele zaszkodzić nam nie może, więc umówiliśmy się po piątkowych lekcjach. Wówczas to szkołę opuszcza około trzech tysięcy uczniów. Brama jest jedna, wrażenia jak podczas wychodzenia z dużego koncertu plenerowego. Sprawę dodatkowo komplikują rodzice, którzy próbują podjechać jak najbliżej wejścia do placówki oświatowej. W końcu znaleźliśmy się z uczennicą, zadzwoniła po ojca. Pojawił się samochód, burdelu zrobiło się nieco więcej. Wsiadamy, patrzę po skórzanej tapicerce, futrzanych siedzeniach, Mao Zedongu na desce rozdzielczej i nieśmiało pytam:

– *Victorio, kim jest twój tatuś?*

– *Pracuje dla Chin! Ale to nie tata, tata musiał zostać w pracy, przysłał swojego kierowcę.*

I nagle znalazły się odpowiedzi na pytania, dlaczego Victoria chodzi często do kina, jest nieco lepiej obeznana ze światem i coś tam nawet podróżowała.

Gdy dotarliśmy do dworca, pomogła nam ze wszystkim, pobrała też pieniądze od kierowcy i uparła się kupić nam rzeczy na drogę. Chciała nas też bardzo zabrać do jakiejś lepszej restauracji, bo dworcowe takie fatalne. Zapewniała, że kierowca taty lubi wozić ludzi po knajpach i mu to na pewno nie robi żadnego problemu.



Obcy. 52. pasażer Bustromo

Skończyło się na tym, że usiedliśmy w przydworcowym lokalu i zjedliśmy pierogi zakupione nam przez córę lokalnego dygnitarza za pieniądze wydarte z krawicy ludu pracującego Chińskiej Republiki Ludowej. Jednak miłszym aspektem tego dnia było odkrycie, że wraz z nami autobusem podróżować będzie kura. Niestety czuła się nieco skrępowana.

[19.04.2014]

Normalny człowiek ma dokładnie zero powodów, żeby odwiedzić stolicę prowincji Hunan, czyli Changszę. Są wprawdzie i gorsze miasta w Chinach (jeżeli istnieje piekło, to wygląda mniej więcej jak Hefei), ale chyba nawet największy pasjonat Państwa Środka nie wpadłby na pomysł odwiedzenia Changshy. Jeżeli jednak mieszka się na stałe w tej pięknej części świata, wówczas może się złożyć, że pewnego dnia postanawia się tak właśnie zmarnować kawałek życia.

Changsha jest znana z niczego. Lokalnie słynie ze specyficznego sposobu przygotowywania tofu, czyli topienia go w oleju i zalewania. Jednak nawet Chińczycy nie byli w stanie powiedzieć nam, co też w Changshy można zwiedzić.

– *Yuelu Park* – padło po długim przesłuchaniu.

Jak Yolo, to Yolo.

Poza Yolo, Changsha jest znana jeszcze z tego, iż pewna osoba z Hunanu związała z nią swój żywot. Humanista i romantyk, a zarazem człowiek czynu: Mao Zedong.

Niestety, w sobotę padało, bo specyfiką Hunanu jest to, że w weekend zawsze pada. Ogólnie pada ciągle, ale jeżeli chodzi o weekend, to jest to tak pewna składowa każdego z nich, jak kac. Gdy już dotarliśmy do tej Changshy, znaleźliśmy miejsce do spania, monopolowy i jedzenie (mniej więcej w tej kolejności, bo o 22 łatwiej znaleźć koreański alkohol niż wegetariański posiłek), odkryliśmy, że nasz pokój hostelowy wyposażony jest w telewizor. Niby nic specjalnego, ale nie oglądaliśmy telewizji od prawie dwóch miesięcy, więc postanowiliśmy zrobić sobie krzywdę przy pomocy CCTV (China Central Television). Na kanale czwartym nadawano właśnie program rozrywkowy z angielskimi podpisami. Jednym z jego elementów były dowcipy. Były tak ciekawe i zabawne jak kolonoskopia; nie wiedzieliśmy, czy się śmiać, czy płakać. Wyglądało to mniej więcej tak: 60-letni pan w zabytkowym garniturze opowiadał, że kiedyś się przeziębził i stracił głos. Znajoma śpiewaczka poradziła mu, żeby podczas snu trzymał w zębach kawałek gruszki, to mu na pewno pomoże. Mandaryn postanowił wypróbować ten sposób. Niestety zapomniał o tym, że przez sen zgrzyta zębami. W efekcie gruszkę pogryzł i połknął. Poprosił więc żonę, by pilnowała go i wkładała kolejne kawałki gruszek na miejsce tych połkniętych. Kiedy się obudził, odkrył, że żona śpi, a gruszek nie ma. Zirytowany, obudził małżonkę i pyta, co jest grane. Ta odpowiedziała: zjadłeś już 3 kilo gruszek, naleśniki i bułkę parowaną! Oklaski. Uśmialiśmy się jak norki.

O poranku (no, powiedzmy) udaliśmy się do muzeum zaaranżowanego w dawnym domu... Baczość! Mao Zedonga! Spocznij. Na recepcji niemal spadli z wrażenia, że przygnało białych turystów. Przyznano nam przewodnika, który robił ochotniczy staż w tym przybytku myśli rewolucyjnej. Chłopak klecił nieco po angielsku, ale zapewne w najbliższym czasie nie będzie zdawał Proficiency. Zaś co do samego muzeum... Jest tak cudownie piękne! Cały dziedziniec opisano wierszami Mao Zedonga. A raczej wykuto je w marmurze.



Liryki Mao. Piękne niczym jego lico

Niektórych poematów dzieci uczą się podobno już w pierwszej klasie podstawówki. Teraz naprawdę mam motywację do poznawania chińskiego, parę lat wysiłku i będę mógł poczytać dzieła o przyrodzie Hunanu w oryginale.



Na środku dziedzińca wywalono wielkiego wodza, równie brzydkiego jak ogromnego. Chyba coś finansowo nie styknęło, więc jest z betonu, za to pomalowany na stalowy kolor

Dawna rezydencja Wielkiego Sternika to standardzik: tu łóżeczko, a tam biureczko. Jest pokój zatytułowany „różne” (*miscellaneous*), czyli sądząc po umiejscowieniu i opisie, prawdopodobnie były sracz wodza.



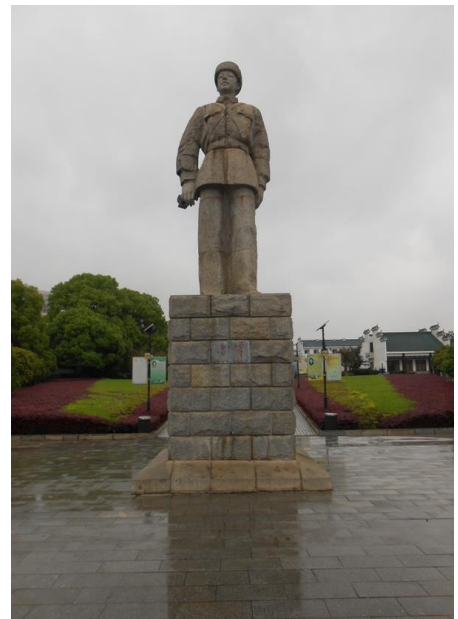
Jama Chama, czyli pokój Mao i jego żony

Obok walnęli wielkie gmaszysko muzealne. Chyba nie bardzo wiedzą, co w nim chcą mieć, bo obecnie jedynie na pierwszym piętrze jest wystawa. Niestety sztuki nowoczesnej i XX wieku w Chinach. Kiedyś mieliśmy takie pralki, a teraz takie – nawet miło było zobaczyć, że pralka z naszego dawnego mieszkania stała w sekcji lata 70-te. Kiedyś mieliśmy takie telewizory, teraz takie. Hit muzealny na miarę Luwru to nie był.

Sklepek muzealny miał najważniejsze: popiersie wodza z plastiku, jedyne 15 RMB (około 7 zł). Mamy więc nowy chiński artefakt.

Wydawało się, że nasza przygoda z przewodnikiem muzealnym dobiega końca, natłukliśmy sobie pamiątkowych fot i zapytaliśmy go, jak dostać się do muzeum Lei Fenga. Posprawdzał, popytał, powiedział, że zaprowadzi na autobus. Fantastycznie.

Tak jakoś się złożyło, że pojechał z nami całą drogę do muzeum bohatera narodowego. To już w sumie nie jest Changsha, to jest ostatni przystanek na linii autobusowej, niezły kawałek za miastem. Wioska obecnie zwie się Lei Feng, gdyż nasza gwiazda tam się urodziła. Szczęśliwie, przyznają człowiekowi wolontariusza, więc można dowiedzieć się jeszcze więcej.



Lei Feng. Bohater. Dobrodziej. Społecznik.

Człowiek o biografii równie prawdziwej, co Protokoły mędrców Syjonu



Polityka zagraniczna Chin w pigułce. Japończyk – be, Chińczyk – cacy

Obiekt podzielono na cztery części: młode życie Lei Fenga, edukacja i członkostwo w partii, śmierć, dziedzictwo. W pierwszej części są wspaniałe rzeźby: ojciec Lei Fenga zabijany przez Japończyków. Są też źli obszarnicy, którzy zdzierają z biednych chłopów czynsz.

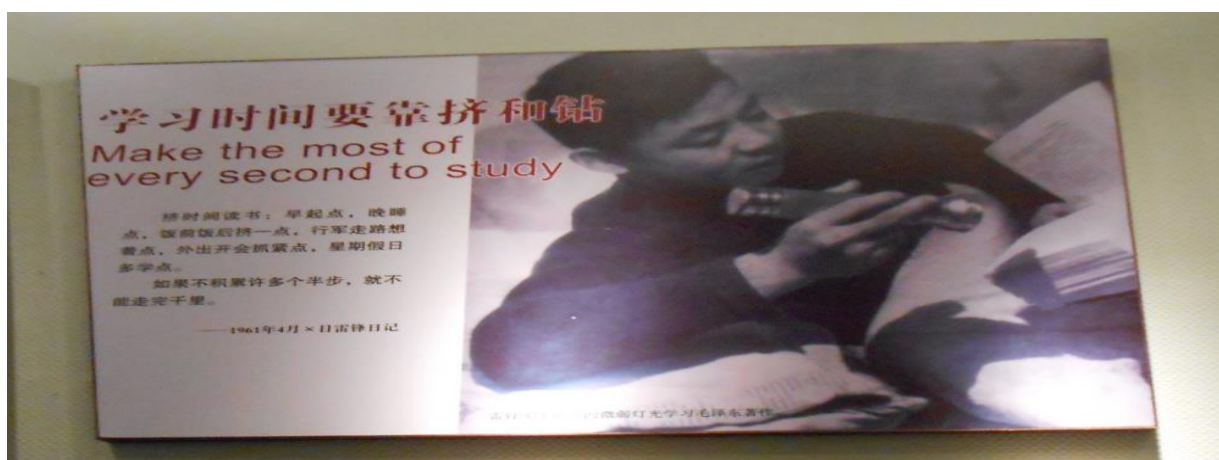


Lei z wdzięczności wkłada rękę do rozporka wujaszka

Dowiadujemy się, że w wieku ośmiu lat Lei Feng został sierotą. Edukację mógł dzięki wsparciu finansowemu jakiegoś wujka kontynuować. Na szczęście i wujka przedstawiono w trójwymiarze!

Ta dość kuriozalna scena przypomniła nam pewną wypowiedź polskiego hierarchy kościelnego: „Niewłaściwa postawa często wyzwala się, kiedy dziecko szuka miłości. Ono łgnie, zagubi się i jeszcze tego drugiego człowieka wciąga.” – abp Józef Michalik.

Lei był oczywiście najlepszy w szkole. Szczęśliwie uwieczniono te epizody z życia sieroty za pomocą malowideł. Prawdziwe kwiatuszki są jednak związane z życiem wojskowym bohatera. Jedna szkoła z wyróżnieniami, druga podobnie, przyłączył się do armii. Dostawał 230 CNY miesięcznie, ale dwie stówy oddawał biednym, żył sobie za 30 (skąd on wziął biednych w ChRL, przecież już wtedy był tu komunizm? Może wysyłał uchodźcom za ocean?). Lei Feng pracował – a to przy uprawach rolniczych, a to jakieś kamienie na budowlę socjalizmu nosił. Wszystko to mamy na obrazach. Potem przechodzimy do etapu foto: zdjęcia Lei Fenga, jak to po nocach czyta przy latarce – bo ów zawsze chciał się doskonalić.



Spontaniczna fotka z latarką i książką z czasów, kiedy nikt w Chinach nie posiadał prywatnych aparatów fotograficznych, klisz ani możliwości wywoływania zdjęć

Lei Feng pomaga przy uprawach. Lei Feng jako czołowy traktorzysta regionu – tego to nawet rzeźbę zrobiono! Lei Feng na Tiananmen – pojechał na motorze, bo chciał spotkać Mao Zedonga, pragnął podzielić się z nim swoimi pomysłami dotyczącymi socjalizmu, ale nie udało im się spiknąć. To zdjęcie z Tiananmen, to już są jaja jak globusy: tło rozmazane, Lei na motorze w innej ostrości, oczywiście w pędzie i z uśmiechem. Już tak się czepię, że skąd on wziął benzynę, żeby przejechać jakieś 1600 kilosa z Changshy do Pekinu? A motor pewnie też z tych 30 CNY kupił.

Śmierć naszej gwiazdy omówiona jest dość skrótowo: pomagał komuś wytachać ciężarówkę z błota, ktoś inny rąbnął w słup, ten spadł i ubił nam bohatera. Dziedzictwo pokazuje hektary ludzi, których swym żywotem Lei Feng zainspirował – tu jakieś dziewczynki, tam jakiegoś lekarza i strażaka, szczęśliwie nie brakło naśladowców!

Muzeum zabija. Takiej ilości kretyńskich bzdur nie widziałem nawet w żadnym sowieckim produkcie tego typu. Tam starano się, żeby ekspozycja była w miarę prawdopodobna. Tu się tym specjalnie nie przejęto, a macie to i zdjęcie z 1959. Kto cykał sobie wtedy sweet focie przy kopaniu rowów na zadupiu? I nie było prądu, więc chłop czytał z latarką po nocach i tłukł przy tym autoportrety dla przyszłych pokoleń.

Dom wujka Mao i dom bohatera to nie jedyne atrakcje Changshy. Jest jeszcze Orange Island, wyspa na rzece Xiang, gdzie w 2009 postawiono tak niesamowity obiekt, że uparliśmy się go odwiedzić. Wyspa jest ogromna, da się tam dostać nawet taksówką lub autobusem. Potem trzeba przejść jakieś trzy kilometry (albo opłacić kolejkę, która kosztuje 20 CNY i się na nią czeka dobre kilkadziesiąt minut) i JEST!

Lokalni mają odjazd na całego, foty, dzieci rzucają w klomby, strażnik gwizdże, żeby wypierdalali z tymi dziećmi z klombów. W czasie między jego krzykiem a interwencją powstają materiały fotograficzne dla przyszłych pokoleń. My też się nie krępowaliśmy, porobiliśmy sobie radosne zdjęcia, powiedzieliśmy przewodnikowi, że nas z butów wywaliło i wróciliśmy trzy kilometry, dla odmiany w upale. Drogę uprzyjemniają liczne znaki w języku Chinglish, czyli co się dzieje, gdy ktoś tłumaczy na żywca z jednego na drugi.



Dokonaj analizy porównawczej portretów Adama Mickiewicza ze statuą młodego Mao Zedonga



„Miej litość dla trawy”



„Kochaj kwiaty i trawę i wytwarzaj świeże powietrze”

Niestety ograniczenia czasowe sprawiły, że nie udało nam się odwiedzić innej atrakcji: szkoły, do której uczęszczał – niespodzianka – Mao Zedong. Podobno można tam nawet zobaczyć podwórze, na którym zwykł brać kąpiele w zimnej wodzie, ławkę, w której się uczył. Ludzie przyjeżdżają do Chin, jakieś Zakazane Miasta, Terakotowe Armie, a tu taka atrakcja pozostaje niemal niezauważona!

Pomiędzy licznymi wizytami w miejscach pamięci narodowej warto zatrzymać się w jednej z restauracji. Na przykład w pizzerii w pobliżu dworca. Oferują tam jedyną w swoim rodzaju pizzę na słodko: kandyzowane owoce (ananas, kokos, mango, winogrona-rodzynki), całość zaś okraszono posypką do lodów. Świetne jako deser dla kogoś, kogo bardzo nie lubimy!



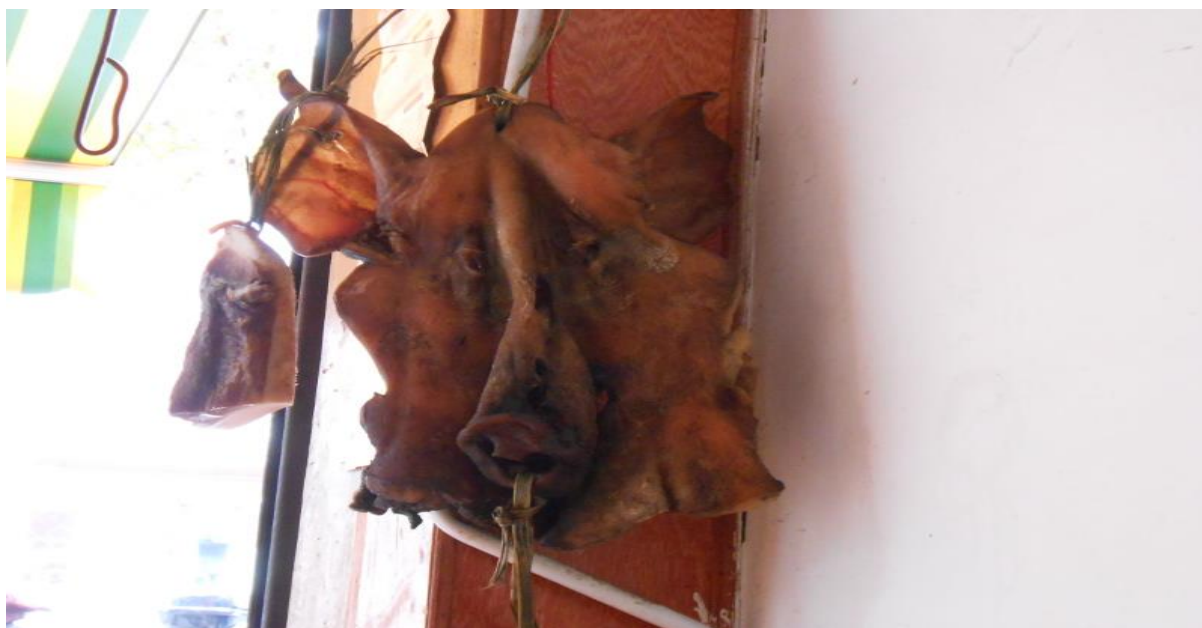
*Nie próbujcie tego w domu. Ani w restauracji.
Najlepiej nigdzie tego nie próbujcie!*

Pomiędzy odwiedzaniem różnych atrakcji związanych z chińską sprawą najważniejszą, znaleźliśmy chwilkę, by odwiedzić Carrefoura. Szczęśliwie, mieli dział alkoholi importowanych. *Quod erat demonstrandum*, Changsha pełna jest atrakcji wszelakiego rodzaju i każdy znajdzie coś dla siebie. Każda osoba zdrowa na umyśle – dworzec kolejowy lub autobusowy, żeby uciekać jak najszybciej i jak najdalej.

Propozycja kulinarna na Wielkanoc

[19.04.2014]

Z okazji jutrzejszego święta proponujemy porzucić oklepane, nudne, banalne potrawy na wielkanocne śniadanie i spróbować czegoś nowego. Z samego serca Chin przedstawiamy Wam kultową potrawę prowincji Hunan, którą od wieków zjadają się kolejne pokolenia Mandarynów. Danie to z pewnością zwróci uwagę wszystkich gości i będzie ozdobą tego świątecznego posiłku. Magda Gessler, Maciej Kuroń, Robert Makłowicz i Gordon Ramsay polecają. Cztery gwiazdki w przewodniku Michelina!



Składniki:

- 1 świński łeb. W razie braku samodzielnego łba, może być cała świnia
- ostry nóż
- hak

Sposób przygotowania:

- Skórujemy świnie.
- Wieszamy skórę na haku.
- Suszymy.

Gospodarz przyjmuje gości w skórze prosiaka założonej na głowę. Może przy tym nucić *War Pigs* (Black Sabbath) lub *March of the Pigs* (Nine Inch Nails). Goście odrywają kawałki skóry i refleksyjnie przeżuwają. Pamiętajmy, by wskazać gościom najkrótszą drogę do ubikacji!

[26.04.2014]

Nasza szkoła prowadzi różne akcje mające na celu uświadomienie uczniów. Zapewne dzięki tym pomysłom będą potem lepiej szyli trampki i składali Playstation w fabrykach prowincji Guangdong. Przez ostatnie tygodnie opowiadali im, że nie powinni palić. Były pocieszne aspekty tej akcji, w paru klasach wywieszono napisy „zakaz palenia” w kilkunastu językach. O koreańskim i japońskim wiele nie powiem, ale coś im się niestety popierdoliło sromotnie i po angielsku mieli „zakaz palenia opium”, a po niemiecku jakiś totalny burdel ze stroną bierną.

Cały tydzień tłukłem lekcję o superbohaterach. W jej trakcie padało pytanie o chińskich: czy jacyś są, czego dokonali? Poza jedną klasą, wszyscy podawali Mao Zedonga. Wytrzymajcie i nie pierdolnijcie ze śmiechu, jak wam mówią, że Mao Zedong to wielki bohater i że zbudował potęgę Chin. W jednej klasie naprawdę musiałem sobie wbić paznokcie w rękę, gdy mi powiedzieli, że wujek Mao wybawił Chiny od głodu. Yang Liuwei to tajkonauta (czyli chiński astronauta), pierwszy Chińczyk w kosmosie. Po paru lekcjach zacząłem prostować, gdy informowali mnie, że to pierwszy człowiek, który poleciał na księżyc. Po pierwsze nie na księżyc, po drugie nie pierwszy. Wasz program kosmiczny jest mniej więcej odzwierciedleniem waszego mentalnego zacofania, czyli około czterech dekad. Nie kalajcie mi pamięci Gagarina i Armstronga. Już trochę tu siedzę i trochę wiem o ich systemie edukacyjnym, ale nadal nie udaje mi się zrozumieć, że szkoła może po prostu łżeć, obrzydliwie kłamać i sprzedawać im arcydebilną wersję świata i jego historii. Nie, że w Polsce czy ogólnie na Zachodzie jest idealnie (bo nie jest), ale do kurwy ciężkiej, za jakiś czas dowiem się, że Chińczycy odkryli Amerykę, zbudowali Tadź Mahal i wygrali drugą wojnę światową. Już się dowiaduję, że Chińczykom zawdzięczamy lody (raczej nie w obecnym kształcie, zresztą to i tak bardziej ciekawostka niż coś istotnego).

Lekcja o superbohaterach nie wydawała mi się przesadnie ciekawa, ale uczniowie byli zachwyceni. W jednej klasie musiałem zostać na pięć minut przerwy, bo jeden z uczniów okazał się wielkim fanem tematu i rozmawialiśmy o komiksach. Myślałem, że go spławię, mówiąc, że lubię *X-Men*, ale okazało się, że zna, tyle że po chińsku. Skończyło się na tym, że mu dyktowałem imiona angielskie głównych postaci, a on je skrupulatnie zapisywał. W innej klasie czołowa uczennica przyszła do mnie po lekcji i powiedziała, że to była najlepsza lekcja w jej życiu i że mi dziękuje. Oczywiście nie wszędzie poszło tak ładnie, w paru grupach była walka i mordęga. Tę rozmowę o *X-Menach* i hołd uczennicy pozwalam sobie traktować jako niematerialny dodatek do pensji.

Istnieją różne formy złożenia komuś wyrazów uznania. Mnie sprzedano opcję dołożenia mi lekcji, żeby uczniowie jak najwięcej skorzystali z mej obecności tutaj. No cóż, płacą za to, więc mogą, mnie to nie przeszkadza. Co ciekawe, uczniowie czternastoletni prezentują sobą o wiele więcej niż większość uczniów starszych. Nikt nie pluje, nikt nie smarka, nikt się nie wydziera, poziom wiedzy też mają wyższy. Kuriozum nieco, ale potwierdza to naszą teorię: im dłużej ktoś przebywa w chińskim systemie edukacyjnym, tym bardziej głupieje.

Słów nie mam na to, by opowiedzieć, jak dobrze i przejrzysto zorganizowana jest chińska szkoła. Chciałbym myśleć, że to tylko moja placówka na zadupiu, ale wiem, że tak jest wszędzie.

Po pierwsze, od ponad trzech tygodni próbuję dostać potwierdzenie wykupienia ubezpieczenia. Odsyłano mnie już z tym od Annasza do Kajfasza, obecnie cztery osoby zaangażowane są, żeby mi wydać jakiś papier, który by potwierdził, że naprawdę mamy ubezpieczenie. Oczywiście to moje chamskie upominanie się jest dla nich wszystkich całkowicie niezrozumiałe, aczkolwiek ta część, w której brali za to pieniądze, całkiem im się podobała.

Po drugie, nadchodzi święto 1 maja. Wypada w czwartek, z tej okazji czwartek i piątek mają być wolne. Niestety nikt nie wie, czy nie będziemy musieli odpracować tych dni w niedzielę. A konkretniej: w drugiej połowie niedzieli, ponieważ jakiś arcydebil na szczepku wysokim uchwalił, że za wolnego 1 maja należy odpracować pół niedzieli. Szkoła od ponad tygodnia informuje nas, że w sumie to już jutro będą wiedzieli, a gdy nadchodzi jutro, termin wówczas zostaje przesunięty na – nie do odgadnięcia – jutro.

Po trzecie, i tak nam wiele nie robi to święto, bo nie da się wtedy nigdzie pojechać. Miejsca noclegowe wyprzedają się jakiś tydzień wcześniej, kolejowe podobnie. Da się od nas jechać autobusami, których lokalni unikają, bo drogie, ale za bardzo nie mamy pomysłu dokąd i po co, bo – powtórzmy – już koło 22 kwietnia wiele pokoi nie zostało. Nawet jeżeli znajdziemy pokój, to wszędzie będzie dzika wściekłość ludzi, więc relaks umiarkowany.

Po czwarte, uważam, że to jest super fajne, że łączniczka na linii dyrekcja-ja umówiła się ze mną na 10. Musiałem przyjść do roboty o równą godzinę wcześniej. Oczywiście ona nie przyszła, ale dopadła mnie w dwie lekcje później na korytarzu i w trzy minuty wyjaśniła, że dalej niczego nie wie o weekendzie majowym. Uważam, że to świetny standard współpracy: dwudziestka uczniów stoi wianuszkami, a my omawiamy wycieczkę majową. Drobiazg, że wstałem i przyszedłem wcześniej. Najlepsze w tym wszystkim jest to, że ja już to przerobiłem w zeszłym roku i wiem, że nawet nie ma się o co wściekać. Jakiegokolwiek rozmowy nawiązują do klasyka polskiego kina pt. *Miś. NIE MAMY PAŃSKIEGO PŁASZCZA I CO PAN NAM ZROBI?*

Jeżeli człowiek się wydrze, to wtedy wychodzi, że jest chamski i traci twarz. Jeżeli pisze się maile dotyczące spraw mniej wygodnych, wówczas maile te są ignorowane. Jeżeli się pyta o konkretny termin, to dowiadujemy się, że będzie znany jutro. „Ale wczoraj było mówione to samo!”. „Ale jutro”. Można sobie też dzwonić o to, pisać smsy. Jeżeli nie odpisują od razu, to odpiszą jutro.

Chciałbym powiedzieć, że mnie to jakoś bardzo szokuje, ale nie. Oczywiście wkurwia mnie to, uważam to za niepoważne. Jak ja mam wytworzyć jakieś zaufanie i więź ze współpracownikami, skoro każdy problem zostaje automatycznie jedynie moim problemem, ale do żarcia tortu i darcia pieniędzy jest zawsze cała kolejka chętnych? Uważam, że na kursach biznesu powinno się uczyć ludzi właśnie tego: jak kazać drugiej osobie spierdalać i sprzedawać jej kolejne problemy. Pracowałem wcześniej w Irlandii, Polsce (i Gruzji, ale tam nie było takich jaj) i to są właśnie panujące standardy biznesowe. Tu przynajmniej, póki co, płacą na czas, ale zaczyna to być warunek ledwie wystarczający przy tym, ile się można umęczyć w innych tematach.

[3.05.2014]

Od pierwszych dni pobytu w Chinach obcokrajowiec może spodziewać się stałej litanii pytań. Do jednego z najczęstszych należy:

– *A jaki masz numer QQ?*

Oczywiście żaden, bo przecież nie mam pojęcia, co to QQ. Pierwszy raz musiałem na to odpowiedzieć trzeciego dnia pobytu w Chinach, nawet pamiętam, że w pociągu z Pekinu do Guilin. QQ cieszy się dziką popularnością w Chinach i absolutnie zerową poza nimi. Dlaczegoż to tak się dzieje?

Partia je lubi, bo ma pełen wgląd w to, co ludzie piszą i publikują, więc może to także cenzurować. Jeżeli pamiętacie Gadu-Gadu z okolic 2004 roku, to to jest mniej więcej ten poziom, tak pod względem wyglądu programu, jak i jego możliwości. W sumie wiele od komunikatora nie wymagam, ma się dać komunikować i tyle. Tu jednak przeraża ilość reklam. Zainstalowanie QQ to właściwie wpakowanie sobie do systemu wielkiego malware'a. Instalator zajmuje ponad 50 MB, z tego pewnie 30 to obsługa reklam. Wersja angielska nie do końca tłumaczy cały program, bo przecież w czasach, gdy większość poważnych firm rodzi programy z językami takimi jak słoweński, wielka chińska korporacja nie jest w stanie zrobić czegokolwiek porządnie po angielsku. Obecnie używa tego około 200 milionów ludzi, w tym niestety my. Na stronie I'm QQ można sobie zobaczyć aktualną liczbę użytkowników tego cudownego, przełomowego, jedyne w swoim rodzaju programu. Człowieka Zachodu musiałoby solidnie pogrzać, żeby się za to zabrał.

Portal społecznościowy QQ to nieudolna podróbka Facebooka, tyle mają ze sobą wspólnego, co trabant i volvo. Strona graficzna jest brzydka, wersja językowa jedyna słuszna. Wszystko infantylne, za to jeżeli chcecie naćkać emotikonów i tańczących gifów, to nigdzie indziej tyłu nie znajdziecie.

Przez ponad rok nie miałem QQ, ale pewnego dnia pomyślałem, że w sumie może mi się przydać możliwość komunikowania się z uczniami (bo wiedzą o wiele więcej niż nauczyciele). Sprawiliśmy sobie numer i zanurzyliśmy się w świat chińskiego portalu społecznościowego. Obecnie dzięki QQ mamy cenny wgląd w życia naszych uczniów. Te są nudne. Interesuje ich mało co. Żeby jeszcze ktoś miał swoje normalne zdjęcie... A gdzie tam, zawsze dają piosenkarzy, modelki, innych celebrytów. Większość z nich nie zrozumiała dwóch prostych prośb:

1. Pisząc do nas pierwszy raz, podajcie swoje angielskie imię i numer klasy.
2. Nie piszcie do nas po chińsku,

Na ponad 210 znajomych ponad połowę mamy niezidentyfikowaną. W szkole mamy ponad 3000 uczniów, ale nie sądzę, żeby statystyka się poprawiła, gdy i do reszty dojdzie o tym, że mamy QQ i że można sobie nas dodać do znajomych. Popularność QQ jest tu taka, że wiele osób nie ma nawet maili. Doświadczenie życiowe mówi, że jeżeli pewnego dnia firma Tencent pokłóci się z partią i przegnie pałę z cenzurowaniem, odpływ użytkowników będzie dość szybki.

Co do życia na portalu, poza tym, że jest nudno, to interesuje ich głównie płęć przeciwna, co bardzo dziwne nie jest. Problem, że im nie wolno, ale i tak wklejają na całego zdjęcia pięknych chłopców i dziewcząt. Ostatnio jednak akcja przybrała na sile. Jeden wrzucił rysunek kobiety oddającej się kolejce mężczyzn z numerami: podpis – „Gdy zgodzisz się raz, zawsze będzie kolejka chętnych”.

Inne całe foto story traktuje o tym, że pani upiła się i została wykorzystana seksualnie w hotelu. Nie krępowano się z tym, jak to wygląda. W Chinach pokazać piersi nie można, o dupie nawet nie mówiąc, ale już gwałt na stole jest luz. W tym też duchu są reklamy (a już na komputerach szkolnych ilość tego jest straszna), co chwilę przebiegają przez ekran rysunkowe panie z wielkimi cycami w bikini, ewentualnie widać, że animowani ludzie się chędożą – to jest ok, najważniejsze, żeby nikt bimbałów lub ptaka nie zobaczył.

Próbowaliśmy wykorzystać QQ, by zadawać pytania naszym podopiecznym. Chcieliśmy odwiedzić okolice miejsciny Kaili. Czy ktoś wie, jakie są autobusy?

– *Kaili jest piękne!*

– *Tam jest tak pięknie!*

– *Och, Kaili!*

I tak naście razy. Konkretnie zero. Czy szukałem w Google? Musiałem się trzymać, żeby nie odpisać po swojemu, co myślę o poziomie opisu transportu w Chinach w języku angielskim. Rozmowy z chińską młodzieżą to oaza radości i kopalnia głębokiego sensu. Garść przykładów:

- *Maybe there are some wrongs in my expression. I hope you could understand me.*
- *Your home? Place not play for a while?*
- *I forget tell you SOMETIME I CAN'T INTO.*
- *Can not you see the Chinese cinema?*
- *Do you like watching Japanese cartoons do?*
- *What I want you can forgive is my speed of send messagers. Haha.*
- *I miss you, but i miss you.*
- *If there are some mistakes in my massager, I hope that you can tell me.*
- *How did you eat?*
- *I love you very much bye* (napisane przez 17-latkę do nauczyciela płci męskiej...).
- *I know it is a difficult but only you have a belief you will be great. One with belief can brave any storm.*
- *Do you feel boring in space time?*

Nie mamy serca pisać im, że 80% tego, co klecą, ma tak koszmarną ilość błędów, że nawet nie jesteśmy w stanie zrozumieć, o co chodziło. Nasi uczniowie są raczej świadomi tego, że do końca świata tu nie będziemy. Ostatnimi czasy rozpoczęli błaganie nas, żebyśmy po powrocie do Polski nie przestali używać QQ, bo jak też inaczej sobie porozmawiamy?

[3.05.2014]

Dla większości Chińczyków bezrobocie jest zjawiskiem abstrakcyjnym. Znalezienie dobrej pracy w pewnym sensie też, ale fabryk w Guangdong nie brakuje, jakaś koszmarna robota się tam zawsze trafi. Aplikowanie i zdobycie roboty zajmuje godziny, a nie dni. Podobnie sprawa wygląda w temacie nauczania języka angielskiego. Znaleźć pracę trudno nie jest, ale powoli zaczyna nam się wydawać, że znalezienie jakiegokolwiek śladowo dobrej roboty graniczy z cudem. Oto opowieść z ostatniego tygodnia.

Znaleźliśmy ofertę: wiele pozycji uniwersyteckich w prowincji Yunnan, zapraszamy pary. A co tam, wysłamy się. Odzew następnego dnia, rozmowa umówiona na 10 rano.

O 10 pani nie ma na Skypie. Pojawia się chwilę potem. O 10:20 nieśmiało zaznaczamy, że jesteśmy i czekamy. O 10:30 pani wgrywa sobie zdjęcie profilowe. Wymieniamy spojrzenia, ja sobie idę zapalić. W końcu koło 10:40 pogadaliśmy, łącznie jakieś 12 minut. Chinka była przygotowana jak to one:

– *O, to macie wyższe wykształcenie? O, to masz CELTĘ? O, macie wizy i już pracowaliście w Chinach?*

Kurwa, po to chyba zbierasz CV, żeby mnie o to nie pytać!

Okazało się, że z tym uniwersytetem w Yunnanie to nie do końca aktualne, ale w zamian może nam zaoferować uniwersytet w Chengdu. Ech, rekruter numer milion. Dobrze, co tam jest? 6000 miesięcznie, 7000 bonusu, 20 lekcji w kontrakcie, ale pracuje się tak naprawdę mniej. OK, nie brzmi źle, jesteśmy zainteresowani, chociaż szczerze nie przepadam za tym, gdy mi reklamują pracę jako „będziesz miał wolne”.

Kolejna rozmowa umówiona, tym razem już z Chengdu. Zaznaczono nam, że muszą nam pójść na rękę, bo w piątek o 16:30 to oni tam już nie pracują. No niestety, my w piątki pracujemy do 15:30, więc nie damy rady wcześniej. Ale znak niezły, czyli najpóźniej o 4 zwijają się do domu, brzmi dobrze.

Tym razem, dla odmiany, pani była w miarę punktualnie. Pogadaliśmy, pytania dość dziwne jak na pozycję uniwersytecką: czy umiemy uczyć małe dzieci, bo obok uniwersytetu pani ma również pozycje w training centre. No my akurat training centre znamy bardzo dobrze, więc wolelibyśmy coś innego. Dobrze, to ona podeśle kontrakt.

Jak ten kontrakt zobaczyłem, to musiałem się napić. Solidnie. A potem bardzo delikatnie odpisać. Że to jest kontrakt z training centre. Że brakuje w nim jakichkolwiek zapisów korzystnych dla pracownika, za to pełno jest wielce fatalnych – kary, kary i kary. Delikatnie wspomniane jest, że uczy się w różnych miejscach, a co z czasami dojazdów? Godziny pracy „mogą przypaść od 7 do 23”? Toż na plantacjach bywało lepiej. Brak definicji lekcji (czy to 40-45-50-60 czy 90 minut). Nadgodziny rozliczane systemem dwutygodniowym? 26 lekcji tygodniowo? Pieniądze słabe jak za taki wycisk, 5500 RMB, bonusu 3000 RMB za rok, to już niemal kpina. Nadgodziny płatne 60 RMB, to zdecydowanie poniżej jakiegokolwiek rozsądnej stawki. Aż poszukałem ich po necie, znalazłem więcej, niż mi było potrzebne. Reputacja koszmarna, nikt tam nie chce pracować, o wszystko walka z właścicielką. Dojazdy na lekcje zajmują więcej niż lekcje, oczywiście nie wliczają się w czas pracy. To nie są miejsca rozrzucone po mieście, ależ nie! Możesz dostać destynację jakieś dwie godziny

od Chengdu. Jeżeli się autobus spierdoli i się spóźnisz – płacisz karę. Jeździłem w wakacje po Syczuanie, nie wiem, czy chociaż jeden autobus przyjechał i odjechał punktualnie. Ktoś nawet rozliczył, ile mu wychodziło za godzinę pracy, jakieś żenujące 30 RMB. Jeszcze biorąc pod uwagę, jak wiele musi szkoła sobie życzyć za lekcje z dojazdem, to może koło 20% tego, co się wyrabia, widzi się na oczy. No chyba że się spóźnisz, to wtedy płacisz karę według stawek mniej więcej realnych. Kpina, po prostu kpina. Odpisaliśmy, że nie widzimy tego i że kurwa wspominaliśmy łaskawie, że nie chcemy training centre. A już na pewno nie chcemy zarabiać tak mało, nie chcemy jeździć po wypizdowach i jeszcze ciągle podpadać pod jakieś kary. Dzięki tej odpowiedzi dowiedzieliśmy się, że jako Polacy nie możemy dostać pracy w Chengdu. Wprawdzie sprawdzenie tego miało zająć pięć dni, ale skoro odrzuciliśmy tę cudowną ofertę, to pani wiedziała po jednym.

Nie jesteśmy przesadnie zdeterminowani do rąbania kolejnego roku w Chinach. Ba, z radością zobaczylibyśmy sobie inny kawałek świata i nie ustajemy w poszukiwaniach. Zostanie w Chinach miałoby trochę plusów, ale większość ofert to wściekłość i płacz. Ludzie piszą, że sytuacja przez ostatnie lata się raczej pogarsza – kiedyś podobno można było mieć płacone wakacje, teraz to rzadkość. Ceny dla uczniów poszły srogo do góry, wynagrodzenia nauczycieli nie. Wszystko napędza tępa chciwość, która rośnie na chińskiej biurokracji (zwłaszcza zdobywaniu wiz) i pośrednictwie. Rekruter rekrutuje do rekrutera. Problem, że większość szkół z nich korzysta, lub też oferuje takie warunki, że idzie usiąść i zapłakać. Co człowieka tu trzyma to smutny fakt, że sytuacja w Polsce jest jeszcze gorsza – większa zachłanność, większe koszty życia, niższe płace, o wiele trudniej ze znalezieniem pracy.

Praca w Chinach, epizod drugi

[12.05.2014]

Poszukiwanie nowej pracy to niemała praca. Nasz obecny pracodawca najgorszy nie jest, ale parę praktyk w jego wykonaniu nas zmęczyło. Zwłaszcza ignorowanie tematu podwyżki, jak również informowanie nas, że nie mogą wymyślić nowej szkoły przed rozpoczęciem roku szkolnego i że nam powiedzą dopiero, kiedy podpiszemy kontrakt na następny semestr. Do tego opowieści pani kierownik, że właściwie tylko Amerykanie potrafią uczyć (a ona daje takie warunki, że zbiera raczej dość kaprawy sort współpracowników) i że Ameryka jest taka super. Tragedii nie było, ale postanowiliśmy sobie podziękować, choćby po to, żeby ich nieco ukarać. Mądrość ludowa głosi też, że gorszego kontraktu niż pierwszy w Chinach mieć już nie będziesz.

Główny sezon na zmiany pracodawców zaczyna się w czerwcu (jeszcze zależy, na jaki kraj, niektóre mają inne rozkłady jazdy), ale postanowiliśmy, że tłuczemy we wszystko, co wydaje się lepsze niż to, co mamy. Pisanie ogłoszeń o pracę to temat na długi esej. Czego byśmy się chcieli dowiedzieć z oferty? Może tego, jaki jest wiek uczniów, w jakim celu się uczą (czy ogólnie, czy mają zaraz zdawać CAE), jakich rozmiarów są klasy, w co też są wyposażone. Kiedy zaczyna się i kończy semestr. Czy przyłazę, odwalam lekcje i tyle, czy też mam być duszą towarzystwa, pomagać lokalnym nauczycielom i prowadzić kółko zainteresowań? Jakich kwalifikacji ode mnie oczekujecie? W wersji deluxe: po co takich? Czy szkoła ma jakieś curriculum, czy robimy wszystko metodą „na hurraaa!”? Ach, może jeszcze ile chcą zapłacić, czy są jakieś premie, bilety, wakacje płatne? Czy dają mieszkanie? Czy są jakieś opcje rozwoju zawodowego (zazwyczaj nie ma żadnych)? Jak się ma sprawa z wizami, pozwoleniem na pracę, ubezpieczeniem zdrowotnym? Już koszty życia w kraju sobie sam wyszukam. Wszystkie te informacje zajęłyby może z osiem linijek. A co zazwyczaj piszą?

- Że będziesz miał wielkie wakacje i sobie odpoczniesz – to zazwyczaj znaczy, że oferta skierowana do młodszych Brytyjczyków i Amerykanów, szkoła potrzebuje białej twarzy, a nie nauczyciela. Płaca będzie żenująco niska, do tego zostaniesz ulokowany 500 km od cywilizacji.
- Historię szkoły – założona wtedy, oferuje wspaniałe opcje rozwoju dla młodzieży i nauczycieli, pół strony o tym, najlepiej z jakimiś zdjęciami sufitów i bramy wejściowej.
- Praca ze słodkimi dzieciaczkami z... – w miejscu kropek wstawiamy nazwę egzotycznego kraju. To znaczy, że będzie to przedszkole. To znaczy, że uczniowie mogą się porobić w pieluchy podczas twoich zajęć lub zacząć płakać za mamą.

Podanie daty rozpoczęcia i zakończenia semestru przerasta ponad połowę ogłoszeniodawców. Ulubiony termin to ASAP. Nie brakuje ogłoszeń z np. kwietnia z datą startu na styczeń. Zwycięzca z zeszłego roku, szkoła z północnych Chin:

The winter fishing in December and January is a special attraction. In December 2006, 104,500 kilograms were caught in a single net, amounting to the current world record, verified by Guinness World Records.

Informacja zaiste kluczowa dla uczących angielskiego. Teraz uwierzcie lub nie: najlepiej napisaną ofertę pracy znaleźliśmy z Bułgarii! Zaś szkoły z Francji lubią dawać ogłoszenia jedynie po swojemu. Ostatecznie nie zdecydowaliśmy się aplikować chyba tylko

do Somalilandu. Problemem jest pełno wolontariatów, w tym wolontariatów opartych na tym, że to TY płacisz, żeby ci pozwolili pracować. Na tym stoi pełno krajów afrykańskich. Krew zalewa, jak się to widzi. Opinie o przydatności większości z nich są podzielone. A raczej jednolite: marnowanie czasu i pieniędzy.

Po rozesłaniu się do kolejnych szkół z całego świata (w imię „hej, przygodo!” wysłaliśmy się nawet do placówki na Saharze, o dziwo odpowiedzieli bardzo szybko i miło, że niestety, nie da rady) i dostawaniu odpowiedzi na jakieś 10% aplikacji (zazwyczaj, że sorry, ale chcą tylko natywnych), uznaliśmy, że trzeba się przeprosić z Chinami. Inną bajką jest to, że Chiny dość sensownie płacą. W branży ESL w Azji trudno wyskoczyć ponad pensję 1500\$, to wręcz górny pułap (było zostać bankierem...). Plusem szukania pracy w Chinach jest to, że mamy tu pewne doświadczenie i wiemy, jak wszystko działa. Do tego Chińczycy odpisują z wielkim zapalem, niektórzy to od razu by kontrakt chcieli podpisywać.

Trafiliśmy na stronę kolejnego rekrutera – [Find Work Abroad](#). Opinie na jego temat są raczej takie sobie – praca jest legalna, ale oferty nie są szalone, obiecują na stronie złote góry, a dostaje się raczej szarą pustynię. Postanowiliśmy zaryzykować, bo kilka ofert było naprawdę solidnych. Aż za solidnych.

- Etap pierwszy – należy zarejestrować się na stronie agencji. Do formularza wpisuje się przeróżne dane, w tym informacje o wykształceniu, narodowości (jest opcja East European – pewnie jak się jest kobietą i to zaznaczy, to dostaje się automatycznie oferty pracy w KTV), posiadanych certyfikatach itp.
- Etap drugi – należy uploadować skany dyplomów i CV do swojego profilu.
- Etap trzeci – czekać na odzew.

Odzew nastąpił szybko, bo zaledwie po kilkunastu godzinach, do tego w niedzielne popołudnie. Chwilę pogadaliśmy z miłą panią na Skypie. Bardzo cieszyła się, że nie mamy akcentów a'la Bela Lugosi w *Drakuli*. Poinformowaliśmy, że chcemy pracować we dwoje w jednej szkole albo przynajmniej w jednym mieście. W Chinach nie jest to problem, wiele szkół chce mieć przynajmniej dwóch nauczycieli, a para zawsze ma ten plus, że wystarczy im tylko jedno mieszkanie, więc to mniejsze wydatki dla pracodawcy. Poza tym wspomnieliśmy, że nie chcemy pracować w training center ani w przedszkolach, interesują nas tylko szkoły publiczne. Rekruterka wiadomość przyswoiła i powiedziała, że zaraz przyśle oferty. My z uśmiechami na twarzach oczekiwaliśmy wysypu nowych możliwości dla naszych karier.

Po jakichś 10 minutach od rozmowy rekruterka napisała na Skypie do męskiej części naszego zespołu, czy aby na pewno chce pracować z częścią żeńską. Tak, na pewno. Co to w ogóle za pytanie? Po 15 minutach przyszła oferta, że część męska może pracować w Chongqingu, a część żeńska 2 godziny od Chongqingu. Chongqing jest duży, ale raczej zanieczyszczony i zatłoczony, daleko poza listą destynacji marzeń. W training center, więc możliwe, że nie będą nam się pokrywały weekendy. Będziemy musieli mieszkać osobno. Pani wydawała się być zszokowana, że nam to nie pasuje. Delikatnie musieliśmy jej przypomnieć, że: a) mamy mieszkać i pracować razem; b) nie chcemy pracować w training center.

Druga oferta przyszła z Guangzhou. Kasa ok, oboje lubimy to miasto, ale... Szkoła nie ułatwia wizy pracowniczej. Drobiazg, już biegniemy pracować nielegalnie w mieście, w którym jest chyba najwięcej kontroli w całym kraju. Nie, nie chcemy tej oferty.

Trzecia oferta, gdzieś w Shanxi, czyli cywilizację tam ostatnio widziano bardzo dawno temu, za to przemysł jest fajnie rozwinięty (czyli zanieczyszczenie). Training center, 20-parę

godzin lekcyjnych plus praca w biurze, wiek uczniów przedszkolny, zamiast mieszkania oferują miesięczny fundusz mieszkaniowy. Kobieto, ile razy mamy ci tłumaczyć, czego chcemy, a czego nie? Nie chcemy training center, bo tam się nie uczy, tylko wygłupia przy dzieciach, do tego często w godzinach wieczornych. Nie chcemy przedszkola! Nie chcemy funduszu mieszkaniowego, bo wiemy, jak miłe i przyjemne jest szukanie mieszkania w Chinach. Już nie chcemy nawet wspominać o tym, że wiemy, ile można zarabiać w training center i że oferowana przez was pensja jest przy tym żenująca.

Czwarta opcja – ta sama co wcześniej z Guangzhou. Czy to są jakieś jaja? Już o tym rozmawialiśmy. Ma pani wiele takich dobrych ofert na stronie, może coś z nich? A nie jakieś kołchozy z pensjami na poziomie 5000 RMB, za to ze stachanowskim nakładem godzin!

Piąta oferta – kolejne training center. Oni też nie załatwiają wizy pracowniczej. W tym momencie nasza cierpliwość się wyczerpała i napisaliśmy pani wprost, ile zarabiamy obecnie (a nie jest to fortuna) i jaki mamy nakład pracy. Jeżeli nie ma niczego lepszego, to dziękujemy. Okazało się, że nie ma. Rekruter, który na swojej stronie głosi, że w chwili obecnej ma 161 ofert pracy, nie zdołał znaleźć niczego dla dwojga nauczycieli z doświadczeniem w Chinach, odpowiednimi tytułami (większość pracujących w Chinach obcokrajowców ma tylko licencjat), wszystkimi papierami od dawna wyrobionymi i nawet ważnymi jeszcze trochę czasu. Ciekawe z czego oni żyją, bo raczej nie z załatwiania ludziom pracy.

Pytanie, na które odpowiedź zazwyczaj brzmi „nie”: czy należy używać rekrutera? Na zdrowy rozum nie, lepiej od razu gadać ze szkołą, poznać od nich ludzi, wziąć i wynegocjować kontrakt – wygląda to o wiele sensowniej. Sprawa jednak rozbija się o wizy. Mało która szkoła jest w stanie zatrudnić legalnie obcokrajowca. Modus operandi wielu jest taki: przyjeżdż na wizie turystycznej, a my ci wyrobimy pracowniczą wizę typu Z. Brzmi logicznie, ale jak człowiek trochę zna Chiny, to wie, że nie da się tego zrobić. Przyjeżdżamy więc na turystycznej, pracujemy, a oni nam mówią, że nie dadzą rady wyrobić wizy pracowniczej (bo coś tam, na początku masz tyle do ogarnięcia, że nie zrozumiesz niczego) i że musisz jechać do Hongkongu po kolejną turystyczną. Niektóre szkoły nam nawet ochoczo za to zapłacą (znamy chłopą, co średnio raz na miesiąc miał lot do HK, szkoła mu płaciła za nawet dobry hotel, a i zarabiał niegorzej). Problem jest taki, że jesteś absolutnie bezsilny w starciu ze szkołą, gdyby ci na przykład nie chcieli zapłacić za ostatni miesiąc pracy. Nawet jak się po pijaku pobijesz w knajpie, to też na policję raczej nie biegnij.

Z naszych obserwacji, do 2013 można było robić na nielegalu i mało kogo łapali, ale od jakiegoś września trwają ostre kontrole, a kara wynosi do 20 tysięcy RMB plus deportacja, nierzadko poprzedzona parodniowym pobytem w miejscu odosobnienia, do tego jeszcze kilkuletni zakaz pracy w Chinach. Lepiej mieć papiery w porządku, czyli albo iść do jakiejś poważnej szkoły (np. English First, Wall Street, Aston – te wszystko załatwiają jak najbardziej legalnie, ale EF ma taką opinię, że o rany, zaś Aston zatrudnia chyba jedynie Brytyjczyków) lub też pogodzić się z korzystaniem z rekrutera, który za tę papierologię będzie potem żył jak nasz pasożyt. Plusem agencji jest to, że można dostać dość szybko kilka ofert, przejrzeć je i myśleć, czy jest w czym rzeźbić, czy też nie ma nawet po co tematu zaczynać. Minusy: poza przykładem opisanym powyżej, można usłyszeć narzekanie na to, że jak się nie jest natywnym, to będzie bardzo ciężko coś znaleźć (bzdura, chociaż niektóre prowincje faktycznie nie mogą zatrudniać ludzi z krajów nieanglojęzycznych) albo że koniecznie musimy zrobić ich kurs nauczycielski za jedyne 150\$. Ciąg dalszy opowieści o poszukiwaniach pracy nastąpi.

[20.05.2014]

Każdego roku tak się składa, że człowieka spotykają urodziny. Męskiej części redakcji akurat przypadają majową porą. Okazało się, że w ten sam dzień narodziła się jedna z uczennic, wspomniana niegdyś córka lokalnego kacyka. Zapytano nas nieśmiało, czy nie zechcielibyśmy uświetnić tego wielkiego dnia naszą obecnością. Zechcieliśmy.

W sobotę dzieci miały szkołę, więc spotkaliśmy się pod nią o 17:30. Oczywiście na imprezę wybrano najlepszy lokal w mieście. W końcu to córka partyjnego, nie jakieś dziecko z łapanek, czy latorośl hunañskiego rolnika. Z pewną ulgą zarejestrowaliśmy, iż rodzice będą siedzieć pokój obok, my zaś będziemy przebywać z młodzieżą, którą to w każdą środę męczę swoją obecnością. Pozwoliło nam to na w miarę nieskrępowane rozmowy z uczniami. Oczywiście dramat zaczął się, gdy przypomnieliśmy nieśmiało, że nie jemy mięsa. Na stół wjeżdżały kolejne dania, każde z nich bardziej mięsne niż poprzednie, a my jak na złość niczego nie jedliśmy, bo wiedzieliśmy, że czego jak czego, ale jedzenia, to nie zabraknie. No w końcu muszą dać jakieś warzywa. Muszą... Muszą... Nie, to nie warzywa...

Chyba w końcu rodzice wpadli na pomysł zamówienia stosu kurzych łapek, bo na te nikt się nie skusił. Daliśmy się namówić na ślimaki, w końcu pojawiło się trochę dań warzywnych, w tym chińska pizza – kukurydza polepiona cukrem, wypas, na pewno zdrowe. Rozmowy o wszystkim i o niczym, „bo ja kocham Chiny, a lubicie chińskie jedzenie?”. Ubóstwiamy, dajcie więcej radioaktywnych ryb.

Szczęśliwie wpadli na to, żeby dać nam wino czerwone, a nie baijiu. Wino pół etykiety miało po francusku, natomiast drugie pół po chińsku. Już pierwszy łyk pozwolił nam ustalić bez cienia wątpliwości, które pół etykiety odpowiada za smak. Ci ludzie pewnie wzięli, co miało być dobre, a że znają się na tym jak wilki na gwiazdach, to dostali produkt, z którego tylko nieznaczna część pochodziła z importu. Chyba jedynie ta nalepka.

Nie było źle, rozmowa jakoś tam szła, nawet coś tam po chińsku im mówiłem (żałośnie rzecz jasna), aż w końcu podano urodzinowy tort.

Istnieje taki chiński zwyczaj, że żebyś ten kolejny rok przeżył szczęśliwie, to musicie się wszyscy nawzajem wymazać tortem po twarzach. Myślę, że tradycja wzięła się stąd, że chińskie torty są najgorsze na świecie. Obrzydliwie słodkie i jednocześnie mdłe. Nie wiem, czemu je robią (bo nie można powiedzieć, że je wypiekają, zapewne jakaś fabryka ma formy i tłucze z nich torty, które często nawet ładnie wyglądają), już drugie urodziny z chińskim tortem i jeszcze gorszy niż rok temu. Zaczął się szal,



Tort z kremem, owocami, pietruszką i pomidorami

każdy każdego mazał tortem – po twarzach, włosach, plecach i ciuchach. Nas tam w miarę oszczędzali, ale solenizantka to chyba miała tort nawet tam, gdzie jej mieć nie wolno przed ślubem. Do tego milion zdjęć na minutę – teraz ty stań tu, teraz tam, teraz obejmij ją, teraz patrz tam, teraz ja ubiorę kajdanki, oddaj pejcza, teraz ty się połóżysz pode mną... No, prawie to wszystko przerobiliśmy.



Redakcja i przyjaciele

Dramat wydarzył się potem: postanowiliśmy opuścić restaurację. My jak my, nam tam nie było źle, chociaż wszystko upierdalone tortem (wliczając w to krzesła podłogę, ściany i drzwi), ale solenizantka chciała iść do parku. Dali nam wino na drogę, więc zacząłem zastanawiać się, czy będzie poważnym nietaktem, jeżeli je będę robił w drodze do celu. No, wino w parku to już luz, dzień jak co dzień. Jednak zamiast do parku poszliśmy do herbaciarni. Podano tort numer dwa, niestety zjadłem go. Posiedzieliśmy jeszcze trochę i poopowiadaliśmy im, że Adele nie jest z Chin, a z UK i że Korea to współcześnie pojęcie dość dualistyczne. Uwierzyli, aczkolwiek w drugie chyba bardziej niż w pierwsze. Koło 21 panny postanowiły iść do fryzjera, a my do domu.

No cóż, były to moje urodziny, więc byłem przygotowany więcej niż solidnie. Zapasy alkoholu czekały już od południa. Cóż z tego, skoro ledwo dobiegłem do łazienki, bo musiałem zwymiotować po cudownie słodkim torcie numer dwa. W ten magiczny sposób historia zatoczyła pewne koło: w 32. urodziny rzygałem o 21. W 15-te też. W 1997 – bo wymieszałem Martini z koniakiem. W 2014 – bo zjadłem tort od chińskiej uczennicy. Po jakiejś godzinie rozstałem się ostatecznie z tym cudem i mogłem rozpocząć standardowe obchodzenie tego wielkiego dnia, czyli piwo, wino, gin, dwa papierosy palone jednocześnie, a w tle Springsteen, Cohen, NIN, Manson i Slayer.

[20.05.2014]

Chińska wioska, w której mieszkamy, ma populację ponad ośmiuset tysięcy ludzi, czyli więcej niż (oficjalnie) Kraków. W odróżnieniu jednak od Krakowa próżno tu szukać knajp, teatrów, zabytków czy muzeów. Jest jedno smutne kino i kilka kaprawych marketów oferujących towary przeważnie lokalne, o jakości przeważnie rozpaczliwej (kijek od mopa złamał się drugiego dnia, sok pomarańczowy to chyba pozostałości Agent Orange z czasów wietnamskich, lista jest długa).

Czy są więc jakieś plusy mieszkanie w chińskiej wiosce? O dziwo są, jest ich nawet kilka. Oto te, które najbardziej ułatwiają życie:

1. Czas dostania się do pracy: 10 minut „na butach”. Zapomniałem, co to znaczy uwalić się w korku, bo korek czasem pojawia się tylko w niedziele na największym skrzyżowaniu w mieście. Dostanie się dokądkolwiek zajmuje do dziesięciu minut. Na butach.
2. Samo przyjscie do pracy nie jest okupione jakąś dawką stresu czy nerwów. Szkoła po oglądnięciu moich trzech różnych lekcji uznała, że wiem, co robię i że tyle im wystarczy. Bywa, że po trzy tygodnie nie mam kontaktu z żadną administracją, nikt się o nic nie przyczepia, pytań zaskakująco mało (po roku w szkole prywatnej to naprawdę wielka ulga), rób jak chcesz.
3. W ramach docenienia naszego wkładu w edukację Mandarynów dostaliśmy własne biuro (większość nauczycieli go nie ma, muszą się dzielić) i nawet nam podciągnęli kabel do internetu. Da się tam wysiedzieć i coś porobić, czy to swojego, czy na lekcje. Drugim etapem ułatwiania nam życia była zmiana mojego grafiku pracy na o wiele bardziej przyjazny. W efekcie mogę się nawet dwa razy w tygodniu porządnie wyspać.
4. Sama praca czasem bywa irytująca i wyzywająca, ale ogólnie panuje tendencja wzrostowa: na 24 grupy, w których uczę, mniej więcej dziesiątka jest bardzo przyjemna we współpracy, kolejne dziesięć jest do przejścia. Mam parę koszmarów, czyli siedlisk ludzi, którzy powinni zająć się raczej sadzeniem ryżu niż jakąkolwiek nauką, ale większość lekcji jest przyjemna, do tego stopnia, że czasem się szczerze pośmieję. Miłe jest też uczucie bycia raczej lubianym przez uczniów (chyba że oszukują...). O ile mam paru matołów, którzy lubią się powydurniać i mi poprzekadzać, o tyle nie brakuje też ludzi żywo zainteresowanych tematem. Obcowanie z nastolatkami pozwala zrozumieć, co im tu wtłaczają do głów od lat najmłodszych i pojąć trochę lepiej obłęd panujący dookoła. Czasem wychodzę umęczony dość solidnie, ale raczej z poczuciem niezgorzej wykonanej roboty, a nie wściekły. Gdyby się dało, zrezygnowałbym z jednego dnia weekendu, żeby sobie szybciej kontrakt wypełnić, bo praca mniej irytuje niż życie poza nią.
5. Nie ma chyba lepszego miejsca do odkładania pieniędzy, bo wydać się ich po prostu nie da. Nie licząc jakichś restauracji dla lokalnych kacyków, trudno byłoby puścić więcej niż 10 RMB na posiłek. Palmę pierwszeństwa dźrzy

sprzedawanie ananasów na patykach (za 1/4 płaci się 2 RMB), właściwie każdego dnia jemy to w ramach deseru. Zazwyczaj posilamy się z uczniami w szkole. Z dóbr „luksusowych”, to niezgorsze papierosy (Zhenlong) są po 5 RMB, piwo po 4, wino koreańskie po 8, herbata litrowa 4, dwulitrowa cola 7, a najlepsze wino w mieście to wydatek 48 RMB (niestety nie jest warte nawet połowy tych pieniędzy). No i puzzle po 18 RMB. Średnio tygodniowo wydaję 200-300 RMB i żywcem nie mam pomysłu, na co też mógłbym wydać więcej, luksusowe baijiu chyba (potrzebne mi jak dziura w moście) i papierosy Fenghuang – czyli Feniksy, duma lokalnego przemysłu tytoniowego po chyba 48 RMB za paczkę, smakują gorzej niż te za 5.

6. Nie wiem, czy w historii tej wioski popełniono jakieś przestępstwo. Może ktoś kiedyś dał komuś w ryj, jak się nawalili, ale to absolutnie najpoważniejszy czyn karalny, jaki wydaje się w zasięgu lokalnych (nie licząc wypadków drogowych, bo jeździć nie umie niemal nikt). Chyba gdybym się upił, położył na środku chodnika z portfelem wystającym z tylnej kieszeni spodni, to by mnie tylko ktoś podniósł, zrobił sobie ze mną zdjęcie i odniósł do domu. To prowadzi do tego, że...
7. Każdy nas zna. Każdy wie, gdzie mieszkamy, gdzie pracujemy, jak się nazywamy. Ten brak anonimowości ogólnie działa na naszą korzyść. Teraz trochę się uspokoiło, ale na początku ludzie wariowali ze szczęścia, gdy siadaliśmy gdzieś zjeść pierogi albo makaron. Prosił nieśmiało o wspólne zdjęcia, w łamanym angielsko-chińskim ustalali kim jesteśmy i jakim cudem tu trafiliśmy. Ludność lokalna jest dla nas wybitnie miła i sympatyczna. Ostatnio był jakiś weekend oblędu, czego nie kupowaliśmy, dostawaliśmy do tego prezenty. W wielu miejscach wiedzą, co będziemy chcieli i zanim powiem, to już mam podane na ladę.
8. Jeżeli mamy akurat sezon i trafiamy na dobre filmy i książki, to poważne ilości czasu wolnego spędza się wielce przyjemnie i ma się poczucie, że człowiek przeczytał i oglądnął coś, co w innych okolicznościach przyrody mogło mu umknąć.
9. Powietrze wydaje się być względnie czyste. Po życiu w wiecznie zasnutym smogiem Huainan, w którym ptaki padały trupem, bo akurat zawiało z fabryki lodówek, pewną ulgą jest dla nas to, że tutaj możemy widzieć niebo prawie każdego dnia. I to by chyba było na tyle.

Mother tongue speaks to me in the strongest way I've ever seen

[24.05.2014]

Największy news tygodnia gruchnął mi mailem David, mój przyjaciel z Huainan. Od roku 2017 angielski przestaje być obecny na Gaokao, czyli chińskiej maturze. W jakimś sensie można się było tego spodziewać, od przyszłego roku angielski będzie wart jedynie 100 punktów, punkty z niego przeniesiono na matematykę i chiński (uznano, że zbyt wiele czasu poświęca się na naukę slangu imperialistów, a za mało na język ojczysty).

W innym sensie: wychodzi na to, że Chińscy uczniowie nie będą uczyli się żadnego języka obcego. Na pewno nie wprowadzą im koreańskiego ani japońskiego. Żaden język zachodni nie wchodzi w rachubę, bo nie ma go kto uczyć, musieliby importować kolejnych nauczycieli. Od biedy mogliby zostawić angielski w szkołach, ale nie ma to sensu, jeżeli nie będzie za niego punktów, to na pewno nikt się go nie będzie uczył – tu pasjonatów wiedzy jest może jakiś promil. Efektem tego wszystkiego będzie takie pierdolnięcie, że nie jesteśmy go w stanie ogarnąć.

Z rzeczy, które przychodzą do głowy, to pełno osób straci pracę – nauczyciele szkolni, nauczyciele prywatni, centra treningowe. W naszej szkole jest przynajmniej 10 lektorów, pomnóżcie sobie to razy kilkaset tysięcy szkół. Może utrzymają się największe i najbardziej renomowane placówki edukacyjne, zapewne bogaci będą do nich posyłać swoje dzieci, ale mniejsze przedsięwzięcia będą musiały zwinąć interes, w efekcie tysiące osób straci robotę. Ma być szkoła w Huainan ma podobno coraz mniej uczniów, no bo po co uczyć dziecko angielskiego, skoro Gaokao będzie ono miało za np. pięć lat, czyli już bez języka wroga.

Świat ESL (English as a Second Language) czeka trzęsienie ziemi. Tysiące nauczycieli opuści Chiny i będzie szukało pracy w innych krajach. Mając taki wybór, pracodawcy zapewne zaniżą stawki i spierniczą warunki kontraktów.

Nasi uczniowie pewnie nie zaczytują się w gazetach po angielsku, ale następne pokolenie nie będzie miało w ogóle tej opcji. Pozostaną im jedynie cenzurowane media z Chin. No, jeszcze Tajwanu i Hongkongu, tam czasem coś napiszą nie po linii partii, ale bez przesady. Podobnie sprawa ma się z książkami, nie odnosimy wrażenia, żeby wiele obcych dzieł było przekładanych na chiński, a już na pewno nic wywrotowego. No ale i tak mało ludzi czyta, więc to ich specjalnie nie wzruszy.

Można powiedzieć, że eksperyment z angielskim nie wypalił: po wzięciu prac w montowniach, Chiny chciały wziąć też outsourcing prac biurowych. Znam dwie osoby, których korporacje przeniosły się na chwilę na personel chiński. Z pomysłu szybko zrezygnowano, jakoś była tak fatalna, że generowało to więcej strat niż oszczędności (poza tym Polacy są obecnie w cenie niewiele wyższej niż Chińczycy, a pewnie nawet da się jakimś stażystą coś obrobić). Nie słyszałem, żeby ktokolwiek narzekał na poziom angielskiego, ale wszyscy skarżyli się na dziecięcą mentalność, unikanie jakiegokolwiek odpowiedzialności, chowanie głowy w piasek i oszukiwanie. Prac więcej zapewne nie będzie, więc po co ludziom języki obce?

To wszystko ma pewien sens: odbierają ludziom zachodnie seriale, literatura zaś absolutnie nie ma znaczenia, bo niemal nikt nie czyta. Gdybym miał zgadywać, to strzelałbym, że za parę lat nastąpi pewna izolacja kraju. Zaznaczam, że przeciętny obywatel nie ma w domu paszportu i jakiegokolwiek wyjazdu za granicę są dla niego cholernie trudne. Chińczycy wzięli sobie od świata, co im było potrzebne, więc teraz mogą latami żyć, robiąc produkty generyczne, a czasem może nawet coś wynaleźć. Albo najwyżej przywieźć z innych krajów i kombinować, jak skopiować, to akurat potrafią.

Pytaniem jest, czy ludność to łyknie. Z jednej strony, prymitywny nacjonalizm jest tu wpisany w cały system edukacyjny i każdy wychodzi ze szkoły napakowany tępym patriotyzmem i ukochaniem socjalistycznej ojczyzny (przy tym nie będąc w stanie zdefiniować pojęć kapitalizmu, socjalizmu i komunizmu). Z drugiej, wielu jednak chciałoby sobie pojechać do Paryża i Rzymu, obejrzeć amerykańską komedię, posłuchać Taylor Swift i dowiedzieć się, jak wygląda życie w innych krajach. Pytanie, jak wielu i jak bardzo.

[24.05.2014]

Bardzo długo zastanawialiśmy się, czy chcemy wybrać się do jednej z flagowych atrakcji prowincji Hunan, miasteczka ludu Miao o ładnej nazwie Fenghuang (co oznacza Feniksa, a wymawia się mniej więcej „Fanhuan”). Przeciwno przemawiały następujące czynniki:

1. Niesamowita popularność atrakcji wśród lokalnych, która to doprowadziła większość odwiedzających do wspomnień o treści „tłok, tłok, tłok”.
2. Od kwietnia 2013 roku wprowadzono bilet wstępu, który kosztuje, bagatela, 148 RMB, czyli jakieś 75 PLN. Połowa przychodów ze sprzedaży biletów idzie na rzecz jakiejś korporacji, która wykonała część prac remontowych w mieście. Mieszkańcy miasta protestowali przeciwko wprowadzeniu tego biletu, uznając jego cenę za bandycką.
3. W kilometrach nie mamy bardzo daleko, ale logistycznie sprawa była wyzwaniem – autobus długodystansowy, autobus miejski, autobus długodystansowy dwa.

ZA:

Idzie ociepać od ilości rzeczy do robienia w naszym miasteczku. Kolejny weekend szukania sensu życia w spacerach po centrach handlowych, nad rzeką i w paru butelkach koreańskiego wina nie bardzo nam się uśmiechał.

Pojechaliśmy. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu było warto.



Część starego miasta

Miasteczko okazało się wcale nie tak zajęte turystami. Samotność nikomu tu nie grozi, ale chwilami udawało się urwać tłumom, chociaż może mamy już nieco przestawione definicje tłoku i ścisku, pewnie dla przyjeźdnego dopiero co spoza Chin to byłby horror. Widoki są niezłe, wprowadzie w wielu częściach miasta trwają intensywne prace, żeby wszystko porządnie zepsuć, ale na razie smętne betonowe bloki postavili tylko w paru miejscach na obrzeżach.

Według wpisu na stronie UNESCO okręg Fenghuang został założony około 660 r. n.e. Próby zrozumienia historii tego miejsca są raczej daremne, występuje litania książąt i cesarzy, w których nazwiskach nie połapaliby się pewnie i Chińczycy. Region ten od czasów zamierzchłych zamieszkiwała ludność Miao, która nie pałała chęcią przyłączenia się do dominujących Hanów. Zapewne dlatego na swe miejsce zamieszkania wybrała tereny górskie lub, jak w przypadku Miasta Feniksa, otoczone wodą.

Konflikty między Miaosami a Hanami toczyły się przez wieki. Aby spacyfikować nieprzychylnie nastawioną ludność, cesarze ściągali wojska nawet z terenów obecnego Xinjiangu. Czasy cesarza Zhu Qizhen zapisały się chwalebnie decyzją o wykastrowaniu 1565 chłopców Miao i uczynieniu z nich nadwornych eunuchów.

Kolejni cesarze nie pozwalali mniejszościom żyć w spokoju, obarczali je podatkami i odbierali ziemie dobre pod uprawę. W efekcie tej pięknej polityki asymilacyjnej w XVIII i XIX wieku wybuchło kilka konkretnych powstań Miao. Starcia były krwawe, szacuje się, że tylko w latach 1854-1873 zginęło około 4.9 milionów ludzi. Hanowie w końcu mieli dość i odgradzili się od Miao tak zwanym Wielkim Murem Południowochińskim, którego fragmenty można oglądać niedaleko Fenghuang.

Miasteczko zyskało swój kształt w czasach dynastii Qing (1644-1911 – drobny rozstrzał, ale tak właśnie wygląda chińskie datowanie). Początkowo stolicą okręgu Fenghuang było Huangsiqiao, które znajduje się 24 kilometry dalej. Przez lata stacjonowały tam wojska cesarskie, jednak w czasach dynastii Ming wojska przesunięto do dzisiejszego Miasta Feniksa, by pacyfikowały żyjącą w okolicznych górach mniejszość narodową. W końcu wojska się wyniosły, a Miao przyszli na ich miejsce.



Zwiedzanie miasta polega na niespiesznym spacerowaniu po jego krętych uliczkach

Szczęśliwie okazało się, że bilet za 148 RMB obowiązuje tylko do niektórych atrakcji, większość starej zabudowy można zobaczyć, nie kupując go. Nawet przez pomyłkę przerobiliśmy niektóre z nich, bo Fenghuang to taka płatanina uliczek, że łatwo się zapętlić.

Kontrole biletów są dość niepozbierane, rozstawione tylko na głównych szlakach, więc jeżeli chodzimy bocznymi trasami, to niechcący wpadniemy w rewir płatny. Na szczęście nikt nie sprawdza wejściówek przy wychodzeniu, więc nie trzeba obawiać się mandatów.

Spacery oferują dość pocieszne wrażenia, wszystkie większe restauracje mają żywe wystawy, czyli klatki z bażantami, kaczkami, węzami, żabami, królikami, gołębiami i chyba nutriami. Te ostatnie cechuje wielka żywotność, ciągle próbują się wydostać, reszta dość pokornie czeka na wyrok losu i następną inkarnację.

Lud Miao został obecnie skomercjalizowany tak, że jeżeli polecą na kasę jeszcze bardziej, to zostaną podhalańskimi góralami. Mimo wszystko nieco jeszcze odróżniają się od standardowej ludności Han. Trochę boli, że przejawia się to głównie w noszeniu przez nich posrebrzanych hełmów z plastikowymi rogami i sukni ze zdobieniami wykonanymi z tegoż samego materiału – można sobie z nimi robić zdjęcia za opłatą, trochę jak z niedźwiedziami na Krupówkach. Mieszkańcy niepracujący



Prawdopodobnie nutria

w sektorze turystycznym ubierają się jak najbardziej zwyczajnie. Fenghuang nie da się opuścić, nie zostając szczęśliwymi posiadaczami paru kilogramów pamiątek. Ręcznie malowane lub wyszywane koszulki, plecione bransoletki, koralikowe kolczyki, zdobione buty, do tego lokalne jedzenie. W pewnym sensie to standard – wiele z tych przedmiotów można kupić i w innych chińskich miastach, ale jedną z niepowtarzalnych opcji jest... Miao Jiu – czyli alkohol Miao. W odróżnieniu od Hanów mniejszość robi alkohol, który da się pić, a następnego dnia nie ma się kaca po same kokardy. Trochę sobie za to liczą, ale wybór jest niesamowity (bardziej woltażu niż smaku, od 20 do 68%), a podczas zakupu przystępuje się do degustacji. Wali tak solidnie w dekiel, że zanim powiesz „Miau!”, to już masz solidny lampion. Szczęśliwie, o poranku też nie będzie miauków.

Nasz hostel kosztował jedynie 30 RMB za łóżko, do tego był niemal pusty, postępowali w nim także jakieś prace remontowe, więc patio nie wyglądało najlepiej. Może nie jedźcie do Border Town Hostel na miesiąc miodowy, no chyba że lubicie zimną wodę pod prysznicem i toaletę bez spłuczki, ale jak na jeden dzień, to da się przeżyć bez wielkiego bólu.

Między prawdą a Buddą zwiedzania jest może na jeden dzień i to jeżeli naprawdę będziemy chcieli iść wszędzie, gdzie tylko się da. Mając jednak akurat dokładnie tyle, wyjechaliśmy kontent.

Czy polecamy Fenghuang? Jeżeli jesteś w Chinach na trzy tygodnie, to nie ma po co – są podobne miasteczka, do których łatwiej się dostać (np. Yangshuo), są miejsca bardziej flagowe. Jeżeli tłuczecie trzy miesiące objazdu po Chinach i akurat będziecie w pobliżu, to można się wybrać, krzywdą nie powinna wam się stać. Należy pamiętać, że miasteczko jest wybitnie popularne wśród chińskich turystów, dlatego lepiej unikać go jak zarazy w okolicach świąt narodowych.



Krótką historię Fenghuang opracowano na podstawie:

http://en.wikipedia.org/wiki/Fenghuang_County

<http://whc.unesco.org/en/tentativelists/5337/>

<http://www.china.org.cn/english/travel/50444.htm>

[2.06.2014]



Tak się magicznie złożyło, że 2 czerwca w tym roku wypada Duanwu, czyli Święto Smoczych Łodzi. Według tradycyjnego chińskiego kalendarza jest to 5. dzień 5. miesiąca, dlatego nasi uczniowie chórem twierdzili, że święto wypada piątego maja. Najwyraźniej nawet Chińczycy mają problem z kalendarzem słoneczno-księżycowym.

Z okazji fiesty nasi pracodawcy obdarowali nas tonami jedzenia. Chyba zapomnieli, że nas jest tylko dwoje, a nie dziesięcioro, dostaliśmy bowiem:

- arbuza (szczęśliwie niezbyt dużego);
- 10 jabłek;
- kilo orzechów włoskich;
- dwa kilo bananów;
- siatkę cukru (serio);
- 10 kaczych jaj;
- i ogromna siatkę pełną... zongzi.

Czymże są *zongzi*? Są to ryżowe kulki (lub trójkąty) zawinięte w liście bambusa. O dziwo, liści się nie je, jest to chyba pierwsza nam znana rzecz, której Chińczycy nie jedzą. Polecono nam, by ryż obtaczać w cukrze, bo to ma być na słodko. Znając gusta kulinarne Chińczyków, spodziewaliśmy się, że w takim razie zongzi są już obrzydliwie słodkie, a dodatek cukru wpędzi nas w szok insulinowy.

Tym razem myliliśmy się. Zongzi są bez smaku. Dosłownie. Po prostu jest to skleiony ryż, w który wciśnięto pojedyncze orzechy i nadzienie z żużub lub śliwek, nadzienia jednak nie jest aż tyle, by przykryło smak ryżu. Aligatorowi udało się zjeść jedno całe ryżowe ciastko, co do reszty, to zdecydowaliśmy się wymieszać je z kawałkami owoców. Zapewne jest wielu ludzi, którym zongzi smakuje, ale my do nich nie należymy. Coraz częściej kusi nas zapytać

jakiegoś Chińczyka, czy on to naprawdę lubi, czy też je tylko dlatego, że tradycja nakazuje. Naprawdę, Chińczycy kochają smaki ekstremalne – słodkie do bólu lub ostre do łez, więc trudno zrozumieć, że nagle zajądają się czymś mdłym.

Z kaczymi jajami jest jakiś obłęd, od kilku dni wszystkie sklepy mają wielkie stoiska z tym asortymentem, można sobie kupić kacze jaja w ozdobnych opakowaniach, torbach, jedno fancy kacze jajo ze ściółką albo też dwadzieścia. Nie są złe, ale lepsze w wersji na twardo, a nie galeretowatej. Wszystkie produkty dostaliśmy najwyższej jakości. Jemy, ile możemy, po trzech dniach jesteśmy może w połowie. Przyznam, że bardzo miło nas zaskoczyli, gdy pracowałem w Polsce jakoś nie zasypywano mnie prezentami, tu wydali przynajmniej jakieś 100 RMB na nas. Niby nie fortuna, ale nie musieli.

Podobno tradycyjnie powinno się w święto popijać wino z realgaru. Jeżeli ktoś tak jak my nie ma pojęcia, co to realgar, to spieszymy z wyjaśnieniem: jest to minerał z gromady siarczków, którego używa się do:

- a) otrzymywania arsenu;
- b) produkcji farb;
- c) wytwarzania trutek.

Nie, my też nie wiemy, dlaczego tutaj robią z tego wino. Podobno ma odganiać złe duchy, choroby i smoki. Pewnie odgania też życie.

Legenda głosi, iż Święto Smoczych Łodzi wywodzi się od poety Qu Yuana, żyjącego w latach 340-278 p.n.e. Był on także wysoko postawionym urzędnikiem królestwa Chu, został jednak zesłany na wygnanie z powodów politycznych. Pewnego dnia stolica Chu została zajęta przez królestwo Qu (jakie to wszystko jasne, proste do zrozumienia...), a zrozpaczony Qu Yuan rzucił się do rzeki. Świadkowie tego tragicznego wydarzenia rzucili się do łodzi, by czym prędzej wyłowić go, niestety nie mogli znaleźć jego ciała, wrzucali więc do wody ryżowe kulki, by ryby zjadły je zamiast ciała poety. Źródła milczą, czy ryby dały się przekonać, ja chyba bym wolał poetę od zongzi. Jak dowiedzieliśmy się od naszych uczniów, Qu Yuan prawdopodobnie był gejem, zaś obiektem jego uczuć był sam cesarz. Jego twórczość jest w programie szkolnym i jest przy tym bardzo nie lubiana.

Pewnym problemem jest to, że legenda ta nie jest jedynym wytłumaczeniem święta. Inna opowieść, popularna w prowincji Jiangsu, głosi, że piątego dnia piątego miesiąca do wody wrzucono ciało niejakiego Wu Zixu, doradcy króla Fuchai. W „Czeciangui” zaś głoszą, że święto upamiętnia żyjącą w latach 130-143 Cao E, której ojciec wpadł do rzeki podczas upamiętniania Wu Zixu. Córką postanowiła odnaleźć ojca, w końcu po pięciu dniach odnaleziono ich oboje – martwych. Intryguje imię córki, „cao” tłumaczy się jako „trawę” lub... „jebać”. „E” może oznaczać krokodyla. Czyli istnieje szansa, że nazywała się „jebać krokodyla”. Ponieważ istnieje zwyczaj wystawiania trawy w oknie, to być może od jej imienia? Zwyczaj



Zongzi stożkowe (i dyskretny jenot w tle)

ten jest grubymi nićmi szyty, bo w całym mieście nie widzieliśmy ani źdźbła.

W sumie żadna z tych legend nie wspomina niczego o smokach, co jest pewnym rozczarowaniem. Według ludowych podań smoki potrafiły i latać, i pływać, czasem więc łączy się opowieść o rzucaniu zongzi do rzeki z ofiarowywaniem darów smokom.

Wikipedia głosi, że w święto należy wcinać zongzi, pić arszenikowe wino i ścigać się na łódkach, poza tym spacerować i postawić jajko na sztorc w samo południe. Dzięki temu będzie się wolnym od chorób. Nasi uczniowie nie słyszeli o zwyczaju stawiania jaja w południe, co wskazuje na to, że Hunan nie chce mieć szczęścia przez cały rok.

Coś nam mówi, że kiedy we wtorek zapytamy uczniów, jak spędzili święto, to dostaniemy nieśmiertelną mantrę: graliśmy na kompie, spaliliśmy, oglądaliśmy telewizję. Wieczorem zaś musieli iść do szkoły, by odrabiać lekcje.

[2.06.2014]

Z okazji święta Duanwu i naszego długiego weekendu postanowiliśmy zrobić przegląd alkoholi, które akurat mamy pod ręką. Może dzięki temu ktoś uniknie ciężkiego błędu, jakim jest kupienie sobie wina z liczi, Mędrca z Hunanu czy rozpałki do grilla...



Rzucili wino Great Wall w promocji, niestety, jest to typowe chińskie wino, czyli szczyzny. Normalnie kosztuje 32 RMB, przecenili na 16. Z jednej strony Chińczycy mają inne preferencje smakowe niż ludzie Zachodu, a z drugiej trudno nam uwierzyć, że spożywanie tego wina może komuś sprawić przyjemność

Jakiś czas temu chcieliśmy robić ranking chińskich win, taki przewodnik degustatora, ale pomysł zarzuciliśmy, bo:

- Wszystkie czerwone wina smakują jak mniej więcej Sofia-Slavia rozrobiona na litrze wody. Woltaż mają, w banie dają konkretnie, ale doznania smakowe są mierne. Przetestowaliśmy kilkanaście z domu winnego (a pewnie z fabryki) Great Wall, kilka z Changyu, wszystkie smakują niemal tak samo. Kupiliśmy raz trunek, który kosztuje 136 RMB (przecenili na 36). Również był to syf, wino z fatalnym aromatem i absolutnie bez żadnego finiszu. Za 68 PLN to bym sobie na Zachodzie znalazł chablis, które powala smakiem. Albo trzy dobre chardonnay.
- Białe wino marki Great Wall to obrzydliwy syf. Jedyne akceptowalne białe wino, jakie znaleźliśmy, pochodzi z Xinjiangu i robią je Ujgurzy. Niestety w naszej miejscinie nie da się go kupić. To i tak nie jest dobre wino, ale jest lepsze niż pozostałe. Pijemy od biedy Changyu jedno, ale nie jest warte tych 48 RMB, które kosztuje.

Mieliśmy parę razy podejrzenia, że ludność nie ogarnęła tego, że wino może się zepsuć, jeżeli sobie poleży w upale. Raz kupiłem konkretny ocet. W sumie ciekawiej smakowało niż ich standardowa oferta. Wina widzieliśmy tylko na weselach i urodzinach, ludzie raczej nie rzucają się na tego typu asortyment, a jeżeli już, to wybierają wersje słodkie, mające około 7% alkoholu.

Poza winem mamy też piwo. Moim piwem wyboru w PL jest czeski Pilsner Urquell, lubię piwa pszeniczne i niefiltrowane, czyli raczej cięższe, takie, których da się wypić może ze cztery. Niestety w Chinach gorzki nie jest zbyt lubianym smakiem, więc piwa są bardzo lekkie. Najpopularniejsze w kraju są Tsingtao i Harbin. Drugie lepsze, ale oba takie sobie. O dziwo, lokalne piwa bywają niezłe, zwłaszcza w upał. Problemem jest to, że tym się nie da zrobić, mają od 2,1% do 3,6% alkoholu. W smaku są wodniste, jak wszystkie chyba piwa w tej części Azji. Może poza Tigerem, ale tego robi Heineken i raczej też nikt nie będzie z tym jeździł na Oktoberfest.



Piwo w sklepie kosztuje od 2,5 do 4 RMB, w restauracjach podobnie, w knajpach robionych na zachodnie od 10 RMB za małą butelkę, a w Szanghaju to i 60 da się zapłacić.

Chińskie piwo można docenić w upały, pragnienie w miarę gasi, a nie zwala z nóg.

Pearl River to piwo z Guangdongu. Lepsze niż krajowa średnia, ale daleko od zachwyty. Występuje w wersji słabszej i mocniejszej, mocniejsza niestety jest dostępna chyba tylko w Guangzhou. Kosztuje około 4 RMB.

Guangzhou jest miastem nieco magicznym – da się tam bez problemu znaleźć chińskie piwa, które przypominają trunki ze świata Zachodu, na dodatek nie są drogie. Supermarkety są też dobrze zaopatrzone w towary importowane, bywają nawet polskie piwa, a wódki to w kilkunastu rodzajach.



Są też specyfiki regionalne. Oto wino z liczi. Liczi lubimy, wino lubimy, więc nadzieje mieliśmy wielkie. Niestety, jest to niedobre, słodkie, ciężkie i słabe – 8%. Picie tego to męka trwająca godzinami, po przeminięciu których zauważamy, że ledwo coś upiliśmy i że nie ma z tego żadnego rauszu. Chyba 12 RMB kosztowało, ale próbujemy wyprzeć z pamięci, że to w ogóle posiadamy. Od marca stoi za biurkiem, nikt nie chce tego wypić.

W supermarketach można znaleźć różne edycje tego napoju, niektóre sprzedawane są w butlach 5-litrowych, jednak chyba nigdy nie widzieliśmy, żeby ktoś to kupował. Podobno na wioskach sporo emerytów robi takie wina własnoręcznie.





Rozpałka do grilla, chociaż stało na monopolowym. Rozpałka zapewne smakowałaby lepiej niż ten wynalazek. Chemiczne, rzygotliwe, odrzucające. Ma 20%, więc picie tego to bezowocna męka, po prostu jest tak złe w smaku, że po dwóch łykach uznajemy, że jednak nie mamy ochoty na alkohol. Prawdopodobnie nie uda nam się tego dopić i trzeba będzie wyrzucić.

Kosztuje 8 RMB. Sprzedawane w jakże eleganckim plastiku, design butelki powala estetyką, wyrafinowaniem proporcji i nowatorstwem kształtu.

Miao Jiu, do kupienia tylko w destylarniach ludu Miao, nie widziałem nigdy w sprzedaży marketowej. Najlepszy alkohol kraju, smaków i wołtaży pełno do wyboru. Ceny zależą od wybranej opcji, około 50 RMB za baniaczek 500ml. Przy kupnie można degustować.

Istnieje wiele rodzajów tego napoju, najsłabsze mają chyba około 10%, najmocniejsze ponad 60%. Smak słodkawy, w wersji słabszej dość miodowy, zawsze czuć posmak ryżu.



Wiecie co sądzimy o baijiu. Jest to na pewno jeden z najgorszych alkoholi świata. Pachnie zmywaczem do paznokci i kwiatami, smakuje jak refluks.

Ekspонат na zdjęciu w skali baijiu nie jest dramatem, ale i tak kupiony został tylko dla celów ozdobnych. 5 RMB, 58% alkoholu, wali w łeb konkretnie.

Normalnie baijiu można kupować w cenach od 1 RMB za 100 ml do cen kosmicznych za 500 ml. Edycje luksusowe są ofiarowywane w prezentach lub stawiane na stołach drogich restauracjach, przeciętny obywatel Chin raczej kupi sobie 3-litrowy baniak za 50 kuai.

Brandy marki Changyu...

Na tle całej reszty jest to niezły trunek, ale jak na brandy to za ciężka i za słodka. Trzygwiazdkowa kosztuje 48 RMB. Zazwyczaj jest dostępna w supermarketach, można też znaleźć podobne alkohole innych marek.





Wino śliwkowe – Mei jiu, kosztuje 7,8RMB, alkoholu 6%, chyba najlepsze, co jest dostępne w sprzedaży, świetne w upały. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu nie jest przesadnie słodkie.

Ma nawet ładną butelkę i etykietę. Istnieje też w wersji różowej, która nie różni się jakoś wyraźnie smakiem.

To zwie się Soju i pochodzi z Korei, jest jednak do dostania w każdym większym sklepie w Chinach. Jest kilka odmian, woltaż około 20%. Z jednej strony jest ok, z drugiej trudno to z czymś „zdrinować”, a samo trochę za mocne w smaku, trochę jakby słodka wódka złamana wodą. Zazwyczaj kosztuje 16 RMB, ale jest u nas sklep, który ma po 8. Po jakimś czasie zainteresowania, trochę nam obrzydło.



Ogólnie nie ma w naszym mieście klimatu na dzikie chłanie, nie ma sensownych miejsc, żeby pójść na piwo. Chińczycy raczej nie przesiadują w barach, bo i barów wielu nie ma, u nas jest jeden na ponad osiemset tysięcy ludności. Ludzie mają tutaj nieco odmienne nawyki picia, zazwyczaj je się do tego całą kolację, zapija baijiu i wznosi toasty. „Porządne” kobiety nie piją publicznie, a po prawdzie chyba w ogóle. Oczywiście w dużych miastach spotkamy młodzież, która ma odmienne podejście do tego tematu, widać, że obyczaje się tutaj zmieniają, zwłaszcza pod wpływem modnych seriali i filmów.

Póki mieszkaliśmy w Huainan, chodziliśmy z innymi obcokrajowcami i dawaliśmy sobie wspólnie w palnik. Tu niestety nie ma z kim wyjść, mamy też wrażenie, że w Chinach w ogóle nie funkcjonuje raczej wyjście z kolegami na piwo i pogaduchy. Za to wiele osób wali sobie setkę do lunchu. Po półtora roku mieszkania w Gruzji, gdzie każdy robi dobre (zazwyczaj nawet bardzo dobre) wino, gdzie narodowy alkohol (czacza) wyrywa z butów, gdzie chłanie jest nieodłączną częścią życia każdego człowieka, jest to standard zdecydowanie odmienny.

[16.06.2014]

Chyba najgorszym dniem życia w Chinach jest 35 maja, czyli 4 czerwca. Jest to dla nas krańcowo irytujące, po pierwsze: o sprawie nie bardzo wolno rozmawiać. Po drugie: jeżeli porozmawiamy z dorosłym, to dowiemy się, że studenci chcieli przeprowadzić zamach stanu. Zaproszono nas łącznie na trzy wycieczki (szkolną, barbecue uczennicy, do wioski ucznia), wyszło z tego nic. Dwie się przestały odzywać, zaś uczennica od barbecue odwołała imprezę, bo deszcz. W Hunanie deszcz pada chyba jakieś 300 dni w roku, więc dziwnym nie jest, ale że też nie przygotowali żadnego planu B? Zresztą, co ja się dziwię, zdziwiłbym się, gdyby ktoś tu był w stanie perspektywicznie pomyśleć i zaplanować coś. Skoro dorośli tego nie potrafią, to co dopiero szesnastolatka? Listę nieumiejących niczego zaplanować otwiera nasza szkoła, która od miesiąca nie jest w stanie podać nam żadnych dat w stylu koniec semestru, czy obchodzimy święto jedno lub drugie, kiedy są skrócone lekcje, a kiedy nie.

Pogralbym w koszykówkę, ale uczniowie też mają wolne, do tego ostatnimi czasy pogoda jest taka, że cały dzień upiornie gorąco, a wieczorem i w nocy deszcz z burzą. Miło, że przyszła wypłata, problem, że nie bardzo wiemy, co z nią zrobić, wino sobie kupiliśmy i zupe. Pełno lekcji nam przepada, bo egzaminy, był też dzień sportu, no płakać, nie płaczemy, tylko że gdyby to lepiej zorganizować, to naprawdę moglibyśmy coś z tym czasem zrobić ciekawszego niż oglądanie filmów sprzed 50 lat. Powoli też kończymy czytać internet.

Gdy przybyłem ponad rok temu do Chin, portal *eChinaCities* był jednym z moich głównych źródeł informacji o tej rzeczywistości. Obecnie poziom strony leci na łeb na szyję. W grudniu jedna z osób piszących tam artykuły walnęła wielki wpis na forum: że gdy dołączyła do zespołu redakcyjnego, była zasada, że nie można pisać o Dalajlamie, Tybecie, Tajwanie i Tiananmen. Ogólnie wszyscy się na to zgodzili, każdy człowiek zachodu wie o ww. wystarczająco, żeby mieć własne zdanie i nie trzeba mu pisać artykułów, jest wiele innych rzeczy, które warto opisać i się nad nimi zastanowić. Z czasem jednak lista zakazanych tematów się wydłużała i w końcu chłop sobie podziękował, bo jednak układanie się z debilną chińską cenzurą musi mieć jakieś granice dla przyzwoitego dziennikarza. Ostatnio chyba zakazali im pisanie w ogóle, posty z dyskusji znikają kilogramami. Z dość ciekawej strony zrobiła się kolejna tuba propagandowa, w którą nikt nie wierzy. Rekordem tej tendencji jest promowanie wpisów blogowych ludzi, którzy są pierwszy miesiąc w Chinach i tak się tym zajebicie zachwycają. Każdy z nas był na tym etapie swego czasu, bo to jest właśnie szok kulturowy, można sobie o tym poczytać prace naukowe. Na początku jest zachwyt, potem załamka i depresja, następnie zaś coś w pół drogi, jedne rzeczy się lubi, drugie wkurwiają, ale raczej nie popada się w stany krańcowe bez większego powodu.

Z cyklu debilna cenzura: na YouKu jest klip Leonarda Cohena do utworu *Democracy* z płyty *The Future*. Sobie nie zauważyli, że gdy Cohen śpiewa otwierające:

*It's coming through a hole in the air,
from those nights in Tiananmen Square.*

To jest dziecko z rowerem na tle ognia, co chyba każdemu przywodzi na myśl takie pewne wydarzenie z najnowszej historii Chin. W sumie nie jestem bardzo zaskoczony, moi

uczniowie nie są w stanie dokonać interpretacji czegokolwiek, a cenzorzy też przeszli przez ten cudowny system edukacji, więc też nie są w stanie zrozumieć Cohena.

Chińska mysz firmy Lenovo działała około trzech tygodni, potem zepsuło się lewe klikanie. Taka nieistotna funkcja. Kupiłem droższą, bo naiwnie myślałem, że będzie lepiej działała. No chciałem, żeby dała radę trzy miesiące. Niestety przeceniłem ich możliwości produkcyjne, oczywiście reklamacji nie ma jak złożyć. Nie jest to może największy dramat świata, w końcu codziennie ludzie giną w działaniach zbrojnych, ale takie miałem małe marzenie, że być może Chińczycy dadzą radę wyprodukować mysz komputerową, która będzie działała.

[21.06.2014]

Yunnan słynie w całych Chinach jako prowincja najbardziej atrakcyjna turystycznie. Niemal każdy Chińczyk powie wam, że Kunming to miasto wiecznej wiosny i że koniecznie musicie je odwiedzić. O ile opowieści Chińczyków traktujemy już z pewną rezerwą (dla nich wszystko jest piękne, ciekawe i warte zobaczenia), o tyle nasz kolega Harrison również wyrażał się o nim w samych superlatywach. Plus jeszcze kilkaset tysięcy osób na necie pisało, że to cudowne miejsce. Chiński system szkolnictwa ma ten plus, że z racji egzaminów Gaokao nauczyciele z dzikiego kraju dostali wolne. Wprawdzie do Yunnanu mamy kawałek, ale wybór był jasny, siedem dni wydawało się być wystarczającym czasem, by chociaż dotknąć tematu.

Kunming

Kunming może i jest miastem wiecznej wiosny, ale w początkach czerwca trudno dostać z tego powodu orgazmu. Liczba atrakcji jest tak naprawdę umiarkowana, często są to parki rozrzucone po przedmieściach miasta, skanseno-lunaparki czy dopiero co odbudowane ze zgliszcz świątynie. Pośród tego typu cudów przewodnik sugerował muzeum mniejszości etnicznych, postanowiliśmy spróbować, bo oboje lubimy wizyty w muzeach – zawsze można dowiedzieć się czegoś nowego, zobaczyć coś ciekawego i spędzić miło ze dwie godziny.

Ja pierdołę... Powiedzieć, że badziewie, to mało. Jakieś instrumenty ludowe, informacje zdawkowe (nie że po angielsku, nawet po chińsku nie było niczego poza nazwą przedmiotu i datą wykonania). Trochę ładnej ludowej biżuterii wyeksponowanej w koszmarnie niedoświetlonym pomieszczeniu. To było na piętrze drugim.

Całe pierwsze piętro to jakieś krasnale ogrodowe!!! Naprawdę, jest jedna sala, w której jakiś wariat postanowił wystawić współczesne zdobycze w zakresie chińskiej ceramiki i SA TAM KRASNALE OGRODOWE!!! A także ceramiczne Hello Kitty. W przylegającej do tej wystawy sali kinowej idzie film o białym artyście, który mówi, że Chiny to wielki rynek antyków i produktów etnicznych i jako artysta czuje się niezwykle zainspirowany. Opowiada to, trzymając w rękach ceramiczne aniołki, które później były pewnie sprzedawane na świątecznym jarmarku we Wrocławiu, Dreźnie czy innym europejskim mieście.



Przysięgamy, że to naprawdę eksponaty w muzeum, a nie sklep „Wszystko za 5 RMB”

Drugą część pierwszego piętra zajmuje chińska ceramika artystyczna, czyli twory trochę ciekawsze niż Hello Kitty – przedstawienia legendarnych bohaterów, nawiązania do przedmiotów o znaczeniu religijnym, figurki pięknych dam z początków wieku. No można to sobie pooglądać, ale równie dobrze moglibyśmy iść do byle sklepu z pamiątkami i zobaczyć

to samo. Chwała, że to za darmo, ale jeżeli siadziecie sobie z piwem na ławce, to więcej ciekawych rzeczy zobaczycie niż na ekspozycjach oglądniętych w tym obiekcie.



Brama wiodąca do świątyni, obiekt fotograficznych uciech wszystkich odwiedzających

Jedna ze świątyń kompleksu otoczona była wodą, w której pływały się żółwie. Żółwie i żaby mają reprezentować długowieczność, ale wyglądało, że jeden z nich postanowił sprawdzić, jakież to będzie miał kolejne wcielenie i sobie zdechł. 6 RMB za bilet, po stronie warto, ale bez dzikiego zachwyty.



Xi Shan, czyli Wzgórze Zachodnie

Przysłowie podobno głosi, że jeżeli nie byłeś na Zachodnim Wzgórzu, to nie byłeś w Kunmingu. My byliśmy i zdecydowanie nie ma po co. Naprawdę. To nie to, że my narzekamy na wszystko, tylko po prostu nie warto. Jedzie się w cholerę dwoma autobusami, bo wzgórze mieści się na przedmieściach (nie jest to bardzo dziwne). Po drodze można sobie utknąć w korku na jakąś godzinę. Tuż obok wzgórza jest jezioro, które pewnie kiedyś było ładne. Teraz jest upiękzone rurociągiem i opasane drogami wielopasmowymi. Do tego deweloperka się szerzy i narabali pełno bloków, budują dalsze.

Sama „wspinaczka” na wzgórzu odbywa się asfaltówką, można też jechać autobusem lub wybrać kolejkę linową. Po drodze jest kilka świątyń, które można obejrzeć za 25 RMB od sztuki. Zrobiliśmy dobre 3 kilosa w górę, zajęło nam to oczywiście mniej czasu, niż przewidywały tablice informacyjne. Jedynym ciekawym miejscem na trasie była „starożytna ścieżka”, czyli droga wiodąca po kamiennych schodach. Idzie się tak przez dobre 10-15 minut, jest to męczące, ale przynajmniej ciekawsze niż asfalt. W oczekiwaniu na autobus z powrotem do centrum mogliśmy zaś obejrzeć, jak jeden z lokalnych turystów starannie i dokładnie myje ręce w błotnistej kałuży.

Okolice placu Jinbi

Nasz hostel ulokowany był na tymże placu, dlatego też okolice zwiedziliśmy dość dobrze. To przyjemny rejon miasta, plac przylega do kwartałów zabudowy z wąskimi, urokliwymi uliczkami, na których w ciągu dnia sprzedawane są suweniry.

Niedaleko placu znajduje się ulica Shulin, którą flankują dwie pagody – Dongs i Xisi. Dongs znajduje się w parku. Przy pagodzie Xisi kwitnie życie, dzieci nieskalane myślą o ochronie zabytków grają w piłkę, odbijając ją od ścian budowli. Jest to całkiem przyjemny fragment miasta, zwłaszcza wieczorem, kiedy nie ma już zbyt wielu turystów i interesantów. Idealne miejsce, żeby usiąść z butelką wina i kontemplować rzeczywistość.



Pagoda Dongs noc

Yunnańskie skarby wsi

Yunnan to jednak nie tylko Kunming. Prowincja ma 394.000 km², więc jest większa od Polski. Stanęliśmy przed dwiema opcjami: albo jechać w stronę Lijiang i Dali, albo do tarasów ryżowych Yuanyang. Tarasy są podobno ładne, ale na cztery dni to byłaby pewna przesada. Wybraliśmy...

Lijiang

Dotarcie tamże zajmuje jakieś osiem godzin pociągiem. Miasteczko to istny labirynt wąskich uliczek i niskiej zabudowy.

Niby ślicznie, ale jest małe ale: to wszystko to rekonstrukcja. Zamieszkiwana przez lud Naxi (lub Nakhi), jedną z licznych mniejszości etnicznych Yunnanu. Słynęli niegdyś z tkactwa, ale szczęśliwie większość mistrzyń tej dziedziny wrzucono do więzienia w 1972 roku i umarły tamże. Zarzut: w młodości robiły ozdoby wyłącznie dla lokalnego władcy...

Jeżeli chcemy zobaczyć Lijiang bez turystów, najlepiej pospacerować po nim około 7 rano. Tkactwo może i nie umarło, ale wszystko wygląda dokładnie tak, jak gdzie indziej. Po godzinie pobytu na dźwięk słowa „batik” i „szal” będziecie dostawać torsji.

Cała okolica wokół starego miasta przechodzi obecnie szeroko zaprojektowane prace budowlane, panuje bajzel, plac budowy goni plac budowy, trasy autobusów są tak pozmieniane, że przewodnik możecie sobie wyrzucić do kibla.



Oficjalnie jest bilet za 80 RMB, ale większość osób (w tym autorzy tych słów) pozwoliła go sobie nie kupować i przeżyć dwa dni bez większych problemów. Po prostu nikt tego biletu nie sprawdza



Tabliczki przywieszane na szczęście, czyli jeden z setek sposobów na wyciągnięcie pieniędzy z kieszeni turysty



Życie codzienne w Baisha

Baisha

Dziesięć kilometrów od Lijiang ulokowana jest wioska słynąca z buddyjskich fresków, solidnie zdewastowanych w czasach takiej tam rewolucji. Wjazd obecnie kosztuje 30 RMB, ale sprawdzają ten bilet za 80 z Lijiang. Większość turystów, którzy byli z nami, postanowiło sobie podarować (obecnie dwie z czterech świątyń przechodzą restaurację, więc już w ogóle wątpliwa inwestycja).

Sama miejscina mała, chodzi się przyjemnie. Jeden z lokali robi całkiem dobrą pizzę. Miły wypad z Lijiang i odczucia nieco bardziej autentyczne, ale spokojnie: bez batiku nie wyjedziecie.

Dali

W pół drogi między Kunmingiem i Lijiang. Miasto, które kiedyś było mekką hippisów, obecnie znacznie mniej popularne. No cóż, jest w porządku, ale nie powala. Wszędzie setki sklepów, które sprzedają barachło, pałają się ludzie w strojach ludowych, można sobie zrobić zdjęcie z alpaką. Wszystko wygląda na konkretnie odnowione, jest tak turystycznie, że bardziej się chyba nie da.

Parę kilometrów od Dali są trzy pagody będące symbolem regionu. Bilet wstępu to skromne 140 RMB, a że i tak się do nich nie da wejść, to lepiej sobie oglądnąć z zewnątrz.



Dali nocą (nie dali za dnia)



W samym Dali mamy setki barów i hosteli. Super jest restauracja buddyjska, płaci się 5 RMB i wybiera miskę jedzenia, warunek: masz wszystko zjeść. Rewelacja, pyszne żarcie, oczywiście 100% bez mięsa, cena taka, że aż chciałoby się dać więcej, byle tylko tego nigdy nie zamknęli.

Jedną z flagowych atrakcji regionu było zawsze Shangri La. Niestety, w styczniu 2014 roku wybuchł pożar, zjarał większość starego miasta i obecnie mało kto tam jeździ. Odpuściliśmy sobie.

Wymiar personalny

Odetchnęliśmy sobie, nawet nie tyle od pracy, co od monotonii życia dnia codziennego w naszym mieście chińskiego snu. Jednak parokrotnie patrzyliśmy na siebie i zastanawiali się, czy jeszcze nam się chce. Jeżdżenie po Chinach jest dość męczące, dystanse ogromne, czasy przejazdów też dość solidne, chociaż chińskie pociągi są jakieś trzy razy lepsze od polskich – zazwyczaj punktualne, obsługa sprzątająca na bieżąco, darmowy wrzątek, a i sklepik kolejowy w cenach do przeżycia.

Głównym problemem są krajowcy, o ile przejazd z Kunmingu do Huaihua mieliśmy super, o tyle droga tam była raczej horrorem. Na ponad sto osób w wagonie trafiło się czterech idiotów, ledwo co od pługów oderwanych. Cała reszta poszła sobie spać o 22, a ci gadali. Oczywiście nie spokojnie, tylko darli się, jakby byli na meczu Chiny-Japonia. Istnieje chyba jakaś wykładnia, że łupiny po słoneczniku to nie są śmieci. Milion razy widzieliśmy (hotele, autobusy), że ktoś je słonecznik i pozostałości rzuca na glebę. Ci oczywiście też nasyfili słonecznikiem po całej podłodze. Przyszedł konduktor, opierdolił ich, kazał korzystać z tacki na śmieci. Gadaj zdrow, dalej łuskali na podłogę. Teraz zgadnijcie, gdzie siedzieli? Oczywiście tuż koło nas. Ilekroć szedłem zapalić albo do kibla, facet wypierdalał swoje nogi w romantycznych skarpetkach na moje miejsce. Raz jeden z nich nawet sobie siadł, jakby myślał, że nagle zostawiłem kobietę, wszystkie rzeczy i postanowiłem wyskoczyć z pociągu będącego w pełnym biegu. Był cholernie zdziwiony, gdy wróciłem i przekazałem mu karcące spojrzenie.

Apogeum ich możliwości miało miejsce o poranku, czyli 4 rano. Koleś jadł zupę i nagle kichnął, tym samym opluwając mnie makaronem i swoimi odrażającymi wydzielinami. I to nie jakoś symbolicznie, całe spodnie w makaronie i plujach. Tu okazało się, że pan rozumie dość dobrze język polski, bo gdy krzyknąłem „KURWA, TY CHUJU PIERDOLONY!” to uszy po sobie i śmiech – no bo jak jest nerwowo i im głupio, to oni się śmieją. Prawie całowałem peron w Kunmingu, gdy mogliśmy w końcu wysiąść i pożegnać tych buców.

Jednak rekord padł w Dali. W mieście nie ma stacji kolejowej, najbliższa jest w Xiaguan, około dwudziestu kilometrów dalej. Szczęśliwie, pomyślano i zrobiono kasę biletową w Dali. Znaleźliśmy, była 16:50, kasa zamknięta, ale czynna do 18, pani pewnie zaraz wróci. 17:10. Pani nie ma. Znaleźliśmy księgę skarg i wpisaliśmy się. W tym samym budynku są też kasy biletów na jakieś lokalne przejażdżki melexami. Idziemy do nich, popłoch, pytam, co z kolejowymi.

– Och, poszła do toalety!

– To ją musiało chyba porządnie przesrać, bo od 20 minut czekamy.

– Zaraz wróci.

Po pięciu minutach przyszła pani z innej kasy i powiedziała, że dzisiaj już nie będzie sprzedaży

biletów kolejowych.

– *A miała być w kiblu, czyżby się kłamało? Jest przecież 17:20, ma być jeszcze 40 minut czynne.*

– *Tak, tak, jutro, wróćcie jutro.*

– *Nie możemy wrócić jutro, jutro rano musimy jechać dalej.*

– *To może w Xiaguan jeszcze sprzedają bilety.*

– *To ja mam dwadzieścia kilometrów autobusem teraz jechać po bilet, bo pani koleżanka poszła do domu?*

– *Tak, tak!*

Wyśmiałem ją i powiedziałem, że to jest *outrageous*. Idziemy wkurwieni solidnie, a po całym mieście wiszą tabliczki, że jak jesteś turystą i masz problem, to dzwoń.

– *A, co nam zależy, niech nie będzie, że nie chcemy poprawić świata.*

Dzwonię. Chiński. Jęczę po chińsku, żeby mi dali kogoś z angielskim.

– *Have a nice day, goodbye!*

Czy jest jakaś infolinia do złożenia skargi na infolinię do składania skarg? Turystyczna stolica regionu. Prowincja, gdzie zachodnich ludzi masz na każdym kroku, ale biuro obsługi turystycznej słowa nie mówi w języku wroga. Ba, a gdyby mnie napadnięto, okradziono i pobito, to co? *Have a nice day?*

To jest wstęp do rozważań o chińskim rynku pracy i dlaczego warto dobrze zdać Gaokao. Wszyscy moi uczniowie zgodnie twierdzą, że praca dla kraju jest super. Bo stabilna, bo płacą dobrze. W pojęciu „posada państwowa” mieści się właśnie sprzedaż biletów kolejowych, a także infolinia turystyczna. Jak źle zdasz Gaokao i nie odbędziesz nauk na uniwersytecie, to fabryka i trampki, a tam trzeba pracować, bo inaczej cię szef-kapitalista wypierdusi na zbity ryj. Będiesz źle robił, to pod bramą stoją inni. Za to na państwowym masz chyba dożywocie, no chyba że ci się przyśni jakiś wolny Tybet albo Falun Gong. Ale im się raczej nie przyśni, więc będą sobie siedzieli i nie robili spokojnie niczego za państwowe, ewentualnie *have a nice day!*

Potem zdarza się, że uczniowie mówią, że na Zachodzie tak dobrze się zarabia. No tak (Polska to nie Zachód, w Polsce się tyra za śmieszne pieniądze, chyba nawet gorsze niż w Chinach, jeżeli chodzi o siłę nabywczą), ale jednak tam oczekiwana jest jakaś praca, nikt nie posadzi pięciu osób, gdzie mogą siedzieć dwie, nikt nie będzie tolerował tego, że pani sobie poszła do domu, bo jej nudno. Pitołnie skargę i będą konsekwencje, nawet PKP wydaje się powoli poddawać tym okrutnym regułom gry. No a tu nie. Czemu ja miałbym zapłacić pracownikowi, który de facto przynosi mi straty (bo zakładam, że chińskie PKP coś zarabia na tym, że ja kupię bilety)? A jeszcze czemu miałbym mu płacić jakieś większe pieniądze? Czemu ktoś, kto tylko wkurwia turystę (źródło dewiz) swą niekompetencją, ma mieć pracę? No ale to myślenie jeszcze tu nie dotarło, obawiamy się, że może nigdy nie dotrzeć. Brak pani równał się temu, że musieliśmy jechać autobusem, kosztował mniej więcej dwa razy więcej niż pociąg, a czas przejazdu podobny. A potem niech mi ktoś powie, że ja taki podły i okrutny dla tych Chińczyków jestem, a to złoci ludzie są, tylko troszkę czasem niezorganizowani.

Najbardziej szkodliwy debil trafił się podczas wyjazdu z Dali. Szukaliśmy miejsca skąd odjeżdża autobus, wiedzieliśmy, że nie ma normalnej stacji, tylko że trzeba sobie znaleźć przystanek, który nie jest oznakowany. Łazimy, szukamy, widzimy, że idzie Chińczyk z białym

i gadają po angielsku. No to pytamy, gdzie ten autobus chodzi. Chińczyk się zadumał. Dumał. My w sumie czasu wiele nie mamy, ten duma.

– *Nie ma autobusów z Dali do Kunmingu, bo to jest za daleko. Musicie jechać do Xiaguan i stamtąd wziąć pociąg. Autobusy nie jeżdżą na tak dalekie dystanse.*

Wyśmiałem go i poszedłem. Dwadzieścia metrów dalej taksiarz niemówiący słowa po angielsku zrozumiał mój żenujący chiński i w dwie minuty zaprowadził do nieoficjalnej kasy biletowej. Pewnie miał z tego prowizję, ale i tak zapłaciliśmy tyle, ile mieliśmy. Zastanawia mnie tylko, czemuż to Mandaryn nie mógł powiedzieć: sorry, nie wiem, nie jestem stąd. Ależ tak! On by stracił twarz, więc zamiast tracić twarz, postanowił wysłać nas w totalną pizdę, skomplikować nam życie dwadzieścia razy bardziej niż to konieczne. Niech im dołożą taką sekcję do egzaminów: JAK, KURWA, NIE WIESZ, TO NIE PIERDOL! Gdyby pojęli tę umiejętność, to nasze życie uległoby znacznemu uproszczeniu.

Podobnie, ale na mniejszą skalę wkurwu, szukaliśmy autobusu do Baisha z Lijiang. Zmienili wszystkie trasy, bo rozkopane. Każda pytana osoba mówiła co innego. W końcu znalazł się policjant, który nas dobrze pokierował, ale spędziliśmy około 90 minut, łażąc po całej okolicy i zbierając sprzeczne informacje nt. tego, skąd jeździ autobus do Baisha.

Kwaterunek

Dla równowagi w pisaniu o krajowcach i cenach, ogólnie same pozytywne przejścia z noclegami. Recepcjonista w hostelu w Dali był super, mimo pewnych kłopotów językowych komunikowaliśmy się bez bólu, wódkę jęczmienną lał mi podwójną za cenę pojedynczej i pomógł ze wszystkim o wiele bardziej, niż bym oczekiwał. Nazwa: Dali Laoshy Hostel, 24 RMB za osobę w dormie, byliśmy jedynymi gośćmi. Piwo 7 RMB, seta wódki jęczmiennej 10 RMB, gwarantuję, że przy jego mierniku trzeciej nie wypijecie.

Podobnie miła była pani w Lijiang. Miała kartkę, że powinna sprawdzić bilety wstępu do miasta, na szczęście tego nie robiła, świetny angielski i natychmiastowe odpowiedzi na wszystkie nasze (i Izraelity) pytania.

MaMa Naxi Guesthouse, 35 RMB za osobę w dormie, pierwsza noc sami, druga w milej ekipie. Piwo 10 RMB, śniadanie bodajże 24 RMB, więc drogo i da się taniej. Chata ładna, stara, stylowa, żadnej gównianej dyskoteki w nocy, cisza. Zdecydowanie polecamy.

Hump Hostel w Kunmingu słynie jako miejsce imprezowe. No, jak się chce płacić 17 RMB za piwo, to lepszego adresu nie znajdziecie. Miejsce fajne – standard dormitorium i toalet dużo lepszy niż zazwyczaj – ale cudownej libacji się nie spodziewajcie, nie te czasy, nie ten klimat, wszystko wydawało się sztuczne i wydumane. Spotkaliśmy się tam z pewną dziwną



MaMa Naxi Guesthouse o poranku

sprawą: na drugą noc do pokoju dokwaterowali nam rodzinę Hindusów z dwójką dzieci (w wieku około 5-7). Wracam sobie w stanie właściwym o godzinie 23, a tu mi hinduskie dzieci baraszkują na łóżku obok. O 6 baraszkowały znowu. Trudno powiedzieć, czy to rodzice byli bardziej pierdolnięci, czy obsługa hostelu – jak można wsadzić dzieci na noc do pokoju pełnego obcych ludzi? W hostelu, który uchodzi za miejsce na imprezy? Przykładowo: dzień wcześniej jednego z pensjonariuszy zastaliśmy nago, z kroczem ledwo przykrytym jakąś szmatą, sami zaś kładliśmy się spać grubo po 2 w nocy, do tego jedno z nas ześlizgnęło się ze schodków wiodących na piętrowe łóżko, robiąc przy tym niechcący trochę hałasu. Po prostu idealne warunki do snu dla kilkulatków. 30 RMB za noc, dorma ok, ludzie nieszczęśliwi się trafili.

Aspekt bezpieczeństwa

1 marca w Kunmingu miał miejsce atak terrorystyczny na dworcu kolejowym. Zasztyletowano 29 osób, totalny szok. Mniejszy nieco, gdy doczyta się, że cała dzielnica muzułmańska została zrównana z ziemią w okolicach 2005 roku (nie zapominajmy, że Chiny zużywają najwięcej betonu i stali na świecie). W nagrodę mamy teraz bramki bezpieczeństwa jakieś 20 metrów od wejścia do budynku dworca, podwójna kontrola. Kupowanie biletów kolejowych to walka na jakieś czterdzieści minut. Tu też jednego pana musiałem zaznajomić z językiem polskim, ale poszło bez problemu, okazało się, że frazę „WYPIERDALAJ!” zna dość dobrze. Tym samym mógł porzucić myśli, że jak biały, to głupi i na pewno nie będzie się burzył, gdy się będzie go chciało wypchnąć z kolejki po bilety.

Aspekt finansowy

Ogólnie Chiny mogą być tanie lub drogie, można sobie wybrać. Jeżeli siądziesz w hostelu i będziesz laził na makaron z krawężnika, to i 50 RMB dziennie wystarczy. Jeżeli chcesz dużo jeździć i oglądać, to możesz się i w 800 zamknąć. W drzazgi rozjebują ceny wstępów. To jest seryjnie chore. Przykładowe ceny biletów, które ominęliśmy:

- Shilin, kamienny las pod Kunmingiem. 175 RMB. Podobno ładny, ale super turystyczny, pełno ludzi chcących ci sprzedać szmelc.
- Wąwóz Skaczącego Tygrysa – tu akurat 65 RMB byśmy dali, ale nie wystarczyło nam czasu. Bolejemy, może się jeszcze kiedyś uda. Podobno lokalni są w stanie doprowadzić turystę do wścieklizny, co chwilę chcą pieniędzy – a to za zdjęcia, a to za sprzątanie, a to za wejście na kamień. Trzeba uważać przy drodze powrotnej, biorąc busa z końca szlaku można się wpakować w jakiś bilet za chore pieniądze (chyba 190 RMB).
- Jade Dragon Snow Mountain – tu jest taka kombinacja biletów i opłat, że nawet *Lonely Planet* pisze, że jak zrobisz poniżej 400 RMB, to dobrze poszło. Wejście na górę 190 RMB, kolejne wyciągi po 180-300 RMB, ludzie z pierdołami, do tego podobno tłok.
- Wioska karłów – dość dziwne zjawisko, zebrano ludzi niskiego wzrostu i zrobiono z nich atrakcję turystyczną. Podobno raczej odrzucające. 80 RMB.
- Tarasy ryżowe Yuanyang – 100 RMB. Nowa opłata, wprowadzona chyba niecały rok temu. No ludzie jeździli, to już nie będą. Przyczyniło się to do naszego olania tematu.

Nie mamy problemu z zapłaceniem za bilet wstępu do miejsc, które są tego warte, ale tu mówimy o raczej trzeciorzędnych atrakcjach lub miejscach potencjalnie ciekawych, ale

niewartych takich pieniędzy. Wiele obiektów to rekonstrukcje, postawione, bo ich genialny wódz nakazał rozpirzyć wszystko w drobny mak ledwo 40 lat temu. Teraz ja mam płacić za oglądanie rekonstrukcji świątyni, bo WY i wasi kochani wodzowie ją zdewastowali? Chyba się wam coś konkretnie popierdoliło. Mogę płacić za Angkor Wat, Tadź Mahal, bo te miejsca są prawdziwe (inna bajka, że też obłęd cenowy, ale to pierwsza liga zabytków światowych). Wiele miejsc w Chinach nie jest autentyczna, powstały w ciągu ostatniej dekady, gdy nagle lokalni się zorientowali, że trochę łyso, że z pięknej pagody ostał się chlewik. Nie, nie dlatego, że było trzęsienie ziemi i pożar w XVII wieku, a dlatego bo 40 lat temu ich mamusie i tatusiowie puścili to z dymem.

Tu powracamy do tematu, że nam się trochę odechciewa zwiedzać Chiny: każde choćby śladowo interesujące miejsce jest oblegane przez legion turystów, wszędzie chce się sprzedawać człowiekowi gówno, wszędzie wrzask, tłok i nierzadko jeszcze śmieci. Po jakimś czasie zaczyna się wytyczać sobie trasę tak, by omijać te wybitne atrakcje. Szczęśliwie, jeszcze da się znaleźć coś w ludzkiej cenie, ale powoli zaczyna tego ubywać – patrz tarasy ryżowe, Fenghuang też było darmowe do 2013 roku, a teraz 148 RMB. To jest zdzierstwo, mniej więcej takie, z jakim możemy spotkać się w Zakopanem, chore pieniądze za rzeczy zapewne tego niewarte, odwiedzane w rozwrzeszczanym stadzie. Nie jesteśmy nędzarzami, ale jest też jakaś granica darcia kasy z turystów, miejsce, w którym mówi się „stop, nie warto”. Niestety często mamy wrażenie, że w ChRL ją już przekroczono. Udaje nam się wynajdywać miejsca ładne i ciekawe, ale zawsze poprzedzone jest to sprawdzeniem, czy aby już nie wprowadzono tam horrendalnych opłat za wstęp. Yunnańska wioska na zadupiu ma obecnie bilety w cenie wstępu do Luwru, w kraju, w którym ludzie przesadnie szalowo nie zarabiają. Jeżeli rodzina 2+2 będzie chciała wybrać się do Lijiang i na Smoczą Górę, to na same bilety wyda prawie 2000 RMB w ciągu dwóch dni. Wiele osób żyje za tyle przez miesiąc, zwłaszcza w Yunnanie, który jest biedną prowincją.

Aspekt kulinarny

Objawień brak, poza jednym. Jedliśmy sobie śniadanie w jednym z lokali w Lijiang. Rozglądamy się po wystroju, patrzymy, a tuż obok stoi wielki słój. W słóju ciemna ciecz, z której przedzierało się... futro.

Po pierwszym szoku zapytaliśmy panią, co tam w środku gnije, podała nam jakąś nieznaną nam nazwę, zapisaliśmy. Trochę kusiło spróbować trunku, ale 45 RMB za szklaneczkę to bardzo wygórowana cena. Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że to był jeleń.

Cholernie się zatruliśmy żarciem z okolic dworca w Kunmingu – zupa z makaronem i chińską parówką. Dramat totalny, jedno z nas zaczęło mdlić już w połowie jedzenia, drugie niestety dopiero po zjedzeniu całości.



Bambi, co ty, co oni ci zrobili?

Lud Naxi robi w Lijiangu i Dali niezłą wódkę ze śliwek (Meijiu), ale nie są aż takimi pasjonatami tematu jak Miao. Niemniej polecamy, bo i tak smakuje to milion razy lepiej niż baijiu.

Aspekt towarzyski

Po siedzeniu na chińskim zadupiu, niemal rzucamy się na szyje napotkanym turystom. Tak nam się cudownie gada, że zamęczamy każdego, pewnie nas biorą za pierdolniętych. W Kunmingu przegadaliśmy wieczór z Audrey z Francji, ale hit miał miejsce w Lijiangu. Spotkaliśmy Angielkę i Izraelitę, jak zaczęliśmy gadać o 14, to do 21 ciągiem. Z nim jeszcze drugiego dnia od 8 do 11 rano. Przegadaliśmy wszystkie możliwe tematy, ale i tak co chwilę pojawiały się nowe. Niesamowita duchowa przyjemność, jeszcze parę godzin później wspominaliśmy sobie o tym, co omówiliśmy i czego nowego się nauczyliśmy. Podróżowanie wielokrotnie było dla mnie wielkim procesem uczenia się, dowiadywania rzeczy, których inaczej bym się nie dowiedział. Ponieważ obecnie wiemy hektary więcej od Chińczyków o ich kraju (i to naprawdę nie jest żadnym osiągnięciem), pobyt tu nie jest dla nas przesadnie edukacyjny ani stymulujący intelektualnie. No chyba że spotkamy takich ludzi, wtedy nagle odkrywamy ponownie przyjemność z przebywania w dormach i gadania po nocach z niemal obcymi.

[10.07.2014]

Rozpoczął się sezon wakacyjny. Jedną z popularnych opcji wyjazdów wakacyjnych są egzotyczne kraje. Inną z popularnych opcji jest wegetacja przed mundialem, a po mundialu dalsza wegetacja. Jeżeli ktoś zastanawia się nad egzotycznymi krajami, wówczas powinien zadać sobie pytanie:

– *Czy warto odwiedzić Chiny?*

Odpowiedź brzmi:

– *Nie bardzo.*

No dobrze, a teraz konkretniej. Obecnie Chiny są dla mnie najbardziej rozczarowującym krajem Azji pod względem turystycznym, no może obok Korei, ale Korea jest tak banalna do zrobienia, że aż szkoda nie jechać. Natomiast Chiny to męka.

Sam chorowałem na Chiny w latach 2005-2007. Po wizycie podczas wakacji w 2007 roku na bardzo długo przeszła mi ochota jeżdżenia do i po ChRL. Po grubo ponad roku siedzenia jestem w mniej więcej tym samym miejscu, co po pierwszym pobycie. Raczej nie dlatego, że niczego nie widziałem, ale dlatego, że widziałem jeszcze więcej i okazało się, że przy pierwszej wizycie za bardzo się nie pomyliłem. Nie miałem okazji odwiedzenia zachodniej części kraju, która jest mniej zaludniona, więc zapewne niektóre problemy mogą występować tam w mniejszym natężeniu. Ciekaw jednak jestem, czy istnieje turysta, którego ciągnie tam podczas pierwszego pobytu w Chinach.

Oto skromna lista potencjalnych utrudnień, na jakie można napotkać podczas podróżowania po Państwie Środka:

- **Każde, choćby potencjalnie minimalnie interesujące turystycznie miejsce, jest oblegane przez legiony na miarę bitwy pod Kannami.** Jeżeli coś pochodzi z pierwszej „-nastki” atrakcji kraju, to należy spodziewać się tłumów na miarę bitwy na Łuku Kurskim. I mniej więcej takich doznań dźwiękowych – organy Stalina (katusza) to melodia do snu przy tym, jak Chińczycy się wydzierają.
- **Ceny wstępów** – o tym wspominamy dość często. CHORE!!! Absolutnie nieprzystające do zarobków ludności lokalnej. Całkowicie sprzeczne z jakimikolwiek standardami światowymi. Drożej od Japonii i Kanady, a jak rzucimy to na zarobki mieszkańców, to już po prostu istny horror. Chyba tylko Petra w Jordanii ma bardziej porąbaną cenę wstępu niż przeciętna chińska góra.
- **Przejazdy** – chińska sieć kolejowa jest imponująca, ale potencjalnych użytkowników jest niemal zawsze więcej niż biletów. Te często są dawno wyprzedane na kilka dni przed odjazdem pociągu, w tym nawet stojące. To prowadzi do...
- **G-train** – G-trainy są super, obok japońskich najlepsze pociągi, jakimi w życiu jechałem. Na pewno byłoby obelgą dla chińskiej myśli technicznej, gdyby napisać, że zostały zerżnięte z pociągów japońskich i niemieckich, więc po co o tym wspominać? Podróżnego jednak bardziej będą interesowały ceny biletów. Witamy w Europie! Za Pekin-Xi'an zapłaciłem w zeszłym roku (2013) 515 RMB. Fajnie, że jechał pięć godzin z małym okładem. Tyle że 515 RMB może przebić tygodniówkę niejednego pracownika chińskiej fabryki, a i dla Europejczyka nie jest to mały wydatek.

- **Ludność lokalna** – brak słów, pchanie się, wrzask, plucie. W tym: jakość informacji turystycznych i standard udzielanych przez nich wskazówek. Jak również ich poziom znajomości jakiegokolwiek języka obcego. W ciągu ponad roku życia w Gruzji nie spotkałem tam informacji turystycznej niemówiącej po angielsku na poziomie B2 (a do tego po rosyjsku na przynajmniej takim samym). W Chinach? W kraju, który odwiedza każdego roku jakieś luźno dziesięć razy więcej turystów niż Gruzję? Zapomnijcie! Czasem się udaje, ale ogólnie informacje turystyczne służą paniom do rąbania rekordów w gry na telefonach i doskonaleniu sztuki makijażu, nie zaś powiadamiania was o czymkolwiek. Nawet w Szanghaju po pytaniu o najbliższy hotel pani podała mi bez słowa książkę atrakcji miasta.
- **Żeby w ogóle tu wjechać, musicie zapłacić za wizę.** Jeżeli nie jesteście z Warszawy lub Gdańska, dochodzi wyprawa lub opłata za pośrednictwo.
- **Wymiana waluty możliwa tylko w bankach, do tego nie wszystkich.** Procedura może być szybka i prosta (Pekin, Szanghaj – kilka minut i po sprawie, obstawiam, że Guangzhou, Shenzhen też nie będą problemem) lub też bardzo złożona i skomplikowana (Luoyang, Datong, pewnie wiele innych miejsc) Wprowadź karty Visa lub Mastercard działają w setkach bankomatów, w wielu jednak nie.

Budżet dzienny zależy od potrzeb jednostki, ale ogólnie bym go widział w okolicach 200 RMB przy odwiedzaniu głównych atrakcji i spaniu w raczej tańszych niż droższych miejscach. Nie jest to bardzo dużo, ale wszystko zależy od potrzeb własnych, jeżeli będzie się chciało obejrzeć wszystkie świątynie, muzea, parki rozrywki, pójść do teatru czy na jakieś występy, to można przekroczyć i 1000 RMB. A jeżeli musicie lub bardzo chcecie jechać do Chin? Bo ciekawe, bo nieprawda, bo warto? To parę złotych myśli:

- **Zaplanujcie wszystko.** Nie idźcie na spontan, bilety kolejowe was pokonają, podobnie mogą być problemy z noclegami w popularnych miejscach. Są odpowiednie strony, jeżeli wam pasuje płacić prowizję. Są hostele, które się tym za was zajmą, w nich prowizja będzie mniejsza. A jeżeli zaczynacie z Pekinu, to przy Tiananmen jest dość dobra kasa do kupna biletów, tam prowizja to tylko 5 kuai. Wydostawanie się z Pekinu przerobiłem trzy razy i trzy razy nie było lekko, więc najlepiej od razu gnać po bilety i mieć nadzieję, że będą.
- **W Chinach jest Pekin, jest Syczuan, jest też Luoyang i Guangzhou.** Zapewne będziecie mieli około miesiąca, może mniej. Nie chcecie spędzić większości wakacji w pociągu, więc zdecydujcie się na jakiś kawałek kraju. Naprawdę, nie da się zrobić wszystkiego, nawet w dwa miesiące.
- **Weźcie sobie wylot z innego miasta niż przylot, nawet jeżeli cenowo nie będzie to wyglądało cudownie.** Gwarantuję każdemu, że po paru tygodniach w Chinach z dziką radością zapłaci nieco więcej, żeby już nie bawić się w pociągi.
- **Chiny są – 3,14 razy oko – rozmiarów Europy.** Jednak jak na tak wielki obszar terytorialny nie oferują zbyt wiele. Co tu mówić, niemal wszystko zniszczono, do tego są pustynie i średnio dostępne góry. A jeżeli łaskawie odbudowano, to za bilet dacie więcej niż za zboże. Po prostu, jakość do ceny nie ma żadnej relacji. Kultura? Kultura w Chinach to dowcip, przy populacji 1,5 miliarda ludu tu powinny kręcić się festiwale muzyczne całe lato, obok nich filmowe, a gdzieś po zagajnikach powinny odbywać się wieczorki poezji. Nie liczcie na to. W tej kwestii chyba nawet Albania ma więcej

do zaoferowania turyście.

- **Weźcie sobie Kindle lub Nooka lub komiksy lub Sony Vita lub 10000 Sudoku lub Milion Panoramicznych do zabijania czasu w podróży.** Z książkami może być tak sobie. W wakacje 2013 przeszedłem księgarnie Szanghaju i Guangzhou – nie było niczego naprawdę ciekawego do czytania.
- **Kombinacja „kultura i plaża” jest dość trudna do zrealizowania** (możliwa, ale nie do końca wygodna). Chiny są raczej do zwiedzania niż do plażowania.

Top 6 naszych atrakcji. Bo 6 jest szczęśliwe

1. **Panorama z Bundu na Pudong w Szanghaju.** Zajmie może parę minut, ale na mnie za każdym razem robi ogromne wrażenie (a przerobiłem jakieś osiem razy). Sam Szanghaj to miłe miejsce na kilka dni, dobre na początek wycieczki. Są i świątynie, i muzea, i tanie jedzenie, i luksusy. Każdy powinien znaleźć coś dla siebie. Szczególnie polecamy muzeum plakatu propagandowego (bo ciekawe) i muzeum historii naturalnej (bo kuriozalne).

2. **Luoyang** – buddyjskie jaskinie z CHORĄ ceną wstępu, ale gdy wylazłem na wielkiego Buddę, to niemal spadłem na kolana. Potem przez dziesięć minut gapilem się na niego i nie mogłem uwierzyć, że ONI stworzyli coś takiego. Z okładem bije na głowę każdy europejski kościół.

3. **Datong** – kolejne buddyjskie jaskinie, całe osmalone pyłem węglowym. Dla mnie miejsce magiczne, bo tam rozpocząłem zainteresowanie buddyzmem.

4. **Fenghuang** – miasto Feniksa, wspaniałe do spacerowania i gubienia się po ciemku. I Miao, ukochana mniejszość etniczna Chin. Jest dość daleko od typowego turystycznego szlaku, ale jeżeli ktoś będzie w Hunanie, to polecamy.

5. **Yangshuo** – ładne góry, fajne knajpy, jeżeli po parunastu dniach podróżowania ktoś ma już dość prób komunikacji z obywatelami Chin i pragnie spotkać Europejczyków, to Yangshuo jest dobrym adresem.

6. **Lijiang** – sztuczne, ale przyjemne miejsce na parę dni. Łatwo dostać się z Kunmingu, który odwiedza chyba większość turystów.

7. **Nankin** – odwiedziłem w maju, prawdopodobnie w piekle było wówczas chłodniej. Fajna starówka, ale jeszcze lepsze mury obronne – chyba najlepsze i najbardziej imponujące w Chinach.

BONUS: Hong Kong (po polsku: Hongkong). Nie mamy słów, żeby powiedzieć, jak kochamy to miasto-państwo-część Chin. Chardonnay w sklepach. Chungking Mansion. Prom po Victoria Harbour. Mongkok. Fajne ciuchy za grosze. Elektronika w podobnych cenach. Egzekwowany zakaz plucia i palenia. Jak powiedział niegdyś Wen Xiaobo:

It had taken 100 years of British colonialism to bring Hong Kong up to its level of development and public order, and that it might take 300 years to do the same for the Chinese mainland.

A jak nie Chiny, to co? Jedźcie sobie do Tajlandii. Duchowo większe szanse powodzenia, fajne plaże, mniejsze dystanse. Nie ma tematu wizy. Ludzie mówią po angielsku, wszędzie można znaleźć tony informacji, więc podróżowanie jest banalnie proste. Są miejsca i dla tych, którzy nie lubią tłumów, i dla fanów imprezowania pod księżycem.

Albo do Birmy. Duchowo: patrz wyżej. Infrastruktura podstawowa, ale wrażenia lepsze, mniej turystów. I śliczne Pagan, opcje plażowe też miłe. Wiza do zrobienia w Bangkoku w jeden dzień.

A najlepiej do Kambodży. To jest niesamowity kraj, może ich plaże nie są cudowne, ale da się miło posiedzieć, cenowo przyjemnie, do tego Angkor Wat. Bardziej historycznie niż kulturalnie (bo wujek Mao Pol Pota wsparł). Wiza na granicy.

Historia XX wieku? Wietnam, chociaż tam ludność dość fatalna i oszukańcza, ale plaże i trochę historii jest. Niestety, wiza nieco upierdliwa.

[13.07.2014]

Dziś temat nie-chiński, ale za to jenoci. Czyli... **Co to u licha jest jenot?!** Ubolewamy nad żenującym poziomem wiedzy powszechnej na temat jenotów. Zdajemy sobie sprawę z tego, że zwierzę to nie jest szczególnie popularne, szanowane ani cenione, do tego jest szkodnikiem. Dlaczego więc tak lubimy jenoty? Otóż:

Bo zwierzę to nazywa się jenot. Czy istnieje bardziej żalosna, beznadziejna i nijaka nazwa? Przecież to brzmi jak jęk desperacji i rozpacz. Jenot, to nie brzmi dumnie. To brzmi jak rezygnacja. Jak stracone marzenia. Jak szkolna kanapka, którą, pacholęciem będąc, znalazłeś w plecaku po 2 miesiącach wakacji.

Bo wygląda pocieszenie. Jenot jest futrzasty, ma chude łapki i lekko tępy wyraz pyska. Wygląda jak pies z chowu wsobnego skrzyżowany z futrem z babcinej szafy.

Bo istnieją dwa takie dowcipy:

Ogłoszenie w Radio Tel Aviv:

Drodzy obywatele, z miejskiego zoo uciekł jenot. Wszyscy, którzy zobaczyli jenota, proszeni są o pilne wpłacenie do kasy zoo dziesięć szekli.

Do burdelu wchodzi gość.

– Kobiłki są?

– Nie ma.

– Faceci są?

– Nie ma.

– Filmy porno są?

– Nie ma.

– A co jest?

– Jenot.

– Dobra, dawać jenota...

Po jakimś czasie wchodzi drugi.

– Kobiłki są?

– Nie ma.

– Faceci są?

– Nie ma.

– Filmy porno są?

– Jest jeden.

– Jaki?

– Mężczyzna i jenot.

Jenoty nie są szczególnie pasjonujące. Rzec można, iż ich egzystencja jest z deka żalosna, ogranicza się do jedzenia, spania i wydalania (zupełnie jak u 90% ludzkości).

W Polsce ich się nie kocha, ponieważ czynią szkody w gospodarstwach rolnych (są mięsożerne, więc przypuszczają chytre ataki na kurniki) i w ekosystemie. Ich ojczyzną jest Azja, do Europy sprowadzono je dla korzyści przemysłu futrzarskiego. Jenot jest głupi, ale zapewne paru sztukom udało się uciec z hodowli, bo smętnie rozlazły się po większości Europy.

Jenot czy szop?

Zauważyliśmy, że wielu ludziom problem sprawia odróżnienie szopa od jenota. Jest to oczywiście skandaliczne, ale spieszymy Wam z pomocą. Tak wygląda jenot:



Lekko zawstydzony jenot
(autor: Jukka A. Lång; źródło: Wikimedia Commons)

A tak wygląda szop:



Fizjonomia bandyty
(autor: Bastique; źródło: Wikimedia Commons)

Jenot jest zdecydowanie psowaty, przypomina skrzyżowanie małego niedźwiadka z kundlem. Szop wygląda jak przerośnięty lemur. Jenot jest brązowawy. Szop jest szarawy i ma paski na ogonie. Jenot chodzi na czterech łapach. Szop potrafi stać na dwóch. Jenot jest leniwy i tępawy. Szop jest zwinny i sprytny.

Jenoty pochodzą z Azji, pojawiają się więc sporadycznie w tamtejszej kulturze. Japonia nazwała owo zwierzę *tanuki* i wierzy, że jego jądra posiadają magiczne zdolności. Tak. Jądra. Magiczne. Spójrzmy na tę rycinę:



(źródło: *Gry Tanuki*, ok. 1868 r.)

Albo na tę:



Widzimy, iż jenot potrafi powiększyć swój worek mosznowy do wielkości spadochronu. Jakże użyteczne! (źródło: Tsukioka Yoshitoshi, *Deszczowy Tanuki*, 1881 r.)

Istnieje takie pocieszne japońskie dzieło z 1994 roku o tytule *Pom Poko* (przetłumaczone na polski błędnie jako *Szopy w natarciu*), które jest właśnie o jenotach. Popęłniło je studio Ghibli. Tak, pojawiają się worki mosznowe. Rozrywka dla całej rodziny!

Obecność jenota w kulturze masowej

Zero. Okrągłe nic. Okrągłe jak księżyc w pełni. Pogardzać będziemy Hollywoodem tak długo, aż nie nakręcą tam porządnego filmu z jenotem w roli głównej. Stop dyskryminacji zwierząt! Dość filmów o psach, kotach i myszach! Chcemy jenotów w kinie mainstreamowym! Jest sezon wakacyjny. Każda gazeta lub czasopismo powie Wam, że to czas na gorące, przelotne romanse. Gdybyście chcieli uwieść jakąś niewiastę lub młodzieńca z innych krajów, proponujemy czule szeptać im do uszu jenota w różnych wersjach językowych:

- po czesku: *psik myvalovity* (Dobry eufemizm na przyrodzenie. Pytamy dziewczynę, czy chce zobaczyć naszego psika myvalovita i czekamy na reakcję.);
- po angielsku: *raccoon dog* (Na naprawdę nudną randkę.);
- po niemiecku: *marderhund* (Wypowiadać tylko w naprawdę gorącej atmosferze.);
- po hiszpańsku: *perro mapache* (Do użytku w sypialni.);
- po włosku: *cane procione* (Zwyzywać nieprzychylnego naszym zalotom delikwenta tymże określeniem.);
- po chińsku: *he zi* (Wypowiedzieć kiedy wybranek/wybranka poda nam coś obrzydliwego na kolację.);
- po japońsku: *tanuki* (Dobre na radosny okrzyk.);
- po francusku: *chien viverrin* (To zaś mówimy wybrankowi/wybrance kiedy zgodzą się udać z nami do sypialni.).

Życzymy powodzenia w miłosnych podbojach pod znakiem jenotów!

Szczęśliwego Nowego Roku (szkolnego)

[1.09.2014]

Nasze wspinanie się po ścieżce kariery nauczycielskiej w Chinach miało zakończyć się w czerwcu. Mieliśmy serdecznie dosyć tego pięknego kraju, ale jakoś przypadkiem trafiliśmy na wcale pochlebne opinie o jednym z rekruterów. Że nie bredzą, że naprawdę załatwiają sensowne prace, że warto spróbować. Ponieważ nie mieliśmy wiele do roboty, rzuciliśmy CV i do nich. Szukanie fachu jako nauczyciel wiele nie różni się od szukania roboty jako ktoś inny, wysyłasz się wszędzie, gdzie się plus minus kwalifikujesz (i gdzie wstępne warunki kontraktu wydają się nie przerażać) i czekasz, co dobrego to przyniesie. Zależnie od tego, na jakie stanowisko się aplikuje z jakimi kwalifikacjami, ma się procent odpowiedzi w okolicach 10-20%. Byliśmy dość zaskoczeni, gdy rekruter bardzo szybko i sprawnie przeprowadził z nami rozmowę, a potem rozpoczął rzucanie ofert. O ile dwie pierwsze były nędzne i sobie za nie podziękowaliśmy, o tyle zaintrygowała nas trzecia. Pogadaliśmy, ustaliliśmy detale i dostaliśmy roczny kontrakt na jednym z chińskich uniwersytetów. Chwilę potem dostaliśmy też pracę z Turcji, ale postanowiliśmy jednak wziąć chińskie uni zamiast tureckiej szkoły prywatnej.

Tym samym już na początku maja wiedzieliśmy, że zostaniemy w Chinach na kolejny rok (no chyba że coś się pochrzani, bo to zawsze możliwe, nie tylko tu, a na całym świecie). W sumie nam to pasowało, w czerwcu wysłaliśmy nasz dobytek na ręce naszej nowej przełożonej, Sherry. Dzięki czemu nie musieliśmy tachać na wakacje zimowych ciuchów i materiałów naukowych. Niestety potem było tylko trudniej. Początkowo umówiliśmy się, że zrobią nam transfer wiz pracowniczych. W lipcu Sherry poinformowała mnie, że jednak woli mi zrobić całą wizę od nowa. Dzięki temu mogłem wszystko zrobić na ostatnią chwilę. Super się ubawiłem, jadąc do Warszawy, stojąc w kolejce pod konsulatem i płacąc 270 PLN za tryb ekspresowy wydania wizy. Akurat tak się złożyło, że aplikowałem 13 sierpnia, a 15 mamy święto narodowe i NMP, a chociaż Chiny są w cholerę ateistyczne, to ambasada oczywiście obchodzi i katolickie święta. Dopłaciłem więc 50 PLN za ekspres, co sprawiło, że paszport odebrać mogłem już we wtorek.

Wykorzystam to miejsce, by złożyć swoisty hołd tytanom pracy, gigantom wysiłku i ludziom tyrającym w pocie czoła każdego dnia: pracownikom ambasad – nie tylko chińskiej, bo chyba wszystkie hołdują tym samym standardom wykonywania zawodu. Ludzie ci mają wolne wszystkie święta swego kraju, jak również kraju, w którym pracują. Najlepszy interes, to jechać na drugi koniec świata, do kraju, który celebrowe wszystko inaczej. Chińczycy w Polsce mają super, dostają Złoty Tydzień, Boże Narodzenie, Spring Festival, Wielkanoc, pojedyncze dni w ciągu roku (a to polskie Boże Ciało, a to chińskie sprzątanie grobów). Polskie służby dyplomatyczne w Pekinie zapewne mają podobne zwyczaje. Gdy swego czasu gadałem o tym z moim chińskim kolegą Davidem, to mówił, że dla niego aplikowanie o wizę do UE jest równie przyjemne, ciekawe i tanie jak dla nas do Chin. Przerobiłem ambasad wielu krajów i mają one wszystkie trochę stycznych. Główna: traktuję cię jak szmatę, bo przecież jak się wkurwisz, to nie pójdziesz do konkurencji, tylko zagryziesz zęby i będziesz prosił z takimi oczkami kota ze *Shreka*. Nigdy nie aplikowałem o wizę do USA, ale ich służby konsularne zazwyczaj wygrywają w konkursie na najbardziej irytujące i upierdliwe, jakieś 90% moich

znajomych, którzy mieli przyjemność zdobywania wizy tamże, zgodnie mówi, że był to horror. Mam za to średnio miłe wspomnienia z ambasady Kanady z roku 2006 (potem nam znieśli wizy), gdzie spędziłem właściwie cały dzień (aplikacja rano, przerwa, odbiór popołudniu), a pani w okienku nakrzyczała na mnie, że źle wpisałem kierunek studiów i co to ma być SUM (Studia Uzupełniające Magisterskie). W 2009 byli łaskawi być chamscy dla mnie i jakichś 30 innych osób w ambasadzie Wietnamu w Phnom Penh. Pozytywny akcent: ambasada Iranu w Trabzonie, wiza w 4h i super przyjazny pan konsul.

Opuszczając dygresję, chińska ambasada w Warszawie przyjmuje petentów całe dwie godziny dziennie przez aż trzy dni w tygodniu. Dlatego też przesadnie zdziwiony nie byłem, że chociaż przyczłapałem o 8:40 (godziny otwarcia dla petentów: 9-11), to przez kolejną godzinkę mogłem sobie czytać Stendhala i uczestniczyć w salonowych (w wersji podwórkowej) rozmowach, jak również irytować tym, że pracownicy różnych biur podróży potrafią składać aplikacje dla kilku osób.

Przy okienku padło pytanie:

– *Ma pan ksera tych dokumentów?*

– *Mam skany, jak się zgubi to wydrukuję i doniosę.*

– *My nie chcemy oryginałów, my chcemy ksera!*

Połąziłem więc sobie i poszukałem ksera. Szczęśliwie, jest dość blisko, ale taka mała porada: jak aplikujecie po chińską wizę, to miejcie te ksera zrobione.

Mawiają wiele rzeczy, w tym, że nie ma tego złego. No i rzeczywiście, dzięki wyprawie do ambasady udało mi się spotkać z dawno niewidzianą przyjaciółką, miło spędzić wspólnie wieczór i niezły kawałek następnego dnia. W sumie więc się cieszę, że mój pracodawca zmusił mnie do tej wyprawy, bo inaczej pewnie byśmy się nie spotkali i nie spędzili zajeżdżając wspólnie czasu przy winie, jedzeniu i gadaniu o wszystkim. Trochę mniej mnie cieszy, że musiałem zostawić te żałosne 270 PLN na rachunku wiadomej placówki dyplomatycznej. Mam jednak to szczęście, że odebrano mi tę wizę i przesłano paszport przesyłką konduktorską, więc nie musiałem fatygować się po raz drugi, a że teraz wypada mi zrobić przyjęcie w Krakowie, to jest szansa na fajne balety w sezonie 2015.

Kończąc jeszcze temat wizowy: chińska wiza pracownicza zajmuje jedną stronę, na drugiej wbijają nam stemple kontroli granicznej. Zamiana jej na *residence permit* (czyli zezwolenie na pobyt stały/czasowy) wymaga kolejnych dwóch stron. Dzięki temu, mam obecnie w paszporcie 10 (!!!) stron chińskich nalepek i pieczętek. To nawet fajnie wygląda i można robić szpan na imprezach, ale kończą mi się strony w ww. dokumencie.

Mój Aligator ma *permit* ważny do lutego, więc on akurat nie musiał się bawić w wycieczki do stolicy. Przy okazji dokumentów do wizy przysłano mi list, bite A4 tekstu. Że robota, że mam nie robić obsceny na zajęciach i uczyć zgodnie z zaleceniami, że mam zatwierdzać materiały przez centralę uni, że się cieszą, że wspaniale itede. W tym wszystkim był jeden termin: 31 sierpnia odbędzie się wielkie spotkanie organizacyjne, dlatego też konieczny jest nasz przyjazd najpóźniej 27 sierpnia.

Przyjazd dogadaliśmy wcześniej na 25 sierpnia, co było efektem negocjacji, bo nasz pracodawca chciał nas już 24. Ponieważ 22-go urodziny ma Tori Amos, a 23-go moja matka, to chciałem jednak te dni spędzić bliżej Europy niż Chin. Już tak totalnie na marginesie, czas podejmowania decyzji, czy aby możemy przyjechać o ten dzień później, zajął tyle, że nam bilet lotniczy podróżował o 150 PLN. Radość, po prostu dzika radość. Nasz pracodawca uparł się

odebrać nas z lotniska, dostaliśmy mailowo cynk, że przybędzie po nas niejaki Gary. Wylądowaliśmy o chorej godzinie, czyli 4:20 rano. Zanim przeszliśmy kontrolę i odebraliśmy bety, była 5. Czyli dokładnie tak, jak mówiliśmy naszym pracodawcom. Jednak o godzinie 5 nikt na nas nie czekał. Łazili różni kierowcy z kartkami z personaliami, ale żadne nie były nawet zbliżone do naszych. Dobra, mogło się komuś źle wyjechać.

5:30

Na pewno zaraz będą

6:00

Ej, ale na pewno napisałeś im, że to jest 5 rano, a nie popołudniu?

6:30

Gary, move out! (to nawiązanie do przygód rodaków w USA padało więcej niż często)

7:00

Chyba możemy sobie usiąść i nie stać już na środku sali odlotów. W końcu mają nasze numery telefonów.

7:30

Dobra, kurwa, dzwonimy. 50 RMB na kartę do telefonu poszło jak krew w piach.

– *Hej, cześć, od dwóch godzin tu czekam na ciebie! Tak, w sali przylotów.*

– *Zaraz będę! Gdzie jesteś?*

I tak poznaliśmy Gary'ego. Gary wyjaśnił, że spóźnił się, bo były korki. O 5 rano. Do tej pory nasi chińscy pracodawcy na dzień dobry wylazili ze skóry, żeby nam zapewnić miły start pracy. Zdaliśmy sobie sprawę, że tym razem tak nie będzie. Gary miał nas totalnie w dupie, był obrażony na cały świat, że ten kazał mu ruszyć się z ciepłego domciu. Pierwsze piętnaście minut drogi służbowym autem zmusiłem się do niespania, żeby zobaczyć te straszne korki, które zatrzymały go na ponad dwie godziny. Oczywiście, żadnych korków nie było, czyli wolał sobie pospać niż rzetelnie przyjechać po nas. I ja to rozumiem, tylko trzeba było powiedzieć: „Wiecie co, ogarnijcie sobie sami dojazd do naszego miasta, tu macie adres” i o tej mniej więcej godzinie bylibyśmy już u celu. No ale przecież tak byłoby niegrzecznie, więc posiedzieliśmy sobie ponad dwie godziny na lotnisku. Gary zamiast oddać się kulturalnej pogawędce z nami, wolał zbierać sobie rzepę i inne gówno w jakiejś chińskiej edycji Farmville, co nas w sumie ucieszyło, bo nam się też nie chciało rozmawiać setny raz o tym samym. Walnęliśmy się spać i obudziliśmy dopiero przy wjeździe na teren uniwersytetu. Dostaliśmy mieszkanie na czwartym piętrze, wbijamy, na pierwszy rzut oka wygląda dobrze. Na drugi odkrywamy:

- Kran w kuchni nie działa.
- Nie ma internetu.
- W lodówce gniją jakieś resztki.
- Kuchenka nie działa, bo butla gazowa jest pusta.
- Nie ma żadnych naczyń.
- Patelnio-wok bardziej gnije niż nadaje się do użytku.
- Pralka nie ma podpiętej wody.

Ekhm... Jaja sobie robicie? Naprawimy! My wam to zaraz wszystko naprawimy!!! W tydzień po tych słowach jesteśmy mniej więcej w pół drogi. Udało się z kuchenką (za nasze pieniądze), pralką (wzięliśmy wężyk z innego mieszkania), lodówką (sami wymyśliśmy) i częściowo z internetem (Gary od pięciu dni przynosi router, więc póki co kradniemy sieć

sąsiadom). Zlew zostanie naprawiony jutro (powiedziano już trzykrotnie). Nasz kontrakt głosi, że dostajemy mieszkanie od szkoły, które jest wyposażone w pralkę, kuchenkę, lodówkę i et cetera. „Et cetera” okazało się być mało pojemnym pojęciem, no chyba że zaliczymy im tynk i kafelki. Nie było nawet czajnika ani pałeczek, właściwie było jak u Kononowicza, czyli nie było niczego. Chociaż nieprawda, były kubki.



Aż chce się zaparzyć kawę

Tak, to są kubki, które znaleźliśmy w kuchni. Czyli chyba to „et cetera”. Nie wiem, czy oczekiwano, że będziemy z nich pić, czy może robić coś innego, ale natychmiast kupiliśmy sobie nowe. Po jakichś trzech dniach udało nam się doprowadzić mieszkanie do stanu, w którym mieszka się przyjemnie, poznajdywaliśmy sklepy w sąsiedztwie bliższym i dalszym, uliczne jedzenie (znaczy nie gnijące w rynsztoku resztki, tylko jadalodajnie...), a nawet markety z sekcją produktów importowanych. Cieszymy się więc tym, że początki w nowym miejscu zawsze są przyjemne i staramy nie prosić o nic Gary'ego, by nie przeżyć rozczarowania.

Kronika wypadków wakacyjnych

[3.09.2014]

Przejrzeliśmy chińskie newsy z wakacji. Oto skrót najciekawszych (a raczej najdziwniejszych) wydarzeń.

Prowincja Guangdong słynie ze wszystkożerności, nie jest więc dziwne, że i węże zajmują zaszczytne miejsce w menu mieszkańców. Pewien kucharz zapłacił za to najwyższą cenę. Gdy zdekapitował indonezyjską kobrę celem podania jej gościom, wydawało mu się, że zagrożenia ze strony denatki nie ma, więc zabrał się on do sprzątania pozostałości. Okazało się jednak, że biedaczka ostatnimi siłami odciętej głowy wgryzła się w kucharza. Sytuacja była tak nagle i niespodziewana, że poszkodowany zmarł, zanim zdążono mu pomóc.

Nowy trend lifestyle'owy: wyhoduj sobie zieleninę w dowolnym kształcie. Kupujemy foremkę, do niej pakujemy załączki owoców lub warzyw i czekamy, co dobrego los przyniesie. By nie zdawać się jedynie na jego opatrność, foremka powinna mieć odpowiedni kształt. Popularne wybory to dzieci, Jezus, a także (oczywiście!) Mao Zedong. Koszt: 60 RMB. Dzięki temu wydatkowi Mao nie zabraknie przy naszym stole. [Polecamy gorąco reklamę tego produktu](#). Trwa ona... 14 minut. Niecałe. Jeżeli cierpicie na bezsenność, może okazać się lekiem.



Ozdoba każdego stołu

Mamy nadzieję, że polskie środowisko blogowe zainspiruje się i wkrótce zacznie wrzucać na Instagrama patriotyczne jabłka w kształcie Piłsudskiego lub orła białego.

Upały zbierają prawie śmiertelne żniwa w Chinach. Dwóch chłopców grało w *League of Legends*. Jeden z nich uznał, że kolega niewystarczająco się angażuje, wziął więc nóż, poszedł do pobliskiej kafe internetowej, gdzie też wspomniany kolega grał i wraził mu ostre narzędzie w głowę. Kolega przeżył. Co mają do tego upały? Mamy wrażenie graniczące z pewnością, że im cieplej się robi, tym bardziej ludziom odwala.

Pani w Zhejiang próbowała skorzystać z bankomatu o 4:20. Niestety złośliwa maszyna poinformowała ją, że transakcja nie może być zrealizowana. Pani powróciła w dziewięć minut później, uzbrojona w pistolet na wodę. Ostrzelała z niego bankomat. W pistolecie zamiast wody był mocz. Składamy kondolencje pracownikom tego oddziału banku, jak również ewentualnym klientom, którzy chcieli pobrać pieniądze, zanim udało się posprzątać.

W Pekinie studenci demonstrowali! O co? O lepsze perspektywy dla młodych i starych? O walkę z korupcją? O zasypanie przepaści ekonomicznej wśród obywateli? O zlikwidowanie cenzury internetu? Nie! O zapewnienie lepszej edukacji seksualnej w szkołach!

Trudno zrozumieć, o co im chodzi, w zeszłym roku w Chinach przeprowadzono 13 milionów aborcji (wiele kobiet nie zna innych metod antykoncepcji), 50% młodzieży nie stosuje żadnych środków zapobiegających ciąży, 90% zakażeń HIV przenoszonych jest drogą płciową, 80% nie wie, co robić w wypadku napaści na tle seksualnym, więc o czym tu mówić? Przecież jest dobrze.

Wrażenie robi jednak rozmach tej inicjatywy. Liczba demonstrantów? Jedenaście osób. Ruszemy z posad bryłę świata!

Rynek wolny czy powolny?

[3.09.2014]

Wolny rynek w Chinach ma różne oblicza, na przykład takie, że Windows 8 premiery tutaj mieć nie będzie, bo rzekomo szpieguje użytkowników (a trochę mniej oficjalnie – bo Gates nazwał Chińczyków złodziejami). Zapewne z tego samego powodu nie ma też już Google. I Twittera. I Facebooka. I Youtube'a. O ile tu można jeszcze trochę podyskutować, o tyle trend osiągnął nowy poziom.

5 sierpnia ogłoszono, iż Audi i Chrysler zostaną ukarane za „praktyki monopolistyczne”. Prawdopodobnie ich los podzieli Mercedes, a zapewne również wiele innych firm (np. BMW) będzie miało chwilę do namysłu, czy sami się pokalają, czy też będą potrzebowali bata. Sprawa jest o tyle ciekawa, że firmy zostały oskarżone o zbyt drogie sprzedawanie samochodów i części do nich. Uznano, że np. nowy Chrysler nie jest wcale wart tak dużo, a i zamienne części do jakiejś audicy nie powinny kosztować aż tyle. Mówimy tu o dość poważnych sumach, np. Land Rover obniżył cenę jednego z modeli z 1,98 miliona RMB do 1,78 miliona RMB. O ile każdy, kto przerobił naprawę samochodu w warsztacie firmowym (i mówi to człowiek, który korzystał z usług Toyoty), wie bardzo dobrze, że ceny za usługi i części są dziko absurdalne (nawet za durne żarówki), o tyle trudno nazwać polityką monopolistyczną to, że np. Chrysler chce za swój samochód więcej niż mniej, przecież nikogo do zakupu nie zmusza i jak kogoś nie stać, to może kupić coś tańszego. Większość życia uczyli, że jeżeli sprzedawcy przegną, to wtedy ludzie nie kupią. Skoro są w biznesie tyle lat i nie padli, to znaczy, że nie przegięli – w końcu każdy może sobie sprawić np. ładę, ale tego raczej nie robi, jeżeli ma na chryslera.

W Chinach ceny samochodów zachodnich potrafią być do trzech razy wyższe niż w USA, więc jakieś poczucie niesprawiedliwości mogli mieć. Część problemu tkwi jednak nie w chciwości producenta, a w podatkach, które Państwo Środka nakłada na importy. Mogą one zwiększać cenę samochodu nawet o 25%. Poza tym zapewne transport, koszty utrzymywania placówek i serwisów czy nawet łapówek dla urzędników też jakoś uzasadniają część ceny pojazdu. Zapewne Audi nie eksportowałoby samochodów do Chin, gdyby nikt ich nie kupował, więc najwyraźniej cena ich produktów nie jest aż tak z kosmosu.

Z drugiej strony, jak się komuś nie podoba chrysler, bo za drogi, to przecież ma krajowe chery, ewentualnie koreańskie daewoo. Tylko jakoś na te auta mało kto się rzuca.

Tak trochę zgadując sobie: zapewne uznano, że chińskie nie idzie, że jak ktoś ma kasę, to kupuje zachodnie, bo jakoś jakby nieco odmienna od krajowej. Waląc takie kary i zmuszając producentów do obniżek cen, władze mają zapewne nadzieję, że jeden z drugim weźmie zeszyt w kratkę, policzy sobie i uzna, że to chrzani, wycofa się z Chin, a tym samym pozwoli rodzimemu biznesowi na rozwinięcie skrzydeł. Jest to w pewnym sensie rozwiązanie dość socjalistyczne i nacjonalistyczne, ma pewną rację bytu, jest tylko jeden problem: czy aby to nie jest świat opowieści o wolnym rynku, konkurencji i byciu najlepszym?

[8.09.2014]

W liście, który otrzymaliśmy od uniwersytetu pisano, że Bardzo Ważne Spotkanie odbędzie się 29 sierpnia. 25 sierpnia powiedzieli nam, że 26 naprawią nam kran. 27 sierpnia mieli przynieść router. Szybki test: jak dobrze znasz Chiny? Czy spotkanie rzeczywiście odbyło się 29 sierpnia? Czy 8 września mamy naprawiony kran? Czy 8 września mamy router? Jeżeli na którekolwiek pytanie odpowiedziałeś „tak”, to znaczy, że nie jesteś jeszcze gotów na Państwo Środka. Aktualny typ na datę naprawy kranu to 10 września, zaś spotkanie odbyło się 6 września. Obecnie jest nas tu łącznie dziewięciu nauczycieli-obcokrajowców, siedzimy od 25-26 sierpnia. Mijają właśnie dwa tygodnie, czas przeznaczony przez nas na cokolwiek związanego z pracą nie przekroczył dziesięciu godzin.

Zrobiliśmy badania pracownicze, co wymagało przejazdu do stolicy Hebei, czyli Shijiazhuang. Istnieją ładniejsze miasta w Chinach, pytanie, czy i brzydsze (no Hefei chyba nic nie pobije, ale to mniej więcej ta liga). Coś się pozmieniało w prawie imigracyjnym i są nowe formularze do badań, trochę czytelniejsze niż stare. Byliśmy pod wrażeniem, bo cała procedura nie zajęła nawet godziny, była nas trójka i po 40 minutach mogliśmy wracać. Niestety był z nami Gary, który jest tak oblatany i gościnny, że zwiędliśmy. Do badań trzeba być na czczo, więc gdy koło 10:30 wyszliśmy ze szpitala, oczywiście chcieliśmy natychmiast iść jeść. Gary powiedział, że przy dworcu jest wiele wspaniałych miejsc, gdzie będziemy mogli się pożywić. Po dotarciu na dworzec jednak nie chciał się za nic zatrzymać i skończyło się na żarciu z sieciówek, które po pierwsze jest niedobre, a po drugie drogie (30 wobec 5 RMB). O tyle miło, że nam zapłacili za pociąg typu G, więc powrót trwał niecałe 40 minut.

Istnieje chyba jakieś prawo głoścące, że broń Boże stacji szybkiego pociągu nie można zbudować w centrum mniejszych miast. O ile w Pekinie, Szanghaju i paru innych G train jeździ na stacje raczej główne (albo da się z nich łatwo dojść do metra i dociągnąć do centrum – np. w Xi'an), o tyle w mniejszych miastach G-dworce buduje się na absolutnym końcu świata. W Huainan była taka groteska, że nikt z taksiarzy nie chciał wziąć kursu na ten wypizdów i trzeba było zapłacić podwójnie, żeby zgodzili się zawieźć. Za to, gdy nasz kolega przyjechał tam pewnego wieczoru, to poczekał sobie w cholerę czasu, zanim ktoś w końcu podjechał i go zabrał do centrum. Bardzo nas więc nie zdziwiło, że stacja Baoding Wschód jest pośród totalnych pól i nawet za bardzo z niej miasta nie widać. Szczęśliwie, tam taksówki były.

Niestety poza tym badaniem nie wydarzyło się nic pracowniczego, zebrali od nas dokumenty i powiedzieli, że zrobią nam zezwolenia. Podobno obecnie trwa to 15 dni roboczych, czyli pełne trzy tygodnie. Sprawą zajmuje się Gary, więc możemy być niemal pewni, że przed październikiem naszych papierów nie zobaczymy, wiemy, że na razie ich jeszcze nie złożył, ale robi to we wtorek. Ten 9 września to będzie epicki dzień, złoży papiery, zawiezie nas na komisariat, złoży dokumenty do zezwolenia na pobyt, naprawi kran. Mają nam wydać zastępcze paszporty, żebyśmy mogli podjechać chociaż do Pekinu na weekend. I albo się komuś w jakimś ministerstwie imigracji nudzi i ma za mało papierów do oglądania, albo Gary bredzi, bo powiedział, że każdy nasz wyjazd i każdą naszą noc poza Baoding musi zgłaszać do odpowiedniego urzędu. Jeżeli nie, to dostaniemy 5000 RMB kary. No cóż, możemy

zgłaszać, ale docelowo ma tu być 18 obcokrajowców (w tym z Malezji i Korei, oni do uczenia przedmiotów ścisłych i koreańskiego), zakładając, że każdy raz na miesiąc się dokądś wybierze, to trochę zabawy z tym będzie.

Bardzo Ważne Spotkanie odbyło się w końcu 5 września. Ku naszemu zaskoczeniu, mało było pieprzu z dżemem (jeden pieprzy, reszta drzemie). Zaimponowała liczba departamentów i wydziałów. Każdy segment uczenia ma swoją dyrektorkę, czyli jest dyrektorka od listeningu, od writingu, od readingu i od speakingu, a nad nimi jeszcze główna przełożona. Nie mają one żadnych lekcji, tylko są z zawodu dyrektorkami i raportujemy im, czego chcemy uczyć i co też do tej pory zrobiliśmy, plus wręczamy końcowe egzaminy. Jest jeden pomysł, który nas dość zdziwił: przed końcem pierwszego tygodnia musimy złożyć plany i prezentacje na najbliższe pięć tygodni. Problem jest tylko taki, że w poniedziałek był jest Mid-Autumn Festival, więc moje grupy poniedziałkowe poznam dopiero 15 września. Ja oczywiście mogę w oparciu o książkę napisać, co tam plus-minus będę robił, ale na pewno niczego konkretnego nie jestem w stanie urodzić na najbliższy miesiąc, skoro nie wiem, jaki jest skład grupy, ich pasja do nauki i poziom. Nawet mi przysłano gotowe plany z pytaniem, czy się zgadzam. Zasadniczo się zgadzam, tylko szczegół tego planowania jest taki: tydzień trzeci, Unit 5, reported speech, ćwiczenia 3 i 4. Blok lekcyjny trwa 100 minut, więc zapewne zrobię nieco więcej, ale obecnie trudno mi zgadywać, co chwyci, a co nie – ze studentami można sobie nieco dogadać tematy, żeby ich to interesowało bardziej niż sugerowane. Amerykanie, którzy tu pracują kolejny rok, powiedzieli, że ostatnio wyglądało to tak, że złożyli wszystko na początku (prezentacja na trzy slajdy, z czego pierwszy to „Hello!” a ostatni to „Bye!”), a potem w trakcie semestru zmieniali, zależnie od tego, co im wychodziło, że pasuje zrobić. Nasze dyrektorki chyba nie będą przesadnie nas męczyć, na wszystkie pytania, jakie zadałem, dostałem odpowiedź w stylu „jak zrobisz, to będzie dobrze, masz pełną dowolność”.

Na Bardzo Ważnym Spotkaniu nasze serca zdobył Matthew z Australii, który nie bał się zadać pytań kluczowych:

1. Kiedy ogłosisie wolne na Złoty Tydzień?
2. W jakiej formie i do którego dnia mamy się spodziewać wypłaty?

Człowiekowi tłuką całe życie, że takie pytania to chamstwo, bezczelność, że za nic nie można. Siedzisz więc potem i myślisz, czy to już ten dzień, że powinna być wypłata, czy może jeszcze nie. Albo czy będzie w bardzo złym guście, jeżeli delikatnie zasugerujesz, że chciałbyś sobie wziąć wolne i połączyć je z tym czy tamtym, no ale przecież na twoje miejsce jest dziesięciu innych, a w ogóle to bądź wdzięczny, że masz pracę, więc siedzisz cicho. Potem nagle odkrywasz, że takie zasady gry są tylko w Polsce, że ludziom z Zachodu nie przychodzi w ogóle do głowy, że może być coś niewłaściwego w ustalaniu kwestii wynagrodzenia i wolnego, a nie oczekiwaniu na ochłapy z pańskiego stołu.

Jak już zostało wspomniane, dzisiaj zajęć nie mamy, bo święto. Chyba nasze najulubieńsze ze wszystkich typowo chińskich – jest dobre tradycyjne jedzenie (i to wegetariańskie, chociaż podobno bywają mooncake'i z mięsem), trwa tylko jeden dzień, więc nie ma masowych migracji po kraju. A w tym sezonie nam jeszcze przepadają hektary zajęć.



Prezent, jaki dostaliśmy od naszego nowego pracodawcy i jednej ze studentek



Tyle kartonu, plastiku i folii przypada na jednego malutkiego mooncake'a

Czerwone korale, a Wschód też czerwony

[26.09.2014]

– Tak więc najpierw moglibyśmy zaprezentować nasze narodowe piosenki w różnych językach, my wykonamy *Cotton Eye Joe*, a na koniec odśpiewamy *Xiao Pingguo* i zatańczymy do tego razem z chińskimi nauczycielami.

Słowa te padły nie podczas omawiania najbliższych występów trupy cyrkowej, ale w trakcie cyklicznego spotkania nauczycieli uniwersyteckich z kierownictwem. Nie wypowiedziała ich żadna z Chinek. Uczyniła to nasza koreańsko-amerykańska koleżanka, Jen. Nie miała przystawionej lufy do głowy. Powiedziała to dobrowolnie, w odpowiedzi na pytanie przełożonych, czy przygotujemy coś na powitanie nowych roczników. No i ja sobie pomyślałem o jakimś inspirującym wykładzie, takim w stylu amerykańskich uczelni, bo wersji życiowej przecież nie zniosą. W skrócie: na hasło „przywitać nowych studentów” myślałem raczej o opowieściach o Dostojewskim i Edisonie niż *Gangnam Style*. Okazało się, że myślałem źle, zarówno z perspektywy naszych współpracowników, jak i przełożonych. Wyszło na to, że ma być prząśnie i wioskowo.

Istnieje taka możliwość, że ktoś może nie pamiętać wielkiego hitu [Cotton Eye Joe](#), bo od 1994 upłynęło już nieco wody w Jangcy. Istnieje też grupa osób, które mają to szczęście, że nie znają *Xiao Pingguo* (czyli „Małe jabłko”). Polecamy nie zmieniać tego stanu rzeczy. [Jednak jeżeli naprawdę się upieracie...](#)

Teraz proszę sobie wyobrazić, że jakiś dziekan zgadza się na taki pomysł, a nawet ma zamiar wystąpić w tym cyrku. Aż mi się uśmiech poszerza, gdy próbuję sobie wyobrazić np. prorektora ds. studenckich Uniwersytetu Jagiellońskiego, który kica do Donatana i Cleo, zaraz po tym, gdy wykładowca z Rosji skończył machać nogami do czastuszek, w sekundę po panu z Arabii Saudyjskiej, który wywijał kindząłem przy cyfrowych wielbłądach. To jedna z różnic między uniwersytetami w Chinach i Europie.

Pomysł naszej koleżanki Jen spotkał się jednak z nieco silniejszym oporem niż jedynie nasz (zapewne strasznie i beczelnie) słowiański. Za byli Amerykanie, przeciw cała reszta. Rozkład sił był 5 do 4, ale chyba słowa naszego kolegi z Australii o tym, co najpierw stanie się z piekłem, zanim on będzie śpiewał i tańczył, sprawiły, że do braci i sióstr w nieszczęściu dotarła świadomość, że łatwo nie pójdzie. Ostatecznie umówiliśmy się na sobotni wieczór, by sprawę przegadać.

Szliśmy do nich trochę jak na posiedzenie plenum partyjnego – ciekawego nas tam nie spotka nic, poziom prelegentów szalowy raczej nie będzie, a i końcowe ustalenia będą odbiegały od wymarzonych. Wzięliśmy trochę piwa, przyrzekliśmy sobie, że z nikim się nie pokłócimy i nikomu nie powiemy, co o nim myślimy, gdy nam włączy *Xiao Pingguo*.

Cztery godziny później wracaliśmy więcej niż kontent. Po raz milionowy okazało się, że napoje potocznie zwane wysokowymi wprowadzają inną jakość do stosunków międzyludzkich. Sprawa się tak rozkręciła, że dopiero po jakichś dwóch godzinach przeszliśmy do omawiania naszego występu. Wtedy wszyscy mieli już podejście określane terminem „a co tam!”, więc jakoś te sześć minut podzieliliśmy na występy solowe z opcjonalnymi tańcami, *Cotton Eye Joe* i *Xiao Pingguo*. Dla nas *Czerwone korale*. Korale czerwone, a siara jak chuj, no ale przynieśliśmy sześć piosenek i przez aklamację wybrano

wejściowe 50 sekund tej jako czas naszego uśmiechania się do tłumu, potem wejdzie *Cotton Eye Joe* (i dopiero będzie koszmarnie).

Amerykanie ogólnie okazali się o wiele bardziej kontaktowi, niż się wydawało, przy tym bardzo chrześcijańscy, ale nie w rozumieniu polskim („Panie Boże, daj mi nowy samochód, a temu sąsiadowi niech córa się puści z Murzynem”), tylko takim bardziej źródłowym-jezusowym-protestanckim („Dlaczego mamy nie być dobrzy dla innych ludzi?”). Gdy w pewnym momencie okazało się, że jeden z nich jest fanem Springsteena, to mi zadowolenie z życia podskoczyło o jakieś 25%. Próbowałem go nawet namówić na wykonanie *Born in the USA*, tylko może bez linijki „go and kill the yellow men”, ale niestety, nie udało się. Australijczycy zdecydowali się na AC/DC (no, jak się jest z normalnego kraju, to sobie można wybrać fajną muzykę, ja tam im Cave'a imputowałem), kolega z Korei na coś rzewnego po angielsku, a Irasiad z Ukrainy na wersję amerykańską. Opracowaliśmy to pi razy okno, koło północy rozeszli się nieco bardziej zaprzyjaźnieni.

Prawdziwy cios spotkał nas jednak dopiero w poniedziałek. Okazało się, że *Xiao Pingguo* zostanie wykonane solowo, to znaczy przez grupę naszych chińskich współpracowników. W następnym odcinku: *Xiao Pingguo* to jednak nie był taki zły pomysł.

I don't like the drugs but the drugs like me

[26.09.2014]

Tak się zastanawialiśmy, co jeszcze by mogli zrobić, żeby trochę utrudnić obcokrajowcom życie w Chinach. Już dobrą chwilę temu ogłosili testowanie ludzi (z naciskiem na nie-Chińczyków) na obecność narkotyków w organizmie. W sumie nie wiemy, jak ta akcja się kręci, bo przestano o niej jakoś szerzej pisać – złapali trochę osób w klubach w Pekinie, paru artystów w domach, w tym syna Jackie Chana, i chyba tyle pieśni. Chodzą słuchy, że żeby tu legalnie pracować, od 2015 trzeba będzie przejść przez testy na narkotyki

Ja wiem, że „wszyscy” wszystkim mówią od dawna, że narkotyki są złe i że w ogóle to bardzo dobrze, że Chiny to robią. Problem, że jakoś „wszyscy”, mówiąc o tym zaciekle, opowiadają, że w życiu tego świństwa nie brali i nie wezmą, co czyni z nich dość wątpliwej jakości ekspertów. Narkotyki są złe, i tyle. I to samo myślą tutaj. Rozmiar dyletantstwa widać było przy opisywaniu testów, a właściwie po prostu przy podawaniu wiadomości, że testują. Zwykły test z moczu naprawdę nie jest bardzo miarodajny, a znowu pobieranie włosów i szpiku jest cholernie kosztowne, niemniej bardziej wiarygodne. Przy tym LSD i tak nie wyłapie.

To trochę tak jak z bramkami do metra za czasów Hu Jintao. Wprowadzili je w metrze w Pekinie z okazji olimpiady. Potem nagle zdecydowano, że wszystkie większe miasta bardzo ich potrzebują. Zięć wodza zarobił FORTUNĘ na zleceniach rządowych, bo – niespodzianka – to on je robił. Tak zgaduję, że z tymi testami jest podobnie – pewnie nie szły (bo rodzicom raczej do łba nie trafi, że dziecko może jarać, do tego prawdopodobieństwo, że jara, jest naprawdę niskie), więc wymyślono taką akcję.

No i co? Kto wstanie i powie, że jest przeciwko? Wolne media, internet czy może opinia publiczna?

No Pingguo, No Cry

[28.09.2014]

Spotkanie w sprawie *Xiao Pingguo* okazało się być spotkaniem o wszystkim innym i sprawiło, że aż zaczęliśmy pisać maile (z czwartego piętra na pierwsze i z powrotem) o tym, że fajnie. Trochę zmartwił nas fakt, że Australijczycy nie przyszli: o ile jeden powiedział, że chory, o tyle drugi, że pierdoli. W efekcie zostaliśmy nieco zawieszeni pomiędzy drużynami USA i Australii. Gadały z nami wszystkie postaci dramatu i wypytywały o drugich, przy tym delikatnie sugerując, że moglibyśmy coś ponapierdalać o tym, że tamci są chujami. Na to się nie dawaliśmy, rysowaliśmy wszystkich wszystkim w samych superlatywach. Razem z nami taka nieco zawieszona była Irasiad, która też dokładała starań, żeby nikogo nie obrazić i żeby wszystko było fajnie.

Po naszym wielkim spotkaniu inauguracyjnym wszystko wydawało się dopięte na ostatni guzik. Wielki news gruchnął dopiero w poniedziałek. Nie możemy wykonać *Xiao Pingguo*. *Xiao Pingguo* jest już zajęte. Płacz. Żal. Desperacja. Smutek. Niedowierzanie. Posznytowane ramiona. Pijaństwo, narkomania i masturbacja. Szczęśliwie Amerykanie znają

też inne piosenki. I z tego wszystkiego, co znają, wybrali... Utwór grupy Backstreet Boys – *I want it that way*. Obawiałem się, że znam i to gówno. Niestety była to prawda. Ledwo mi włączyli i już błagałem, żeby darowali. Zsyłka na Kołymę bez prawa do korespondencji (czyli 25 lat łagru) zaczęła wydawać się całkiem interesującą perspektywą wobec planów wykonania tego utworu na oczach stada chińskich studentów pierwszego roku. Z całego dorobku amerykańskiej muzyki rozrywkowej musiano wybrać to. Nie Presleya, nie Nirvanę, nie Slayera, tylko Backstreet Boys.

Gdy podejmowaliśmy pracę na uniwersytecie, naiwnie wydawało nam się, że zatrudnili nas i płacą nam, bo chcą, żebyśmy ich młodzież czegoś tam nauczyl. Słowo „wydawało się” jest tutaj kluczem. Program semestru wysłaliśmy 19 września, do dzisiaj nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi, czy im się podoba, czy nie. O książki dla nowych grup chodziliśmy i pytaliśmy dobre kilka dni, nie wiedzieli niczego, w pewnym momencie to nas nawet odesłali do innego departamentu. Ustalenia w sprawie pensji i dorobienia kluczy do mieszkania są od dawna w lesie i nie zanoszą się na to, żeby miały przenieść się bliżej nas. Ale powitanie nowych studentów...

Wszystko załatwiane było na bieżąco. Dzień w dzień próby programu artystycznego, czyli wejścia na scenę przy dźwiękach naszej narodowej pieśni, a potem wspólnego odśpiewania szlagieru najlepszej grupy amerykańskiej, Backstreet Boys. Próba w sali biurowej, próba na scenie, testowanie mikrofonów. Oczywiście wszystko w paradygmacie „pożar w burdelu”, czyli:

- Mail, że próba będzie o 14 w biurze.
- O 13:55 w biurze informacja, że jednak o 16, więc wszyscy w tył zwrot i za dwie godziny powrót. O 15:30 informacja, że jednak nie w biurze, a w sali gimnastycznej. Połowa dociera do biura, druga połowa do sali gimnastycznej, więc telefony, poszukiwania.

Dobra, próba, Cholerne *Korale*, AC/DC, dzieło koreańskie, dzieło ukraińskie, *Cotton Eye Joe*, Backstreet Boys, koniec. No ale jak tak bez układu choreograficznego? Więc jakby tu można machać rękami do tego kawałka? A może tu by się dało zrobić krok w lewo? A potem w prawo? To zrobimy próbę całości. Hmm, a gdyby tu ręce wyciągnąć? O, świetnie, to próba. Do porzygu. Tyle że znaleźliśmy niezły składzik broni białej za sceną, więc położyliśmy trochę z szablami i maczugami, udawaliśmy koty do mikrofonu (na dwa głosy), próbowaliśmy swoich sił w grze na perkusji, a największą radość wywołało znalezienie maszyny do robienia baniek mydlanych, którą to uświetniliśmy nasz występ.

Lekko licząc, w ciągu tygodnia każde z nas zmarnowało około dziesięciu godzin na próby do najbardziej prząsnego występu świata. Początkowo najbardziej roszczeniowi i najmniej potrafiący się bawić byliśmy my z Australijczykami, ale po drugim dniu Amerykanie też mieli dosyć i rozpoczęli poddawać w wątpliwość sensowność takich nakładów czasu i sił. Ostatnie dwa dni to były próby z Chinkami. Ja rozumiem, że im praca tutaj służy głównie do szukania mężów, siedzenia na WeChat i zabaw towarzyskich, więc stąd nadmiar energii i pomysłów. Ledwo do nas dołączyły, to rozpoczęło się trucie dupy vol. 2, czyli „więcej życia!”, „a czemu on ma mikrofon?”, „a czemu nie podnosimy rąk w tym refrenie?”, „a tu byśmy sobie mogli wsadzić palce do rzyci, a potem może całą rękę”. Po ich różnych sugestjach nawet Gary zaczął robić wrażenie bardzo zmęczonego życiem.

Pomysł numer dwieście: kupią nam wszystkim takie same niebieskie koszulki. A kupujcie. To do odbioru o 12 w biurze. O 12 przesunięto wydanie pasiaków na 14. Gary w terenie poszukuje najlepszych niebieskich koszulek całego świata. Szukał tak zawzięcie, że można go było spotkać na randce w centrum handlowym, pochłaniającego porcję lodów. 16, koszulek nie będzie, przynieście swoje.

Próba. Zaczęły padać poważne sugestie, żeby przynieść trochę wódki na występ, bo przecież ocipiejemy z nudów – przyznano nam dopiero ósme miejsce w programie artystycznym. Wcześniej dziewczynki z wachlarzami, rapujący chłopcy, inne skoki i wygłupy, solidnie zmarnowana godzina. O ile kiedyś mnie takie rzeczy interesowały (i to do tego stopnia, że byłem na kilkugodzinnym przedstawieniu teatru kabuki), o tyle obecnie dostaję torsji, ilekroć widzę jakichś chińskich akrobatów, staruszki z wachlarzami, dziewczynkę z shamisenem czy innych cyrkowców. Największym wymiarem kary jest śpiew na żywo, co zazwyczaj przypomina odgłosy towarzyszące chędożeniu kotów. Zawsze wygląda to tak samo, za każdym razem brzmi jeszcze gorzej i zawsze jest dennie.

Od 18 do 19:30 siedzieliśmy w jakimś pokoiku, jedliśmy ryż i omawialiśmy różne aspekty edukacji, polityki i pedofilii duchownych. Koło 20:30 odwaliliśmy swoje, potem jeszcze poczekaliśmy do 21, żeby pożegnać publikę i poszliśmy do monopolowego. Wszyscy!

Można powiedzieć, że cały ten cyrk odniósł pewien sukces integracyjny, po raz pierwszy odbyła się libacja, na której był cały nasz kolektyw i mieliśmy wielki temat do omawiania. Tak wielki, że pobliski kosz na śmieci zapełnił się całkowicie już koło 23, a wystawka zrobiona o 3 rano sięgała na jakiś metr wokół pojemnika.

Nie wszystko złoto, co się świeci

[30.09.2014]

- Mawiają, że najtrudniej być wróżbitą we własnym kraju. Ponieważ jesteśmy w cudzym, to możemy sobie pozwolić na nieco przepowiadania przyszłości, zwłaszcza gdy ta jest tak oczywista. Z dniem jutrzejszym, czyli pierwszym października, ruszy wielkie święto narodowe, Złoty Tydzień. Obchodzimy rocznicę założenia Chińskiej Republiki Ludowej – skoro nie ma świąt religijnych, to trzeba sobie jakoś radzić. Z tej okazji: Dojdzie do niesamowitego zatoru komunikacyjnego przy każdej, choćby trzeciorzędnej, atrakcji turystycznej.
- Dojdzie do serii wydarzeń z cyklu „ludzie się pobili” przy jakichś muzeach i w parkach, bo „pan tu nie stał!”, a tamten się przepycha.
- Jeszcze dwa tygodnie temu powiedziałbym, że dojdzie do scen w Hongkongu, ale ponieważ chwilowo mają tam nieco ciekawsze problemy niż to, że ktoś się porobił na ulicy, to być może tym razem nie będzie zbyt wielu doniesień o tym, że jakiś mieszkaniec mainlandu robił zupę w metrze i z tej okazji dostał mandat, więc wielka obraza honoru.
- Jest jeszcze jedno oblicze hongkońskiego dramatu: zablokowano Instagrama. Biedni Chińczycy, pojadą na wakacje, zrobią sobie zdjęcia na Wielkim Murze i w Zhangjiajie, potem z jakimś hot potem, przeplacą za wszystko, co się da, a lans na zdjęcia z podróży trzeba będzie potem robić na QQ albo RenRen. Zawsze coś, ale jednak Instagram, to Instagram.
- Jest szansa, że na największej chińskiej wyspie (czyli Tajwanie) dojdzie do jakichś utarczek z tubylcami. Tam też poziom cywilizacyjny i zachowań nieco odbiega od standardów ChRL, więc ktoś może nie zdzierżyć najazdu turystów z centrali.
- Zostanie przeprowadzona ankieta, w której jakieś 90% respondentów powie, że jest cholernie nieszczęśliwa z powodu tego, jak w Chinach rozwiązano kwestię dni wolnych od pracy. Takie ankiety robione są ciągle – a to koło Spring Festival, a to Dragon Boat Festival. Istniejący stan rzeczy wydaje się nie odpowiadać nikomu, dlatego też jest on podtrzymywany.
- Pełno osób już nie jest za szczęśliwa, bo Złoty Tydzień jest tygodniem tylko z nazwy. Naprawdę dostaje się trzy dni od ojczyzny, a kolejne dwa trzeba odpracować. Nam ten zaszczyt przypadł na sobotę 27 września i sobotę 11 października. Wiele osób skarży się, że rozwala to normalne weekendy (a i my pod sufit nie skakaliśmy). Wiele obcokrajowców na całe święto po prostu zamyka się w domach i koncentruje na emigracji wewnętrznej zwanej alkoholizmem i oglądaniem seriali. Wizja podróżowania jest przerażająca, ceny noclegów rosną kilkukrotnie, kupno biletów kolejowych graniczy z cudem. O ile w zeszłym roku daliśmy zwyciężyć zdrowemu rozsądkowi, o tyle w tym sezonie zdecydowaliśmy się wystawić na próbę nasze nerwy. Wysiedzenie dziesięciu dni w naszym baodińskim mieszkaniu równoznaczne byłoby z utratą zmysłów, więc postanowiliśmy się oddać tej rozrywce w podróży. Z jednej strony, mamy porezerwowane absolutnie wszystkie hotele i udało nam się też kupić bilety. Z drugiej strony, wiemy, że na „rodaków” zawsze możemy liczyć. Wyprawa mniej ma służyć obcowaniu z dobrami kultury, a bardziej obserwowaniu chińskiego

święta narodowego w toku. Liczymy, że dzięki temu podejściu uda nam się nie dostawać ataku wściekłości co piętnaście minut. Tylko co dwadzieścia.

Na zdjęciu: Państwo „nameinchinese” i ich kolekcja biletów kolejowych. Wystawiano je w oparciu o czasowe pozwolenie na pobyt, które jest w dwóch językach: chińskim i angielskim, ale jak widać, panią z PKP pokonało. Można powiedzieć, że jest nawet jakaś logika w takim potraktowaniu sprawy, niemniej zazwyczaj mówią do mnie Michał. Bilety kupowaliśmy na jakieś 10-17 dni przed podróżami, tańszych już w ogóle nie było, a i kilka pociągów typu G wyprzedanych. Jeżeli chcecie oficjalnych wyjaśnień, które tu można usłyszeć od każdego: Chiny mają najwięcej obywateli na świecie, 20% ludzkości, ale tylko kilkanaście procent wszystkich torów świata. I gdy to słyszymy, to od razu robi nam się lepiej, że – jak przy każdym święcie – nie da się jechać dokąd i kiedy by się chciało.



[16.10.2014]

Zazwyczaj taki mamy widok z okna:



Chińska złota jesień

Trochę więc się zdziwiliśmy, gdy w sobotni poranek zobaczyliśmy mniej więcej to:

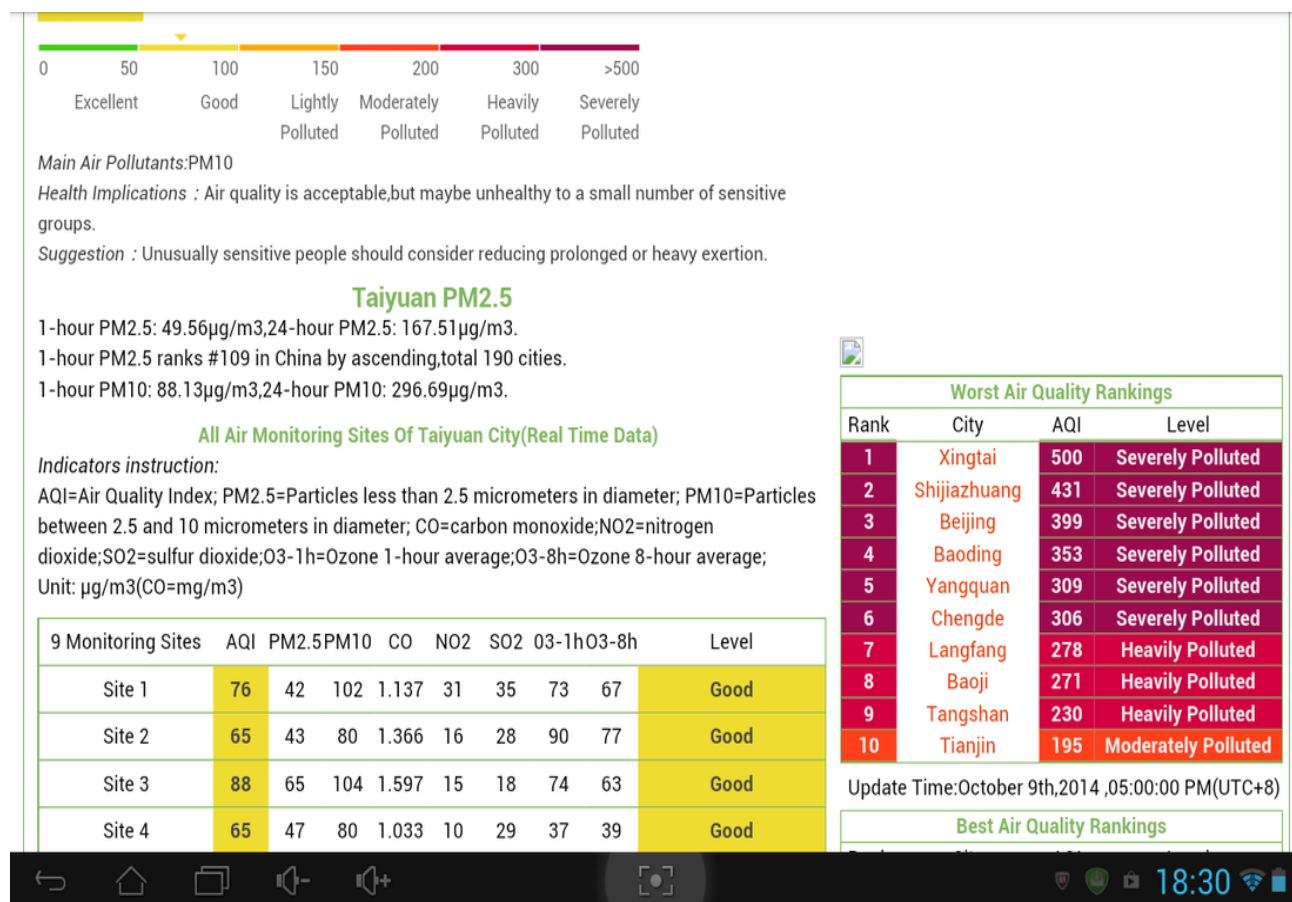


Baoding takie piękne, wow!

W sumie nawet trudno powiedzieć, że zobaczyliśmy. Było białe, wielka rzeka pełna mleka, tylko że unosząca się w powietrzu. Kliknąłem sobie pomiary, poziomy PM 2.5, wynosiły ponad 400. W cywilizacji wtedy ogłasza się klęskę żywiołową, w raję nie.

W drodze na zajęcia spotkałem kolegę z USA. Widoczność wynosiła jakieś trzy-cztery metry, więc wielkie szczęście, że na siebie wpadliśmy, bo przecież wzrokowo byśmy się nie odnaleźli. Sytuacja była tak zła, że dostaliśmy niezłego pierdolca i w drodze do budynku naukowego śmialiśmy się, jakby nam dopiero co pokazali *Nagą broń*. Zastanawialiśmy się, co dalej – prawdziwie solidne zanieczyszczenie zwykle pojawiać się dopiero po rozpoczęciu sezonu grzewczego, a do tego jeszcze trochę brakuje. Mierniki PM 2.5 ambasady amerykańskiej w Pekinie sięgają tylko do 750, zapewne twórcom nie chciało się wierzyć, że możliwe jest osiągnięcie takich wartości, ale co oni wiedzieli o życiu? Chinom zdarzało się osiągać wartości znacznie wyższe – w zeszłym roku Harbin zamknął tysiąca, a Pekin machnął ponad 900. Ale to było w styczniu, nie w październiku.

Mamy też nieodparte wrażenie, że tutejsza media otrzymały jakieś delikatne sugestie, żeby się tym przesadnie nie zajmować. Jeszcze w zeszłym roku większość epizodów poważnych zanieczyszczeń doczekała się przynajmniej wzmianek, a w tym roku cisza. [O sprawie napisał nawet Guardian](#), a u nas jakoś spokój. No nie jest to może szal na miarę wielkiego smogu roku 2013, ale uważamy, że zasłużyliśmy sobie chociaż na wspomnienie o nas. Zwłaszcza, że Baoding rzadko jest najgorsze, bywa wysoko, ale nigdy pierwsze. Spójrzmy na poniższy zrzut ekranu.



Urocza tabelka po prawej ukazuje, że jesteśmy tuż za podium – 353 punkty! Za to stolica prowincji druga, stolica ojczyzny trzecia

Gdy decydowaliśmy się na pracę w Baoding, wiedzieliśmy, że nie jest to kurort. Wydawało nam się jednak, że pod względem zanieczyszczenia gorzej niż w Huainan nie będzie. Nawet w dniu naszej rozmowy kwalifikacyjnej sprawdziłem sobie wartości zanieczyszczeń i było jakieś 120. Nie sanatorium, ale do przeżycia. Myślałem też, że gorzej od Pekinu przecież nie będzie, w końcu mniej aut i ludzi, więc przechytrzę system – 140 kilosa od stolicy i wszystkich z tym związanych plusów, a bez tego cudownego powietrza. Według tego wykresu to w sumie się udało, było lepiej niż w Pekinie... Jednak w momencie gdy zamykamy 400, zaczynamy się zastanawiać, co będzie zimą. Dominują tu elektrownie węglowe, a mrozy są solidne, więc może się okazać, że będzie jeszcze fajniej.

Dla osób, które nie mają szczęścia żyć w kraju chińskiego snu i które nie instalują sobie mierników w tablecie, laptopie i telefonie, oto rozpiska poziomów zanieczyszczeń:

- 0-50 – fajnie i zdrowo;
- 51-100 – jest w porządku, ale ludzie wrażliwi mogą mieć kłopoty z oddychaniem;
- 101-150 – więcej osób może się nędznie czuć, ale ogół nie powinien płakać;
- 151-200 – każdemu jest źle, a niektórym bardzo;
- 201-300 – cała populacja może mieć problemy, jest konkretnie niezdrowo;
- 300 i więcej – wszyscy mają przesrane.

Niestety nie napisali, co jest powyżej 400. Ja już wiem, co może być: wysuszone oczy, jak również śluzówka gardła i nosa. Drapie w drogach oddechowych. Ja palę, więc mogę mieć nieco zniekształcone odczucia, ale cała reszta nauczycieli nie pali, a też to miała, więc pozwalałam sobie stwierdzić, że za fajnie się człowiek nie czuje.

W niedzielę zeszliśmy do żenujących 74, ale szczęśliwie już odbiliśmy się od dna. Obecnie mamy 214, co wobec soboty wydaje się pogodą wręcz zachęcającą do pobiegania sobie. Dla porównania, Aleje w Krakowie (czyli najbardziej zanieczyszczonym mieście Polski i trzecim najgorszym Europy) mają w godzinach szczytu koło 100, zazwyczaj poniżej, obrzeża miasta po jakieś 60-70.

Mamy pewne poczucie lokalnej dumy: o ile o naszych poprzednich miejscach zamieszkania wiele się nie pisało, o tyle Hebei zajmuje dobre miejsca w rankingach najbardziej zanieczyszczonych miejsc do życia w Chinach. Niestety nasze Baoding nie załapało się do dziesiątki najgorszych miast świata, ale stolica prowincji – Shijiazhuang – w cuglach zajęło miejsce w rankingu! [Tutaj dowiedzie się więcej](#), co u was lub u nas w kwestiach powietrznych. Jung Chang napisała w swych *Dzikich łabędziach*, że komuniści zrobili z Chin brzydki kraj:

Wherever we went as we traveled down the Yangtze we saw the aftermath of the Cultural Revolution: temples smashed, statues toppled, and old towns wrecked. Little evidence remained of China's ancient civilization. But the loss went even deeper than this. Not only had China destroyed most of its beautiful things, it had lost its appreciation of them, and was unable to make new ones. Except for the much-scarred but still stunning landscape, China had become an ugly country.

Szkoda, że z pewnych powodów proceduralnych (czytaj: zakaz wjazdu do raju), Jung Chang nie mogła iść ze mną i Rossem tego sobotniego poranka po naszym szkolnym dziedzińcu. Ciekawe, co by powiedziała o tym, co zrobiono z tym, czym przyszło oddychać mieszkańcom Chin 11 października 2014 roku.

[18.10.2014]

O ile większość chińskich miast ma jedną nazwę – rzecz jasna chińską – o tyle miejsce, które mapy anglojęzyczne nazywają Hohhot, po chińsku zwie się HuHeHaoTe. Jakiej listy atrakcji Chin nie weźmiecie, Hohhotu na niej nie znajdziecie. No może coś w stylu: „Chiny dla hipsterskich wrotkarzy”, ale też śmiem wątpić. Chociaż w skali chińskich odległości miasto jest dość blisko Pekinu, to jakoś nie ma zbyt wielu szaleńców, którzy zdecydowaliby się na odwiedzanie stolicy prachińskiej Mongolii Wewnętrznej. Jeżeli ktoś przyjeżdża z Mongolii (właściwej), to ma szansę tutaj się przesiadać w drodze do Pekinu.

Nasz wybór dotyczył jego turystycznej niszowości. Skoro przyszło nam podróżować w Złoty Tydzień, to trzeba było myśleć jak nie-Chińczyk. Żadnych Wielkich Murów, Armii Terakotowych i słynnych ogrodów. Wyszukaliśmy największą dziurę okolicy (rozumianej jako dystans pokonywany pociągiem typu K do kilkunastu godzin) i padło na Hohhot.

Na TAK

Miasto jest tanie – czy to jedzenie, czy noclegi, czy transport. Turystów, nawet mimo Złotego Tygodnia, praktycznie nie było. W chińskiej skali jest dość małe, więc dzięki temu nie ma przesadnych zatorów ludzkich i kolejek. Jedyne ciężkie doświadczenie zaliczyliśmy w autobusie, z którego w pewnym momencie nie dało się wysiąść, bo ludzie wewnątrz nie chcieli nikogo przepuścić do drzwi, a jednocześnie ludzie z zewnątrz próbowali wsiąść. Zazwyczaj ludzie się cieszą, że widzą jakichś turystów, ale nie wtedy, gdy w grę wchodzi jazda darmowym autobusem.

Na NIE

To totalny kraniec cywilizacji. Ludzie są żywcem wyrwani z epoki kamienia łupanego i rzućni w środek miasta z XXI wieku. Napitalają trójkołówkami po chodnikach, pasach, obojętnie, czy z prądem, czy pod prąd. Niby brak zasad ruchu drogowego jest w Chinach wszechobecny, ale w Hohhocie pierwszy raz zdarzyło nam się, że trzy razy w ciągu jednego dnia ktoś nas niemal przejechał. Mieszkańcy permanentnie drą się, czy to w muzeum, czy to w świątyni, czy to na zakupach. Główną atrakcją miasta jest turysta, więc okrzyków „laowai” i „waiguoren” zbiera się kilka na kwadrans.

Rekord prymitywizmu (i to nie w ujęciu nurtu malarskiego) padł przy wizycie w toalecie publicznej. Postawiono budki przed dworcem głównym, żeby ludzie mogli sobie nieco ulżyć. Niestety zapomniano o tym, żeby je otworzyć. W efekcie cała polana dookoła budek zamieniła się w „szczężawisko” (grzęzawisko wywołane moczem). Drugiego wieczoru szedłem tam z miną konesera, ale buty (glany zasnurowane na 14 dziurek) spadły mi, gdy pośród przyrody spotkałem taksiarza, który donośnie defekował, czytając w tym samym czasie gazetę. Trochę się obruszył, gdy prawie w niego wlałem, ale nie dał się zmylić, przesunął zad (i gazetę) i robił dalej. Widywałem wiele rzeczy w Chinach, ale dorosłego mężczyzny z gazetą, walącego w centrum miasta, jeszcze nie.

Atrakcje

Muzeum Mongolii Wewnętrznej – jest za darmo, więc niby nie wypada krytykować. Na pewno można o nim powiedzieć, że jest bardzo duże i imponujące architektonicznie, jest trochę podpisów po angielsku, wyposażeni są w niezłe toalety i obłędnie drogi sklepik z pamiątkami. Co do ekspozycji muzealnych, zdecydowanie cieszy, że mają na stanie wypchane jenoty, naliczyliśmy aż trzy sztuki!



Nie, to nie może być prawda... Czyżby... Prawdziwy JENOT?!



Co? Kolejny?!



Mój ci on!

Jenoty nie są jedynymi przykładami obłąkanej taksydermii. Większość okazów zwierzyny wygląda, jakby wypychał je ktoś, kto nigdy nie widział tych stworzeń ani na zdjęciach, ani na żywo.

W muzeum panuje pocieszny chaos, sala numer jeden to środowisko, sala numer dwa to historia, a potem mamy takie cuda jak: chiński program kosmiczny (z pięknymi modelami rakiet czy sond), wydobywanie węgla (z okazami różnych rodzajów tej soli ziemi czarnej), Mao Zedonga (czy jest jakieś muzeum bez niego?), bohaterski lud walczący o wyzwolenie od opresji (i o nowego iPhone'a), ludzie jaskiniowych (o rysach typowo kaukaskich) i dinozaury (z całkiem okazałymi szkieletami). Pomiedzy tym rodzice z zanudzonymi na śmierć dziećmi, robiący sobie zdjęcia na tle fototapety ze stepem zielonym. My też przesadnej ekstazy nie przeżyliśmy, ale właściwie nawet przebiegnięcie po tej placówce zajmuje ze dwie godziny.

Świątynia Pięciu Pagód (według biletu Hohhot Five Pagoda) – znak rozpoznawczy Hohhotu. Świątynia z paroma dziedzińcami i budynkami. Nawet w drugi dzień Złotego Tygodnia było szaleńczo pusto, większość czasu byliśmy tam sami.



Główna atrakcja Hohhotu

Główna budowla dość ciekawa, ale na jakieś pięć minut. Modelowy przypadek tego, że niektóre miejsca fajniej wyglądają na zdjęciach niż na własne oczy. Pozostałe budują klimat, ale kasku nie zrywają. Wstęp 35 RMB – jeżeli już się jest w pobliżu to warto, ale nie jest to atrakcja, którą będą opisywać przyszłe pokolenia globtroterów

Xilitu Zhao – świątynia w starym mieście. Stare miasto jest akurat budowane, więc dobrze nie zapuszczać się zbyt daleko od głównego placu, bo trafi się na wykopy i blocko.



Atrakcje starego miasta. Zdjęcie nie uchwyciło tego, że za plecami fotografującego był chiński pop, w rytm którego tańczyli emeryci



Gdy przyszlismy koło 15, to było dość tłoczno, ale powrót o 17 zaowocował tym, że mieliśmy całe miejsce niemal dla siebie. Kompleks świątynny jest wielki i można po nim łączyć z godzinę.

Brakuje jakiejś czołowej atrakcji, ale poszczególne świątynie, sale i dziedzińce pozwalają przyjemnie spędzić czas. Budowle obfitują w płaskorzeźby, więc polecamy wypatrywanie królików, małp, nietoperzy. Były nawet szkielety.



I małe figurki Buddy w skrytkach

Buddyzm hohhocki pochodzi z Tybetu, więc wszędzie jest pełno chorągiewek. Chwilami nawet wydawało nam się, że jest to jedno z niewielu miejsc w Chinach, gdzie ten buddyzm jest jakoś bardziej żywy. Cena wstępu – 30 RMB i raczej po stronie warto.



Świątynia Da Zhao – porzuciliśmy pomysł zwiedzenia tejże – po dwóch kompleksach świątynnych uznaliśmy, że trzeci nie jest nam niezbędny do szczęścia. Nie będę ukrywał, że bilet za 30 RMB odegrał w tym pewną rolę. Większą jednak to, że skoro hełmów nam nie zerwały dwa lepsze kompleksy świątynne, to nie ma co się pchać do trzeciego, który według przewodników jest najmniej okazały ze wszystkich.

Ciekawostki regionalno-kulinarne

Nazwy ulic są po chińsku, mongolsku i w pinyin (czyli chińskim w łacinie). Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu, zapytane o drogę studentki rozpoczęły odpowiadać w języku Byrona i były to wypowiedzi całkiem z sensem.

Nie brakuje pamiątkarni, zwłaszcza w okolicy dworca. Hitem każdej są bułki z lokalnym trunkiem. Ostrzyliśmy sobie zęby, gdy odkryliśmy, że ma on żałosne 40% – no przecież nie sprzedawaliby 40% baijiu! Niestety, to właśnie robią.

Drugim produktem prowincji są mleczne cukierki. Najczęściej z torebki uśmiecha się tłusty, nieco wyliniały Mongoł. Nie zmienia to faktu, że cukierki są świetne, niemal tak dobre jak nasze ulubione White Rabbit.

Cenowo: bułki od 25 RMB, cukierki od 5 RMB. Bułak fajnie wygląda, cukierki są dobre, ale obawiamy się, że wrzucenie cukierków do bułaka nie wpłynie przesadnie pozytywnie na smak cieczy w nim zawartej.

Jak wszędzie w Chinach, jadła nie brak. Najczęściej braliśmy makaron w zupie z jajem i pomidorem. Cena 8-10 RMB, ilość dość obłędna, w ogóle nieostre (SKANDAL!), bywało nawet mało tłuste, zdecydowanie po stronie plusów.

Kwaterunek

Czarna rozpacz. Są w mieście dwa hostele, tańszy i droższy. Jasne jest, który wybraliśmy, to miał być wypad w nieznane na dwa dni, a nie podróż poślubna. Gdybym miał polecać, to chyba jednak droższy, czyli Anda Guesthouse. My spaliśmy w Tara Hostel i jest to nieco „o rany...”. Gdy na kilka dni przed przyjazdem napisałem z prośbą o wskazówki dotarcia z lotniska, to nie odpisali. Znalazłem sobie sam, ale to jednak nie tak powinno wyglądać. Obsługa na „Do you speak English?”, odpowiada „Yes, Marlboro”. Mają bar z nieco przegiętymi cenami. Ogólnie są mili i pomocni, pokoje są czyste, pościel nawet też, ale toalety już nie. Do tego są tylko dwa zespoły sanitarne – toaleta i prysznic. Przy pełnym obłożeniu (czyli 16 osobach, co zdarzyło się w jedną noc) nie gwarantuje to możliwości skorzystania z wiadomego miejsca od razu.

Krajowcy

Stanowią kombinację otwartości, przyjazności i lekkiego prymitywizmu. Przez trzy dni nas jakoś strasznie nie wściekli, ale potrafią być z deka męczący. Do tego każdy mieszkaniak naszej dormy był Chińczykiem i strasznie chciał zostać naszym najlepszym przyjacielem. Powiedzmy, że nie znam wysublimowanych zwyczajów kulturowych chińskich Mongołów, ale w pewnym momencie poznałem (imię robocze) Mongolską Księżniczkę. Jakoś dziwne wydało mi się zapraszanie mnie, ale bez mojego Aligatora, do jej rodzinnej wioski. Ale i tak w sumie najbardziej wzruszyło mnie w tym podejście do ogromu logistycznego przedsięwzięcia: „wyjedziemy jutro rano autobusem, przenocujemy w jakiejś pustynnej dziurze, potem jeszcze tylko pół dnia drogi i już poznasz moich rodziców. Patrz, jakie ładne zdjęcia! (pustynia, jakieś rachityczne krzaki). Tam spędzimy dzień i już może w poniedziałek powrócimy”. Chryste Pani... No, to nawet nie to, że zrobiłbym „China off the beaten track”, ale machnąłbym „HuHeHaoTe”, a nawet „Nei Mengguo” (jak tu zwą Mongolię Wewnętrzną) bardzo daleko od stron *Lonely Planet*. Nie wiem nawet, czy wybitny rosyjski badacz problematyki tamtych stron świata, Przewalski, zapuścił się w te rejony. Inną sprawą jest to, że już parę razy

odnosiłem wrażenie, że im bardziej wiedzą, że nie pojedziesz, to tym bardziej Cię zapraszają. Jeszcze inną jest to, że być może przeszła mi koło nosa szansa na zostanie członkiem jakiegoś szlchetnego rodu Mongołów – kto może zaręczyć, że to nie była jakaś stepowa księżniczka, której papa posiada wielkie stada wielbłądów, kóz a może nawet studnię artezyjską?

Xilamuren

Drugiego wieczoru za współlokatorów mieliśmy dość rozgarniętą młodzież chińską (patrz: księżniczka Mongolii). Skończyło się na tym, że tak chcieli pomóc, że załatwili nam wycieczkę na mongolskie stepy. Podaliśmy im widełki cenowe 100-150 RMB. Z jednej strony, chcieliśmy się tam wybrać, bo to wielki hit (jak powiedziałby Pieseł: stepy takie stepowe, wow!). Z drugiej, nie byliśmy pewni, czy warto. Mieliśmy jednak jeszcze trochę czasu w Hohhocie (nie zapominajmy o szlchetnej nazwie HuHeHaoTe), a centrum prowincjonalnej stolicy wydawało się skrywać umiarkowaną ilość atrakcji. Niemal spadliśmy z naszych piętrowych prycz, gdy dostaliśmy cenę 80 RMB za całodzienną wycieczkę na step – na dodatek z wliczonym w to lunchem. Przy okazji, pewna mongolska księżniczka zaprowadziła mnie na miejsce porannego spotkania, a pewien chiński student wygłosił wykład o tym, żeby pamiątek nie kupować na stepach, bo drogo to już było, a teraz jest bardzo drogo.

Lubię wstawać o 6 rano, gdy mam wolne. Jeszcze bardziej lubię potem czekać sobie na transport. Byliśmy gwiazdami wycieczki, jakaś 40 Chińczyków i my. Można powiedzieć, że nie kłamią, wywożą człowieka na jakieś dobre dwie godziny od Hohhotu i są stepy.



Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu, wóz nurza się w... końskich plackach?

Dużo stepów. W każdą stronę stepy. Niebo gwiazdziste nad nami, prawo moralne w nas, stepy dookoła. Kantowi i niebiosom dziękowałem, że nie zdecydowałem się na pobyt całonocny.

Kiedyś słyszałem, że można sobie pojeździć na konikach po stepie, 50 RMB za godzinę. Oferta wydawała mi się umiarkowanie szalowa, więc gdy potem zobaczyłem, że ceny

poszybowwały do 90 RMB, od razu tę opcję skreśliłem. Rozwahałem zostanie na noc, bo trochę mnie ciekawiło, jak ludzie żyją. Szczęśliwie, nie aż tak, żeby to zrobić. Ludzie w miejscu naszego pobytu mają betonowe jurty, drogę asfaltową i solidny zestaw wzmacniaczy.



Jurta z betonu i z pamiątkami



Nieco bardziej „autentyczna” jurta

Co do koników, w trzecim dniu Złotego Tygodnia krzyczano sobie 280 RMB za godzinę ubawu. Chętnych nie brakowało.

Przez jakieś 90 minut łaziliśmy po stepie. Bardzo dziko, aż tak dziko, że nie da się przejść 10 metrów, żeby nie zobaczyć śmieci w stylu butelki po coli albo paczki po petach. O 12 podano jadło. Zaczęto też niestety program artystyczny: coś w stylu disco polo waliło z głośników, a Mongoł w tradycyjnym stroju tokował do tego. Na plus: jadło było dobre i głównie bezmięsne. Część mięsna pokonała nawet Chińczyków, jakieś wysuszone wnętrzności diabli wiedzą czego.



Niezwykłe apetyczny eksponat spożywczy

Południe. Stepy. Stepy widzieliśmy już rano. 13. Stepy. 14. Stepy. Chciałem podziękować Amazonowi za wynalazek zwany Kindle. 15. Program artystyczny na stepach. Totalna cepelia, wyścigi na koniach i zapasy. Wszystko trwa jakieś trzy-cztery razy dłużej niż powinno. Jako jedyni odmieńcy etniczny, spędzamy dobrą połowę tego czasu na robieniu sobie zdjęć z krajowcami. 15:30 uciekamy, bo szukają ochotników z tłumu do zapasów, a my mamy podejrzenia graniczące z pewnością, kogóż to sobie wybiorą. Jak sobie wybiorą białego, to:

- albo będzie ściskanie się w objęciach przez naście minut;
- albo Mongoł rzuci białym przez biodro w 3 sekundy i wywoła radość gawiedzi;
- albo biały nie wydzierży i walnie Mongołowi z grzywki w stylu fanów Wisły Kraków.

Żadna z tych opcji nie wydawała się przesadnie atrakcyjna.

Niezapomnianym aspektem odwiedzenia mongolskich jurt pozostają toalety. Przypominamy: miejsce spędu wycieczek grupowych. Drogo już było, teraz już bardzo drogo. I jak wyglądają kible? Gdybyśmy robili sobie na ręce i rzucali tym po ścianach, to jest szansa, że sytuacja uległaby znacznej poprawie. Nie będziemy pokazywać dowodów zdjęciowych, bo nie chcemy zapewniać nikomu koszmarów.

16. Stepy. 16:30. Zawijamy się! 18. Pamiątkarnia. Ostrzegali, że w drodze powrotnej zobaczymy sobie fabrykę rzemiosła artystycznego. No dobra, ile można siedzieć w tej manufakturze badziewia? 18:30. Hmm, czyli dlatego ten facet zapłacił kierowcy dodatkowe 40 RMB, żeby wysiąść wcześniej. 19. Rany, ludzie, ile można oglądać strasznie za drogie barachło??? 19:30. To my sobie może już tu wysiadziemy, nie musicie nas podwozić do hostelu, dziękujemy za cały dzień wrażeń! 20 i dużo później – buklak. Nieważne, że boli i że nie ma to sensu.

[24.10.2014]



Główna atrakcja okolicy

Pierwszy raz w Datong byłem w 2007 roku. Sama miejscina zapisała mi się we wspomnieniach jako nijaka dziura, nie było w niej niczego ciekawego, ale nawet wtedy nie jeździło się tam, żeby cieszyć urokami dwumilionowej metropolii. Cała impreza rozkręcała się z powodu pobliskich jaskiń. Kolejne życie się tak poskładały, że do jaskiń dojechałem sam, autobusem miejskim. Polazłem, kupiłem bilet za jakąś niewartą wspomnienia sumę i przelazłem przez bramę wejściową. Sam ze sobą i z moim tobołem.

Film wrócił mi jakieś dwie godziny później. Jaskinie Yungang rozsadziły mnie w drzazgi. Był to pierwszy zabytek buddyjski tej klasy, z jakim było mi dane obcować. Nikt mi nie mówił, że takie obiekty istnieją, byłem nawykły do europejskich katedr i związanych z nimi radości. Ale takieeee wielkie rzeźby pośrodku niczego? Z takimi kolorami? Odniosłem też wrażenie, że w Chinach muszą być miliony obiektów tego typu, bo poza mną były tam tylko jakieś zabłąkane jednostki. Łaziłem po tym wszystkim, ile tylko chciałem, nikt mnie nie popędzał. Dopiero gdy wylazłem z terenu biletowanego, sprzedawcy pamiątek uparli się, żeby przywrócić mnie do stanu właściwego naszym czasom. Skończyłem z królikiem z drewna za chyba 30 RMB, co na pewno było ceną przegiętą przynajmniej ze dwa razy.

Przez kolejne lata zawsze wspominałem Datong jako jedno z najlepszych miejsc w Chinach. Nawet gdy w lecie 2013 przerobiłem Luoyang, to mówiłem, że bardzo nie jestem pewien tego, że jest lepsze niż Yungang. Wieść gminna głosiła, że jest, ale ja jakoś nie dawałem się przekonać. Miałem w pamięci te posągi Buddy jak żywe.

Gdy więc planowaliśmy wyprawę na Złoty Tydzień, wahałem się więcej niż wahadło Foucaulta. Z jednej strony, chciałem znowu zobaczyć te piękne groty. Z drugiej strony, od 2007 minęło nieco czasu. Po drodze widziałem np. Wat Pho, Angkor Wat i jakieś 2000 innych świątyń buddyjskich. Jednak chciałem przytachać mojego Aligatora do miejsca, gdzie moja fascynacja buddyzmem nabrała na sile. Z pięćdziesiątej strony, Datong mieliśmy tak bardzo po drodze, że musieliśmy się tam zatrzymać.

Na TAK

Kwaterunek

Tak pięknego, czystego, dobrze zorganizowanego i wyposażonego hostelu w Chinach jeszcze nie widzieliśmy. Nazywa się Datong by Knight Hostel. Nie jest najtańszy w mieście, ale spokojnie, na każdego kuaia zarabiają z nawiązką. I głoszę to ja, sęp narodów, człowiek z Krakowa. Który przy każdym papierosie musiał jeździć 22 piętra windą, żeby sobie zapalić. Owszem, jest w dzielnicy mieszkalnej. Owszem, jest na 22. piętrze. Na recepcji przyjmuje Mesut Ozil w wersji żeńskiej, ja to zaliczam do plusów, bo Ozil mówił po angielsku bardzo ładnie. Sekret czystości miejsca wyjaśnił się, gdy pogadaliśmy z właścicielem. Tajwańczyk. Klawiatury mi nie wystarczy na pisanie o tym, o ile poziomów cywilizacyjnych Tajwan wyprzedził kontynent. Normalnie nie kręci nas specjalnie siedzenie w chińskich hostelach, bo klimat nie do końca nam odpowiada (najczęstsze powody: ludzie śpiący po 16 godzin na dobę, brak tzw. common roomu lub zakaz przynoszenia własnych napojów), ale tutaj pierwszy raz trafiliśmy na miejsce, w którym naprawdę można było się zrelaksować, czy to gadając z innymi gośćmi, czy też czytając książkę na kanapie.

Atrakcje

De facto jest jedna: Yungang. Mam porównanie z kiedyś i kiedyś to tak nie było. Nie było biletów po 144 RMB (obniżonych na 120 RMB w dniu naszej wizyty). Nie było wielkiego, kiczowatego centrum wizytowego. Nie było ludzi, których imię tysiąc, którzy chcą nie tylko zobaczyć, ale i dotknąć Buddy z V wieku. Po mniej więcej dziesięciu minutach ma się dosyć, bo przecież cała nacja jest genetycznie niezdolna, żeby stanąć w kolejce, nie pchać się, nie wydzierać w świątyni i nie kłaść dzieci na posągach. Oczywiście przeszliśmy wszystko, co było do przejścia, bo to są dalej te same groty, co w 2007 (a nawet te same, co w 1007).



Kilkadziesiąt tysięcy wizerunków wykutych w skałach

Dołożyli groteskowo-dowcipne muzeum na końcu szlaku zwiedzania. Nie wiem, czego nawet ono było, kamieni, które im się odłupały losowo pod nogi? Na to wyglądało. Potem

jeszcze poprawili ze sklepików. Wszystko to w atmosferze tłoku, ścisku i dzikiej narodowej obsesji pod tytułem: „Aaaaaaa, idę oglądać groooooootyyyyyy, klękajcie naaaarooooodyyy!”. Moje dawne uniesienia zostały rozniesione niczym obornik po polu. O ile tłumów się spodziewaliśmy, to jednak nie aż takiej patologii zachowań. Zrobienie rekonstrukcji starego chińskiego miasteczka na sztucznym jeziorze też sprawie przesadnie nie pomogło.



Chińska twierdza – nówka, jeszcze nieśmigana!

Ilość dodatków obecnie przytłacza główną atrakcję. W jakimś sensie nadal warto, ale to już jednak nie to, co kiedyś. Z innych atrakcji, można wybrać się do wiszącej świątyni, ale po pierwsze dojazd (taksówką lub dość zawiłą kombinacją lokalnego transportu i chodzenia – w sumie do pokonania mamy 65 kilometrów, taksa koło 300 yuanów krzyczy), a po drugie cena biletu wstępu – 130 RMB. Jest jeszcze w Datong Ściana Dziewięciu Smoków, ale to atrakcja na jakieś trzy minuty.

Datong

Nazwę tego miasta lokalni wymawiają mniej więcej Dataaaa. Ktoś (zapewne władze lokalne) wpakował niesamowite pieniądze w modernizację miasteczka. Zburzono stare miasto i zbudowano nowe stare miasto, z odpowiednio szerokimi drogami, żeby ruch samochodowy mógł się płynnie odbywać. Wszystko to oświetlone, ale też niemal całkowicie wyludnione. Sztuczne, że aż boli. Postawiono obłądną ilość centr handlowych. Przed nimi na krawężniku sprzedają makaron i podrabiane ciuchy. Ruch samochodowy nieco lepszy niż w Hohhocie, ale jednak jeszcze nie taki jak w Austrii. Najbardziej kuriozalne miejsce to wnętrze tradycyjnej chińskiej rezydencji (AD 2013). Póki co nie udało się przyciągnąć inwestorów, więc podczas naszej wizyty trwała prezentacja maszyn rolniczych. Idzie się po starożytnym dziedzińcu i wychodzi na przepiękny ciągnik, obok zaparkowano snopowiązałkę.

Jedzenie

Shanxi (nie mylić z Shaanxi – uwielbiam to, że dwie prowincje w transliteracji nazywają się niemal tak samo i jeszcze są położone obok siebie) słynie z makaronów i sosów sojowych. I jedno i drugie w porządku, ale nic w Datong nie powaliło nas na kolana, poza ofertą tej placówki gastronomicznej:

港式小吃 Hong Kong-style snacks		重庆小吃 Chongqing snacks	
烤撒尿牛丸	7	酸辣粉	7
Roast Beef Balls Urinating		Hot and Sour Rice Noodles	
烤撒尿鱼丸	7	撒尿牛丸酸辣粉	10
Roast Fish Balls Urinating		Pee ushimaru hot and Sour Rice Noodles	
麻辣撒尿牛丸	7	撒尿鱼丸酸辣粉	10
Spicy Beef Balls Urinating		Fish hot and sour rice noodles	
麻辣撒尿鱼丸	7	贡丸酸辣粉	10
Spicy Fish Balls Urinating		Meatball hot and Sour Rice Noodles	
麻辣贡丸	7	牛筋丸酸辣粉	10
Spicy Pork Balls		Hot and sour rice noodles beef tendon pill	
麻辣牛筋丸	7	什锦酸辣粉	12
Spicy Beef Tendon Balls		Assorted hot and Sour Rice Noodles	
咖喱鱼丸	7		
Curry Fish Balls			
		云南小吃 Yunnan snacks	

Roast Beef Balls Urinating. Szkoda, że nie jemy mięsa, bo chętnie przekonalibyśmy się, w jaki sposób wołowe kulki oddają moc

Ludzie

Ponieważ hostel jest drogi i ukierunkowany na przybysza z Zachodu, nie ma w nim zbyt wielu krajowców. Znieśliśmy to z godnością, w zamian mieliśmy:

- Parę Belgów, którzy przyjechali kręcić film o życiu w zanieczyszczonym mieście. Wybrali dobrze – w okolicy są kopalnie węgla. W dniu wizyty pogoda trafiła się idealna, ale Datong często zajmuje wysokie lokaty w rankingach zanieczyszczonych miast.
- Żydobrytyjkę, która przyjechała do Pekinu uczyć się chińskiego. Na Tsinghua. Ubawiliśmy się, gdy opowiedziała, jak wyglądał pierwszy dzień nauki: przyszedł facet i dwie godziny mówił po chińsku. Niczego oczywiście nie zrozumieli. Już parę razy słyszałem, że chińskie uniwersytety nie są najlepszymi miejscami do nauki języka.
- No i Ozila, wraz z właścicielem hostelu.

Jeszcze parę miesięcy temu powiedziałbym, że warto zajrzeć do Datongu i okolicznej atrakcji. Teraz się zastanawiam. Groty świetne, ale cena, cała męcząca, odpustowa oprawa... Jeżeli akurat ma się po drodze, to można odwiedzić, ale jakoś bardzo o to walczyć raczej już się nie opłaca. Lepiej poszukać miejsc, które nie są tak bardzo oblegane przez turystów.

[28.10.2014]

Wiedzieliśmy, że nieco sobie strzelamy gola, jadąc do stolicy prowincji Shanxi (nie mylić z Shaanxi! Tam stolicą jest „Ksjan”, jak mawia wielu turystów). Z drugiej strony wiedzieliśmy też, że raczej nie będzie tam dzikich tłumów celebrujących 65. rocznicę ustanowienia ChRL. Atrakcje miasta nie zajmują wielu stron w przewodniku, ale jak hipsteria, to hipsteria.

Jeszcze słowem wyjaśnienia do naszych kolei życiowych i podróży: jak ktoś chce szaleć, to z Datong jedzie na Wutai Shan – pięć klasztorów położonych w górach (w sumie nazwa to nawet sugeruje), podobno dość dobre miejsce w temacie wrażeń (figury Buddy, stare świątynie, zielono). Niestety aż tak dobrą, że bilet wstępu tamże kosztuje 218 RMB. Do tego, niektóre ze świątyń krzyczą sobie dodatkowe opłaty. W tej cenie biletu jest oficjalnie autobus, ale też może się okazać, że trzeba sobie za jakiś transport dopłacić. Opcje noclegowe wydawały się być raczej losowe, cena jest nieco wygórowana, podobno w trakcie świąt kolejki potrafią dochodzić nawet do ośmiu godzin, za dużo tego dobrego już by to było. Zaś jeżeli chodzi o Taiyuan...

Na TAK

Jest tanio. KONIEC!

Atrakcje

Chongshan Temple z posągami Buddy z tysiącem rąk. O dziwo za darmo, o dziwo świetna. Może zająć nawet ze dwie minuty. Pojawienie się turysty wywołuje dość poważne ożywienie pośród okolicznej biedoty, nam bardzo chcieli sprzedać kilka rzeczy, ale udało się ich nie kupić. Jest to jedna z nielicznych świątyń, gdzie spotkaliśmy prawdziwych mnichów – nie interesowali się nami i nie próbowali nam wcisnąć turystycznych bzdetów.

Muzeum prowincji Shanxi. Według *Lonely Planet* zrywa kask. Według nas nie. Jest za darmo, jest w dość ciekawym budynku w kształcie odwróconej piramidy, ale jest też na wygwizdowie (zgadujcie, czy lokalni wiedzą gdzie). Ekspozyty są dość losowe – tu jakiś mieczyk, a tam jakaś waza, a tu trochę historii migracji ludności, trochę bitew. Po angielsku opisano może połowę obiektów, ale nie mieliśmy poczucia, że wiele tracimy, nie mogąc ustalić, co też tu leży. Dominują rzeczy w stylu „garnek z V wieku”, chociaż datowanie lubią robić po swojemu („z czasów dynastii Ming” – czyli gdzieś tak między 1368 a 1644). Jest też miły lokalny klasyk organizacyjny: najpierw dostajemy darmowy bilet, potem nam go przedzierają, następnie zaś sprawdzają, czy mamy przedarty, darmowy bilet. Chyba w tysiące idzie liczba osób, która znalazła zajęcie dzięki temu uroczemu sposobowi organizacji pracy. Są tam też wolontariusze – uczniowie liceum. Mówią po angielsku, a z wizyty turysty cieszą się niczym Mao Zedong z nastolatki.



*We shit you not: to główna atrakcja muzeum,
jest nawet na bilecie wstępu*

Są atrakcje w okolicy miasta. Najciekawsze wydawały nam się groty z Buddami (Tianlongshan Grottoes), ale wobec braku informacji w hostelu, braku informacji od spotkanych turystów, złożyliśmy broń.



Budda taki buddyjski! W muzeum, nie w grocie

Jedzenie

Koło Chonghsan Temple znaleźliśmy lokal, który podawał makaron z kocich uszu. Niestety nazwa dania wzięła się z kształtu, nie ze składników. Zachwyty, za 7 RMB wielka miska pysznego makaronu w zupie. Niemniej, żeby zobaczyć w nim kocie uszy, wypadałoby zamówić też trochę baijiu.



Kocie ucho (drugie od lewej)

Kwaterunek

Jest jeden hostel w Taiyuan. Prowadzony przez emerytów. W bloku. Znalezienie go graniczy z cudem, nam pomógł Ozil z Datongu, ale bez takiego wsparcia, jeżeli nie wymiatacie po chińsku, to nie podolicie. Samo miejsce jest całkiem w porządku, toalety cywilizowane, sklepów w okolicy tony, Wi-Fi śmiga – przynajmniej jak na chińskie realia. Autobus numer 21 z dworca tam jeździ, ale powtórzmy: to miejsce jest nie do znalezienia bez pomocy lokalnych. A Taiyuan nie jest w ogóle miejscem, które należy wpisywać sobie w plan podróży po Chinach.

Na NIE

To typowe chińskie miasto, w najgorszym tego słowa znaczeniu. Tłok, ścisk, wrzask, syf, prymitywizm na każdym kroku. Zanieczyszczenie przerażające. Jeżeli akurat nie macie Złotego Tygodnia do zabicia, to nie jedźcie! Obecnie wszystko jest w stanie remontu, więc jeszcze dochodzą korki, irracjonalne trasy autobusów i pył związany ze skuwaniem starej nawierzchni, kładzeniem nowej i tego, że robotnicy palą przy tym pety. To taka wioska w betonie na kilka milionów ludzi, których styl bycia zatrzymał się w okolicach dynastii Ming, ale niestety, ich rozwój technologiczny poszedł nieco lepiej. Miasto ma koszmarną opinię pod względem kradzieży – ostrzegali nas niemal wszyscy, a niektórzy pukali się w głowę, że tam pojechaliliśmy. Jest to też chyba pierwsze miasto w Chinach, o którym wszyscy mówili nam, żeby uważać na taksiarzy, żeby za nic nie brać taksówek z okolic dworca, żeby odejść z kilometr i może dopiero łapać. Jaja jak globusy, ale niestety, na koszt odwiedzającego.

I Know What You Did Last November

[11.11.2014]

Listopad, delikatnie sprawy ujmując, nie należy do najprzyjemniejszych miesięcy w roku. Życie towarzyskie w Chinach, niezależnie od pory roku, nie należy do najbardziej rozwiniętych na świecie. Oto opowieść o tym, jak te dwa trendy się spotkały.

Wiadomego dnia w naszym budynku mieszkalnym odbyły się aż dwie imprezy halloweenowe. Jedną zrobili Amerykanie i zaprosili na nią studentów. Drugą – nasz australijski sąsiad, Matthew. Bilety wizytowe otrzymali nauczyciele narodowości innych niż amerykańska i wybrani studenci, których poziom pozwala na prowadzenie jakiejś konwersacji w języku powszechnie uznawanym za język wroga. Jego studentki okazały się gwarantować umiarkowany ubaw, ale szczęśliwie musiały przed 23 zameldować się w swych sypialniach (ciekawe, kto i jak to sprawdza). Potem pewnie będą snuły opowieści: ale na studiach zadymy były, ale się balety kręciły! Na razie były nieco przerażone tym, że pijemy piwo (chińskie, 2,5%) i inne napoje zawierające ALKOHOL (przejebane), ale może jeszcze trochę i któryś z nas będzie miał alimenty do płacenia (lub klinikę aborcyjną do odwiedzenia).

Znacznie większy wkład sił w budowanie pomostu Wschód-Zachód włożył jeden z chińskich nauczycieli, Jerry. Zanim Jerry zawitał na próg naszego sąsiada, odwiedził Amerykanów i wyszedł poważnie zdegustowany. Jak zeznał: „siedzą ze studentami, piją soki i colę, jedzą chipsy, nie ma żadnego alkoholu”. Bardzo podobało mu się to, że u nas Irasiad przyniosła dużą butelkę whisky. Potem jeszcze bardziej ucieszył się, że palimy i że nie mamy zamiaru przesadnie limitować mu dostępu do naszych papierosów. Z rozmów z Jerryem dowiedzieliśmy się, że nasi studenci to dowcip, że uczenie ich czegokolwiek to strata czasu, że i tak się nikt niczego nie nauczy. Nie mógł uwierzyć, że przygotowujemy lekcje, że lepimy jakieś materiały, drukujemy na własny koszt ćwiczenia, że w trakcie lekcji zabieramy telefony, że budzimy śpiących, a czasem nawet wypraszamy z sali, gdy ktoś prezentuje idiotyzm i chamstwo poważnie rzutujące na pracę grupy. Jerry fuchę na uniwersytecie traktuje jako niezłe zabezpieczenie finansowe – pensja taka sobie, ale pewna, za to prawdziwy hajs przytula w jakiejś prywatnej szkole biznesowego angielskiego. Tam przychodzą dorośli, oni chcą się nauczyć, więc ma to sens. Do tego, skoro sami za to płacą, to pewnie mogliby się nie ucieszyć, gdyby przychodził i na ich oczach, za ich pieniądze, walił sobie w puzon. W sumie bardzo miło nam się gadało z Jerryem, a dzięki tym rozmowom udało nam się odpowiedzieć sobie na pytania w stylu: dlaczego nasi uczniowie nie rozumieją, że czegoś od nich chcemy (większość) lub bardzo się cieszą, że przynosimy im ćwiczenia nieco ciekawsze niż średnia narodowa (mniejszość).

Jako akcent słowiański przyszliśmy na imprezę więcej niż przygotowani: po pierwsze trunkowo – przynieśliśmy limitowane edycje napojów, będące wynikiem pasji do rysowania połowy z nas. Po drugie dostarczyliśmy *drinking game* do *Evil Dead*. Już gdy pierwszy raz byliśmy u sąsiada, zauważyliśmy, że ma całą trylogię i że gatunek filmowy właściwy Halloween jest jego ulubionym. Gra przesadnie skomplikowana nie była. Piło się, ilekroć padło imię jednego z bohaterów, gdy kamera przybierała punkt widzenia duchów, ilekroć w kadrze pojawiały się drzwi piwnicy lub gdy ktoś ginął. Takie postawienie reguł sprawiło,

że chociaż oryginalne *Evil Dead* trwa jedynie 85 minut, to koło 2 w nocy bardzo się cieszyłem, że wszyscy mieszkamy w jednym budynku.



Plebejskie pomyje na Halloween

Drugie oblicze listopadowych dionizjów należy poprzedzić informacją, że od niecałego miesiąca nasz regiment zagraniczny powiększył się o Irlandkę imieniem Ciara (co wymawia się Kira, a przynajmniej ona nam tak mówi). Najpierw wydawało nam się, że Ciara będzie naszą nową koleżanką, potem chwilę, że nie, aż w końcu w środę zaprosiła nas do knajpy o nazwie Route 66, gdzie miał odbyć się quiz z atrakcyjnymi nagrodami, a wziąć w nim udział miały stada obcokrajowców z drugiego uniwersytetu. Wierzyliśmy w to, że odbędzie się quiz, dopuszczaliśmy możliwość poznania pracowników drugiej placówki oświatowej, ale w atrakcyjne nagrody wierzyć nam się średnio chciało. Nie chcieliśmy wyjść na chujowych i „na nie”, więc poszliśmy. Z nami dał się zabrać tylko Sheldon z Australii.

Spodziewaliśmy się jakiejś orzyganej nory, gdzie będzie nas siedziało z pięciu smutnych białych, w tle będą grali koreańską telenowelę, do picia zaś będzie ciepłe Tsingtao, a do jedzenia kacze głowy i wilgotne słone orzeszki (oczywiście w zajebistej cenie). I tak mieliśmy lekcje następnego dnia, więc wymówka przed siedzeniem po nocach była, ostatecznie ryzykowaliśmy, że zmarnujemy jakieś trzy godziny życia i kilka RMB.

Knajpa okazała się być czysta, cywilizowana i prowadzona przez Andrew – Chińczyka z Szanghaju. Prawdopodobnie istnieje jakieś prawo mówiące, że właściciel knajpy i barmani muszą mieć na imię Andrew/Andy. Chińczyków było niewielu, za to przyjezdnych dobrze ponad dwadzieścia sztuk. Nie grano żadnej muzyki, w TV nie leciała przasna melodrama. Gdy jeszcze okazało się, że na stanie jest jedna Polka, to już się cieszyliśmy, że przyszliśmy. A to był dopiero początek radości. Ze względu na uzależnienie od nikotyny wychodziłem sobie na zewnątrz. Ze mną wybywał pewien Brytyjczyk, więc ustaliliśmy dość szybko, co też nas interesuje i okazało się, że rzeczy w stylu stosunki międzynarodowe i parę krajów. Gdy potem wybieraliśmy drużyny, to się dobraliśmy, do tego Amerykanka i Irlandczyk. Już

na końcu pierwszej rundy dostaliśmy jakimś cudem frytki, chociaż nie wygraliśmy, ale jakoś za dużo mieli ich na barze. Po trzeciej – uczciwie zapracowany trunek wyboru, którym był koniak. Po czwartej jeszcze nas sąsiedni stolik poczęstował zwycięskim szampanem. Gdybym pomyślał, czegoś to jeszcze nie piliśmy tego wieczoru, a co mogłoby nam pomóc się pochorować, to ani chybi wybrałbym czerwone wytrawne.

Jednak radością nie były trunki, a ludzie. Ja zapomniałem, że to jest możliwe, że siedzi się w grupie dopiero co poznanych osób i można rozmawiać o czymś ciekawym, że są jeszcze jakieś inne tematy niż „twoje ulubione miejsce w Chinach”, „twoja ulubiona potrawa”, „czy kochasz Chiny?”. Że tam muzyka jakaś to norma, ale że można sobie z kimś gadać o konstytucji USA, systemie parlamentarnym, Statucie Westminsterkim, no to było po prostu niewiarygodne!!! O ile my z Sheldonem wróciliśmy o 23 (by nie testować tego, czy naprawdę u nas zamykają bramę kampusu na noc i potem wejść się nie da), o tyle królową nocy została nasza ulubiona obecnie Irlandka, która wróciła o 8 rano.

Ostatnim tomem tej trylogii był piątek. Jakoś tak się zgadaliśmy, że nam Sheldon przyjdzie pomóc z routerem, bo nie działało, więc przecież musimy zaprosić drugiego sąsiada, a teraz jesteśmy winni Ciarze, a jeszcze... Czwarta rano. Kurrrrrrrrrrrwa, znowu siedzieliśmy do 4 rano.

Powyższe wydarzenia dotyczą przełamywania tendencji braku życia towarzyskiego w ChRL. Co do listopada: w HeBei jest to miesiąc atrakcyjny podobnie jak w Polsce, czyli raczej umiarkowanie tropikalnie, ale za to od paru dni cieszymy się dość dobrym powietrzem. To nie przypadek: w Pekinie odbywa się szczyt APEC, więc żeby przywódcy obcych krajów nie zobaczyli prawdziwej twarzy Pekinu (co równoznaczne byłoby z tym, że ten ww. twarz by stracił), nakazano zamknąć fabryki, krematoria (poważnie) i ograniczono ruch samochodowy, w tym dostawy towarów do sklepów (tylko 0-3 rano, tym samym powodując czasowy niedobór niektórych towarów). Zakazano też palenia pieniędzy i kwiatów dla zmarłych, odpalania fajerwerków, zamknięto szkoły, ograniczono przyjęcia w szpitalach, dano ludziom wolne i zachęcono ich, żeby sobie pojechali na wakacje (szkoda, że ta tendencja nie dotarła też tutaj). Podobno opóźniono też włączenie ogrzewania do 15 listopada (co przy nieco ujemnych nocach bardzo nas cieszy). Wszystko to celem obniżenia zanieczyszczenia powietrza o 40%. Źródła nieco mniej oficjalne mówią, że ludzie się wkurwiają, a obroty w handlu solidnie spadły. Źródła oficjalne mówią, że mieszkańcy Pekinu ze zrozumieniem podeszli do kwestii pewnych utrudnień, bo szczyt APEC jest tak ważny, że kto by się tam przejmował, że brakuje mleka. Ba, nawet ludzie z Shaanxi podeszli ze zrozumieniem do zakazu palenia drewnem, bo co z tego, że zamarzają w swoich pięknych chatynach, skoro ich ogień pod kangiem mógłby spowodować, że szczyt APEC się nie uda i przywódcy obcych krajów nie zobaczą, jaki piękny jest Pekin.

My zaś dzięki temu ciągowi świątłych decyzji mogliśmy sobie przypomnieć, jak też wygląda niebo, że powietrze nie powinno pachnieć, a czasem nawet mogliśmy rzucić okiem (własnym metaforycznym lub kaczym) na kilkaset metrów do przodu. Jaja, po prostu nagle ten stan rzeczy wydaje się błogosławieństwem. Szczęśliwie, szczyt zaraz się skończy, więc Towarzysz Xi pokaże, jak bardzo kocha swoich rodaków (o nas to już nawet nie mówiąc) i przywróci cały przemysł na właściwe tory. Przerobiliśmy to miesiąc temu z okazji Złotego Tygodnia. W trakcie święta była piękna pogoda, bo wszystko niemal wyłączyli, za to potem Airpocalypse przez tydzień. Mamy więc realne szanse, że już za kilka dni powrócimy

na szczyty rankingów zanieczyszczenia powietrza.

Rozumienie czytanego tekstu

1. Kto jest ważniejszy dla Komunistycznej Partii Chin: ich obywatele przez wiele lat czy paru dygnitarzy z innych krajów przez kilka dni?
2. W oparciu o własną wiedzę, gazety i czasopisma oceń szanse Towarzysza Xi na wmówienie możnym tego świata, że Pekin jest kurortem o niskiej gęstości zaludnienia.
3. Dokonaj szacunków, ile osób umrze z okazji ograniczonego dostępu do służby zdrowia w stolicy Chin, a ile zamarźnie na śmierć w Shaanxi.

You've got to get to the stage in life where going for it is more important than winning or losing

[19.11.2014]

Moje życie tak się ułożyło, że mam wielu przyjaciół. Są wśród nich mężczyźni i kobiety, Polacy i obcokrajowcy, ludzie ode mnie młodszy i starsi. Niektórzy są z lewicy, inni z centrum, a są i tacy z prawicy. Wiele razy rozmawialiśmy o „Najważniejszych rzeczach świata”, a jeszcze więcej razy omawialiśmy pierdoły. Mam znajomych, z którymi rozmawiamy o polityce, innych od filmów, literatury, a jeszcze innych od piłki nożnej, a także takich, z którymi omawiamy geografię Azji. Można powiedzieć, że jest to bardzo niejednorodna zbieranina ludzi, ale jedno łączy wszystkie moich znajomych. Nigdy, w żadnej sekundzie naszej znajomości, nie rozmawialiśmy o badmintonie. Poważnie, nikogo to nigdy nie frapowało, więc gdy pewnego dnia nasi płacodawcy ogłosili turniej badmintona, nie miałem wiele do powiedzenia. Może jedynie tyle, że nie gram, nie interesuje mnie, miłego dnia! Oczywiście Amerykanie chcieli grać. Nie miałem zamiaru im przeszkadzać, tak samo jak nie przeszkadzałbym nikomu, żeby sobie wsadził jaja do sieczkarni. Niestety okazało się, że odpowiedź „nie chcę grać w badminton” jest nisko punktowana. Ba, w ogóle nie wchodzi w rachubę, bo dyrekcja chce, żebyśmy wszyscy pograli. Pogadaliśmy sobie. Głównie o tym, że nikt z nas nie gra w badminton i nie bardzo ma zamiar zaczynać. Okazało się, że kolektyw obcokrajowców MUSI wystawić drużyny. Nie jedną, ale całą serię drużyn. Czyli: singiel kobiet i samców, taki też debel, a do tego debel mieszany. Powtórzyliśmy:

– *Nikt z nas nie gra w badminton. Mnie się to zdarzyło po raz ostatni przed tym, zanim zaruchałem, czyli bardzo dawno temu. Nawet wcześniej niż odkryłem wódkę.*

– *Ale to takie zawody, żeby się integrować, żebyście lepiej poznali chińskich nauczycieli.*

– *To nie ma sensu. Koszykówka, nożna, ręczna, hokej, siatka – to tak. Badminton, ping pong, gimnastyka z szarfą – to nie. To nie są nasze sporty.*

W końcu daliśmy się namówić. To będzie turniej amatorów, nikt nie gra na poważnie, chodzi o zabawę, integrację międzynarodową. Razem z Matthew wpisałem się do debła męskiego. Kto mógł, ten uciekł, np. mój Aligator.

Turniej rozpoczął się 10 listopada, w poniedziałek. W nogach miałem sześć godzin (w Chinach nauczyciel nie powinien siadać), więc koło 18:20 człapałem do sali gimnastycznej. Tam powitała mnie reszta skazańców. Jak się dowiedziałem, nasza drużyna została nazwana Laowai. Podkurwiliśmy się nieco. To mniej więcej tak subtelne jak nazwanie drużyny złożonej z czarnoskórych graczy „Wedle” albo „Asfalty”.

Najpierw zobaczyłem mieszanego debła. Drużyna przeciwna okazała się być wcale profesjonalna. Ojebali naszą chyba do zera. Singiel pań. Do zera czy prawie do zera, różnica poziomów jak pomiędzy małopolską okręgówką a Borussią. Ja i Matthew, debel męski. Zapewne mogli nas zrobić do zera, może do dwóch. Zrobili sobie jaja, punktacja niby była taka ok, ale ilekroć nam się odbijali na więcej niż pięć punktów, to popełniali arcy niemożliwe błędy – wyrzucali lotkę poza kort po swojej stronie, ścinali pod siatką. Wynik mówił, że był

tam mecz, ale była tam tylko kpina. Wszystko to przerabialiśmy w otoczeniu naszych studentów i innych wykładowców, którzy rechotali ilekroć traciliśmy punkt.

Z tej okazji zaproszenie na drugą część turnieju skonsultowałem z Matthew – w końcu jesteśmy drużyną. I z innymi. W środę jakoś nikt nie chciał grać. Ostatecznie Matthew wysłał kierownicze informację, że jest chory, a gdy potem chciano mnie sparować z Amerykaninem, odmówiłem. Ogłoszono nam, że jeżeli nie zagramy, to nas usuną z turnieju. Pogodziliśmy się z tą sankcją.

W czwartek okazało się, że musimy grać.

– *Przecież usunięto nas z turniej za oddanie meczu walkowerem.*

– *Ależ nie, zagrali za was Amerykanie. Dzisiaj jednak wy już musicie zagrać.*

Koledzy z USA przesadnie szczęśliwi nie byli, że dzięki naszej absencji mogli przegrać kolejny mecz.

– *Skoro nie mieliśmy szans w pierwszej rundzie, to jak mamy grać w trzeciej?*

– *Damy wam łatwych przeciwników.*

– *Hmm, a to nie miał być turniej? Jak to „dacie nam łatwych przeciwników”?*

– **DOSTANIECIE ŁATWYCH PRZECIWNIKÓW!!!**

Przez cały turniej nie mogłem zobaczyć sobie terminarza ani rankingu. „Graj!”, mówili. W czwartek urwaliśmy seta przeciwnikom. Nawet byli na naszym poziomie, może trochę wyższym, ale nie była to sromotna przegrana jak w poniedziałek. W piątek mogliśmy urwać seta. Przy stanie 16-14 serwowałem i sędzia przyznał mi punkt. Czyli 17-14, czyli koniec. Ponieważ nie uważam, że sport jest wyznacznikiem długości mojego kija, poprosiłem o powtórzenie:

– *Yyyyyyyyyyyyyyyyyy? – zareagowała sędzina.*

– *Zjebałem, przeciwnik poprawiał naciąg w rakiecie i nie był gotowy, więc nie mógł tego odebrać.*

– *YYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYYY?*

– *Przed serwowaniem powinienem się był upewnić, że on jest gotowy. Powtórzmy to!*

– *Wygraliście!*

– *Nie chcę wygrać w ten sposób, powtórzmy tę zagrywkę.*

Cofnięto punkt i przegraliśmy 18-16.

Teraz taki mały test:

- Czy siedzę, płaczę i pluę sobie w brodę, że nie wziąłem tego punktu i seta?
- Czy też uważam, że przyjęcie takiego punktu byłoby nieuczciwe i zaprzeczałoby jakiegokolwiek znanej mi definicji sportu?

Nasi uczniowie bardzo się ubawili, że poprzegrywaliśmy (jeden mecz debel mieszany wygrał). Podobno ubaw był na cały kampus. W trakcie lekcji nawet mnie łaskawie poinformowano, że nie umiem grać. Bardzo to wszystko miłe, subtelne, przyjazne.

Jestem już w Chinach prawie dwa lata. Do wielu rzeczy się przyzwyczaiłem. Zawsze wydawało mi się, że różnice w temacie demokracji, wolności słowa i praw obywatelskich będą tymi najważniejszymi. Okazało się, że nie, te sprawy w ogóle nie są dla mnie problemem i właściwie ani przez chwilę mego pobytu tutaj nie były. Problemem jest praca, a raczej podejście ludności tutejszej do tejże. Chińczycy męczyli mnie wieloma aspektami ich rzeczywistości, ale do krańcowego wkurwu doprowadzili mnie (i innych) tym, że zaprosili nas

na badmintona. Nigdy, w jakichkolwiek dziejach bawienia się w różne sporty nie potraktowano mnie tak, jak przy tej okazji. Zamiast tej cudownej team-buildingowej właściwości, jaką zazwyczaj ma sport, badminton okazał się być wielce destrukcyjny i wkurwiający. Już tak na marginesie, raz złapaliśmy sędziów na oszukiwaniu w punktacji. Bardzo się obruszyli, gdy Matthew wydarł się na nich. Zapewne stracił twarz, bo kultura przecież wymaga, żeby pozwalać się oszukiwać. Można powiedzieć, że jako obcokrajowcy bardziej się zaprzyjaźniliśmy, bo przez tydzień naszym głównym tematem i problemem było, żeby się wypisać z tej cudownej imprezy sportowej.

Pragnę przypomnieć IO w Seulu w 1988, a także MŚ w piłce nożnej w 2002. Jakie wtedy były piękne jaja. Nie, współzawodnictwo, uczenie się od siebie nawzajem, zabawa, mile spędzony czas, to nie interesuje jakoś przesadnie ludzi w tej części świata. Tylko wygrana, w jakimkolwiek stylu i w dowolny sposób. A jak im powiesz inaczej, to wyśmieją cię i dołożą starań, żeby sprowadzić cię do swego poziomu, a przynajmniej dołożą ku temu wszelakich starań. I o ile jeszcze przy Igrzyskach Olimpijskich walka idzie o dożywotnią emeryturę, o tyle w naszym turnieju główną nagrodą mógł być jedynie talon na balon. Ale i tak przecież nie mogło to wyglądać w żaden inny sposób. Gdy byliśmy bliscy urwania seta naszym przeciwnikom, kolesie dostali ciężkiej nerwicy. My tam w ogóle byliśmy zaskoczeni, że udało nam się dojść do tego poziomu. Badminton jest ich sportem narodowym, drugim po pinglu. Okazało się, że po tygodniu zabawy bez żadnego trenera i nawet nie znając do końca reguł, jesteśmy w stanie zagrać całkiem wyrównany mecz z ludźmi, którzy od lat żyją tym sportem.

Warto też zaznaczyć, że cały turniej miał klauzulę niesamowitej ważności. Maile, smsy, telefony, wszystko musiało się udać. Jakież to odmienne od podejścia do naszej pracy, bo gdy zgłaszam, że coś w sali nie działa, to zazwyczaj odpowiedzi nie ma lub czekam na nią ponad tydzień. Gdy skarżę się na zachowanie uczniów, to moje maile są ignorowane. Gdy wysłałem niedawno egzaminy końcowe, to nawet tego nie zauważyli i potem mnie o nie pytali. Ale jeżeli chodzi o turniej, żeby się podbudować, to oczywiście wszystko biegiem i od razu.

W tym kraju wszystko zostało wypaczone do granic absurdu: internet jako okno na świat? Takiego z wąsem! Edukacja? Nawet nie kpijmy. Odpoczynek i wolne? Masowa walka o bilety i miejsca w hotelu. Turystyka? Byle po zakupy i żarcie, po co czegoś się nauczyć. Socjalizm? To znaczy zamordyzm i kapitalizm w stylu Dickensa. Sport? Sport stworzono tylko po to, żeby Chiny zawsze wygrywały. To jedyny cel dyscyplin sportowych.

Nana or: How I Learned to Stop Worrying and Love the IELTS

[19.11.2014]

Jedna z naszych uczennic, Nana, bardzo chce jechać studiować do Irlandii. Wiemy, że pochodzi z bogatej rodziny. Wszyscy nasi uczniowie są bogaci, a ona jest bogata nawet jak na standardy naszych uczniów. Źle się nie ubiera, tanich rzeczy nie ma, jakoś strasznie upośledzona intelektualnie nie jest, ale kombinuje. I to ze wszystkim. Jej kombinowanie, żeby niczego w życiu nie zrobić, kosztuje ją więcej wysiłku niż po prostu zrobienie tego, co zrobić ma. Pierwsze trzy tygodnie nie chodziła na zajęcia i przeżyła wielkie rozczarowanie, gdy dowiedziała się, że jej tego nie usprawiedliwię na gębę.

– *Ale ja byłam na weselu!*

– *Trzy tygle?*

– *Tak, tak!*

– *Sorry, nie.*

Kiedy indziej chciała dostać obecność i iść do domu. Bardzo długo zajęło mi wyjaśnienie jej, że nie może tak być. W końcu odeszła śmiertelnie obrażona. Prawie tak samo obrażona jak wtedy, gdy zabrałem jej telefon, na którym grała w diamenty. Potem musiałem jej zabrać drugi telefon, bo grę kontynuowała. Przyznam, że nawet się uśmiełem.

Nana nie jest w stanie zrozumieć tego, że IELTS to egzamin o standardzie międzynarodowym i że ze swym poziomem wiedzy go po prostu nie zda i nikt jej tam nie przepuści z racji tego, że ma bogatych rodziców, rozplacze się, czy robi słodkie oczka. To znaczy zda, bo IELTS oblać się nie da (dostaje się notę z zakresu 1-9), ale tej wymarzonej 6, która jest jej potrzebna do studiowania w Irlandii nie dostanie. Musiałaby usiąść i się pouczyć, ale Nana jest na to za cwana. Ostatnio nie było jej tydzień, bo pojechała na jakiś kurs intensywnego angielskiego (w końcu osiem godzin w tygodniu to za mało). O kursie wiemy, że był bardzo drogi i że po nim spokojnie dostaje się 6 z IELTS.

Nana dostała 5 z mówienia, słuchania i czytania. Z pisania dostała 4,5. Cud, że tyle, bo nie tak dawno poprawiłem jej HAUS na wersję nieco mniej germańską. Już chwilami nie mam siły wyjaśniać jej, że przymiotniki i rzeczowniki mają pewną funkcję w języku, że końcówki słów pisze prawie wszystkie bez pudła źle i że w ogóle nie bierze pod uwagę moich komentarzy odnośnie do jej wyników. Że jej mówienie to mały problem przy jej pisaniu. Niestety nie jestem w stanie jej przekonać.

Każde podejście do IELTS kosztuje około 1800 RMB. Co więc należy zrobić, gdy dostało się ze wszystkiego 5, a z pisania 4,5? Zapisać się na kolejny termin. 6 grudnia.

– *Nana, czy myślisz, że w miesiąc podniesiesz się ze wszystkiego o 1, a z pisania nawet o 1,5? Jeszcze widzę, że absolutnie nic nie robisz. Mówiliśmy ci, że możesz przyjść do nas po lekcjach i coś ci pomożemy, możemy ci dać trochę więcej ćwiczeń, już takich stricte pod egzamin.*

– *Aaa, źle się czułam tego dnia i dlatego mi nie poszło, w grudniu zdam!*

Myślę, że centrum egzaminujące powinno postawić Nanie pomnik albo przynajmniej wmurować tablicę pamiątkową. Nie wiemy, ile razy próbowała, ale wiemy, że więcej niż kilka. Za każdym razem 1800 RMB jak krew w piach. Nie, że mnie żałowano na edukację, ale jednak

ma matka raczej nie powitałaby z radością pomysłu łożenia na egzamin, którego zapewne nie jestem w stanie zdać. Kusi mnie zaproponować Nanie, że ja jej za połowę tej ceny podam wyniki z kolejnego podejścia. I jeżeli nie zmieni nastawienia, to z kilku następnych. Ale co ja tam wiem, jestem głupim, upierdliwym laowaiem, który kiepsko gra w badmintona, a ona jest mądra, cwana i będzie miała, co chce i się przy tym nie umęczy.

Żeby przedstawić pełen obraz naszej społeczności uczniowskiej, pozwolę sobie przybliżyć przykład nieco bardziej pozytywny. W innej grupie mamy Betty. Ona początkowo też kładła laskę na wszystko, ale w październiku ugrzmociła 5,5, czyli prawie, ale nie. Z mówienia nawet 6, ale listening tylko 4,5. Betty postanowiła nie pchać się na kolejny termin przed styczniem i obecnie walczy o koronę najlepszej uczennicy. Zemdląłem niemal, gdy dwa tygodnie temu spytała, czy może przychodzić także na moje inne zajęcia, bo chce się więcej nauczyć. Oczywiście się zgodziłem i Betty spędza obecnie cztery godziny każdego poniedziałku, oglądając mnie i robiąc notatki z moich nudnych lekcji. Ostatnio o 16 miała wyuczoną całą lekcję z 10 rano. Co jakiś czas zaprasza nas na wspólny posiłek, żeby poćwiczyć mówienie. Nauczyła się chyba całej struktury testu i przerabia ćwiczenia we własnym zakresie, a czasem prosi, żeby jej dać więcej, bo w książce jest za mało. Jeżeli jej pasja utrzyma się do stycznia, to obstawię jej wynik u bukmachera i nie stracę na tym. Oczywiście nigdy nie gra na telefonie. Być może ma mniej zamożnych rodziców i ci po chamsku wypomnieli jej puszczenie w kibel 1800 RMB.

You see, we're on a mission from God

[1.12.2014]

Z racji rozwoju życia na tle czysto rozrywkowym (jest knajpa, gdzie się wszyscy importowani ludzie spotykają) udaje nam się wcale niemało dowiedzieć o rzeczach wcale poważnych, zazwyczaj raczej przypadkiem. Liczni biali, niektórzy mieszkający tu znacznie dłużej niż my, olśnili nas, że nasi amerykańscy współpracownicy są tutaj z pewną misją. Konkretnie: od Boga. Niestety do wykonania ww. zadania obrali styl raczej Torquemady niż Blues Brothers. Oprócz tego, że uczą wiadomego języka, mają nieść w to zateizowane, komunistyczne społeczeństwo światło wiadomo jakiej wiary.

A zaczęło spotykać B, zrozumieliśmy czemu tak bardzo próbują się przyjaźnić ze studentami, biorą udział w każdym możliwym idiotyzmie i czemu oglądają *Lilo i Stitch* w ramach lekcji. Okazało się, że mają najpierw tworzyć taką miłą aurę – a to sobie pokopiemy w piłkę, a to pojemy razem chrupki z colą w Halloween, a to patrz jakie fajne filmy lubię i jaki ze mnie zajebisty nauczyciel, a potem gdzieś, jakoś niepostrzeżenie: „Mam dla ciebie książeczkę o Bogu, tylko nie mów nikomu!”. Potem zaś wchodzimy w etap najważniejszy.

– *Podobała się książeczka?*

– *Jasne, że się podobała!*

W końcu dostałem(-am) od mojego dobrego kolegi/koleżanki, z którym(-ą) gram w piłkę, jem chrupki w Halloween i dali mi najcenniejszy prezent świata w sekrecie, a to jeszcze prezent o Bogu! Ja pierdolę, ale dobrzy ludzie! Teraz więc możemy się zacząć modlić przed jedzeniem, a potem sobie wspólnie pójść do kościoła.

Temat „Czy modlisz się przed jedzeniem?” przerobiliśmy tu wszyscy po naście razy. Okazało się, że to taki test. W ciągu pierwszych paru tygodni pytano nas po jakieś naście razy, czy modlimy się przed jedzeniem. Wiedząc, co wiemy teraz, rekrutacja idzie nieźle, wybierają najlepszych uczniów i wpajają im nawyki odprawiania dziękczynień przed spożywaniem posiłków. Niestety nie ze wszystkimi się udaje i dzięki temu udało mi się wysłuchać opowieści o tym, że było tak fajnie, przyjaźnili się z amerykańskimi nauczycielami, książeczka się nie spodobała, no i nagle przyjaźń się skończyła.

Chryste nazareński, ale to będą jaja, jak im się uda stworzyć Chińczyków-chrześcijan na poważną skalę. Będzie chrześcijaństwo z chińskimi charakterystykami, skoro już mamy taki socjalizm, to właśnie tego jeszcze w tym wielkim cyrku brakuje.

Dowiedzieliśmy się też, że nasi amerykańscy znajomi mają zakaz integrowania się z innymi obcokrajowcami, bo po pierwsze żaden sukces zrekrutować jakiegoś np. Australijczyka (przecież w Australii tej opcji nie brakuje), a jeszcze to ich by ktoś mógł przekonać, że dziwki, koks i wóda. Do tego większość dorosłych osób ze świata zachodniego reaguje dość nerwowo na próby przekonania ich, że „Bóg, honor, ojczyzna”. Wyjaśniło to, czemu zawsze bardzo miło nam się gada, gdy się spotkamy przypadkiem gdzieś na kampusie, ale za to za nic nie przychodzą na nasze imprezy, a na swoje nas nie zapraszają. Wydaje nam się, że początkowo mieli wielkie plany i nadzieje związane z tym, z jak smutnego i katolickiego kraju pochodzimy, ale gdy dowiedzieli się o naszych preferencjach dotyczących życia wiecznego, to sobie podziękowali.

Fascynująca jest ta tendencja wielu wierzących, by uszczęśliwiać swą religią tych, którzy nie dostąpili łaski wiary. Czy to islamiści, czy to chrześcijanie, czy wyznawcy Moona, oni wszyscy muszą pomagać innym. Potem się mówi, że świat jest przegrany, bo ludzie chleją, biorą narkotyki i słuchają Slayera. Wolę, żeby się przy mnie prostytutowała cała dywizja Armii Czerwonej, niż żeby mi jacyś nowo narodzeni śpiewali *Kumbaya* i dawali książeczki o Bogu.

A teraz odwróćmy nieco zasady gry: wpierdalam się w kraj chrześcijański. O, np. do Polski. Należę do jakiejś organizacji religijnej w stylu fani Lenina, Cthulhu albo Wielebnego Moona. Łażę po kampusie studenckim i im gadam o Leninie, socjalizmie i co mi tam przyjdzie do głowy. Toż by mi w godzinę jaja do kija przybili jak w *Germinalu* i przez następne pół roku brali je na tournée po kraju, żeby sobie inni zakodowali, że takie pomysły są bardzo niezdrowe. Lezie mi do czaszki takie pytanie: dlaczego ogólnie jest OK jechać do odległych krajów i mówić o Jezusie? A jakoś dużo mniej OK jest jechać do odległego kraju i opowiadać ludziom o neopogaństwie i Latającym Potworze Spaghetti? Bo ja mam straszne problemy z dostrzeżeniem różnicy, w końcu wiara, nadzieja, miłość, rzeczy wielce wymykające się racjonalności. Pewnego dnia moi amerykańscy współpracownicy wrócą do kraju i mają realne szanse na pławienie się w sławie niosących światło jedynej słusznej wiary niewiernym. O rany, jacy geroje, w ateizmie pożyli i walczyli z demonem chińskiego komunizmu, nawrócili ludzi, co krzywo korzystają z toalety i wody po sobie nie spuszczają, ależ wynik! Dawajcie kolejne dotacje na ten szczytny cel! Musimy zanieść światło Jezusa do Korei Północnej, Zairu (nieważne, że go już nie ma) i jeszcze do Albanii. Zdążymy przed obiadem.

Wiemy, że nasi nie są jedyni, że ich organizacja wysyła także nauczycieli na inne chińskie uniwersytety. Pewnie nie jest to jedyna taka organizacja. Zastanawia mnie, ile myśli rocznie Komunistyczna Partia Chin poświęca tematowi chrześcijaństwa. Pewnie mało, a jako człowiek pochodzący z kraju indoktrynacji katolickiej w miarę wiem, że z komunizmu do religijnej wiary wcale nie jest bardzo daleko. Oczywiście nie mam zamiaru pisać listu do Najlepszej Partii Świata w tej sprawie. W końcu oni wiedzą wszystko najlepiej. Udało im się już pozbyć Falun Gong i buddyzmu, na pewno równie gładko pójdzie im z chrześcijaństwem i islamem.

[9.12.2014]

Wiedzą powszechnie dostępną jest ta dotycząca wolności internetu, a raczej braku tejże, w Chinach. Kiedyś wydawało mi się, że chodzi o to, żeby ludzie nie czytali o wolnym Tybecie, potem dowiedziałem się, że władza wołałaby im ograniczyć możliwości poszerzania wiedzy o Turkiestanie Wschodnim, jak i o największej chińskiej wyspie.

Potem dane było mi odkryć, że jest parę portali społecznościowych, które są tu zablokowane. Jeszcze jakiś rok temu jęk irytacji wywoływało u mnie konieczność dostępu do większości blogów za pomocą różnych sztuczek. Od jakiegoś pół roku jednak tango idzie na całego. Po pierwsze – Google i wszystkie jego usługi. Dla osób, które nie mają szczęścia mieszkania w Chinach (polecam zwłaszcza zapalonym sinofilom): proszę sobie przestawić wyszukiwarkę z najpopularniejszej świata na Yahoo lub Bing. Ale nie, nie na zwykły Bing, na Bing.cn. Nie, przez Onet sobie też nie wyszukacie – jedzie na Googlu. Dalej, chcielibyśmy gdzieś lecieć, w sumie nie wiemy dokąd, ale mamy wolne i chcemy zobaczyć, gdzie też może być tanio, więc nie, Google Flights też sobie nie używamy. Hmm, a może chcemy zarezerwować nocleg, korzystając z najpopularniejszego portalu w sieci, czyli Hostel World? Zarezerwujemy, ale niestety, już mapki okolic hostelu sobie nie oglądniemy, bo Google Maps. Aha, wolicie wyszukiwarki niezależne, np.. Duck Duck Go? To zacznijcie woleć inne, bo od paru miesięcy i Duck nie działa. Działa Blekko. Słyszeliście kiedyś o tym? My też nie, ale daje wyniki w miarę rozsądne, jeżeli chodzi o język angielski. Jeżeli chodzi o język polski, to tematu praktycznie nie ma. Jak wspomniałem, Bing idzie od razu na chiński, Yahoo jest jedynie anglojęzyczne, Blekko podobnie. Znaczący, można sobie szukać po polsku, życzę powodzenia!

Tak mi się życie poskładało, że przypadkiem mam tablet. Najwięcej używam go do grania i nauki chińskiego (na bardzo drugim miejscu). Jest to produkt raczej przaśnej firmy Prestigio, działa na Androidzie. Przeważająca większość aplikacji jest na Google Store. Google Store nie działa. O ile same pliki do instalacji mogę sobie pobrać po proxy, o tyle jeżeli coś chce się uaktualnić, to niestety nie da się. W efekcie niektóre rzeczy nie bardzo chcą mi działać, inne nie odpalają się po instalacji, bo nie mogą się zalogować. W sumie, jak uda mi się coś zainstalować i to działa, to jestem pod niezłym wrażeniem. Póki co jeszcze nie udało mi się skonfigurować tabletu przez proxy – nie łączy mi się i cześć. Z podobnym problemem borykają się ludzie z telefonami na Androidzie.

Jedną z dość przydatnych funkcji jest chmura internetowa. Niestety, używany przeze mnie Dropbox od jakiegoś czerwca nie działa. Miałem tak fajnie zrobione, że wysyłałem przez niego zdjęcia rodzinie, a i tu na miejscu dzieliliśmy się plikami poprzez ten serwis – jak masz 40kB tekstu, to szybciej tak niż mailem czy przenosząc go na USB. Niestety, kaplica. Taka sama kaplica większości pozostałych serwisów hostingowych, np. SkyDrive Microsoftu, którego używałem do backupu niektórych rzeczy szkolnych.

Z mego nauczycielskiego punktu widzenia BBC ma na swojej stronie pełno audycji, które są świetne, idealnie „po brytyjsku”, ciekawe, tylko wybierać i czasem edytować. No to koniec, od chyba października BBC jest zablokowane, chociaż czasem wchodzi. Taka gra w chińską ruletkę.

Ostatnimi czasy odkryłem, że nie działa strona z dodatkami do Firefoxa. Niestety słownik języka polskiego w Firefoxie byłby przesadnym zagrożeniem dla Chińskiej Republiki Ludowej, więc legalnie pobrać go nie można.

Większość obcokrajowców zмага się z problemem, sprawiając sobie VPN lub łącząc się przez serwer proxy. My też, problem jest tylko taki, że od mniej więcej 8-9 rano do 23-północy nasz internet jest w trybie retro i otrzymujemy prędkości w stylu 3kB/s przy ściąganiu pliku z serwera pocztowego, a na wyniki wyszukiwania czekamy po kilka MINUT!!! Pytaliśmy Gary'ego, czy jeżeli zapłacimy nieco więcej, to czy nie dałoby się zrobić, żeby to naprawdę działało. I nie mieliśmy na myśli oglądania filmów z YouTube'a, tylko jakieś podstawowe rzeczy związane z internetem. Trudno powiedzieć, co odpowiedział, chyba, że da się, ale wiemy, że chociaż się dało, to się nie udało.

Gdybym miał to rozpisać, to każdego tygodnia wszyscy tracą przynajmniej ze dwie godziny na zabawy z internetem. Poważnie. Dwa dni temu znalazłem sobie w Yahoo ładny obrazek i chciałem go do lekcji. Miał 1982kB. Po włączeniu proxy, przelogowaniu przeglądarki, nie byłem w stanie wczytać go w całości przez kolejne 20 minut. Wczytywał mi się do połowy, połączenie się zrywało. W końcu wziąłem komputer pod pachę i poszedłem do kawiarni poza kampusem. Tam internet logował mi się około pięciu minut, ale w końcu dostałem obrazek. Mówimy o jednym obrazku, który jest mi potrzebny do dwóch minut lekcji. Ja takich obrazków czasem potrzebuję kilkadziesiąt na tydzień. Jaj se nie robię, naszym znajomym zdarza się jeździć do Starbucksa w centrum miasta, około czterdziestu minut w jedną stronę, bo wiedzą, że jak tam siądą na godzinę, to zrobią tyle, co w cztery tutaj. Nam też się zresztą zdarzyło.

W efekcie z panującymi prędkościami i standardami internetowymi, ponieważ od mniej więcej północy do 8 rano internet działa dobrze, we wtorki – mój odpowiednik niedzieli – wstaję o 6 i robię, co chcę, zbieram obrazki i prezentacje do lekcji. Kiedy indziej siedzę do 2-3 i korzystam z tego, że mogę coś zrobić, pobrać potrzebne mi rzeczy i nawet złamać prawo, oglądając strony na Blogspocie. Powiedzmy, że każde z nas traci tygodniowo około dwóch godzin przez to, że chiński internet jest gówniany. Tak naprawdę tracimy o wiele więcej, bo np. mój tablet loguje się po kilka minut, a często w ogóle odmawia połączenia, ale powiedzmy, że dwie. Czyli na nas dwoje to będzie cztery – mamy internet przez kabel, więc jednorazowo tylko jedno z nas korzysta z niego. Razy 54 tygodnie w roku. Wychodzi 216 godzin. 9 dni. **DZIEWIĘĆ DNI Z ŻYCIA ZMARNOWANE NA PIERDOLENIE SIĘ W ZABAWY Z CHIŃSKĄ CENZURĄ!** W ciągu tych dziewięciu dni (nie odliczając na sen, bo jednak duszenie F5 wymaga bycia na chodzie), moglibyśmy zaczytywać się w Dostojewskim, oglądać Bergmana, uczyć się chińskiego, drapać po ptaku i żreć kaczki. A najlepiej wszystko to jednocześnie.

Chcielibyśmy też poinformować cenzurę, że nasi studenci, ten kwiat narodu, są tak głupi, że nie są w stanie nawet znaleźć na mapie Tybetu, a co dopiero mówić o jego uwalnianiu. W sumie chińska cenzura wyświadcza swym obywatelom pewną przysługę, bo wpuszczenie ich na Facebooka, Twittera albo Pinteresta zaowocowałoby takim polewem z obywateli wielkiego mocarstwa, że przez następną dekadę obywatele świata tylko by z nich solidnie różnęli głupa, a w końcu i tak by im pablokowali IP.

Mam takie jedno małe życzenie: żeby ogłaszali z wyprzedzeniem, co i kiedy zablokują. Dzięki takiej polityce wiedziałbym, czy warto zakładać konto w jednym lub drugim serwisie, czy jest po co, ile go będę mógł używać. I w jakiej skali. Bo, że Skype ogólnie działa, ale nie na telefonach i tabletach, to odkrycie wcale nie tak dawne. Przynajmniej dla mnie. Zastanawia jednak, po co to blokują? Po chińsku jest raczej chiński internet, a dzięki systemowi edukacji, większość uczniów nie jest w stanie zrozumieć nawet prognozy pogody po angielsku, o nawoływaniach do walki o wolny Tybet i raportu o zanieczyszczeniach nie wspominając.

Mam też pewną wskazówkę dla wojowników sieci: wspierajcie chińskie, ale tylko po tym, jak go sobie poużywaliście. Żadnego Google, tylko Baidu. Żadnego YouTube'a, tylko Youku (to należycie docenicie, jeżeli interesuje was muzyka nieco mniej popularna). Powiedźcie po miesiącu, jak wam się spodobало. Dowiedziałem się ostatnio od pewnej Słowaczki, że internet w Chinach jest o wiele lepszy niż na Zachodzie, bo tutaj NSA nie śledzi. Rzeczywiście, jest to wielka zaleta, podobna do opowiadania o tym, że w łaarach było zasadniczo lepiej niż w USA, bo przecież każdy miał pracę, bałandę i dach nad głową.

Czytać albo nie czytać? Oto są pytania!

[17.12.2014]

Jakiś arcydebil (podejrzewam, że zwany tu dla niepoznaki rektorem) wymyślił, że studenci pierwszego roku muszą mieć zajęcia każdego dnia. Zapewne, żeby czuli, że śruba jest konkretnie dokręcona. Mnie z tej okazji jebnął zaszczyt lekcji w niedzielę o 16. Mój Aligator ma tego dnia jeszcze gorzej, bo o 10:10. Pocieszające jest to, że zajęcia z pierwszym rokiem są super. Zazwyczaj wszyscy są obecni. Jeżeli kogoś nie ma, to sprawa urasta do rangi dramatu, płaczu i miliona wyjaśnień. Niestety grupy są wielkie, po 50 osób. Jeszcze bardziej niestety – według naszych uczniów jest super, bo przecież w liceum byli w klasach takich, że po 70-80 sztuk narodu (z czego połowa nie potrafiła pisać, a potem poszli na Hebei Finance University). Ogólnie wszyscy uwielbiamy te grupy, bo im się chce. Poziom bywa dramatyczny, nasza amerykańska koleżanka omdlała, gdy odkryła, że jej grupa nie zna słowa „pen”. Jeżeli podałbym dwieście dziwnych słów do nauczania się na za tydzień, to przynajmniej połowa opanowałaby je wszystkie, inni daliby radę zrobić setkę i obiecali dorobienie reszty na potem, a góra jakieś 10% położyłoby na to łagę. Aż mi się wierzyć nie chce, że zazwyczaj staram się nie przekraczać dziesiątki i kładę im, że znajomość języka nie polega na wiedzy o tym, jak jest „śruba o trzpieniu motylkowym”, a na tym, że można się porozumieć na setki tematów i że jak się nie rozumie jednego słowa, to jeszcze nie znaczy, że nie da się dogadać.

Według moich obliczeń, mają oni łącznie 18 godzin rekolekcji naukowych tygodniowo, więc dałoby się to zrobić w trzy dni, no ale rozbijają im na siedem i raczej nie pozwalają na zmiany (próbowałam). Z racji zbliżających się egzaminów, wszystkich moich uczniów pierwszego roku zaopatrzone w materiały przygotowawcze do tychże. Tak się złożyło, że wielu z nich miało je na ławkach. Z racji tego, że wszystko u nich się snuje, to sobie przejrzałem. Do dzisiaj szlocham.

Materiały przygotowawcze, to 300 (słownie: trzysta, był kiedyś taki film) odpowiedzi bez pytań. Już tak koło piątego widziałem, że to musi być narodowy standard, bo żaden ze znanych mi chińskich nauczycieli nie byłby w stanie napisać takich rzeczy. Poszukałem i [tu jest to wiekopomne dzieło](#). Zmarnowałem kawałek życia i przejrzałem. Oto the best of the beast. Nie mogłem się powstrzymać i popisałem też swoje refleksje:

When asked about the ongoing uproar involving U.S. President Bill Clinton, most people say the affair involves a purely private matter . But many other people regard his actions as deplorable. I personally think the president committed impeachable offences.

Moi studenci pierwszego roku urodzili się koło 1994-1995. Clinton jest dla nich taką przeszłością, jak dla mnie Andrew Jackson. Gdybym im pokazał fotę Clintona i pięciu siwych facetów, to by go tam nie znaleźli. Instytucja impeachmentu jest dla nich tak fantastyczna, jak liczby urojone dla sześciolatka. Niemniej kusiło mnie zapytać, czy może jakiś chiński przywódca popełnił „impeachable offences”. I jak też ta procedura wygląda w Chinach.

There is every reason to believe that China's resumption of sovereignty over Macao in 1999 will proceed smoothly.

To było 15 lat temu. Poszło *smoothly*, zostawili na swoim miejscu, co zastali i się nie posypało, a każdego dnia ludzie walą stadami bawić się w hazard. Z jakiegoś powodu (takiego, że nauczyciele są zbyt leniwi, żeby cokolwiek aktualizować) rok 1999 jest przyszłością.

Gone are the days when Chinese people could expect cradle to death support from the government.

Niestety. Jeszcze 40 lat temu mogli liczyć na to, że śmierć im zapewni kochana ojczyzna, np. wylewając wrzątek na łeb. Teraz muszą się sami postarać, kupić termos i się wykończyć.

It is widely acknowledged that extensive deforestation contributed to heavy summer flooding. Experts argue that China must introduce a massive afforestation program. But I doubt whether afforestation alone will solve the problem.

Tak, ja się zgadzam, że samo sadzenie drzew nie wystarczy. Trzeba jeszcze przekazać narodowi, że nie musi sobie brać jednorazowych pałeczek do każdego dania. Kiedyś była akcja, żeby może ich nie używać na taką skalę, ale chyba się nie powiodła. Przynajmniej nie tutaj, bo na szkolnej stołówce nie brak miejsc, które za punkt honoru stawiają sobie wydanie pałeczek do każdego posiłku.

One corrupt politician does not suggest that all politicians are bad. Any such presumption is totally misguided.

Dlatego właśnie od wschodu przez środek i cały zachód aż z powrotem na wschód niemalże KAŻDY nienawidzi polityków. Niezależnie od wieku, wyznania i kraju pochodzenia, niemal wszyscy mają ich za pasożytów i uważają, że nie potrzebują ich do szczęścia.

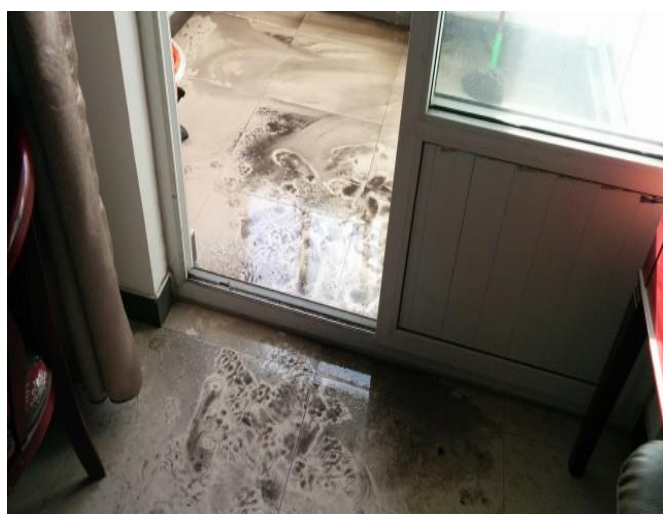
It is essential to heed warnings of potentially catastrophic consequences associated with the Year 2000 computer bug and, in turn, to attach top priority to finding effective solutions to ensure a smooth transition into the new century.

Jeszcze bardziej *essential* jest opracowanie nowych pytań, bo te mają przynajmniej piętnaście lat! Zapraszam do lektury pozostałych odpowiedzi, chociaż jest to zajęcie raczej nużące.

[23.12.2014]

Jest taka reguła, którą Chiny umiarkowanie się chwala, a którą, mieszkając tutaj, odkrywa się dość szybko, zwłaszcza jeżeli nadchodzi zima. Znaczna część kraju nie ma ogrzewania centralnego, dokładnie wszystko, co jest na południe od rzeki Huai. Wiąże się to z tym, że kiedyś nie mieli wystarczająco energii elektrycznej. Teraz mają, ale przecież przyjemniej posiedzieć sobie w zimnie albo mieć włączoną klimatyzację. Szczęśliwie, u nas na północy centralne ogrzewanie jest. Działo od 15 listopada, wszystko było fajnie do zeszłego czwartku. Najpierw zepsuło się u Sheldona, więc zgłosił, że obawia się, że ma problem i że może by to ktoś naprawił. Nastąpiła typowa sekwencja zdarzeń: przyszedł facet i stwierdził, że ogrzewanie nie działa. Bo przecież obcokrajowiec może się nie znać, a ogrzewanie może działać. No więc okazało się, że jednak naprawdę nie działa. Warto zaznaczyć, że jeżeli macie przed oczyma hydraulika z pornosów, to tutejszy wygląda nieco inaczej. Powrócił następnego dnia, tym razem z narzędziami i pomocnikiem. Oczywiście jakoś przesadnie się nie zapowiadali, więc takie „surprise!!!” właśnie wtedy, gdy Sheldon zbierał się na zajęcia. Zajęcia nie zając, pan Wang rzucił się do naprawiania. Z petem w ustach i plując na podłogę. Jego pomocnik tak sobie stał, gapił się i podawał narzędzia, w razie potrzeby włożył na drabinę, gdyż był całkiem wysoki. Taki to miał zapał, że aż zapomniał zakręcić wody. W efekcie ledwo odkręcił kaloryfer, z rury solidnie pociekło. Czarną wodą. Coś tam ponaprawiał, ogrzewanie ruszyło. Po jego wizycie Sheldon miał:

- zapach dymu w całym mieszkaniu (średnia radość dla osoby niepalącej), w tym w suszarni pełnej ubrań;
- zapluta podłogę w sypialni;
- nakiepowane tam, gdzie akurat popiół upadł;
- no i piękny wyciek czarnej wody w różnych miejscach.



*Przygotowania planu do filmu
„Kolejny Powrót Potwora z Czarnej Laguny”*



Jaki kraj, taki Wang Gogh

Żyliśmy w strachu, bo ledwo naprawili u Sheldona, zepsuło się u nas. Czekaliśmy parę dni z naiwną nadzieją, że się samo naprawi. Pomyśleliśmy, że naumyślnie przysłali największego fachowca, wiedzieli, że Sheldon opowie o jego wizycie i tym samym zrazi pozostałych do zgłaszania jakichkolwiek usterek. No ale się nie naprawiło, niespodzianka. Z drżącym sercem zgłosiliśmy awarię. Przystawiliśmy szafkę, wymyliśmy popielniczkę, przygotowaliśmy się psychicznie, zastanawialiśmy się nawet, czy nie przykryć łóżka folią. Jakież było nasze rozczarowanie, gdy pan Wang przez 40 minut nie zapalił, nie splunął i niczego nie zalał. Okazało się, że z kaloryferami u nas wszystko w porządku, ale po tym jak naprawił piętro niżej, to przy okazji zapomniał odkręcić zaworu na naszym piętrze. Zapewne wkrótce pan Wang będzie mógł przyjść i naprawić to samo piętro wyżej. Problemy z ogrzewaniem wpisały się w trend tego, co wszystkim się psuje – najpierw były zlewy, potem pralki, teraz ogrzewanie. Przyjmujemy zakłady, co będzie następne. Dowiedzieliśmy się też, że to nie dziwne, że wszystko się sypie – budynek ma w końcu już siedem lat. Zapewne na dziesiąte urodziny gruchnie z łoskotem i pogrzebie wszystkich mieszkańców.

Warto przytoczyć cytat, który – mamy nadzieję – uda się przekazać potomności. Gdy Gary zobaczył podłogę i cały ten chlew, to znaczy efekty działalności pana Wanga, przekazał Sheldonowi: „A, powiedz jakimś studentom, żeby przyszli i ci to posprząтали”. Rozwiązanie to wydaje się być najbardziej optymalnym w oczach chińskich nauczycieli. Swego czasu w Dongkou zasugerowano nam, żeby uczniowie zajęli się posprzątaniem naszej kuchni. Mnie zaś wyznaczono studentów na doradców bankowych. W ciągu ostatnich tygodni chciałem wymienić pieniądze, takie z Mao Zedongiem na takie bez Mao Zedonga. W jednym banku mi powiedzieli, że muszą zobaczyć jakieś zaświadczenie o zarobkach. W drugim, że muszę mieć kartę kredytową wydaną przez ich placówkę. Poszedłem więc do Gary'ego, żeby dostać pierwsze, ewentualnie zabawić się w drugie. Już tak wcześniej mieliśmy podejrzenia, że nie chcieli nam założyć kont, bo wtedy musieliby ponosić opłaty za przelew pensji, więc wychodzi im taniej ominąć ten etap, a że wszystko trwa dłużej, to przecież nie problem. Mnie *wsjo rawno*, ale jednak nie chcę być posiadaczem oszczędności w RMB, choćby dlatego, że najwyższy nominal to niecałe 20\$, czyli pieniądze zajmują jakieś pięć razy więcej niż w USD. Tak więc uderzyłem do Gary'ego, że może mógłby mi dać jakiś papier, że ja tu pracuję. Okazało się, że nie bardzo, ale przecież wystarczy, że wezmę jakiegoś studenta i to on mi wymieni walutę, używając swojego dowodu osobistego i konta. No cudownie, już pędzę do nich, żeby jechać z kimś, z kim mam zajęcia, machać przed nim lub nią kasą i prosić, żeby się podpisali. Myślę, że zanim byśmy wrócili na kampus, to już wszyscy wiedzieliby, ileż to pieniędzy mam. No i pewnie jeszcze straciłbym twarz, że tak mało.

[8.03.2015]

Po powrocie z wakacji zastaliśmy sprawnie działającą chińską maszynę zwaną naszym uniwersytetem – wszystko odbywa się punktualnie, wszelkie niedociągnięcia w stylu niedziałających komputerów zostały naprawione w trakcie przerwy zimowej, a przydzielenie nam dodatkowych koordynatorów korzystnie wpłynęło na jakość i atmosferę pracy. HA-HA-HA! TAKIEGO!!! A oto jak to było naprawdę.

Gdy wyjeżdżaliśmy na zimową przerwę wakacyjną, poinformowano nas, że musimy koniecznie wrócić do 25 lutego, żeby 26 móc wziąć udział w Bardzo Ważnym Zebraniu. Z jednej strony spodziewaliśmy się, co to będzie za zebranie, z drugiej dostaliśmy ponad miesiąc wolnego, więc nie wypadało nie wrócić na czas. Z żalem kupiliśmy bilety na 25, bo na 26 były o wiele taniej (koło 50\$ na osobę mniej). Wróciliśmy tak gładko jak jeszcze nigdy, wszystko punktualnie, nic nie zginęło na lotniskach, aż niewiarygodne, gdy wie się, jakie są realia latania w Chinach (8 na 10 samolotów ma obsuwę) i ile lotów wokół nas było opóźnionych.

Już 25 okazało się, że zebranie będzie 27. Świetnie, nie przepłaciłem solidnie za bilet po nic. Podczas naszej nieobecności mieli wymienić zamki w drzwiach. Być może dzięki temu udałooby się dać nam drugi klucz. niespodzianka: nie wymienili, więc dalej mamy jeden klucz na dwie osoby (bardzo wygodne, ale podobno się go nie da dorobić).

27 lutego, godzina 17, zaczyna się Bardzo Ważne Zebranie. Paru osób i tak nie było, bo jeszcze nie wróciły z wakacji. Rozsądni ludzie, nie to co my. Zebranie przebiło wszystkie, jakie odbyły się do tej pory:

- W jednej sali odbywały się symultanicznie dwa spotkania – nasze i jakieś chińskie. Mówiący musieli się przekrzykiwać.
- Udało nam się jednak dowiedzieć, że podczas sesji był audyt i miał parę uwag do naszej pracy. Jakich? Ludzie gadali ze sobą podczas sprawdzania egzaminów. Ktoś włączył złe słuchowisko na egzaminie (ludzie mieli pytania do innego). Niektórzy byli spóźnieni na różne lekcje i egzaminy.

Jęknęliśmy. Pierwsze – akurat my oboje sprawdzaliśmy egzaminy w pokoju z Chinkami. To jak one pieprzyły, to nie dało się wysiedzieć. Gdybyśmy torturowali plantację kanarków, to nie zbliżyłyby się one nawet na rzut kamieniem w skali jazgotu do tego, co prezentowały nasze koleżanki po fachu. Ale cholera, jak widziałem innych z naszej drużyny, to zazwyczaj siedzieli sami i nie mieli nawet z kim gadać. Oczywiście poza chińskim kolektywem, który był na całego przez dwa ponad dwa tygodnie egzaminowania. Słuchowiska przeprowadzali wyłącznie chińscy nauczyciele, zresztą nie sądzę, żeby ktokolwiek z naszych mógł sobie pomylić nagranie dla swojej grupy, bo my te grupy znamy, podobnie jak i swoje egzaminy. Oczywiście nie było sensu o tym rozmawiać, więc pokiwaliliśmy z zadumą głowami, że przejebane, że ktoś gadał i nie wiedział, co ma grać na egzaminie. Powtórzono nam też wielokrotnie, że mamy być punktualni. Akurat większość z nas przylazi dobre dziesięć minut przed startem lekcji, więc może udałooby się pani adresować takie skargi bardziej personalnie? Ja wiem, że w kulturze tutejszej dominuje kolektyw, ale nie mam zamiaru być pouczanym o tym, że mam być punktualny, skoro do nędzy ciężkiej jestem!

Potem dowiedzieliśmy się, że poza znanymi nam dokumentami, są i nowe. Jeden z nich to instrukcje do kursu dla studentów. 10 sekcji. Opisane głównie po chińsku. Mamy to sklecić i dać uczniom na zajęciach, a oni to podpiszą. Takie ogólne reguły zajęć, warunki zaliczenia, zadań domowych. Dobra, strona A4. Potem, że mamy pisać pamiętnik: po każdych zajęciach należy zapisać swoje przemyślenia. W jednym-dwóch zdaniach, oddać na koniec semestru. W sumie nie wiem, w jakim celu, ale dobrze, mogę pisać. Przydzielono nam asystentów, żeby nieco odciążyć naszą bezpośrednią przełożoną. Wygrałem dwie sztuki. Pierwsza, Xena, okazała się tak rozgarnięta, że wolalbym dostać losowo wybranego studenta.

– *W którym miejscu zaczyna się ten kurs?*

– *W którym chcesz.*

– *No nie bardzo, to jego drugi semestr, ktoś zapewne doszedł do jakiegoś etapu w tej książce, tam należałoby też kontynuować.*

– *Nieważne, nieważne.*

– *Dobrze, sam ustalę. Jak się rozbija ocena z tego kursu?*

– *Nie wiem.*

– *W zeszłym semestrze miałem podobny, szło 70% za egzamin, 15% – obecność, 15% – aktywność.*

– *Jak chcesz, jak chcesz.*

– *No nie do końca, bo ten kurs jest zatwierdzony przez jakąś radę i zapewne w jego opisie powinno być, jak się to rozbija. Jak mam napisać instrukcje dla uczniów, skoro nawet tego nie wiemy?*

– *Napisz, czy będą zadania domowe.*

– *Czy należy te zadania wliczać do oceny końcowej?*

– *Nie wiem.*

– *Czy mają one być pisemne, czy oralne?*

– *Nie wiem.*

Niestety mniej więcej w tym momencie spotkanie dobiegło końca. Okazało się, że w tej samej sali zaraz zacznie się następne. Na pustym kampusie na dwanaście tysięcy osób nie dało się znaleźć innego pomieszczenia, wszystkie zebrania musiały odbywać się w tym samym miejscu i czasie. Bo na pewno nie chodziło o pokazanie nam, że mają w dupie jakiegokolwiek ustalenia związane z naszymi zajęciami. W końcu chińscy nauczyciele przygotowują naszych studentów najlepiej, a my jesteśmy tu przypadkiem.

Mimo wszystko ilość dokumentów nie wydawała się przerażająca. W kilka godzin ogarnąłem to dla moich kursów, mniej więcej w sobotni wieczór miałem wszystko prawie gotowe. W poniedziałek wysłałem. We wtorek wróciła odpowiedź skierowana do wszystkich, że źle piszemy instrukcje do kursów, bo nie ma w nich informacji o tym, że – i tu litania. W załączniku nasze i chińskie, do tego tekst: „patrzcie, jak dużo piszą chińscy nauczyciele, bierzcie z nich przykład!”. Pięć stron po chińsku, nikt nie wie o czym, mogła sobie to być nawet instrukcja do pralki. Tak się to pisze, chamy!

Hmm, problem, że akurat w moich instrukcjach zawarłem wszystko, o co się słońce czepiasz. W załączniku dałaś pierwszą wersję dokumentu naszego kolegi, nie moją. Do tego on ci to wysłał z pytaniem, czy to dobre, a ty wysłałaś to do wszystkich, że złe. Ja bym się wkurwił, no ale on tu szerzy Jezusa już drugi rok, to może ma większe pokłady cierpliwości.

Może jednak pogadać o tym z nim, a jak piszesz do mnie, to odnieś się do tego, co dostajesz ode mnie? Bo ja nie wiem, co mam poprawiać.

Były jednak i inne perły. Z modelowego dokumentu dowiedzieliśmy się, że wprowadzić obecność mamy sprawdzać, ale ma ona nie wpływać na końcową ocenę z kursu. Czyli ktoś z 10 nieobecnościami i ktoś z jedną może dostać to samo. Że mamy podać dokładne daty paru rzeczy. A podacie nam dokładne daty świąt narodowych? Bo będą jakieś trzy, więc byłoby dobrze wiedzieć co na nie planujecie, czy lekcje przepadną, czy będą odrabiane. Ma być English Week, wtedy też zapewne nie będzie lekcji, ale może nam powiecie, kiedy to on będzie? Maile z takimi pytaniami są ignorowane. A odpowiedzi o rozkład świąt w nadchodzącym semestrze to chyba nawet Xi Jinping nie zna. Zrobiliśmy im te dokumenty tak pi razy oko, kilka godzin nikomu niepotrzebnej roboty. Szczęśliwie, moja druga asystentka okazała się dość ogarnięta i trochę mi pomogła z paroma rzeczami, których sam nie wiedziałem (w stylu: kodowe oznaczenie kursu, konieczne do zdania przedmioty, by można było na niego uczęszczać, na jakie można iść potem, wycena kredytów za zaliczenie przedmiotu).

Aligator miał mniej szczęścia, bo jej koordynatorka okazała się nie być w stanie znaleźć załącznika w mailu (poważnie), do tego pracowała w trybie psychozy – trzy dni ciszy, żeby nagle urodzić pięć maili, po których znowu dostała katatonii. W końcu się obraziła, co zostało powitane z radością.

Rekordem i podsumowaniem była rozmowa numer dziesięć o tym, jak te instrukcje do kursu mają wyglądać. Okazało się, że zasadniczo wszystko mamy napisane, ale dokument jest za krótki, bo ma tylko dwie strony, a powinien mieć pięć – chiński ma pięć. Nie bardzo było jasne, co też ma na nich być. Padło pytanie:

- *Hmm, czy to ważne, co tam damy, czy to tylko ma po prostu mieć około pięciu stron?*
- *Nieważne, ale nie może być krótszy.*

W końcu wlepiliśmy kawałek z innego dokumentu o lekcjach i wyszło pięć. Na pewno nasi uczniowie wiele z niego zrozumieją.

Poszedłem do kolegi, który miał jedną z moich grup wcześniej i pytam, co zrobili, w dziesięć minut się dowiedziałem. Pokazuje mu listy obecności, a ten szok:

– *Ja go oblałem! Jego też! Ona nie zdała żadnej części egzaminu i jeszcze jej dawałem za nieobecności! Czemu ty ich masz na tym kursie?*

W imię żelaznej logiki: skoro uczeń nie dał sobie rady z kursem na poziomie II, to na kolejny semestr należy go wpisać na kurs na poziomie III. Po tym, jak ja go zapewne obleję (bo już widziałem w kilku grupach taki poziom, że spokojnie wiem, co będzie z egzaminu), wpisany zostanie na poziom IV. Potem jeszcze gadałem z koleżanką z USA, ona ma tych, co ja uwalilem, a wcześniej – uczyła tę grupę rok temu – ona ich oblała. Nasza koleżanka z Irlandii zachowała większość swoich grup, więc nadal ma tych, których sama wyceniła raczej nisko. Uwalenie jej kursu z wiedzy o Irlandii było pewnym wyzwaniem, bo zakwestionowali jej większość egzaminu i odpadły pytania w stylu „kim był James Joyce?” i „co jest godłem?”. Uznano, że po semestrze nauki nie można wymagać takiej wiedzy od ludzi dwudziestoletnich, zamiast tego należy ich pytać o ulubione jedzenie i podróże, czyli mniej więcej to, co mają u nas. Podobnie wyglądał egzamin z business English – dostali pytania o jedzenie, bo tu jest szansa, że więcej osób da sobie radę. No ale niektórym i to nie pomogło.

Pomiędzy pisaniem tych wiekopomnych dzieł musieliśmy nieść kaganek oświaty. W miarę wiedziałem, czego się spodziewać, więc jakiegoś szoku nie przeżyłem. Pisaliśmy wszyscy, ci którzy przed nami tu uczyli też pisali, że da się jakoś przeżyć grupy po 50 osób, ale nie da się przeżyć tego, że ci ludzie nie mają robionych żadnych testów kompetencyjnych. W efekcie w niemal każdej grupie mamy rozstrzał dwóch-trzech poziomów. Do wyboru więc ma się albo nudzenie lepszych, albo robienie rzeczy za trudnych dla słabszych. Z czasem zapewne uda się opracować jakiś model współpracy, bo to samo było jesienią. Problem, że to zajmuje około miesiąca lub dwóch, a każde z nas wiedziało, na czym stoi w swoich poprzednich grupach. I tak jest lepiej, bo mam część klas po sąsiedzie, więc poszedłem do niego i mi powiedział, co mógł. Moje mają teraz Amerykanie, więc z kolei to ja im dałem cynk. Wykładnia jest taka, że dzięki zmianom nauczycieli uczniowie nie przyzwyczajają się przesadnie do jednego i nie uczą się, jak go robić w Jana. Ma to trochę sensu, ale ich metody kombinowania nie są jakieś wysublimowane, zaś nasze techniki nauczania znowu się aż tak dziko nie różnią, żeby nagle dostali kogoś robiącego coś w sposób cudownie eksperymentalny i całkowicie odmienny.

Po tym całym tangu z dokumentami prowadzenie lekcji jest dziką przyjemnością. Przez większość czasu lubię wystawać pod tablicą i się wydzierać, ale w minionym tygodniu miałem jakieś plus pięć do radości z życia, bo bycie w sali oznaczało, że nie musiałem odpisywać na przeróżne maile, zastanawiać się, czy mój syllabus się nadaje, czy też komuś się nie spodoba. Jednak w dwóch grupach wystąpił pewien problem:

- *Ten kurs prowadzony jest w oparciu o tę książkę, New Horizon 4.*
- *Nie, nie! Nam kazali kupić Viewing: experiencing English.*

Urwana nać!

- *Wyjaśnię to.*

Mail:

- *Z jakiej książki mam prowadzić kursy dla administracji biznesu i handlu międzynarodowego? Bo mi powiedzieliście i daliście Horizon, a oni wszyscy mają Viewing.*
- *Jak chcesz.*
- *Hmm, syllabus napisałem w oparciu o Horizon. Ten kurs ma jakiś standard, także zaliczenia i egzaminu. Naprawdę wam obojętne? Bo Viewing na mój rzut oka jest trudniejszy, chociaż chyba lepszy (pisane w oparciu o jakieś pięć minut oglądania książki pożyczonej od ucznia, bo wydział nauczania nie dał mi tego białego kruka).*
- *Obojętne!*

Pocieszamy się paroma rzeczami: drugi semestr jest w tym roku znacznie krótszy niż pierwszy. Są trzy święta, ma być jakaś wycieczka, może znowu wyczarują jakieś dni sportu. Jest już wiosna, więc najgorsza pogoda za nami, podobnie długość dnia ulega poprawie widocznej gołym okiem niemal z dnia na dzień. Przyjemnie nam się nawet łązi po kampusie, bo znamy trochę osób, więc zdarza się wymienić parę słów z byłymi uczniami. Złożyliśmy sobie obietnice, że nie będziemy się wkurwiać i że po prostu zrobimy wszystko jak plus minus chcą, z jakimiś małymi interwencjami zdrowego rozsądku, gdy już nie będzie się dało inaczej. Podczas wakacji jakoś nam się jednak zapomniało, że nikt nam na coś takiego tu nigdy nie pozwoli.

[8.03.2015]

Z cyklu „Czemu się warto męczyć z tym wszystkim”. Wtorkowy poranek, 10 z kawałkiem, pukanie do drzwi. Wciągnąłem szorty, bo jeszcze w gaciach siedziałem. Studentka imieniem Taylor (na cześć Taylor Swift, nie Elizabeth) przyszła ze swoim chłopakiem i przyniosła mi spóźniony prezent noworoczny: życzenia, wzorek na ścianę i symbolicznego kuaia. Miała też noworoczne ciasto, specjalnie od babci dla mnie, ale zostawiła w pociągu (sobie konduktor pewnie poszalał, siedzieli na zajezdni i żarli garściami). Już jej nie uczę, więc niczego na tym nie ugra, poza tym i tak była jedną z najlepszych w grupie, więc akurat bez wała żadnego dałem jej bardzo wysoko. Do kartki załączony list o tym, że jestem zajebisty.



Jaki pedagog, taka łapówka



Rok taki nowy, Mao taki wiekowy!

W czwartek znowu pukanie, tym razem wieczorową porą. Znowu Taylor z Jackiem, przynoszą mi kulki z masłem orzechowym, bo akurat było Święto Latarni. Szczęśliwie spodobały jej się obrazki lisów autorstwa Aligatora, więc jej daliśmy w zamian, bo już zaczynało być mi głupio, że tyle od niej dostaję (jeszcze wcześniej jabłka na Boże Narodzenie). Godzinę później byliśmy u sąsiada, spożywaliśmy piwo, z nami dwie studentki – jego były, moje obecne. Gdy otworzył piwo, padło jedno z moich ulubionych chińskich słów, 酒鬼, czyli „alkoholik”. Dokładnie znaczy to „duch alkoholu”, czyli, że ktoś tak chleje, że aż umiera i staje się od tego duchem. Biorąc pod uwagę, że przez trzy godziny zrobiliśmy po dwa chińskie piwa, to może nam się jeszcze nie udać zostać duchami. Poziom konwersacji agonalny, on często przeskakuje na chiński, a i mnie się zdarza słowo w języku Mao Zedonga wrzucić, bo pomagało. Przyszedł chłopak jednej z nich. Przyniósł całą menażkę kulek z czarnym sezamem na Święto Latarni. Wspólnie pojedliśmy, miał tego tyle, że nikt już nie mógł więcej, a nawet połowy menażki nie zrobiliśmy. Po 22 poszli, o 23 zamykają dormitoria. Sąsiad rzucił:

– *Cholera, nie wierzę, oblałem tego chłopaka, a ten mi łakocie przynosi.*

– *Mówisz mi, jak już zjedliśmy? Przecież pewnie do tej menażki szczało całe dormitorium, a potem ci to przyniósł!*

Piątek. Kończymy lekcje, spotykamy się przed budynkiem:

– *Nie zgadniesz od kogo dostaliśmy prezenty. Największy absurd świata.*

Zgaduję. Lecę piątką imion studentów, którzy pewnie każdego dnia rysują wielkie chuje na moim zdjęciu. Nie udaje mi się.

– *Od Mophiry – OD MOPHIRY? Mophira to mogła nam dać co najwyżej koce z dżumą albo odchody bawoła. Ledwo ją puściłem na egzaminie, tydzień przed się prawie popłakała, gdy jej wyrwałem telefon z ręki i przyszła mi truć po lekcji, że jak mogłem to zrobić i że zrujnowałem jej związek. Na egzaminie dostała totalny łomot, puściłem ją na minimalnych zdających.*

– *U mnie też ledwo zdała. Przyniosła takie szkatułki.*

– *Nie otwieraj! To jest pewnie nasączone jakąś prachińską czarną magią i nas zabije ledwo dotkniemy.*

Okazało się, że los obdarzył nas specjalnością naszego pięknego miasta Baoding. Kulkami do ćwiczenia nadgarstków. Dźwięczą melodyjnie, gdy się nimi potrząsa. Ważą w cholerę. No i biorąc pod uwagę, co ona o nas myśli, to zapewne zrobiła sobie z nich wcześniej kulki analne.

Sobota. Moja studentka mnie poszukuje. Dlaczego ja jej już nie uczę. Że wszyscy tęsknią. Że jak żyć. Umawiamy się wstępnie na jakiś wspólny posiłek.

Z jednej strony to nie jest typowy tydzień z życia nauczyciela uniwersyteckiego w Chinach – zarówno my, jak i nasi studenci wróciliśmy z przerwy świątecznej. Z drugiej, są takie dni, że nie wierzymy. Gdy jesteśmy pewni, że oni nas wszyscy nienawidzą i życzą nam śmierci, że nasze lekcje są dla nich synonimem nudy i beznadziei, że jesteśmy „laowai” do robienia sobie jaj, a nasza praca to rzucanie łajnem o Wielki Mur, nagle okazuje się, że nasza robota tworzy jakąś wartość dodaną, że dla niektórych studentów nasze lekcje są inspirujące, przyjemne, a obcowanie z nami ciekawe. O ile Chińczycy są ogólnie bardzo kurtuazyjni i bardzo rzadko mówią rzeczy niewygodne, o tyle noszenie nam prezentów i jedzenia to już znacznie ponad standardowy poziom grzeczności i bycia miłym.

[15.03.2015]

Niegdyś już wspominaliśmy o światłej decyzji chińskich władz, by zrezygnować z uczenia angielskiego w szkołach publicznych. Jeszcze w tym roku na chińskiej maturze angielski będzie wart 100 (z 750) punktów, za rok jedynie 50, by potem całkowicie zniknąć, zaś punkty zostaną rozdzielone między chiński i matematykę. Na miejsce angielskiego nie jest planowany żaden inny język obcy. Sprawa nowa nie jest, ale najpierw dowiedziałem się od mej uczennicy Zoe, że dzieje się tak dlatego, bo chiński stał się potężnym językiem. Zoe ma w głowie trociny, angielski zna tak, że zdarza nam się mówić do niej słowa po chińsku i jest tak mądra, że skacowana wydra pokonałaby ją w testach IQ, więc tylko potwierdziłem jej, że tak, to ma sens, cały świat się uczy chińskiego i właściwie lada chwila wszyscy będą mówili po chińsku.

Kilka dni później dowiedziałem się tego od innego ucznia, a w końcu podczas czwartkowego English Cornera opowiedziały mi o tym trzy studentki. Po drodze trafiłem na artykuł o tym, że mówiący po chińsku używają innych sfer mózgu niż ci po angielsku i ogólnie są zajębiści. Wiedziałem już, że obserwuję narodziny nowej narodowej pasji, czyli odkrycia tego, który język świata jest najpiękniejszy, najważniejszy i najlepszy. Odpowiedź tutaj nie brzmi, że paszto. Co jakiś czas pojawia się pytanie: czy chiński stanie się nowym angielskim? Odpowiedzi się różnią, ale z przewagą tych „na nie”. Oto pewna próba analizy zjawiska.

Po pierwsze, nie ma jednego języka chińskiego. Z oczywistości, Tajwan i Hongkong jadą tradycyjnym, w Kantonie jest kantoński, a w pozostałej części kraju oficjalnie mandaryński. Tyle że w większości kraju wspólny to jest zapis, osoba z południa często będzie miała kłopoty z dogadaniem się z osobą z północy (do poziomu całkowitego niezrozumienia nawet). Zapis jest jeden, więc od biedy mogą sobie pisać, ale najwygodniejsze rozwiązanie świata to nie jest. Ogólnie w Chinach są 292 języki, czyli w cholerę, w tym takie cuda jak ujgurski, tybetański, mongolski, całe rodziny języków, w obrębie których można robić profesury z lingwistyki. Polityka krajowa jest taka, że wszyscy muszą uczyć się standardu, edukację pobiera się w mandaryńskim. Zapewne dzięki temu trochę języków może zniknąć, ale nie sądzę, żeby martwiło to władze w Pekinie. W takiej Kanadzie od dobrych N-dziesięciu lat chucha się i dmucha na prawa ludności rdzennej, w Chinach chce się wszystkich asymilować do standardu pekińskiego i wbić im do głowy, co ich ojczyzną, a kto władzą. Język jest cudownym instrumentem do realizowania tego celu. Mandaryński jest pierwszym językiem największej liczby ludzi na świecie, ale te mityczne 1,5 miliarda można sobie włożyć między bajki. Wikipedia podaje miliard, ale trudno powiedzieć, czy uwzględnia to zjawiska takie, że Szanghaj mówi po swojemu, a Chengdu po swojemu. Niby daje liczbę trzy razy większą niż angielski, ale bajka jest taka, że przeważająca większość użytkowników chińskiego mieszka w Chinach, a angielski jest najbardziej rozpowszechnionym językiem świata. Chiński może się przydać np. w Malezji i w Tajlandii, ale to właściwie koniec listy miejsc, gdzie znajdziemy większą liczbę władających mandaryńskim. Oczywiście Chinatown jest w niemal każdym większym mieście świata, ale raczej będą tam znali język lokalny.

Nauka angielskiego jest – przynajmniej dla Europejczyków i hiszpańskojęzycznych – umiarkowanie trudna. Nauka chińskiego to dla większości horror. Jednej szkoły zasadniczo nie ma, niektórzy mówią, żeby zajmować się tonami, drudzy, że słowem pisanym. Przerobiłem sobie parę książek i w każdej co innego. Najpierw próbują człowieka zachęcić tym, że gramatyka bardzo prosta. Tak, to prawda, tylko że na tym koniec miłych rzeczy. Rzucenie luźnej wiązanki słów po angielsku zazwyczaj spotka się ze zrozumieniem, nawet jeżeli gramatyka zostanie totalnie porąbana, a wymowa będzie w stylu Borata.

Zaś co do chińskiego... Wszystko ma po naście znaczeń. Ludność nie jest często w stanie ustalić, co masz na myśli. Moim ulubionym słowem jest „piao”, które znaczy bilet, ale też chodzić do burdelu, więc jeżeli podchodzę do kasy kolejowej i proszę o *piao*, to na pewno chcę czegoś związanego z burdelem. Można zgadywać, czemu tak się dzieje: Chińczycy nie są przyzwyczajeni do tego, że ktoś może próbować po chińsku i może mu to nie wychodzić do końca. To kolejny punkt, który raczej nie pomoże chińskiemu w zdobyciu statusu angielskiego, czyli to, że ludność lokalna często wybiera to, żeby nas nie zrozumieć. Inną zabawą jest zadawanie nam pytań, aż w końcu dojdziemy do ściany i powiemy, że nie rozumiemy. Wygląda to tak:

- *Poproszę czerwoną herbatę bez cukru.*
- *Jaką herbatę?*
- *Czerwoną.*
- *Z cukrem czy bez?*
- *Bez.*
- *NANANANANANANANANANA.*
- *Przepraszam, nie rozumiem.*
- *Tarararara.*
- *Nie rozumiem.*
- *Och, nie umiesz chińskiego!*

Przerobiłem to wiele, wiele razy w uniwersyteckiej stołówce. Bywa, że mam ochotę podać im jedną z fraz, którą opanowałem dość dobrze (*caonima*, czyli „***** twoją matkę”). Kolega z Australii uczy się jak dziki, zapewne dlatego, że wkrótce bierze ślub z Chinką. Pewnego dnia zamawiał makaron z mięsem. Przejechał jakieś sześć pytań (czy solić, czy dać paprykę, jak osmażyć, czy więcej, czy mniej) aż w końcu powiedział sakramentalne *Ting bu dong* (nie rozumiem), by sprawić radość panu ze stoiska z jadłem. Mam trochę doświadczenia z innymi językami, np. z gruzińskim. Gruzini wychodzili z siebie, żeby pomóc mi w nauce, nawet gdy byłem w stanie powiedzieć jakieś drzazgi zdania, to robili wszystko, żeby mnie zrozumieć, upraszczali swój język, mówili powoli, używali gestów i jeżeli się dało, to przedmiotów pod ręką. W Chinach mam często poczucie, że interlokutorzy dokładają starań, żebym niczego nie osiągnął, mówią z prędkością karabinu maszynowego, długimi zdaniami i komplikując wszystko. Wielu Chińczyków robi ze swojego języka twierdzą jeszcze bardziej ufortyfikowaną niż musi ona być. Najlepiej i najłatwiej dogadać idzie mi się z facetem w sklepie z piwem i z większością ulicznych sprzedawców, za to moi studenci lubią wybuchnąć śmiechem, gdy im coś powiem po chińsku. Jest to trochę inne doświadczenie niż przybycie do kraju anglojęzycznego, gdzie tolerancja na potencjalne błędy osoby uczącej się jest dość wysoka. W Chinach zaś milion razy słyszałem już, że język chiński jest za trudny dla kogoś,

kto nie jest Chińczykiem i to niedziwne, że nie potrafię. Bardzo to zachęca do dalszej nauki i męczenia się. O ile nad gruzińskim przesadnie wiele nie siedziałem i trochę się nauczyłem i tak, o tyle nad chińskim, zwłaszcza na początku, siedziałem niemało, ale moje możliwości komunikacyjne są chyba nadal niższe niż w pierwszym języku Stalina. Nie sędzę, że przyczyni się to przesadnie do dzikiego rzutu ludzi na chiński.

Mówi się, że w angielskim nie ma prawdziwie startujących od zera – każdy coś umie. Z jednej strony jest to kwantyfikator europejski i pewnie jak weźmiemy chłopca z okolic Suwałk, to wiele nie umie. Z drugiej strony, tak mniej więcej jest. Ogromna ilość kultury (w przeważającej części tzw. niskiej), do której ludzie mają dostęp, jest właśnie w tym języku. Muzyka, seriale, filmy długometrażowe, ale też napisy na importowanych produktach. Gdy miałem lat 15, to słuchałem po nocach Black Sabbath, a gdy 16, to Slayera, zaś potem doszła cała reszta. Ponieważ trochę mnie interesowało, co oni tam krzyczą, to siedziałem ze słownikiem (jeżeli los obdarzył rozkładówką z tekstami, a jak nie, to wysłuchiwałem i sprawdzałem, czy usłyszałem coś, co może tam naprawdę jest). Ba, w roku 1992 wyszedł film *Powrót Batmana*, który to nie doczekał się polskiej dystrybucji kinowej. Napalony na niego byłem jak Arab na kurs pilotażu, a tu nie ma jak oglądać. W końcu okazało się, że jeden ze znajomych mej matki, pół-Anglik, pół-Polak, ma go w swych zbiorach, ale oczywiście po angielsku. Pożyczył mi, a ja sobie oglądałem i zrozumiałem z niego może jedną dziesiątą (z fabułą nie miałem problemu, bo komiks oparty na scenariuszu znałem na pamięć wiele miesięcy wcześniej). To wszystko motywowało mnie do nauki angielskiego lepiej niż jakiegokolwiek oceny i kazania rodziców lub nauczycieli. Myślę, że podobnie działał *Harry Potter* wiele lat później. I jeszcze kilka tysięcy innych filmów, książek i nuty.

Zaś co do kultury dostępnej po chińsku... O czym my mówimy, więcej filmów i książek znajdziemy z Rumunii. Chińska muzyka popularna jest koszmarem, który może zainteresować jedynie co bardziej sadystycznych śledczych ze Starych Kiejkut i Guantanamo. Dalej, pierwszy modem miałem w roku 1998. Jasne jest, w jakim języku był wtedy internet (i w jakim de facto jest do dzisiaj). Jeżeli coś się dzieje na świecie, to natychmiast wbijam na media anglojęzyczne. Kto i po co miałby wbijać na chińskie, skoro wszystko jest ocenzone i zindoktrynowane, a szybkość publikowania newsów jest na miarę XIX wieku? Nie sędzę, że chiński internet i kultura zmotywują wiele osób do poznawania języka Konfucjusza. Chińczycy lubią opowiadać o tym, że mają pięć tysięcy lat ciągłej kultury. Przy tym wszystkim udało im się sprzedać światu chyba mniej niż Mołdawia (od nich chociaż Dragostea i trochę wina, a nawet koniaku). Jeżeli już trafi się np. Jia Zhangke, który robi dobre filmy, to mu władza rzuca takie kłody pod nogi, że *Dotyk grzechu* to chyba widziało więcej osób w Polsce niż w Chinach. Ba, nawet takiego giganta jak Zhang Yimou moi studenci słabo kojarzą (o Chenie Kaige nawet nie mówię), więc są małe szanse, że zainteresują kogoś jego twórczością, a potem ten ktoś zafascynowany np. *Powrotem do domu* rzuci się uczyć chińskiego. Chiński mainstream filmowy jest tak fatalny, że nie ma szans przebić się poza granice kraju i w sumie dobrze, bo gdyby ktoś to zobaczył, to by się popłakał i złożył śluby, że do końca świata nie obejrzy już filmu z Chin.

Powiedzmy, że już nauczyliśmy się chińskiego (w wariacie mandaryńskim, kantońskim, a piszemy bez bólu w uproszczonym i tradycyjnym), mamy chińską żonę lub męża i stadko dzieci. Zakochaliśmy się w jakimś miejscu w Chinach (i nie jest to międzynarodowy port lotniczy). Chcemy zostać Chińczykiem. I w tym momencie widzimy

jednego wielkiego wała, bo ścieżki po obywatelstwo nie ma. Akurat większość (hmm, wszystkie?) kraje anglojęzyczne mają obłędnie wysoką tolerancję i przyzwolenie na imigrację. Może nie jest to pierwsza rzecz, o której się myśli, gdy zaczynamy się uczyć nowego języka, ale może też stanowić jakiś tam czynnik motywujący do nauki. W wypadku chińskiego, ten nam nie grozi.

Żeby było jasne: uczyć się zawsze warto. Czy to języków, czy składania modeli żaglowców albo tego, jak w warunkach domowych zrobić amfetaminę. Sam przeżyłem kilka radosnych momentów z racji walki z językiem chińskim – gdy udało mi się po raz pierwszy odczytać nazwę przystanku autobusowego, pętlę innego albo tak cenną informację jak „centralna rozdzielnia wody” na kampusie. Albo gdy po miesiącu pobytu samodzielnie zamówiłem sobie jedzenie bez mięsa. Ogólnie jednak sprawy ujmując, nie zostałem fanem języka chińskiego. Gdy przyjechałem do Chin ponad dwa lata temu, byłem bardzo zdeterminowany, żeby się nauczyć języka. Po ponad dwóch latach z mojej motywacji nie zostało absolutnie nic. W sumie już po jakimś pół roku miałem uwiad pały, bo będąc otoczonym przez chiński i Chińczyków nie byłem w stanie nauczyć się niczego w żaden inny sposób niż klikając sobie po słownikach lub słuchając samouczków. Problemem jest to, że często słownik podaje nam jakieś pięć wariantów słowa. Zgadywanką jest, która obowiązuje w tym akurat miejscu, gdzie nas los rzucił. Moje ukochane słowo, czyli „kaczka” w słownikach jest podawane jako *ya*. Wszyscy mówią *yazy* lub *yadzy*. Życzę powodzenia z poszukiwaniem Chińczyków, którzy wyjaśnią nam, dlaczego tak jest. Nawet mój chiński best friend David, który był czterdzieści razy bardziej ogarnięty od statystycznego obywatela, nie mógł mi wyjaśnić praktycznie niczego, co dotyczyłoby jego pierwszego języka. Nawet z moją mierną znajomością chińskiego słyszę, że *zy* wymawiają inaczej w Hebei niż w Hunanie. Czemu? Nie wiem.

Chiny są chyba najgorszym miejscem do zaczynania nauki języka, myślę, że o wiele lepiej pouczyć się ze dwa-trzy lata za granicą, a potem dopiero wbijać tutaj. Wtedy wiele osób odkrywa, że co działało świetnie w klasie, w ogóle nie działa w życiu, ale i tak łatwiej w ten sposób niż być rzuconym na głęboką wodę. Obecnie zdarza mi się nauczyć jakiegoś nowego słówka, ale wiem dobrze, że nie będę w Chinach siedział wiecznie, więc przesadnie się nie zmuszam. Moją ulubioną stroną nauki chińskiego są znaki (czyli krzaki), najbardziej znienawidzoną wymowa. Wielokrotnie miałem myśli, jak zajebisty byłby mój hiszpański, gdybym poświęcił mu tyle czasu i uwagi, co chińskiemu.

Jeszcze w temacie pisowni: kilkakrotnie już słyszałem, że współcześnie wielu Chińczyków pisze fatalnie, mylą im się znaki, innych nie potrafią zapisać ani nawet odczytać (widziałem to parę razy na własne oczy). W mojej szkole w Huainan raz w tygodniu wszyscy nauczyciele mieli lekcje pisania, bo rodzice skarżyli się, że to, co wpisują dzieciom jako oceny, to bełkot. Mówimy tu o ludziach, dla których jest to pierwszy język i o ludziach, którzy mieli wyższe wykształcenie. Efektem ubocznym całego zjawiska będą rzesze chińskich nauczycieli, którzy tracą pracę. Rozmawiałem ze wspomnianymi trzema studentkami anglistyki, dziewczyny są nieco przerażone tym, co będą robiły. Zwłaszcza jedna z nich szła na studia z myślą, że będzie potem uczyła w rodzinnej wiosce. Teraz musi sobie znaleźć inny sposób na przeżycie, no chyba że zna kogoś, kto zna pana dyrektora albo znajdzie szkołę prywatną. Coraz więcej Chińczyków odkrywa, jak bardzo cenna jest edukacja w ich kraju i dokłada starań, żeby wysłać dzieci za granicę. Oczywiście jest, w jakim języku mają tam studiować,

zwłaszcza, że najpopularniejsze destynacje to USA i Australia. Paradoksalnie, decyzja o porzuceniu angielskiego może nakręcić trochę osób do wysłania ludzi do szkół prywatnych.

Jak jeszcze o edukacji: nie słyszałem nigdy, żeby ktoś powoływał się na chińskie czasopisma naukowe. Kojarzę za to nieco opowieści o tym, że stan nauki w Państwie Środka jest katastrofalny i nie mam najmniejszego kłopotu, żeby w to uwierzyć.

Dominującym słowem w kontekście nauki chińskiego jest „biznes”, jak i wszystkie pokrewne: „możliwości”, „rynek” i przede wszystkim „pieniądze”. Wiele osób wierzy, że znajomość chińskiego pozwoli im na robienie wielkiego geszeftu w Chinach, a tym samym na zarobienie tyle, że będzie na ośmiorniczki na każdą kolację. Tendencja jednak wydaje się kończyć, a polityka władz jest raczej umiarkowanie przyjazna dla obcokrajowców. Pytaniem otwartym pozostaje, ile osób uczyłoby się chińskiego, gdyby nie panująca sytuacja ekonomiczna i wszystkie atrakcje z nią związane, w stylu dostępu do taniej siły roboczej i raczej radosnego podejścia do ochrony środowiska.

Czy chiński może zastąpić angielski? Dowcip. Czy może stać się językiem międzynarodowym? Może i może, ale nie sędzę. Swego czasu to Japonia była krajem inwestycji i wschodzących technologii (to Chinom nie grozi), a jakoś świat się nie rzucił do nauki japońskiego. Rola chińskiego na pewno bardzo wzrosła w ciągu ostatnich dekad, pytanie, czy to już opus magnum, czy też jeszcze nieco przybędzie użytkowników języka Konfucjusza. Obecnie ubywa ludzi uczących się chińskiego w USA. Zastanawia mnie, co miałyby przyciągnąć większe rzesze ludzi do nauki, gdyby zabrakło czynnika ekonomicznego. Nie widzę zbyt wielu powodów. Ba, chyba nie znaleźli ich też wodzowie innych krajów azjatyckich, bo gdy odbywał się wielkopomny szczyt APEC w Pekinie, to językiem obrad był angielski.

Przygotowuję się jednak mentalnie na to, że w najbliższych miesiącach wysłucham więcej opowieści o tym, że chiński jest najważniejszy na świecie i że tylko geniusze mogą nim władać. Nakręcania prymitywnego nacjonalizmu nigdy dosyć, a jakoś trzeba wyjaśnić to pożegnanie z angielskim. Przecież nie powiedzą prawdy, że nie chcą, żeby ludzie znali jakikolwiek język obcy, bo łatwiej im kłaść brednie do głowy, gdy nie mają jak dowiedzieć się czegokolwiek ze źródeł innych niż Pekin.

[24.03.2015]

Wspomniana niegdyś Zoe (ta, co ma trociny zamiast mózgu) zadziwiła nas wszystkich. Raczej nie na plus. Zaczęło się od tego, że musieliśmy iść do banku, żeby założyć sobie konta, bo inaczej nam nie zapłacą. To dalsze efekty tego, że mieli audyt w styczniu i podobno okazało się, że od roku 2009 uniwersytet nie prowadzi księgowości. Uporządkowanie tego sześć lat wstecz jest praktycznie niemożliwe, więc chyba zaczynają od teraz. Niestety nie wiem, jak można być państwowym uniwersytetem i nie rozliczać się z urzędem podatkowym, ale widocznie nasi przełożeni wiedzą, a przynajmniej wiedzieli do stycznia. W związku z tym wysłali nas, żebyśmy założyli konta. Znając już trochę Chiny, powstrzymałem naszą międzynarodową drużynę, by zrobić to od razu, bo miałem w pamięci historię naszego kolegi Harrisona, który po założeniu konta dostał info, że założył w złym banku i nie mogą mu tam przelać wypłaty, więc musiał zakładać drugie. Nie myliłem się, okazało się, że musimy mieć te konta w China Construction Bank. Szczęście w nieszczęściu, że sąsiad jest zaręczony z obywatelką Chin, zgodziła się więc iść z nami na tę pasjonującą wyprawę. Impreza trwała łącznie trzy godziny, bywałem już na lepszych. Najbardziej spodobała mi się część „sto pytań do”: czy mam żonę, gdzie i jaki uniwersytet kończyłem, czy mam dzieci. Delikatnie zapytałem Mandy, czy im to info naprawdę potrzebne.

– *Nie, to taka chińska specyfika. Muszą cię potraktować jak szmatę i wydusić z ciebie wszystkie możliwe informacje przy każdej okazji. Oczywiście, że im to do niczego niepotrzebne.*

Coraz bardziej lubię narzeczoną sąsiada. Po raz kolejny też kazano mi się podpisać parę razy używając obu imion. Szczęśliwie nie szczaili, że jakiś mędrzec uparł się pisać diakrytem w polskich paszportach, co już parę razy powodowało konfuzję w Państwie Środka. Nasz kolega Sheldon okazał się mieć za długie personalia, system nie chciał przyjąć, więc założyli mu konto na Sh. DRUGIE IMIĘ, TRZECIE IMIĘ, NAZWISKO. Trwało to wszystko, więc sobie gadaliśmy. Akurat o tym, że Mandy zaczęła chodzić na nasze lekcje, jest gwiazdą grupy. A raczej była. Podczas wielkiej bankowej odysei zadała mi pytanie:

– *Czy naprawdę powiedziałeś Zoe, że nie mogę przychodzić na twoje lekcje?*

– *Że, kurwa, co?*

Zoe, poza tym, że ma trociny, jest klasową „monitorką”, czyli przewodniczącą. Akurat w ich grupie wolę sobie wszystko załatwić z Wayne, który mówi i rozumie po angielsku, a nie z Zoe, która przychodzi, czyta z kartki, a potem nie rozumie odpowiedzi. No i Zoe z wysokości swego stanowiska powiedziała Mandy, że ja się nie zgadzam, żeby ona przychodziła na moje lekcje. To samo powiedziała drugiej dziewczynie, która była z innej grupy i na początku semestru poprosiła mnie o pozwolenie na przychodzenie na moje zajęcia. Dziewczyna też dużo dawała do lekcji, odpadły mi więc dwie bardzo dobre uczennice. W zamian mam Zoe i jej trociny, która jeszcze powiedziała do Mandy, że zupełnie nie rozumie, czemu ludzie chcą tak przychodzić na moje lekcje. Może dlatego, że jeżeli ktoś naprawdę wybiera się do Irlandii i naprawdę chce zdać IELTS na ludzką ocenę, to mu się trochę tego, co ja tam klepię, przyda. Ponieważ nie wszystkie grupy pobłogosławiono nauczycielem z obcych krajów, to ambitniejsi próbują chodzić na nasze lekcje, bo jakoś tak im wychodzi,

że może się to bardziej przydać niż *the Chinese way of teaching* (ostatnio grupa salę obok oglądała *Boxtrolls* w chińskich napisach). Zoe akurat mniej to wszystko ogarnia, bo nie rozumie 80% lekcji, ale jeżeli ktoś rozumie w takim stopniu jak ona nie, to mu się może trochę od tego poprawić. Do tego raczej nie torturuję ich najnudniejszymi ćwiczeniami, jakie ludzkość zna, tylko staram się coś pokombinować, przynieść tańczące koty albo jenota. Nie ucieszyłem się więc, gdy usłyszałem, że zabroniłem ludziom przychodzić na moje lekcje.

Poprosiłem Mandy, żeby przyszła i że zgnoję Zoe przy całej klasie, zarzucę jej kłamstwo, wkładanie mi w usta rzeczy, których nie powiedziałem, i tak straci twarz jak Nicolas Cage w *Face/Off*. Niestety Mandy powiedziała, że konfrontacja jest obca chińskiej kulturze i przestanie chodzić na lekcje, bo skoro Zoe jest monitorką i nie chce, to będą potem kłopoty. Ja powiedziałem jeszcze parę rzeczy, ale akurat używając słów, których Mandy nie poćwiczy w trakcie moich lekcji. Po tym wszystkim odezwał się Sheldon:

– *Ogólnie nie ma wielu osób na liście ludzi, którzy mnie wkurwili, ale Zoe udało się na nią wpisać.*

Jak to osiągnęła? W pierwszym semestrze była jego studentką. Egzamin z listeningu uwalila (dziwnym to nie jest). Dzień po ogłoszeniu wyników, o godzinie 21:35 Sheldon otrzymał od niej smsa:

– *Jesteś w domu?*

– *Jestem* – odpisał, myśląc, że może dzieje się jakiś dramat, schrzanił coś z ocenami, czy egzaminem. W sekundę później usłyszał pukanie do drzwi. Była to Zoe z dwójką znajomych. Przyszła mu zrobić scenę pod tytułem „jak śmiałeś mnie oblać? Jestem klasową monitorką! Nie wiesz o tym, że monitora nie można oblać?”.

Sheldon nie wiedział i zdobycie tej wiedzy średnio go wzruszyło. Zasugerował im oddalenie się w siną dal. Dodał jeszcze, że emisariusze mówili po angielsku jak Zoe, więc najpierw chwilę zajęło zgłoszenie pretensji, a jeszcze dłużej zrozumienie jego odpowiedzi, w której zawarł np. to, że nie może papieru oszukać i że jak zdaje się od 60, to znaczy, że trzeba mieć 60, a poza tym jest trochę późnawo.

Wspólnymi siłami ustaliliśmy, że Zoe jest z Pekinu, z raczej dość bogatej rodziny i zapewne przez większość życia nie skala sobie pracą rąk, do tego jest ładna, więc jeszcze do kompletu bez bólu złowi sobie samca. Przy tym wszystkim musi innym zatruwać życie, absolutnie bezinteresownie. Przecież ona nie będzie niczego miała z tego, że zabroni komuś przychodzić na moje lekcje, ale będzie się upajała władzą, że powiedziała dwóm osobom, co robić. Nieważne, że obie te osoby są intelektualnie lata świetlne przed nią i w miejscu, do którego ona nigdy nie będzie miała dostępu, bo jest na to po prostu za tupa. Jeszcze ją ostatnio chyba przesrało, bo powiedziała, że musi do toalety i czy może iść. Nie, rób tutaj! W końcu jak mogę wymagać od osoby dwudziestoletniej, żeby wysiedziała 50 minut zajęć? Poszła i nie było jej dobre 20 minut, więc albo dramat żołądkowy, albo grała na telefonie pod drzwiami. W sumie co mnie to obchodzi? Zoe to kwintesencja myśli dominującej w Chinach: zrobię ci na złość, bo mogę, bo mam władzę, jakkolwiek żalosa. Ja zdechnę jutro, ale ty już dziś – ta cenna zasada z pism Solżenicyna jest tu przez wielu wdrażana w życie z podziwu godnym zapalem.

Ja wiem już jedno: gdybym przeżywał przyływ pozytywnych uczuć do Zoe, to musiałbym się mocno nagimnastykować, żeby dać jej zdającą ocenę na egzaminie. Ostatnio olśniłem ją, że skrócona forma od „do not” to „don't”, nie „don'n”, jak myślała, już o paru

innych rzeczach łaskawie nie wspomnę. Biorąc pod uwagę, co o niej myślę teraz, to obawiam się, że i mojego kursu nie uda jej się zdać. Co gorsza ma też zajęcia z Aligatorem. Jest pewną sztuką uwalić już dwa egzaminy w marcu. Tym razem układ mieszkań działa na jej korzyść: będzie mogła odwiedzić nas oboje za jednym zamachem.

Intryguje nas fenomen monitora klasowego: za moich czasów w liceum wybierało się ludzi, którzy potrafili coś załatwić. Nasza przewodnicząca była w stanie wychodzić i wyprosić dla naszej klasy bardzo dużo, zawsze wszystko wiedziała, a do dyrekcji nie czekała w kolejce, bo tak ją dyrektor lubił, podobnie inni nauczyciele. W Chinach najczęściej wybierają najgorszą osobę w grupie. Sheldon miał niegdyś monitora imieniem Frank. Frank nie był w stanie powiedzieć niczego po angielsku, a w pewnym momencie okazało się, że ma kłopoty z pisaniem po chińsku. Po dwóch miesiącach nauczyłem się, że należy samemu wybrać sobie kogoś z grupy, wymienić się numerami telefonów i wszystko tak uzgadniać, bo w ponad połowie przypadków monitor będzie na poziomie Franka. W mej najlepszej grupie robili sobie z tego jaja i ciągle mówili, że przecież Joe jest monitorem, a ja zawsze wszystko załatwiam z Jasonem, który to monitorem nie jest. Odpowiadałem, żeby się przestali wygłupiać – Joe na pytanie „What's your major?”, odpowiedział mi „I like DotA” (*Defense of the Ancients*, jedna z ulubionych gier mojej młodzieży). Dzięki Zoe trochę lepiej zrozumiałem ten fenomen: jeżeli monitora naprawdę się nie ulewa, to jest to nieco humanitarne, że wybierają osobę, która zapewne nie dałaby rady zdać egzaminów w trybie normalnym. Po drugie, monitor ma przyjemność chodzenia na różne zebrania, które pasjonujące chyba nie są. I to do tego stopnia, że kiedyś mi uczeń powiedział, że już woli zostać na mej lekcji, niż tam iść, bo zebranie będzie trwało dłużej i jest tam jeszcze nudniej.



[24.03.2015]

Z atrakcji, jakie oferuje Baoding, na pierwsze miejsce zdecydowanie wysuwa się bar o nazwie Route 66. Wspominałem już, ale dla przypomnienia: piwo z importu, zachodnie drinki, prawdziwa pizza, do tego często dość duże zagęszczenie imigracji. Nasza irlandzka koleżanka Ciara tak ukochała to miejsce, że jest tam więcej niż często. Pewnego dnia zrobili jej urodzinową imprezę-niespodziankę. Jak to bywa przy takich okazjach, spożywano napoje wysokokowe, a z racji doniosłości wydarzenia natłuczono dość wiele zdjęć. Minęła impreza, minął kac po niej, wszystko wróciło do normy. Aż pewnego dnia Ciarę wezwano. Okazało się, że ktoś wrzucił zdjęcie na jeden z chińskich portali społecznościowych. Tam ktoś inny je udostępnił dalej i jeszcze dalej, aż doszło do kogoś z naszej uczelni. Ten ktoś wysłał je mailem do dyrekcji, mówiąc, że to skandal. Dyrekcja zaś uznała, że osobą, która najbardziej się nadaje do załatwiania takich spraw, jest Gary. Nakazano mu udzielić reprimendy Ciarze. Osiał opierdolu miało być to, że spożywa alkohol w miejscu, gdzie każdy może ją zobaczyć, a także, że utrzymuje kontakty z nauczycielami z innego uniwersytetu. Wezwał ją więc i powiedział, co powiedzieć musiał. Właściwie ledwie skończył, to zaczął przeproszać, bo eksplodowała i mu powiedziała, co myśli o paru rzeczach. Postanowiła nie kłaść uszu po sobie i nie przeproszać, tylko poprosiła o konfrontację z chińskim pedagogiem, który to był łaskaw wysłać to do dyrekcji. Podzieliła się także przemyśleniami o robieniu ludziom zdjęć bez ich pozwolenia, a potem wrzucaniu ich w net. Zadała też pytanie, czy w piątkowy wieczór jest w pracy i czy wolno jej wychodzić z uniwersyteckiego kampusu, czy też ma siedzieć cały czas w pokoju, jeżeli akurat nie jest w klasie. Potem zaś napisała maila do dyrektorki. Był to długi mail, z dużą ilością długich słów i wielkich zdań. Myślę, że musieli przy nim siedzieć ze słownikiem i to w kilka osób. Ostatecznie odpisali, że w sumie to nie wiedzą, o co im chodzi, i że nie ma problemu. Niestety, nie ujawnili tożsamości donosiciela. Ciara myślała, czy sprawę ciągnąć, ale w końcu w kilka mózgownic uznaliśmy, że wiele się z tego nie ugra. Jednak pomyśleli, że może za mało jej jeszcze atrakcji, więc z racji tego, że odwiedza ją kolega, przekazali jej, że nie może on u niej mieszkać. Bo nie mają ślubu i wprowadza to dyskomfort w życiu Chińczyków, którzy to dzielą z nami budynek. Nie sądzę, żeby ich to cokolwiek obchodziło, za to oni wprowadzają w nasze życia nieco niepokoju, bo kiepują na schodach i potrafią się drzeć w godzinach wieczornych. Znaczą chyba rozmawiają, ale czynią to we właściwym sobie stylu. Wymyśliłem jej, że kolega może przenieść swoje rzeczy do nas, a mieszkać dalej u niej. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy aby inni lokatorzy nie odczuwają dyskomfortu przez nas, bo my przecież też żyjemy bez ślubu, a i nasz sąsiad jeszcze nie zalegalizował związku. Bo na pewno nie ma to wszystko związku z tym, że nasz uniwersytet prosił Ciarę, żeby została na drugi rok, a ona się nie zgodziła. Myślę, że w ten sposób ją przekonają. Do tego, żeby się spakować przed końcem kontraktu.

Udało mi się wybrać na basen. Słyszałem legendy o chińskich basenach – że ludzie palą, pluą, stoją w wodzie i niczego nie robią, a lokalnym zwyczajem do niecki basenowej szczają dzieci. W końcu jednak zebrałem się i po wcześniej umówionej wizycie udałem się do luksusowego obiektu sportowego, w komplecie z trzema innymi osobami. Tam czekał pan ratownik, który pokazał nam wszystko. Przeraził nas tym, że temperatura wody wynosi 27

stopni. Szczęśliwie, okazało się, że to nieprawda, było normalnie. Pozytywny szok, wszystko czyste, nikt nie pali, ludzi mało i zachowują się normalnie. Pozwolili nam popływać sobie jakieś 25 minut i zasugerowali, że chyba już wiemy, czy nam się podoba. Ja byłem bardzo na tak, poszedłem do centrum obsługi klienta i zapytałem ile. Okazało się, że nie wiedzą, więc zadzwonią do właściciela. Ten nie odbierał telefonu, więc ostatecznie zostawiliśmy namiary do Mandy i poszliśmy. Zadzwonili dwa dni później. Trzymiesięczna możliwość korzystania z basenu to koszt... 900 RMB, czyli 562 PLN. Jakież 187 PLN miesięcznie. Zwiędłem. Aż taki fajny ten basen nie jest. Pewnie utargowałbym do 700 RMB, ale to i tak horrendalnie dużo, więcej, niż zapłaciłbym za kartę Multisport, która daje mi tytylę opcji, a nie jeden basen. Przypomniała mi się złota myśl pewnego Kanadyjczyka: „Chiny oferują jakość trzeciego świata w cenach z pierwszego”. To właśnie ten przypadek.

Innym jest kalifornijskie chardonnay z Walmartu. W USA trunek ten kosztuje 1,97\$, czyli jakieś 12 RMB. W Chinach jednak już 38. Można zrozumieć koszty transportu, ale bajka jest taka, że to absolutnie najtańsze wino, jakie oferuje amerykański Walmart (i zapewne najtańsze w USA). Przesadny hit to nie jest, ale w skali tego, co można dostać, to trudno trafić lepiej, zwłaszcza jeżeli chodzi o cenę – nawet chińskie białe wina są zazwyczaj droższe, a lepsze raczej nie. Chardonnay z RPA, Obikwa, którą w Polsce da się kupić za 19,50, a w najgorszym razie 24,50 PLN, tutaj kosztuje około 120 RMB, bywa po 90. I to jest właśnie chiński dobrobyt i bogactwo rynku – dopóki chcesz pić baijiu za 5 RMB i jeść makaron z krawężnika za 4 RMB, to wychodzi tanio i ze średniej pensji możesz sobie kupić wannę jednego i kontener drugiego. W momencie kiedy chcesz czasem czegoś lepszego i niekoniecznie lokalnego, to nagle okazuje się, że właściwie wszystko, co wykracza poza opcję przeżycia, wpada w kategorię towaru luksusowego i kosztuje horrendalnie dużo.

Musiałem sobie skołować nowy numer telefonu. Nie spodziewałem się problemów, chodzi o najprostszy numer prepaid, bez internetu, pakietu zdrowotnego i czego tam jeszcze. We wrześniu popełniliśmy błąd i pojechaliśmy we trójkę do centrum, do największego salonu w mieście. Sprzedanie nam po karcie SIM zajęło około 80 minut. Przy okazji skserowano mój cały paszport (wiza z Birmy się na pewno przyda) i próbowano sprzedać nam szczęśliwy numer telefonu za kilkaset RMB. Wybraliśmy nieszczęśliwy za nieco mniej. Nie chciałem się w to bawić po raz kolejny, więc poszedłem do sklepiku uniwersyteckiego. Kart leżą tam tony, tylko podać z koszyczka, zainkasować odpowiednią kwotę i tyle. HA-HA-HA!

Podejście pierwsze: nie sprzedaj mi karty SIM, bo nie mam przy sobie dokumentu. Podejście drugie: wróciłem parę dni później z paszportem. Nie sprzedaj mi, bo to nie może być taki dokument, tylko musi być chiński. No nie mam niestety chińskiego, obawiam się też, że nigdy nie będę miał. No to się nie da. Gdy w drodze powrotnej spotkałem kolegę z USA, to się chyba zdziwił tym, co usłyszał na dyżurne „jak leci?”. Podejście trzecie, w tym wypadku przydał się ich radosny stosunek do przepisów: napisałem na QQ pytanie, czy może ktoś z moich studentów nie wzięłyby na siebie karty SIM dla mnie. W 40 minut miałem trójkę chętnych. Sprzedający oczywiście wiedział, że jest to kupowane dla mnie, bo numer sam wybierałem, ale co tam, dokument jest, to jest. A że stan faktyczny jest całkiem odmienny? Drobiazg. Mogę teraz przeprowadzić jakiś obłądny atak terrorystyczny, używając tego numeru, a do więzienia pójdzie ma uczennica Grace.

Podobnie wygodne jest kupowanie biletów przez internet: musisz mieć chiński dokument. Ostatnio można to zrobić przez WeChat, ale patrz na punkt pierwszy (inna sprawa, że bardzo długo bym się zastanawiał, czy chcę wiązać moją kartę z kontem na WeChat). Nawet wcześniejsza pula biletów na święta nie dotyczy nie-Chińczyków, co skutecznie utrudnia życie – bo wolne mamy tak jak cały kraj, więc akurat wtedy chcielibyśmy sobie pojechać coś pozwiedzać. Tu oczywiście system też da się obejść, jeżeli znamy kogoś lokalnego i zgodzi się nam kupić bilet, używając swoich papierów. Kasa biletowa w centrum miasta? Nie obsługujemy niechińskich petentów, jedź na dworzec (kilka kilometrów dalej). Inna sprawa, że jeszcze we wrześniu sprzedawali, ale podobno coś się zmieniło. Tak często, tak bardzo mile widzianym człowiek się tu czuje!

To get rich is glorious

[3.04.2015]

Wiele aspektów życia w Chinach nas irytuje, ale nigdy nie był nim hajs. Ten zawsze płacono nam terminowo, niczym topowemu raperowi albo pani w hotelu na godziny. Przez ponad dwa lata wypłata nie spóźniła się nam nigdy. Także przez cały pierwszy semestr legalne środki płatnicze spokojnie spływały na nasze ręce. Po powrocie z przerwy zimowej okazało się, że musimy oddać się w szpony międzynarodowej finansjery żydowskiej w kolorze lokalnym i założyć sobie konta, wspominaliśmy już o tym dramacie. Po złożeniu numerów rachunków bankowych w biurze nastąpił czas oczekiwania na zbawienie. Ponieważ to ma tendencje do pewnych opóźnień, ograniczyliśmy się do oczekiwań na Mao Zedongi w liczbie zacnej. Zgodnie z naszym kontraktem, za płatne wakacje pod palmami. W chwili gdy donieśliśmy numery kont, to już widmo! Widmo zapłaty marcowej krążyło nad Chinami. A lutowej to już dolatywało do okolic Saskatchewan.

Był to poniedziałek. Potem okazało się, że nie mogą nam zapłacić, bo nasi amerykańscy koledzy nie mają założonych kont. Poszli i założyli. Dniem tym był czwartek. W piątek okazało się, że nam nie zapłacą z racji burz na słońcu. My jesteśmy tak kurewsko skąpi i zaprawieni w bojach z życiem, że przeżylibyśmy, żrąc piasek na Saharze. Jednak wielu naszych sąsiadów nie. Podniosły się głosy, że cały weekend zjebany, bo nie podali. Pojawił się projekt maila do kierownictwa. Napisał go nasz australijski sąsiad, Matthew.

Podobało nam się. Była krew, ogień i bluzgi. Znacząco niedokładnie tak, mail był w tonie: z jakiej to racji przestaliśmy być godni zapłaty? Rozszerzyliście nam zakres obowiązków i wszyscy to lykneliśmy bez słowa sprzeciwu. Nic tu nie działa, ostatniej kompetentnej osobie wylaliście wrzątek na głowę koło 1972 i teraz pracujemy z matołami, ale znosimy to godnie. Jednak aż tak godnie nie jesteśmy w stanie znieść braku gratyfikacji finansowej. W skrócie: gdzie nasz hajs? Wysłał to do łącznie dziewięciu osób. My, że wysyłamy. Amerykanie, że nie, bo oni są tu zatrudnieni przez organizację niosącą Jezusa i jak im tak brzydko napiszą, to mogą im nie dać nieść Jezusa w przyszłym roku akademickim. No, jeszcze wezmą takich, co Mahometa lub Buddę niosą. Przyznam, że odpisali z klasą, szybko i naprawdę racjonalnie, tyle że wolałbym mieć ludzi, którzy potrafią bardziej zdecydowanie walczyć o swoje. No ale pewnie dlatego tak im pasuje zatrudniać misjonarzy.

Dwie kolejne osoby, najpierw chciały iść palić i grabić. Po dwóch dniach zaproponowały zmianę treści maila. Odetchnęliśmy ciężko, ale się zgodziliśmy. Ich projekt zakładał wielkie przeprosiny za to, że śmiemy istnieć. Ja się zgodziłem, argumentując, że trzeba wysłać cokolwiek, żeby wiedzieli, że mamy problem. Aligator i sąsiad nieco mniej. Po ich uwagach, Irlandia i Australia się wycofały. „Nie ma co tego wysyłać, bo tylko dolejemy oliwy do ognia” – tak uzasadnili swoje stanowisko. W dwie pary oczu i aligatorze ślepią dogadaliśmy się, że ślemy skróconą pierwszą wersję. Usunęliśmy nieco rzeczy o tym, że NIC nie działa, że nasze maile są ignorowane, że nie odbierają od nas telefonów. Ograniczyliśmy się do protestu przeciwko niesprawiedliwości finansowej. Opatrzyliśmy podpisami, posłaliśmy i skomentowaliśmy:

– MY nadstawiamy dupy do lania, a potencjalną korzyść odniosą wszyscy. Ale nie, nie będziemy siedzieć cicho. Nikt tu nie mieszka dla przyjemności mieszkania w tym pojebowie, jak hajsu nie będzie do końca tygodnia, to gacie na dupę, koniec miłości i koniec pracy.

Mijał szósty dzień od ostatecznego terminu wypłaty lutowej i kończył się czas na marcową. Niegdyś w podobnym czasie Bóg stworzył świat. Poszło do pani rektor, według naszej wiedzy – władzy najwyższej. Jest nad nią paru chłopów, ale z nimi nie mamy w ogóle kontaktu, więc do niej.

W trzy godziny później telefony się urywały (choć komórkowe). Pani rektor najpierw odpisała, a potem się zakłęła, że nie wiedziała, że dramat, problemy, katastrofa, koszmar! Że zapłacą lada chwila. Lada chwila została zdefiniowana na piątek, trzy dni później. Chwilę potem zadzwonił Gary, który nam wyjaśniał wiele rzeczy. Ogólnie to najbardziej to, że Chiny są w okolicach ery ordowiku, więc nie mamy prawa wymagać tego, żeby zrobili przelew w jakimkolwiek rozsądnym terminie. Jak tu żyjemy (my ponad dwa lata, sąsiad prawie dwa lata), to jeszcze nie trafiliśmy takiej konfiguracji banków, żeby księgowanie zajmowało cztery dni robocze. Ba, w porównaniu z Polską, to miałem poczucie, że to akurat cudownie działa. No ale Gary zeznał, że systemy są powolne i że musimy czekać trzy dni. Wydusiliśmy z niego obietnicę, że w piątek dostaniemy po dwie wypłaty.

Jak się dowiedzieliśmy, chińskim nauczycielom zapłacono we wtorek, 24 marca. Piątek, godzina 15:10. Sąsiad stuka do drzwi, że dalej nie ma. Przepraszam, ale mam zajęcia o 16, więc nie mogę się w to bawić akurat teraz. Po 18 z dziką radością pójdę drzeć dupę, mogę nawet komuś napluć w twarz, pobić, narobić do wazonu, ale akurat teraz mam dość dobrą grupę. Potwierdziliśmy, że jeżeli nie będzie wypłaty, to urządzamy strajk. Staralem się nie myśleć za wiele o tym, jak się kończą strajki w ChRL. Lobbowałem na rzecz przyjscia na zajęcia i wywieszania planszy informacyjnej po chińsku: „Zapłaciłeś za studia? A mnie nie zapłacili! Dzwon do mamy!”. Uzasadniałem to tym, że mamy trochę dzieci partyjnych i biznesmenów, więc jest szansa, że ktoś to zobaczy, powie rodzicielom, a oni się wkurwią i przekręcą do sekretariatu. Tam wszyscy stracą twarz, my zostaniemy naznaczeni jako chamstwo, które nie respektuje różnic kulturowych, ale może z tej okazji nam zapłacą. A przynajmniej będzie dym i coś się będzie działo.

Sąsiad uznał, że to ciekawy pomysł, ale najpierw poszedł do samej pani rektor. Tam wiele razy użył słów takich jak „umawialiśmy się”, „to miało być dawno załatwione”, „jak żyć?”, „jak rzyć?”. Ostatecznie dostał do ręki 2000 RMB z szuflady przełożonej. Koło 16:30 dostałem smsa z info o stanie rzeczy. O 17:50 skończyłem tydzień. O 18:10 wszedłem do bankomatu.

O 18:11 poląłem się z wrażenia. Wypłacili wszystko. Co do jiao. Cztery wypłaty w sumie, bo dwie moje i dwie Aligatora. Do sąsiada, pobiegł, wrócił z naręczem RMB. Oddał 2000 RMB pani rektor. Pojechaliśmy wspólnie na weekend do stolicy.

W poniedziałek rano okazało się, że zapłacono tylko pewnej części z nas. Naszej trójcy. Całej reszcie nie. Czyli jednak opłacało się wydrzeć ryja o swoje. To nie był koniec niespodzianek: z funduszu imienia pani rektor 2000 RMB pieniądze dostała Ciara. Fałszywe. Dowiedziała się, gdy próbowała zapłacić w restauracji. W poniedziałek poszła do pani rektor. Ta zbyła całą sytuację śmiechem. Powiedziała, że dostała je od znajomego. Przecież nic się nie stało. Ciara została z 2000 RMB, w tym jakąś częścią tej sumy fałszywą.

No my mogliśmy mieć wyjebane, ale postanowiliśmy pozwolić dać się ponieść instynktom rasowym i też się wściekliśmy na ich standardy. Dzień później Ciara i Sheldon dostali emaila: że to ich wina, że nie mają pieniędzy, bo źle napisali swoje imiona przy zakładaniu konta. Z tej racji bank odmówił przyjęcia transakcji, ale nie poinformował o tym przez kolejne cztery dni. Poważnie. Tak im powiedzieli. Powiedzieli, że odrzucenie przelewu przez bank zajęło cztery dni. Mawiają, że w dramatycznych momentach ludziom brakuje słów. To był jeden z takich momentów. Totalnie zabrakło nam słów. W końcu napisaliśmy, że nasz uniwersytet przeszedł z dowcipu w kryminał.

Piątek, 3 kwietnia. Gary zadzwonił do Ciary, żeby mu oddała te 2000 RMB to je odniesie do banku, z którego je wziął. Hmm, a przecież cztery dni temu to były pieniądze, które pani rektor dostała od przyjaciela i nie da się ich zwrócić? W piątkowy wieczór nasi współpracownicy stwierdzili obecność wypłat. Za luty.

W ciągu ostatnich tygodni okłamano wszystkich z nas i każde z osobna kilkadziesiąt razy. Parę razy odwoływano się przy tym do różnic kulturowych, kiedy indziej do jakości Chin – swego kraju, z którego przecież są tak dumni, niemniej nie aż tak, żeby go nie poświęcić na rzecz oszukania kogoś. Zaiste, strasznie to dziwne, że obecnie jedną z najczęściej odwiedzanych przez mnie stron jest [ta](#).

[18.04.2015]

Bardzo lubimy ten obraz życia w Chinach, który kreują polscy blogerzy i ludzie zainteresowani tematem. Zawsze jest o tym, że tanie żarcie, że ogólnie to jest zabawnie. Wczoraj Gao Yu, chińska dziennikarka, dostała siedem lat więzienia. Ponieważ ma lat 71, a chińskie więzienia mają nieco inny profil niż te np. w Norwegii, to może już nigdy nie wyjść. Bardzo podobają nam się słowa brata skazanej:

„This outcome was expected, but we still feel it was wrong not to listen to the defense lawyers’ arguments – Gao’s younger brother, Gao Wei, told the *Times* by telephone following the hearing”.

Cóż za rażący brak zaufania wobec chińskiego wymiaru sprawiedliwości! Pani Gao nie jest jedyną osobą, której ChRL zagwarantowała atrakcyjne spędzanie czasu wolnego. AFP opracowało grafikę dotyczącą problemu. Oto ona:

Detained, exiled and restricted



Ilham Tohti
Academic and moderate government critic who spoke for the rights of the Uighur minority
Sentenced to life in prison on charges of “separatism” on September 23



Ai Weiwei
Artist and frequent government critic
Spent 81 days in detention in 2011, currently denied a passport



Guo Feixiong
(aka Yang Maodong)
Accused of illegal publication of a book exposing corruption
Finished a five-year sentence in 2011, now awaiting a verdict from a trial in November for organising anti-censorship protests



Gao Zhisheng
Human rights lawyer who won compensation for victims of forced demolition and provided legal aid to religious groups
Released in August after a three-year jail term, now reportedly under virtual house arrest



Gao Yu
Journalist and advocate for democracy and press freedom
Served six years in the 1990s for “leaking state secrets”
Jailed again April 17 for seven years on the same charge



Chen Guangcheng
Self-taught lawyer, blind since childhood. Exposed abuses under the one-child population policy
Exiled since 2012 after escaping from house arrest



Liu Xia
(Wife of Liu Xiaobo)
House arrest since 2010



Gao Yaojie
Exposed the plight of poor farmers who contracted HIV from selling blood in government-approved schemes
In exile since 2009



Liu Xiaobo
Co-author of Charter 08, which calls for democracy in China.
11-year jail term from 2009
Awarded the Nobel Peace Prize 2010



Hu Jia
Campaigner for political reform and on behalf of imprisoned dissidents and AIDS sufferers
Released after serving three-year prison sentence in 2011, now under intermittent house arrest, movement restricted



Xu Zhiyong
Organised demonstrations and discussions on causes ranging from corruption to education equality.
Sentenced to a four-year jail term on January 29

Prominent Chinese dissidents



AFP

(źródło: <https://pbs.twimg.com/media/CCxoWEdUUAjmh.jpg:large>).

Freedom no longer frees you

[4.05.2015]

Gdy wyjeżdżaliśmy w styczniu na wakacje, internet działał. Nieco losowo, ale jednak, zazwyczaj w ciągu doby udawało się uzyskać dostęp do wszystkiego, co było potrzebne do szczęścia. Prędkość była żalosna, konieczność odświeżania frustrująca, ale to i tak już dawno miniony złoty wiek. Od jakiegoś czasu sprawy mają się nieco inaczej i nic nie wskazuje na to, że miałyby być lepiej.

- Rozmowy na Skypie rwą się. Rozmowa video potrafi sprawę całkiem zabić.
 - Poczta na Outlooku czasem nie odświeża się wiele godzin. Byłem 30 minut temu u sąsiada, wysłał mi maila. Jeszcze go nie mam. Niektóre maile giną całkowicie, zwłaszcza te wysłane na chińskie serwery. Rekord: mail szedł dwa dni, przyszedł z datą wysłania i trafił odbiorcy w sam środek skrzynki (chwała, że odbiorca rozgarnięty i znalazł).
 - Pogoda windowsowa się nie łączy. Są kłopoty z aktualizacją systemu.
 - Oczywiście nie działa cała standardowa lista rzeczy, którą każdy zainteresowany zna od dawna
- Co działa?
- Yahoo - które wycofuje się z Chin, więc nie wiem, jak długo jeszcze działać będzie. Czasem z przypadku wczytują się strony na Wordpressie, ale tylko tekst, nie grafiki.
 - Vimeo, chociaż to sprawa losowa, niemniej ostatnio lepiej niż kiedyś.

Inne zjawisko internetowe – jest kilka stron, które ubarwiają życie zesłańcom do tej chluby ludzkości:

- eChinacities, które to ostatnimi czasy publikuje bardzo ostrożny wybór tekstów na temat życia w Chinach. Niemal zawsze ciekawsze od wpisów są komentarze, które rzucają więcej światła na opisywane zagadnienie. Rzadko przeradzają się one w dziką kłótnię, jest paru bardzo stonowanych komentujących, którzy często nadają ton dyskusji. Bywają dni, że nie działają mi w ogóle, bywa że wchodzą w sekundę. Shanghaiist, gdzie jest najwięcej nowych artykułów każdego dnia, z dość żywymi sekcjami komentowania. Tu często rozmowy odpływają na tematy średnio związane z wiadomościami, ale bywają niezłym ubawem, czasami jednak nieco przerażają i ich autorzy mogą nie być nominowani do nagrody im. Mandeli w tym sezonie. Niemniej Shanghaiist dostarcza największej ilości tematów do porozmawiania, tak ze studentami, jak i z innymi obcokrajowcami tu mieszkającymi.
- Chinasmack – nadszedł chyba czas by opublikować nekrolog dla tej niegdyś ciekawej strony. Idea była taka, że zbierają artykuły, które cieszą się popularnością w chińskim internecie, a potem publikują je wraz z komentarzami tutejszych internautów. Te bywały różne, nierzadko można było pocieszyć się tym, że wielu mieszkańców Państwa Środka prezentuje wielce zdroworozsądkowe podejście do spraw i nie daje sobie wmówić przesadnych bzdur. Kiedy indziej bywał festiwal ksenofobii i rasizmu. Potem sekcja komentujących w języku zachodnim, która czasem przeradzała się w dziką pyskówkę, a czasem była w miarę zgodną wymianą poglądów. Jakiś czas temu

strona rozpoczęła zbiórkę pieniędzy na swe istnienie. Nie pomogło, że niektórzy moderatorzy byli średnio ubóstwiani. Pojawiały się też zarzuty, że pewne wcale popularne tematy są omijane, by nie ryzykować wysypu treści umiarkowanie prochińskich. Niestety, od jakiegoś czasu na stronie pojawiają się tylko bardzo lakoniczne kopie wiadomości z mediów, bez komentarzy. Pada wiele pytań, nie słyszy się żadnych odpowiedzi. Wygląda na to, że zostali zharmonizowani.

Wyżej wymienione strony (i pewnie parę innych) są poniekąd solą w oku oficjalnej linii kraju. Pekin chce promować obraz Chin na miarę widoku na Pudong w Szanghaju. Strony te jednak bardziej koncentrują się na historiach zwykłych ludzi – np. zdesperowanych i walczących o opiekę zdrowotną (oficjalnie 95% obywateli ma do takiej prawo, w praktyce jakoś inaczej to chyba wygląda, skoro tyle dramatów tam jest opisywanych), nie brakuje historii oszustw, korupcji, cwaniactwa i desperacji.

Prawdziwymi perłami bywają propagandowe opowieści, które każdy myślący chociaż trochę niezależnie człowiek jest w stanie rozszarpać na strzępy w pięciu zdaniach. Sekcje komentarzy pod czymś takim potrafią zagwarantować niesamowity ubaw, nierzadko przez łzy. O ile do tematów praw człowieka, Tybetu i Xinjiangu serwisy zbliżają się rzadko, o tyle udaje im się zebrać niemało opowieści pokazujących jak naprawdę wygląda życie w „komunizmie z chińskimi charakterystykami”.

Chinasmack dawało też pewien wgląd w mentalność społeczeństwa – komentarze pod historią Zambo (córkę chińskiej matki i Afroamerykanina) z telewizyjnego show mogły wprawić w osłupienie niejednego nazistę („She should have never been born!” i o wiele więcej „lepszyc”). Przy tym jak się bardzo rzucili teraz na internet, nie będę przesadnie zdziwiony, gdy zamkną kolejne media, które nawet nie zbliżają się do tematów wrażliwych, ale po prostu „ośmieszają” – w mniemaniu mędrców ze stolicy – najwspanialszy kraj świata, jak to się tu usilnie wmawia obywatelom.

Na eChinacities był kiedyś post jednego z byłych redaktorów, że warunkiem pisania tamże była zgoda na nieporuszanie pewnych tematów. Po jakimś czasie lista zakazanych tematów doszła do takiego miejsca, że sobie podziękował. Działo się to jeszcze za czasów działającego Google. Teraz mogę tylko zgadywać, jak bardzo muszą uważać z pisanem, jak również z kasowaniem komentarzy. Tu numerem standardowym jest puszczenie wszystkich komentów, a po jakimś czasie, usunięcie tych „mniej wygodnych” – chociaż nie są one jakieś straszne i obraźliwe, to w kilka dni lub tygodni po opublikowaniu znikają. Dzięki temu, jeżeli ktoś trafi na artykuł za jakiś czas, to zobaczy stadko internautów potwierdzających wspaniałość Chin. Oficjalna wykładnia jest chyba mniej więcej taka, że w internecie są pedofile i wiele strasznych rzeczy, więc nie można puścić tego na żywioł. A że zamiast pedofilów kasuje się normalnie i kulturalnie wyłożony punkt widzenia, no to już taki przypadek.

Inną właściwością chińskiego netu są WuMao, którzy piszą komentarze pod wybranymi artykułami. WuMao, to „pięć mao”, czyli około 30 groszy, jest to legendarna stawka jaką dostają za każdy wpis. Koncentrują się raczej na mediach chińskojęzycznych, ale bywa stadko zabłąkanych na stronach anglojęzycznych. Nie jest dla mnie wielkim szokiem, że ludzie, którzy przeszli przez chiński system edukacji, nie są w stanie prowadzić jakiegokolwiek polemiki. Ich taktyki są tak prymitywne, że propaganda Związku Radzieckiego z lat 30-tych wydaje się wielce wysublimowanym narzędziem prowadzenia walki politycznej.

Argumenty dyżurne:

- W Ameryce biją Murzynów (w kilku wariantach). Pewną cechą charakterystyczną jest to, że na świecie są właściwie tylko dwa kraje – Chiny i USA. Czasem Japonia i Europa (postrzegana jako jedność).
- Jak się nie podobają Chiny, to wyjeżdżaj (to już jest desperacja, zazwyczaj pada do dwóch postów wymiany myśli).
- Takie rzeczy to są wpływy Zachodu (to np. jakieś uwięzione feministki).
- Chińska merytokracja jest lepsza od zachodniej demokracji, gdzie każdy idiota może zostać wybranym.
- Wszyscy imigranci w Chinach to ludzie, którzy przegrali życie i powinni dziękować za każdy dzień tutaj, bo mają lekką pracę i niczego nie robią.

Kiedy indziej ubawił mnie do łez wpis jakiegoś aktywisty, który uważał, że Deng Xiaoping powinien być wzorem dla młodych Chińczyków. Ktoś mu odpisał:

– *Mówisz o tym facecie, który pluł, popierdywał i drapał się po dupie publicznie?*

I nawet nie wspomniał przeklętej daty! Podobno tego gnoju jest 10,2 miliona. W czasie kiedy oni piszą brednie, których nikt nie traktuje poważnie, facet w masce konia zbiera pieniądze na operację dziecka. Na to fundusze ChRL ma.

Ze stron, do których dostępu w Chinach nie ma: <http://chinadigitaltimes.net/>. Bardzo lubię czytać ich sekcję informującą o dyrektywach centrali, o tym jakie są „wrażliwe słowa” i co też ma armia internetowych cymbałów wyśmiewać. Ostatnio feministki (które z okazji dnia kobiet dostały 37 dnia pierdła i upokarzania. Tak, właśnie z okazji tego pięknego, socjalistycznego święta), oczywiście Gao Yu i jej siedem lat więzienia, także samą blokadę internetu. Dopisałbym jeszcze Hillary Clinton, no chyba że to tak spontanicznie ostatnio się o niej tyle złego dowiaduję.

Najbardziej zastanawia w tym wszystkim, kogo też ChRL chce przekonać. Przeważająca większość imigrantów (nie Polaków!) dość szybko ogarnia temat i nie ma większych problemów z określeniem sobie obrazu kraju i partii rządzącej. Lokalni wiedzą jeszcze lepiej, jaki to raj i równość. Liczą na to, że ściągną naiwnych? Hmm, ale przecież przeważająca większość z tych, którym było dane tu pomieszkać i popracować, bardzo szybko zaczyna źle mówić o ChRL, a o autochtonach to już w ogóle. Sam swego czasu myślałem sobie, że obraz Chin w mediach zachodnich jest przesadnie negatywny i że panują tam tendencje europa- i USA-centryczne. Po ponad dwóch latach wiem, że obraz Chin w mediach Zachodu bywa zniekształcony, ale rzadko na minus. Ludzie żyjący poza Chinami nie wiedzą, jak strasznie obrzydliwy i depresyjny chlew to jest. Na wniosku wizowym powinien widnieć sparafrazowany cytat z klasyka, mniej więcej: „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy przekraczacie te granice!”.

Internet – w jakimś tam pierwotnym zamyśle sieć, która ma służyć łączeniu ludzi w skali globalnej, tu został sprowadzony do roli gadzinówki Partii. Mówi się czasem o bałkanizacji internetu – to głównie dzięki tym wodzom. Wybitnie nieudolniej, głupiej, zakłamej i takiej, o której każdy wie, że bredzi, ale której nikt nie ma możliwości dotknąć. Może nawet sam Wódz czyta ten bełkot i w niego wierzy, chociaż to już najbardziej przerażająca wizja. Z innej bajki, chyba nawet sam Wódz nie wierzy, że wyszarpie pełną dekadę na stanowisku, co nieco wyjaśniałoby totalną sraczkę kontrowersyjnych pomysłów

z ostatnich tygodni. Jakby szukał konfliktu, który musi wygrać, ale też jakby żadnego takiego nie mógł znaleźć. Chciałbym napisać, że szkoda ludzi, ale tak naprawdę szkoda już mi tylko tego, że muszę się z tym użerać kolejne kilkadziesiąt dni.

Przy okazji, chce się gratulować miejsc w rankingach. Szkoda tylko, że w zestawieniach na największą cenzurę na świecie, zależnie od kryteriów:

- W rankingu „Reporterów bez Granic” Chiny zajęły piąte miejsce (spadek o jedno wobec poprzedniego zestawienia). Oczywiście od końca, cytując za [„Polityką”](#). Chiny od ponad 10 lat są jednym z trzech państw mających najwięcej dziennikarzy za kratami (ma być ich co najmniej 44). Niedawno wyciekł tzw. „Dokument 9”, w którym reżim odrzuca promocję punktu widzenia zachodnich mediów i określa, że rolą rodzimych mediów ma być wspieranie jednomyślniej linii Partii. Chiny od lat ograniczają także dostęp do mediów społecznościowych, cenzurują internet. W listopadzie 2014 r. aresztowano dyrektora artystycznego biznesowego czasopisma z Pekinu w związku z podejrzeniem „naruszenia bezpieczeństwa narodowego”. Centralny Wydział Propagandy ostrzegł wtedy wydawców prasy, by nie relacjonowali sprawy Xu Xiao.
- Na liście krajów z najostrzejszą cenzurą opracowanej przez Komitet Ochrony Dziennikarzy Chiny są dopiero ósme. Skandal! Taki wielki kraj, 5000 lat kultury, a przegoniła go głupia Erytrea! Wierzymy w lepszy wynik w przyszłym roku!

Epilog: cztery godziny po wysyłce, mail przyszedł. Miał do przejścia jakieś cztery metry. A raczej cały świat – z australijskiej poczty Yahoo na Outlook.com. To przecież jasne, że musiało to tyle trwać i chińska cenzura nie ma z tym nic wspólnego.

[4.05.2015]

„To zoo! To zoo, w którym władzę przejęły małpy. Na swego przywódcę wybrały orangutana i teraz rządzą!” – tej alegorii zwierzęcej użył australijski kolega, by skomentować stan rzeczy panujący w naszej placówce naukowej. Można powiedzieć, że wszystko po staremu: projektory nie działają, głośniki i wzmacniacze też nie, więc planujemy lekcje, żeby móc omijać ćwiczenia ze słuchania (które będą mieli na egzaminie), wszystkie możliwe filmiki do dyskusowania trafiają na listę rezerwową (jak będzie działało, to będzie, jak nie, to nie). Właściwie przestaliśmy już zgłaszać standardowe awarie, bo i po co? Wiadomo, że przyjdzie dział techniczny, powie, że nie da się naprawić i tyle. Po tym jak zmienili mi salę z niedziałającej na niedziałającą (spacer przez trzy piętra w czterdzieści osób świetnie wpływa na przebieg zajęć), to już nawet nie mam siły po nich dzwonić. Pozwalam sobie za to komentować to do audytorium. Ci, którzy rozumieją, często się wstydzą. Zapewne to ja tracę twarz, bo przecież powinienem udawać, że głośniki działają, w końcu tak robi dział techniczny, a ja jakoś nie chcę współpracować. Gdy zobaczyłem kombinację w jednej z sal, to już tak bardzo się nie dziwię, że nie działa – kabel HDMI wpięty w hub USB, z którego idzie przejściówka na kabel VGA, który dopiero idzie do projektora. Dział techniczny mnie zabija, powala i deklasuje: dowiedziałem się od nich, że mój komputer nie jest kompatybilny z projektorem.

– *Tydzień temu był.*

– *Tak. Tak.*

Innego dnia, inny techniczny.

– *To jest sprzęt firmy Apple, on nie jest kompatybilny z projektorem.*

– *To jest Lenovo...*

– *Nie działa, bo jest na Windowsie 8.*

– *Jest na Windowsie 7!*

Musiałem facetowi pokazać. Tak, tak, ja wiem, on chciał zachować twarz. Jak tak dalej pójdzie, to będę musiał dać studentom cały egzamin przed egzaminem – jak mogę wymagać od ludzi rzeczy, których nie robimy, bo nie działa absolutnie nic? Jednak znany mi ze szkoły magnetofon Grundig nie był takim złym rozwiązaniem.

Po jednej z lekcji studentka powiedziała mi:

– *Mam nadzieję, że za tydzień będziemy mieli więcej szczęścia z głośnikami.*

– *SZCZĘŚCIA? Dziecko drogie, szczęście nie ma z tym niczego wspólnego. To jakość, kompetencja, solidność i odpowiedzialność za własną pracę. Szczęście to możesz mieć w grach losowych.*

Ku memu zaskoczeniu strasznie ją to ubawiło i powiedziała, że to prawda. Bywają chwile, że mam wrażenie, że wielu z nich też szlag trafia na to, ile rzeczy nie działa.

Ubaw tygodnia: z jakiegoś powodu chińskie książki do angielskiego uwielbiają tematy o miłości i randkowaniu. W większości przypadków to jak ślepemu o kolorach (ludzie w wieku 19-21 nierzadko nigdy nie byli na randce, o niczym więcej nawet nie wspomnę). Pisałem kiedyś, wymyśliłem takie ćwiczenie, że daję im na kartce znanych ludzi i mają zdecydować czy ta osoba byłaby dobrym mężem/żoną, jak mogliby spędzać wspólnie czas, jaką jest osobą.

(Kiedyś pisałem o niemal tym samym w kontekście przyjaciół – działało tam, więc niech zadziała i tu). Furorę wzbudza zawsze Xi Jinping, Angelababy, bywa ubaw przy Osamie, czasem daję im Hitlera. Jedna uczennica dostała ode mnie... Vincenta van Gogha. Po zapoznaniu się z personaliami spytała, czy ma opisać wszystkich trzech. Van Gogh po chińsku to Fango (Fangao chyba nawet, ale mówią, że Fango). Nawet była jakaś wystawa reprodukcji koło pałdziernika, ale zgaduję, że się nie zabłąkali w okolicie reprodukcji Fango.

Obama, pytanie: jaką osobą jest prezydent Obama?

– *Jest czarny.*

Zaiste, to mówi nam wszystko o tym nieznaczącym, trzecioligowym polityku.

– *Wołodia Putin.*

– *Udaje heteryka, ale jest gejem, więc nie byłby dobrym ojcem.*

Czasem muszę się trzymać, żeby nie paść na atak śmiechu na środku sali.

Inne ćwiczenie, które im robię (te z książki są koszarne i za trudne): oceń od 1 do 7 poszczególne cechy, 1 oznacza najważniejszą, 7 najmniej ważną. W moich marzeniach ćwiczą stopniowanie i podawanie uzasadnienia dla swych wywodów. Na żywo... No bywa ciężko. Cechy takie jak wygląd zewnętrzny, osobowość, wiek, bogactwo, wykształcenie, narodowość. Zazwyczaj narodowość ląduje na siódmym miejscu. Wtedy zadaje się pytanie:

– *A zgodziłabyś się mieć męża/żonę z Japonii?*

Popłoch! Dramat! Wrzask! Nieeeeeeee, tylko nie to!!! No to co mówisz, że narodowość jest nieważna? Jedna wybrnęła:

– *Wszyscy ludzie na świecie są równi, tacy sami i mają takie same prawa, poza Japończykami.*

Kocham ten nacjonalizm! Czasem dla odmiany pytam o partnera/partnerkę z Afryki. Tu zazwyczaj jest mniejszy opór, ale zdarzyło się:

– *Przecież z Afryki byłby czarny!!!*

To byłby istny koniec świata.

Jeszcze o Fango: uczennica go dostała i rozpoczęła ze mną wielką kłótnię, że to pisarz, a nie malarz. Powiedziałem, że mi to lata koło cewki moczowej, byle go opisała i czy chciałaby być jego żoną. Opisała, sensu to nie miało („byłoby wspaniałe mieć za męża człowieka, który napisał tyle wielkich książek”). Zapomniałem o sprawie. Trzy dni po lekcji napisała do mnie, że mnie przeprasza i że jej się pomylił Fango z Victorem Hugo. Że trochę jej wstyd, ale ją to śmieszy nawet, że się tak pomyliła. Odpisałem, że jak wie, kim był Victor Hugo, to jest rozgrzeszona. Jest to pierwszy przypadek w ciągu moich dwóch lat życia tutaj, że ktoś z własnej, nieprzymuszonej woli przyznał się do błędu.

Jeszcze z takich cudów uczenia – mój były uczeń imieniem Robert przyszedł do mnie o 22, przyniósł luksusowy jogurt i ciastka. Miał urodziny i powiedział, że w Chinach to solenizant musi zadbać o to, żeby wszyscy jego przyjaciele byli najedzeni w ten dzień. Z kolegami poszedł do lokalu, nie brał mnie, bo koledzy słabo po angielsku i bym się męczył (w duszy przyznałem mu rację), ale ponieważ uważa mnie za swojego przyjaciela, to chciał mi coś dać i że przeprasza, że tak późno przychodzi. Zaprosiłem go na imprezę nauczycieli dwa dni później, chłop, gwiazda wieczoru. Okazało się, że jest Mandżurem, a nie Hanem. To kolejny przypadek, że poznaję przedstawiciela Mandżurów, który bije na głowę intelektem i zdolnościami całą resztę. Tak naprawdę to on nigdy nie był moim uczniem, ale pewnego dnia przyszedł na zajęcia i poprosił, że chce uczestniczyć. W pierwszej chwili chciałem mu

powiedzieć, że wybrał naprawdę dobrą grupę i że zapewne nie da sobie rady. Pomyślałem, że lepiej nie mówić, posiedzi, ponudzi się i ucieknie. Chwała, że nie powiedziałem tego. Chłopak okazał się najlepszym w najlepszej grupie. Przynosił pytania w stylu: czym się różni kościół od katedry? Jadłem z nim parę razy kolację, nawet nie musiałem przy nim upraszczać języka, nigdy nie zadał mi żadnego durnego tematu z cyklu „który kraj jest najlepszy na świecie i dlaczego akurat Chiny?”. Angielskiego nauczył się z gier komputerowych. Marzy o tym, żeby mieszkać w USA, jego kuzyn już tam pojechał, jemu podobno z tej okazji obecnie blokują paszport. Otwarcie mówi, że kupi bilet w jedną stronę i że jak go tylko wypuszczą, to tyle go tu widzieli, a potem ściągnie rodzinę. Nie wiem, czy na dwanaście tysięcy studentów znalazłbym jeszcze pięciu na jego poziomie. Brawa dla ChRL, że tacy ludzie marzą głównie o tym, żeby stąd uciekać. Nie dziwię się im, tak jak mój brytyjski kolega przestał dziwić się mnie, gdy sobie pomieszkał rok w Polsce.

Pewnego popołudnia wracaliśmy z Sheldonem przez kampus, w temacie rozmów dominuje wypłata, a konkretnie brak tejże. Nagle leci do mnie jakaś panna:

– *Czy ty mnie pamiętasz?*

Hmm, aż tyle nie jestem w stanie wypić, żebym się do ciebie dobierał, o zapłodnieniu nie może być mowy, zdam każdy test na ojcostwo. Od grudnia nie byłem na imprezie ze studentami. Wąsy masz lepsze niż ja. Skąd się wzięła???

– *Pamiętam, pamiętam! Tylko przypomnij proszę skąd...*

W pierwszym semestrze przyszła do mnie i poprosiła o zezwolenie jej na przychodzenie na moje lekcje. Potem mi zatrybiło, że rzeczywiście, kiedyś mi mówiła, że wspaniale. Chciała poprosić o możliwość chodzenia na me zajęcia w drugim semestrze.

Obecnie mam czwórkę studentów, którzy chodzą na moje zajęcia, chociaż nie powinni. Nie mogę im zrobić egzaminu, nie zaznaczam ich na liście obecności. Przychodzą na 100 minut słuchania i oglądania moich lekcji. Po pobieżnym wywiadzie okazało się, że łączna suma uczniów, którzy chcą chodzić na zajęcia innych nauczycieli, wynosi dokładnie, okrągłe jak księżyc w pełni, zero. Poważnie. Bywają dni spełnienia, nawet przy tym, że nie działa dźwięk. Jeszcze o dźwięku, rozpoczynam lekcję, głośniki nie działają. Świecą się studenckie oczka:

– *Musimy zmienić salę!*

„Zmienić salę” oznacza wspomniane łożenie po piętach i stratę nawet do 10 minut lekcji.

– *Nie.*

– *Ale przecież nie możemy tu słuchać materiałów na egzamin.*

– *Napiszcie skargę do dyrekcji.*

– *Ty napisz!*

– *Nie. Ja mam dla was gotowe słuchowiska. Sala nie jest na nie gotowa.*

– *Ale my nie zdamy egzaminu, jak nie posłuchamy!*

– *To wasz problem. Ja mam lekcję gotową.*

– *Ale my musimy ćwiczyć słuchanie...*

– *Lata mi to. Chcecie, to piszcie do dyrekcji. Nie ma głośników? Nie ma. Amen.*

W końcu odegrałem im z laptopa. Takiej ciszy w życiu nie słyszałem, ogłuszająca aż. Laptop grający dość trudny listening dla 48 osób. Gdyby spadła igła, zawaliłyby się ściany. Są na tym świecie rzeczy, o których filozofom się nie śniło.

Ogólnie jednak sprawy ujmując, po katastrofalnie męczącym i ciężkim marcu kwiecień wypadł wcale dobrze. Większość zatrudnionych w dziale nauczania jakby dostało dyrektywy (bo przecież nie, że zdali sobie sprawę), że jakoś współpracy osiągnęła poziom, który może blokować dalsze współistnienie tego modelu. Pensje wypłacono nam wszystkim z dwutygodniowym wyprzedzeniem, tak jakby nagle zdali sobie sprawę, że jednak muszą nas tu mieć. Oczywiście o wolnym z okazji 1. maja powiedziano nam oficjalnie 28 kwietnia. Zmieniono – z diabli wiedzą jakich powodów, ale na lepsze dla nas – daty składania kolejnych papierów, które tydzień wcześniej ogłoszono. Nagle smsy nie muszą czekać dwóch dni na odpowiedź. Nagle maile (jeżeli docierają do celu), wracają w ciągu góra kilku godzin. Gdyby tak się utrzymało do końca semestru... Chyba udałbym się na pielgrzymkę na trasie Baoding-Santiago de Compostela na klęczkach.

Confessions of a shopaholic – syf, kiła i mogiła

[17.05.2015]

Utarło się przekonanie, że życie w Chinach jest tanie. Tak, to prawda, życie tutaj może być tanie. Można iść do jakiegoś pana na krawężnik lub do lokalu ulicznego, kupić sobie zupę lub makaron za 5-10 RMB, popić darmową wodą lub piwem za 2,5 RMB. Wiele kontraktów gwarantuje pracownikom, mieszkanie, więc odpada temat rachunków (zawsze mieliśmy wpisaną sumę na wydatki, ale nigdy jej nie przekroczyliśmy). Pracując na państwowym uniwersytecie, mamy zazwyczaj pod ręką stołówkę, która będzie oferowała jedzenie nawet za mniej niż 5 RMB. Gdy pracowaliśmy w szkole średniej, było jeszcze taniej. Przeżycie dnia za jakieś 20 RMB nie jest wyzwaniem. Ba, nawet kupując paczkę fajek, może nam się udać zmieścić w tym limicie. Jest tylko jeden problem. Tak się na dłuższą metę nie da żyć.

Chińskie jedzenie uliczne ma swój urok, ale ma też taką właściwość, że jest obłędnie tłuste. Zazwyczaj też ostre. Ja akurat lubię ostre i zawsze można poprosić, żeby nie dawali przypraw, ale wtedy często dostaje się coś bez smaku. Tak jakby istniały tylko dwie opcje – ostre lub bez smaku, nic pomiędzy, za to zawsze tłuste. Składniki tego jedzenia raczej nie są z najwyższej półki, a chwilami zastanawiam się, jakim cudem to może kosztować tak mało – kupienie sobie elementów składowych w najtańszym sklepie w mieście wyniosłoby mnie więcej. Jeżeli ktoś będzie to jadł trzy razy dziennie, to może nie czuć się najlepiej, poinformuj go o tym wewnętrzności.

Początkowo wydaje się, że jest wiele dań do wyboru. Po jakimś czasie dochodzi się do ściany tym, że w kółko je się to samo, zwłaszcza gdy się gdzieś mieszka na stałe. Jeżeli nie chcemy iść do restauracji i zamówić sobie pięciodaniowego obiadu, to do wyboru zostają nam: makaron (smażony lub w zupie), ryż (smażony) lub pierożki (gotowane, na parze, smażone – jest trochę wariantów). Naprawdę trudno dostać coś w stylu pełnego zestawu obiadowego, np. porcji ryżu, dwóch rodzajów warzyw i trochę tofu/mięsa. Żeby to otrzymać, musimy iść do normalnej restauracji i zamówić osobno miskę ryżu (a raczej kubek), dwa talerze warzyw i talerz tofu. Jeżeli jesteśmy w pojedynkę, to nie ma to sensu, bo po pierwsze, dostanie się za dużo jedzenia, po drugie zapłaci się za to jakieś 50 RMB, czyli niemal tyle, co w Europie. Tanie jedzenie uliczne oferuje zazwyczaj do 10 różnych dań, ale, jak już wspomnieliśmy,

większość bazuje na ryżu, makaronie lub pierogach. Jeżeli kogoś nie znudzi jedzenie makaronu w pięciu wariantach, to gratulujemy. Znudziło większość znanych nam laowaiów w ciągu góra roku.

Zaczyna się więc samemu gotować. Trzeba sobie kupić składniki, podstawowym jest olej. Tu możemy kupić sobie chiński produkt (jakieś 15 RMB za litr), ale z czasem odkrywa się, że warto dać nieco więcej za oliwę z importu. Tu czeka nas wydatek od 40 do 120 RMB. I modlitwa, żeby to była naprawdę oliwa z oliwek, a nie jakiś tryumf sukcesu lokalnego biznesmena, który postanowił sprzedawać olej z odzysku w ładnych butelkach. Nawet jeżeli nie mamy bardzo wrażliwego żołądka, ten poinformuje nas o tym, czy nasz zakup się powiódł, a często już kubki smakowe dadzą nam cynk. Polecamy też poszukać sobie w internetach, czym też jest „gutter oil” i po przeczytaniu zastanowić się, czy kupilibyście ten najtańszy olej, czy może wykosztowalibyście się na trochę bezpieczniejszy.

Do jedzenia można sobie kupić chiński makaron, od 5 RMB za dużą paczkę (900g, zgadnijcie, jaka jest jakość czegoś za tę cenę), bywa też twardszy na wagę. Swego czasu przeżyłem szok gdy zobaczyłem, że rozsypany makaron zmiatany jest z podłogi i wsypywany z powrotem na stanowisko sprzedaży. Ryż jest tani (od 1,6 do 2,2 RMB za najtańszy, ostatnimi czasy raczej 2,2), ale niemal każda znana mi osoba doszła z czasem do ściany w kwestii jedzenia zwykłego ryżu. Dzikie ryż lub kuskus kosztują nieco więcej (ostatnio płaciłem około 6 RMB za 500g kuskusu).

Jeżeli chodzi o pieczywo, chiński chleb tostowy jest tak daleki od tego, co rozumiemy pod pojęciem chleba, że dalej chyba być nie może. Puchaty, słodki, a zostawiony sam sobie pleśnieje, nie czerstwieje. Zresztą to właściwość przeważającej większości chińskich produktów piekarniczych – za słodkie, nadmuchane, po prostu niedobre i niesmaczne dla niemal każdego z Zachodu. Pewnym ratunkiem jest mantou – trochę jak bułka parowana/pampuch – które kosztuje grosze (5 jiao) i nie ma za wiele smaku, tym samym najbliższe jest temu do jakiejś bułki z naszego świata. Mantou można zjeść z tofu, które kosztuje od 1,5 RMB za 70 gramów do 5-8 RMB za 400 gramów. Ewentualnie na wagę. Można kupić zupkę błyskawiczną, kosztuje od 1 do 7 RMB, zależnie od rozmiaru i składu. Są kurze łapki (1 RMB), są paróweczki, słodkawe w smaku (1 RMB, nawet nie chcemy wiedzieć, z czego je robią, toż nawet szczur musi lepiej smakować). Do wyboru, do koloru.

Do jedzenia trzeba mieć coś do picia. Można sobie kupić wodę w kilkunastolitrowej butli, niegdyś płaciłem 7 RMB za 12 litrów. Butelkowana kosztuje około 3 RMB za 2,2 litra.

Jeżeli jednak chcemy jeść rzeczy, które są smaczne, wówczas wskakujemy w rejony cen solidnie zachodnich. Bagietka kosztuje 3,5 RMB i nie jest to hit na miarę Paryża ani nawet polskich wypieków, ale i tak lepsza od wszystkiego innego. W piekarniach robionych na zachodnie bagietka kosztuje nawet 20 RMB. Jeżeli lubimy ser żółty, to płacimy około 20-35 RMB za 200-250g tego cudu i otrzymujemy ser gorszy od tostowych wyczynów Hochlanda. Prawdziwe sery, np. gouda, ementaler, camembert, to raczej 35-50 RMB. Serki topione od 10 do 16 RMB za opakowanie. Dla jedzących mięso dochodzą wydatki około kilkudziesięciu RMB za stek. Makaron z importu kosztuje od 8 do 25 RMB za 500g, zgadnijcie, czy jest to poziom prawdziwych włoskich makaronów, czy może raczej Lubelli.

Co do napojów: o ile cola jest w miarę tania, o tyle np. chińska herbata bez cukru to już wydatek 3,5 RMB za 480 mililitrów. Jeżeli mamy szczęście mieszkać w pobliżu RT-Mart (tajwańska sieć hipermarketów), to mają czarną herbatę bez cukru za jakieś 5 RMB za 2 litry.

Da się kupić rzeczy z w miarę rozsądną ilością cukru, ale po jakimś czasie wiele osób dochodzi do etapu, że szuka napojów z minimalną, a najlepiej zerową zawartością tegoż. Jakikolwiek krajowy sok nie nadaje się do picia, a kosztuje wcale niemało. Soki z importu to wydatek około 15-20 RMB za litr.

Jeżeli chodzi o desery, opracowałem swego czasu teorię, która głosi, że żaden socjalizm nie potrafi wyprodukować czekolady. Przetestowałem to w Laosie, Wietnamie i Chinach. Chińską czekoladę większość osób je dwa razy w życiu: pierwszy i ostatni. Szczęśliwie, jest Dove i Hershey's w rozsądnej cenie, czasem można dostać Lindta czy Cote D'Or, ale raczej drożej niż w Europie. W Chinach nabiera się przeświadczenia, że słowo tort pochodzi od słowa tortura – dwa na pięć razy, gdy mnie tym częstowano, zwymiotowałem. Co do słonych rzeczy, z czasem udało się znaleźć trochę chrupek, które nie są obłędnie tłuste i gdy przychodzą goście, to je się kładzie na stole. Jednak większość chipsów jest słodkawa, tak więc zapomnijcie o tym, że Lay's o smaku ziemniaczanym smakują tutaj tak samo jak w Polsce. Z rzeczy dobrych i tanich: orzeszki ziemne (8 RMB za 500g), ananasy (około 6-10 RMB za sztukę), liczi, rambutany (oba w sezonie około 8-10 RMB za kilogram), jabłko zazwyczaj koło 1-2 RMB wychodzi (są i po 6 RMB, ale obłędnej różnicy w jakości nie stwierdzono – sprawa jest totalnie losowa, czasem jabłko za 2 RMB bije na głowę i plecy takie za 6), gruszki nieco taniej. Większość owoców i warzyw zmienia cenę zależnie od pór roku. Staram się przesadnie nie myśleć w jakich warunkach wyrosły – powietrze, wody gruntowe, gleba. Zrezygnowałem z winogron, dobrych w Chinach nie spotkałem, mimo oszałamiających statystyk, które zachwalają ilość chińskich winnic.

Chińskie jedzenie ma pewną specyfikę: nigdy nie wiesz, co jesz i kupujesz. Narodowa woda Nongfu swego czasu okazała się mieć standard niższy niż woda kranowa. Woda kranowa ma znowu reputację niezdatnej do niczego, nawet do przegotowania jej i zalania nią zupy. Sytuacja bez wyjścia, kupujesz i płacisz za mineralną – być może dostajesz gorszą niż kranową. Lejesz kranową – zapewne trucizna. Można kupić wodę z importu. Za puszkę gazowanej wody (330ml) Watson's z Hongkongu płacimy od 3 do 5 RMB.

Jeżeli zaś chodzi o makaron, swego czasu media obieły zdjęcia z jednej z fabryk. Nie wywołały radości – produkty wały się po podłodze, chodzili po nich pracownicy. Mięso – inna afera, z towarem świecącym w ciemnościach. Afer z jedzeniem w Chinach jest tyle, że po jakimś czasie nie chce się wiedzieć. Chińskie piwo kosztuje od 2,5 do 5 RMB. Nie sądzę, żeby było robione na wodzie źródlanej. Alkohole ciężkie – tu często można spotkać się z zachwytem, że tanio. To prawda, tyle że jeżeli ktoś to pije i chce zanotować poprawę w swej jakości życia, to niech zastąpi baijiu lub erguotou wódką. W ten sposób może zaobserwować mało znane nauce zjawisko, że wódka pomaga na zdrowie (no chyba że jest robiona w Chinach – takie cudo też trafiliśmy i wyliśmy z rozpaczny). Również piwo z importu ma więcej litości dla żołądka. Szczęśliwie, wiele chińskich marketów oferuje pewien wybór tego produktu, od 5 do 20 RMB za puszkę. Wino jest moim największym powodem do płaczu. Chińskie w przeważającej większości niepitne (próbowaliśmy trunków w przedziale cenowym 20 do 120 RMB, przetestowaliśmy około 50 różnych butelek, może ze 3 z tego nie były kompletną pomyłką), importowane obłędnie drogie (skromne 40% podatku), a bywa i oszukane (jak ktoś nie wierzy, to polecamy serię Don Simon z Walmartu). Podobne prawa stosują się do kosmetyków. Można sobie kupić mydło w kostce za 2 RMB. Tylko, żeby się jakoś lepiej czuć po prysznicu, zwłaszcza gdy się potem idzie do ludzi, to lepiej żel Dove'a lub Olay.

A to już wydatek około 30-45 RMB. Dezodoranty nie cieszą się przesadną popularnością, jakość jest fatalna, cena absolutnie nieadekwatna do tejże. Któregoś razu Aligator szukała płynu do demakijażu, ekspedientka bardzo zachęcała, by kupić taki dobry chiński. Za 85 RMB.

Będąc poza granicami, Chin kupuje się więc produkty nieco bardziej zbliżone do znanych nam. Z ubraniami i obuwiem sprawa ma się podobnie – moja statystyka wydatków na garderobę za ostatni rok jest taka: 11 miesięcy zero RMB, za to w miesiąc pod tysiąc PLN. Gdy swego czasu dostałem „firmową” koszulkę od szkoły, to widniała na niej cena 168 RMB. Jakość porównywalna do takich za 9 PLN z okolic krakowskiej Hali Targowej. Mam nadzieję, że nakleili takie ceny, a nie że naprawdę tyle za to zapłacili. Jeżeli bozia pokarała was nietypowymi rozmiarami, to możecie zapomnieć o poszerzeniu garderoby – rozmiar 41/42 stopy Aligatora jest nie do osiągnięcia, również jakiegokolwiek damskie spodnie na 174 cm wzrostu to bajka i fantazja. Męskie buty na 45? Przestałem nawet szukać, poza tym wspieram polskie i robię na rozmiar podczas wizyt w ojczyźnie.

Innym problemem jest to, że płacąc wcale niemało, nigdy nie ma się gwarancji, że dostaje się „produkt zgodny z opisem”. Kilka tygodni temu kupiłem mleko, importowane (chińskiego nie tykam, różnica w smaku jest dość znaczna). W domu okazało się, że mogę całe wylać – zepsute, 12 RMB spłynęło w toalecie. Sąsiad kupił francuskie wino z importu, 68 RMB. Chiński szczyn. Niegdyś Skyy Vodka okazała się być napojem o mocy około 20% i nieakceptowalnym smaku. Piwo Hoegaarden (42 RMB) w knajpie smakowało dziwnie, a po wypiciu trzech miałem taki lampion, że koło 16 dnia następnego mi przeszedł. Również po knajpianym ginie z tonikiem Aligator cierpiał przez następne 24 godziny. Reguły nie ma, w Huainan RT-Mart oferował niegorsze hiszpańskie wino za 38 RMB, w Pekinie znamy market, który miewa fajne promocje i zachodnie wina bywają po 20 RMB. Wspominam wino tyle razy, bo jest to produkt, którego oszukanie najłatwiej wyczuć. Tu właśnie przejawia się tak podziwiana przez niektórych mądrość tego narodu w podrabianiu i oszukiwaniu. Logika jest taka: jeżeli oszukując na oleju za 20 RMB, zarabiam 10 RMB, to czemu nie oszukać na oliwie za 70? Wtedy zarobię 60! Nie ma myślenia, że można kogoś przekonać do produktu i uczynić go lojalnym klientem. Najważniejsze jest tu i teraz. Wprawdzie czasem niektórzy się przejadą (w 2008 parę osób dostało karę śmierci za oszukane mleko w proszku, które wysłało do szpitala tysiące dzieci, a kilkoro nawet na cmentarz), ale na pewno znacznie więcej robi cudowny biznes na oszukanym produktach. W dupę, żołądek, wątrobę, nerki i parę innych organów dostaje ostatni w tym łańcuchu pokarmowym, czyli klient detaliczny.

Większość znanych mi imigrantów (w tym i my) przechodzi przez początkową fazę oszczędzania i „e, chińskie nie jest złe”. Następnie dociera do takiego miejsca, że zaczyna kupować produkty wyższej jakości z importu i odprawia nad nimi magiczne rytuały, byle tylko okazało się tym, co się dostać chciało. Prowadzi do tego, że wszyscy tu mieszkający odbywamy tygodniowo przynajmniej jedną pielgrzymkę do Walmartu, RT Martu lub BaoBai. Wracamy stamtąd objuczeni różnymi produktami, których w „normalnym” sklepie bliżej nas można szukać ze świecą. Zamiast wydawać 20 RMB dziennie, wydaje się średnio raczej 50. Na nasze gospodarstwo domowe przeznaczamy gdzieś w okolicach 1000-1500 (zależy od poziomu oliwy, majonezu, oliwek, innych produktów). Tak naprawdę wcale nie tak dużo mniej niż na Zachodzie. Zresztą jeżeli ktoś bardzo chce, to i w Polsce sobie przeżyje za kilkanaście PLN dziennie. Wystarczy chodzić na zakupy do dyskontu z owadem w logotypie. Pytanie, które nasuwa się samoistnie, brzmi następująco: kto chce tak żyć?

[23.05.2015]

Parę tygodni temu ogłoszono, że nasza placówka naukowa zorganizuje „funny little games”. Brzmiało podejrzanie, więc nie rwaliśmy się do tego. Po jakimś czasie zaczęli trochę bardziej naciskać, więc żeby nie było, że jesteśmy aspołeczni, zgłosiłem się z pasją typową dla poborowych do Wietnamu do biegania z paletkami i piłką. Inną opcją było stanie z koszem na śmieci przywiązany do klatki piersiowej i chwytanie kulek papieru rzucanych przez studentów. Oczyma wyobraźni próbuję sobie wyobrazić rektora UJ lub moją panią promotor biorących udział w takiej imprezie. Chociaż wyobraźnię mam raczej bogatą, to takiego obrazu wykreować, niestety, nie jest ona w stanie. Reguł do biegania z paletkami nie opracowano, w efekcie pan sędzia gwizdnął, ludzie pobiegli przed siebie, poleciałem za tłumem. Zająłem jakieś żalosne miejsce z czasem 19,6 sekund.



Nie, obawiam się, że nawet jak będziesz bardzo intensywnie machał tymi paletkami, to nie polecisz jak motyl

Solidarnie miał ze mną biec sąsiad, ale wezwali go do biura w sprawie egzaminów. Posiedział więc idiotycznie w biurze, bo ta, która go wezwała, biegła razem ze mną. A wezwano go, bo w egzaminie miał tak:

- 1.
- 2.
- 3.
- 4
- 5.

Jak widzimy, po 4 nie było kropki. Za nic nie mogli jej sami dostawić, więc zadzwonili po niego, poczekał sobie 30 minut aż jego przełożona przebiegnie się z paletkami, potem dostawili wspólnymi siłami kropkę, a następnie mógł zatwierdzić podpisem, że zmienił egzamin. Cieszył się jak wszyscy diabli.



Sport to zdrowie mówili...

Dostaniesz nagrodę mówili...

W biurze czekała na mnie czterolitrowa butla oleju i dwie kostki mydła do prania. Myślałem, że to jakaś ukryta kamera. Podziękowałem, zaniósłem do chaty. Tego samego dnia spotkałem studenta, który niósł dokładnie taki sam zestaw. Chociaż go nie znam, to z uśmiechem pogratulowałem sukcesów w „funny little games”.

Od kilku dni chodzę po ludziach z pytaniem, czy aby na pewno nikt nie potrzebuje chociaż litra oleju i pół kostki mydła. To naprawdę miłe, że dali prezenty, co więcej, ten olej kosztuje 140 RMB za butlę, czyli dość dużo. Problem, że za nic nie wiem, jak miałbym go zużyć w półtora miesiąca, musiałbym dziennie wykorzystywać około 100ml. Dwie kostki mydła do prania wystarczyłyby mi na cały rok – używam ich tylko, gdy mam jakieś straszne plamy, które wiem, że w pralce nie zejdą. Wychodzi na to, że przyszli lokatorzy będą mieli prezent. Ewentualnie... Mogę się natrzeć olejem, a potem umyć mydłem.

Szczęśliwie „funny little games” zajęły mi 26 minut życia (z tego 20 to ustalanie, gdzie też one się odbywają), więc uznałem to za zwycięstwo, poszedłem na zakupy i zapomniałem o całej sprawie. Tydzień później dostałem smsa, że jest dla mnie nagroda za mój bohaterski występ. Pocwalałem do biura. Miałem nadzieję i niemal pewność, że dostaniemy szampon – w październiku dostaliśmy łącznie kilka litrów i akurat nam się kończył, a że dawali niezgorszy produkt marki L'Oreal, to uznałem, że mi się całkiem te gry opłaciły, jakieś 40 RMB do przodu, do tego nie było kompromitacji i wykazałem się jako bardzo zaangażowany pracownik. Wchodząc na trzecie piętro widziałem oczyma wyobraźni szampon i nawet miałem już gotową mowę dziękczynną. Szampon? O jak ja się myliłem...

[10.06.2015]

Z racji używania słowników i olewania naszych uwag, często słyszymy od studentów, że coś jest *sunshine* – czyli sprawia radość. *Sunshine* może być wieczór, może być zupa, może być i miasto. W końcu daliśmy się przekonać: miastem określanym terminem *sunshine* zostało Shijiazhuang, stolica prowincji Hebei i jedno z najbardziej zanieczyszczonych miejsc w Chinach. Oto opowieść o tym, jak zasłużyło sobie na ten status.

Jesteśmy w miarę solidnie osadzeni w rzeczywistości. Przynajmniej tak nam się wydaje. Tak więc, gdy planowaliśmy wycieczkę na weekend do Shijiazhuang, nie spodziewaliśmy się cudów. Po prostu, uznaliśmy, że siedzenie ciągle w jednym miejscu jest nudne, nieproduktywne, kończy się na dłubaniu w laptopie przez cały weekend, a przecież szkoda byłoby nie skorzystać z czasu wolnego. Wielu z naszych studentów pochodzi z Shijiazhuang. Wiele razy słyszeliśmy, jakie to fajne miejsce i żeby koniecznie odwiedzić. Przesadnie im nie wierzyliśmy, ale w końcu postanowiliśmy się wybrać. Jeżeli już się gdzieś mieszka, to jednym z przywilejów jest możliwość odkrywania miejsc, których nie ma w przewodnikach i które znają tylko lokalni. Po rozrzuconiu decyzji po okolicy, zebrano się nas pięć osób. Wybraliśmy datę, skołowaliśmy wszystkie możliwe bilety, a następnie zarezerwowaliśmy nocleg przez Ctrip i hej, przygodo!

Dotarcie do hotelu proste nie było („tak, prosto, lewo. Nie, to tam trzeba iść. Nie, nie, to bardziej tak po skosie”), w końcu udało się zebrać dwie taksówki i dotrzeć na miejsce. Niepotrzebnie. Zarezerwowany przez nas nocleg okazał się nie być uprawniony do przyjmowania obcokrajowców. Po podzwonieniu sobie do Ctrip i ich telefonach na recepcję, dostaliśmy przeprosiny. Powiedzieli, że hotel mówił, że może przyjmować gości z całego świata, ale okazało się, że tak troszkę skłamáli, żeby sobie dodać prestiżu, bo tak naprawdę to nie mogą. Tak przy okazji, jest to problem w całym Hebei – miejsc, które mogą nocować obcokrajowców, jest jak na lekarstwo. Ctrip powiedział, że znajdzie nam lepszy nocleg. W oczekiwaniu na ich działania poszliśmy szukać sami. W pięciu miejscach dostaliśmy odmowę (*mei you!*). W końcu Ctrip przekreślił, że mają dla nas pokoje za 188 RMB. Ech, miało być 118, no ale dobrze. Nasz hotel okazał się mieć bardzo piękną recepcję, z wielkim żyrandolem z kryształu. Ceny wypisane zaczynały się od 600 RMB, więc po prostu hit życia. Tyle że nie. Recepcjonista wygrał konkurs na najgorszego w całych Chinach (a byliśmy wszyscy w różnych miejscach). Nie mógł znaleźć naszych obecnych wiz (a wszyscy mamy po trochę chińskich naklejek), więc się denerwował i krzyczał, oczywiście nie dając sobie pokazać, że to/ten. Policzenie ceny za trzy pokoje okazało się zadaniem ponad jego siły, poszło mniej więcej tak:

- 1000 RMB.
- Jakim cudem trzy razy 188 dało panu 1000?
- Depozyt po 100 od pokoju.
- Trzy razy 188 to 564, depozyt to 300, więc raczej 864.
- ZAWSZE SĄ KŁOPOTY Z OBCOKRAJOWCAMI!!! Dajcie 800!
- Dobrze, ale proszę wypisać nam kwity na depozyt.
- KŁOPOTY!!! Laowai to kłopoty!!! 600!

Daliśmy 600, w tej sytuacji w najgorszym razie mogli nam nie oddać 36 RMB, a nie ponad 400. Pokój pewnie był fajny jakieś 20 lat temu, gdy zbudowali ten hotel. Cuchnęło dość solidnie stęchłą i pleśnią, dywan miał plamy po pawiach (w sensie alkoholowym, nie ornitologicznym). Widok z okna oferował możliwość bycia na bieżąco z jedną ze stacji kolejowych Shijiazhuang, jak również z robotnikami, którzy wydawali się szukać sensu w swoich życiach, stojąc na dachu i patrząc w siną dal. Nie przyjechaliśmy do Shijiazhuang, żeby siedzieć w pokoju, więc na miasto.

Okolice hotelu wyglądały dość depresyjnie, chwyciliśmy przewodnik i przenieśliśmy się do muzeum naszej ukochanej prowincji. Wymagało to zatrzymania łącznie sześciu taksówek – obecnie w Shijiazhuang budowane jest metro, więc całe miasto jest rozkopane. Jak skończą, to będzie wygodniej, ale dnia 25 kwietnia 2015 roku taksiarze byli dość wybredni w kwestii obieranych tras.

Hebei Museum zaczęło się dobrze, po machnięciu paszportami dostaliśmy darmowe bilety. Muzeum jest ogromne, łącznie spędziliśmy w nim ponad dwie godziny, ciesząc się artefaktami z przeszłości prowincji. Tak nie do końca – chińskie muzea są dość monotonne i jeżeli akurat nie pobłogosławiło ich cudownymi zbiorami, to ogląda się głównie dzidy i garnki sprzed wieków. Tu hitem były dwa jadelitowe stroje do pochówku i analizy pierwotnych zapisów chińskiego, które ktoś dość dobrze przetłumaczył na angielski – jak chcą się czymś pochwalić, to wtedy im wychodzi. Mimo tego nie sądzę, że Hebei Museum w Shijiazhuang sprawi, że ktoś będzie tam pielgrzymował podczas dwóch tygodni w Chinach. Innym aspektem wizyty była ludność lokalna: łącznie zostaliśmy poproszeni OSIEM razy, żeby sobie z kimś zrobić zdjęcie. Z jednej strony nie chcemy być niemili i jeżeli akurat nie mamy najgorszego dnia w życiu, to się zgadzamy i pozujemy w objęciach z jakimiś lokalnymi. Z drugiej strony, po jakimś szóstym pacjencie zaczęliśmy się zastanawiać, na ile wystarczy nam cierpliwości. Sąsiadowi skończyła się przy czwartym, reszta z nas przetrwała wszystkich, łącznie nawet z panelem „chcę sobie poćwiczyć angielski”.



Aksesoria trumienne: fallusy do korzystania w zaświatach

Udaliśmy się w stronę parku miejskiego, po drodze postanowiliśmy coś zjeść. Wybór padł na jakąś sieciówkę, która wyglądała w miarę czysto i miała menu z obrazkami. Korzystając z tej zdobyczy cywilizacji i naszego ograniczonego chińskiego, zamówiliśmy i zasiedliśmy. Przynieśli nam nieco inne rzeczy niż te, o które poprosiliśmy. Gdy to nieśmiało zauważyliśmy, podali nam na przeprosiny tofu i donieśli jakiś tam makaron.

Mimo że zapłaciliśmy za wszystko przy zamawianiu, okazało się, że wisimy im jeszcze 18 RMB. Rozpoczęła się bardzo długa rozmowa i próby zrozumienia dlaczego. Udało się zaangażować w to nawet *fapiao* (rachunek), na którym widniało, że jesteśmy na czysto z płaceniem. Najfajniejsza część konwersacji koncentrowała się na tym, że przynieśli nam inny makaron, niż chcieliśmy, bo uznali, że jest lepszy. Przyznam, że po tym wszystkim mój podziw dla poziomu chińskiego australijskiego sąsiada wzrósł – jeżeli potrafisz robić chryję w danym języku, to jesteś właściwie biegły. W sumie to powinna być pierwsza lekcja w książkach do chińskiego, *Jak wyklócić się o rachunek?*. Nie żadne „nazywam się”, „jestem z Polski/Australii”, tylko „czemu nie dostałem tego, co zamówiłem? Jakże 20 RMB? Jak to nie ma?”. Ostatecznie zapłaciliśmy, bo młoda dziewczyna, która prowadziła z nami negocjacje, wydawała się być na krawędzi łez. Wiemy też, że jeżeli kasa by się nie zgadzała, to potracono by jej różnicę z pensji, więc będąc na 90% pewnym, że nie powinniśmy niczego dopłacać, daliśmy wspólnie zebrane 18 RMB i tym samym poprawiliśmy jej samopoczucie. I zagwarantowaliśmy tym samym, że w podobny sposób potraktują każdego białego, który się tam zapłaci.

Na tym etapie dnia usłyszeliśmy *mei you* tyle razy, że ogłosiliśmy konkurs: za każde *mei you*, które ci powiedzą, dostajesz jeden punkt. Za okrzyk „Laowai!” lub „Waiguoren!” pięć. Jeżeli jednak tobie uda się krzyknąć *laowai* lub powiedzieć komuś *mei you*, dostajesz 25 punktów. Gdy zlokalizowaliśmy park ze średnio dorodnym Mao Zedongiem przy wejściu, poszliśmy do sklepu po piwo. Nie mieli zimnego importowanego (było solidnie ponad 20 stopni, nawet koło godziny 19, gdy tam trafiliśmy), ale nie takie trudności już pokonywaliśmy! Przy kasie pani zapytała, czy mamy kartę stałego klienta.



Kelner! Pięć piw!

– *MEI YOU!!! MEI YOU!!! MEI YOU!!!* – krzyczeliśmy z sąsiadem jeden przez drugiego. W końcu obaj przyznaliśmy sobie po 25 punktów, bo nie mogliśmy ustalić, kto był pierwszy. Kobieta została z miną wyrażającą pełne zrozumienie dla artykułów z prasy krajowej, które głoszą, że obcokrajowcy są dość solidnie pierdolnięci. Następne dwie godziny upłynęły nam na spożywaniu piwa z widokiem na Mao Zedonga. Koło 22 wróciliśmy do hotelu, by paść w objęcia Morfeusza.

Następnego poranka odkryliśmy, że prysznic oferuje dwie opcje: wrzątek i lodowatą wodę. Coś w pół drogi byłoby fajne, ale gdzie tam! Dokonaliśmy ablucji. Bez większych problemów odebraliśmy depozyt, co wprawiło nas w niemal ekstatyczny nastrój – spodziewaliśmy się wielkiej walki o te 36 RMB, oskarżeń o to, że ten dywan to myśmy ofajdali

i takich tam innych usług, za które płaci się dodatkowo. Odwiedziliśmy lokal ze śniadaniem, w którym to nabiłem sobie dość dużo punktów w *mei you* zabawie. Wystarczyło prosić o dania bez mięsa. I tak skończyłem z wielkimi pierogami pełnymi padliny, no ale czekała na nas uczta dla oczu. Wyruszyliśmy w trasę. Przygotowani byliśmy dość solidnie, wiedzieliśmy, że trzeba jechać na dworzec Xiwang. Tam mają być autobusy do Cangyan Shan (Góry Cangyan). Miejsce stało się sławne dzięki dziełu Anga Lee (taki reżyser z Anglii... Nie, z Tajwanu, czyli prawie z Chin) *Przyczajony tygrys, ukryty smok*. Wiedząc, jak to wygląda w filmie i na zdjęciach, spodziewaliśmy się doznań z przynajmniej średniej półki, w duszy mając nadzieję, że jednak będzie lepiej. O kurwa... Było lepiej. Lepiej nie mówić.

Wysłaliśmy kobiety jedną taksą, sami z sąsiadem wzięliśmy drugą (naście minut zajęło znalezienie kogoś, kto chciałby jechać na Xiwang). Zajechaliśmy. Pizda jak chuj, widzimy. To jakiś zdezelowany punkt odbioru złomu? Okazało się, że to stacja autobusowa. Niestety, miastowa, na Cangyan nic się nie wybierało. Za to solidnie jebało, wyglądało nędznie i smutno. Na krawężnikach siedzieli jacyś ludzie z barachłem, totalny trzeci świat. Cemu on nas tu wysadził?

Dzięki jakiemuś studentowi udało się ustalić, że to jest Xiwang Station, ale w sensie: pętla autobusowa. Dla ułatwienia, dokładnie tak samo nazywa się stacja, która oferuje przejazdy po okolicy. Lepiej, musieliśmy wziąć kolejną taksówkę, żeby dojechać do tej dobrej, jakieś 2-3 kilosa od pętli autobusowej. Nasze rozmowy nie wpiszą się raczej w kanon dyskursu etnograficznego dla przyszłych pokoleń. W końcu dotarliśmy, ileś tam zapłaciliśmy i wyjaśniliśmy, co też nam tak długo zajęło.

Według jakiejś informacji netowej, autobusy miały być często i miały kosztować 23 RMB. Ku naszemu zaskoczeniu, dali nam bilet za 12. Spytałismy się kilka razy: tak, tak, na górę Cangyan. Najpierw pytaliśmy, kupując te bilety. Potem, wchodząc do autobusu, a następnie jeszcze kierowcę. Wszyscy twarzą, że na górę i że za godzinę będziemy na miejscu. Góra jest jakieś 70 kilosa od Shijiazhuang, więc wydawało się to możliwe. Wprawdzie autobus nie wyglądał na raketę i postrach autostrad, ale może pociśnie i będzie.

Klimatyzacji nie było, więc jakoś dziko orzeźwiająco się nie poczuliśmy. Oczywiście musiały trafić się dwie osoby, które bardzo chciały sobie poćwiczyć angielski i sprawdzić, jak nam idzie z chińskim. Jechaliśmy przez rejony podmiejskie, raczej brzydkie, ale coś jakby się powoli zaczynało robić górzyście. Zanim jednak się zrobiło solidniej górsko, to skończyła się trasa i nas wysadzili. Jedyne, co udało mi się zobaczyć, to że miejscina miała *shui* (wodę) w nazwie. Niestety, obecnie *shui* jest wspomnieniem: całe koryto rzeczne zostało przejęte przez lokalnych rolników, którzy postanowili sprawdzić, jak przyjmą im się losowo wybrane uprawy. Gdyby to jeszcze była jakaś urokliwa miejscina. Gdzie tam! Wszystko to w cieniu typowo chińskich apartamentowców, przy których budynki z wielkiej płyty to wielce wysublimowane formy architektoniczne. Widziałem różne miejsca w Chinach, nauczyłem się, że chińskie miasta są koszmarnie, ale to był swoisty rekord, wioska w betonie. Depresja, nędza i stado ludzi, którzy chyba do dzisiaj są pod wrażeniem, że jacyś obcokrajowcy się do nich zabłąkali. Jeszcze będą wnuczętom snuć opowieści o tym bezprecedensowym wydarzeniu, a te będą z niedowierzaniem rozdziawiać usta. Gdy nas wywalili z autobusu – koniec trasy – od razu poczęto zapraszać nas do następnego.

– *Gdzie góra?* – pytamy dość śmiało bileterkę, która godzinę wcześniej roztaczała przed nami wizję Cangyan Shan.

– *Ten autobus, ten autobus, on jedzie na górę!*

– *Aha, a ile jedzie?*

– *Godzinę, godzinę!!! 20 RMB!*

Godzinę słyszałem godzinę temu. Autobus nie ma wypisanej żadnej destynacji. Dziękuję.

– *Gdzie są autobusy powrotne do Sunshine City? W sensie Shijiazhuang.*

– *Ale góra...*

Na tym etapie to mogła być ta góra, na której Jezus dał swego czasu kazanie, a i tak byśmy nie pojechali. W końcu ruszyliśmy przed siebie. Spacer przez „cośtamShui” sprawił, że poczuliśmy niewyobrażalną wdzięczność i radość za to, że nie urodziliśmy się w takim miejscu. Podziękowaliśmy wszystkim niewyobrażalnym bytom, że nie musieliśmy tam spędzić choćby dnia. Po piętnastu minutach człapania czymś, co było chyba głównym traktem, złapaliśmy autobus powrotny. Niemal się ucieszyliśmy, gdy wysiedliśmy w Shijiazhuang.

Poszliśmy skorzystać z dworcowej toalety. To nigdy nie jest przesadnie wielki moment, gdy się mieszka w Chinach, ale stolica Hebei wyniosła jakoś tej rozrywki na wyższy poziom: gdy weszliśmy, lokalny młodzieniec lał do umywalki. Już lata temu Charles Bukowski pisał, że w życiu tak bywa, że sika się do zlewu, ale chyba nie do końca to miał na myśli. Najgorsze dopiero się stało. Widząc to, sąsiad powiedział przerażonym głosem:

– *On sika do umywalki!*

A ja nie wytrzymałem. Dostałem ataku śmiechu. Kolejne 10 minut nie mogłem się uspokoić. Sam ledwo skorzystałem, a gdy wyszliśmy (długo zastanawiając się nad tym, czy płukać ręce nad umywalką, którą tak sprofanowano), to zataczałem się ze śmiechu. Próbowałem opowiedzieć żeńskiej części naszej drużyny, co zaszło w toalecie, ale nie byłem w stanie sklecić nawet trzech słów, nie mogłem przestać ryczeć jak osioł. Przeszło mi dopiero gdy przechodziliśmy koło psychiatryka. Zaczęliśmy robić sobie zdjęcia z tablicą znaczącą miejsce. Padły słowa:

– *Pewnie w środku siedzą ludzie znacznie bardziej przyjaźni i łatwiejsi w obyciu niż ci, z którymi mamy do czynienia od ponad doby. Nikt nie wyraził zdania odrębnego.*



O, to są tu jeszcze miejsca, gdzie może być normalnie!

Mieliśmy już nieco dosyć zabaw w taksówki, więc poszliśmy szukać autobusu. Znaleźliśmy taki jadący na dworzec. Mieliśmy od groma czasu, ale jakoś nam przeminęła chęć do zwiedzania miasta rodzinnego wielu naszych studentów. Pierwsze kilka przystanków jechało jak powinno. Potem zwolniło. Tak, budowa metra. Korek. Po nastu minutach stania w nim, stwierdziliśmy, że na butach będzie szybciej. Czołgając się z nożem w plecach, a drugim w oku, też by było. Dość szybko dotarliśmy do jakichś centrów handlowych i gastronomii. Wybraliśmy pierogi, zamówiliśmy różne opcje (cztery razy potwierdzając, że mają być bez mięsa) i stwierdziliśmy, że jaja jajami, ale jest już po 16 i że możemy zacząć potencjalnie miłszą część dnia, czyli piwo. Oczywiście lokal z pierogami piwa nie miał, więc przeszliśmy kilkaset metrów i różne sklepy spożywcze, które uparły się piwa nie mieć. W końcu znaleźliśmy schłodzone Laoshany w budce z gazetami. To nawet pasowało do profilu weekendu. Tak samo pasowały do niego pierogi bez mięsa. Z krewetkami. Od krewetek wolę wołowinę, wieprzowinę, kurczaka, królika, oślinę i kaczkę. Nie wpadłem na to, że pan potraktuje moje zamówienie „szeroko”, czyli bez mięsa to rzeczy, które w chińskim nie mają mięsa w nazwie. Nawaliłem w to papryki, załałem sosem sojowym, zjadłem z obrzydzeniem. Niestety, jestem ofiarą lewicowych tendencji i nie potrafię zmarnować jedzenia. Już wiele razy się na tym przejechałem, to był jeden z drastyczniejszych.

Po sytym posiłku (reszta była bardziej kontent niż ja) poszliśmy rzucić się w wir zakupów. Dwa centra handlowe po pierdylion piętér. Wszędzie jeden chuj. Ciuchy oryginalne za majątek, podrabiane za bezcen. Jacyś ludzie rzucający się do nas z promocją papierosów, „tylko dzisiaj zamiast 130 RMB za paczkę dasz 90!”. Nic ciekawego, nic czego nie mógłbym sobie kupić w Baoding. Studenci mówili nam, że Shijiazhuang jest świetne na zakupy. Sklepy w obozach koncentracyjnych były lepsze, po ponad godzinie łożenia nikt nic nie kupił. W tym czasie korki nieco się przerzedziły, więc wróciliśmy na przystanek i pojechaliśmy na dworzec. Mieliśmy jeszcze oceany czasu, ale nie chcieliśmy przesadnie ryzykować. Okolice dworca znaleźliśmy z naszej sierpniowej wizyty na badaniach lekarskich i z dnia wcześniejszego, gdy przyszło nam szukać hotelu i gdy każdy kierował nas tam z miną osoby bardzo pewnej swego. Niestety wszystkie drogi okazały się wówczas prowadzić do kurwy nędzy, a nie do hotelu, ale w oparciu o te doświadczenia skołowaliśmy sobie zimne piwa.

Nastał wieczór. Nie zdziwiliśmy się przesadnie, że nasz pociąg jest opóźniony o niemal godzinę. Koło 19:30 wyszliśmy zapalić. Niby można było w kiblu, ale trochę głupio, do tego w kiblu waliło uryną. Stanęliśmy przed dworcem, odpaliliśmy po papierosie i od razu rzucił nam się w objęcia jakiś nie-Chińczyk. W mieszance chińskiego i angielskiego zaczął pytać, co wiemy o trzęsieniu ziemi w Nepalu. Nie wiedzieliśmy nic, bo i ten weekend miał na celu oderwanie nas od komputerów. Okazał się być właśnie z tego kraju. Bał się o rodaków, mówił, że nikt nic nie wie. Przeprosiliśmy go, że my też nie. Widząc, że z nim gadamy, okoliczni bezdomni rzucili się chmarą do nas. Jakoś tam ich pospławialiśmy, przeklinając przy tym nałóg za to, że wyszliśmy z poczekalni i daliśmy się otoczyć, nie za to, że rak płuc na wcześnie rozumianą starość. Słońce zachodziło w chmurze smogu, który spowijał horyzont. To i tak nie był zły dzień w skali zanieczyszczeń w Shijiazhuang, wręcz taki na rodzinną wyprawę do parku. Po gargantuicznym placu dworcowym rozkładali się ludzie ze swoim dobytkiem. Grupka chłopów robiła baijiu. Jakieś matki opatulały dzieci. Byłem jeszcze kawałek od filtra, gdy z zadumy nad tym dramatem wyrwał mnie głos sąsiada:

– *Brzydziłbym się tutaj nasrać.*

Sentencja ta stała się najlepszym podsumowaniem naszego weekendu w stolicy Hebei.

Pociąg w końcu przyjechał. Ledwo osiągnęliśmy Baoding, nasz pech się skończył, w ciągu paru minut złapaliśmy taksówki, nawet nas nie oszukali na kursie. Powyższa opowieść pokazuje co to znaczy „robić Chiny z dala od utartych szlaków”. Dopóki chcesz odwiedzać Zakazane Miasto, Terakotową Armię i Wielki Mur, to będzie raczej w porządku, może wyruchają cię na parę RMB albo gdzieś sobie poczekasz jakiś kwadrans. Jeżeli chcesz coś z szeroko rozumianej listy rezerwowej, wówczas trafiasz do piekła. Nikt nie wie niczego. Gdyby nie te strzępki chińskiego, które znamy, to wówczas bylibyśmy totalnie bezradni, nikt nie mówił w żadnym innym języku w stopniu wyższym niż nasz chiński. Informacja turystyczna jest poniżej poziomu Albanii, praktycznie jej nie ma. Ceny podchodzące pod zachodnią Europę. Standard poniżej Laosu. Trochę w życiu jeździłem, ale jeszcze mnie nie opierdalano w hotelu za to, że śmiem chcieć w nim nocować i nieźle za to zapłacić. Idea taksówki wydawała mi się być taka, że jedziemy tam, dokąd pasuje mi, a nie kierowcy. Podobno za socjalizmu w Polsce też tak bywało. Z racji urodzenia w późniejszej fazie tego systemu, było to dla mnie dość nowe doświadczenie. Z takich, których raczej nie chcę powtarzać. Budżet tej pomyłki ukształtował się tak:

- pociąg – $2 \times 21,5 = 43$;
- hotel – 94;
- taksówki – pod 60 na twarz;
- autobus do xxxShui i z powrotem – 24;
- alko impreza przy Mao w parku – pod 50;
- jadło – jakieś 60.

W sumie jakoś koło 350 RMB. Pod 200 PLN. W zamian? Odwieczna odraza i nienawiść do stolicy prowincji Hebei. Przeświadczenie, że nie ma już po co jeździć po Chinach, a przynajmniej po tej ich części. Wydatki srogie, jakoś przeżyć żałosna. No ale mogę napisać, że wspomnienia: BEZCENNE!!!

Z racji wyżej opisanych doświadczeń powstał dylemat moralny: jak traktować studentów z Shijiazhuang? Czy dawać +10% za pochodzenie, z litości za to, że tam spędzili życie? Czy odejmować 10% za to, gdy mówią, że to piękne miasto i że warto odwiedzić? Wspomniani studenci byli bardzo zdziwieni, gdy wróciliśmy i pytali nas, jak nam się podobało. Powiedzieliśmy im. Tonowaliśmy nieco nasze wrażenia, ale słowo *sunshine* nie padało zbyt często.

[19.06.2015]

Nasz współpracownik zdecydował się wstąpić w związek małżeński z osobą z chińskim paszportem. Można powiedzieć, że miałem nawet pewien wkład w ten sukces, wziąłem jego lekcje, gdy on wspólnie z partnerką realizowali się w urzędzie stanu cywilnego. Oficjalnie można przekładać lekcje, ale procedura trwa około dwóch tygodni i wymaga dokumentacji, na której wydrukowanie wyciąć trzeba połowę lasu równikowego, więc organizujemy się w miarę możliwości sami. Kilka dni później postanowiliśmy spotkać się celem uczczenia ich nieświętego związku małżeńskiego, zawartego pośród wrzasków pani w urzędzie, która akurat prowadziła rozmowę przez telefon i przy okazji tłukła pieczętkami jak chora.

Niedziela wieczór, jedno z najpopularniejszych miejsc celebracji ślubnych w całym mieście, restauracja hot potowa. Ładnie, czysto, wszyscy punktualnie, Potem trzy godziny siedzenia, rozmów, rzecz jasna jedzenia. Standardowym zwyczajem tradycji chińskich, siedzi się w oddzielnych pokojach. Zawsze nas to bardzo cieszy, bo zmniejsza szansę na konieczność interakcji z lokalnymi, którym akurat może wpaść do głowy zapoznanie obcokrajowców, którzy przecież po to przyszedli do restauracji w niedzielny wieczór, żeby poćwiczyć z kimś angielski. Chodzący do łazienki i zapalić sobie zaczęli przynosić opowieści o tym, że na głównej sali jest dość grubo: grupa ludzi powiązanych kręgami biznesowymi spożywała baijiu. Byli już na etapie schyłkowym, raz ich widziano, jak odpadł im telefon z selfiesticka, potem dało się słyszeć trochę wrzasków. Z determinacją właściwą raczej Słowianom kontynuowali jednak swoje spotkanie. Pierwszy widoczny efekt tegoż pojawił się na i w pisuarze. Byłem szczęśliwym odkrywcą tego przełomu w dziejach ludzkości. Jakies 40 minut później kolejny zwiadowca przyniósł wiadomość o tym, że i podłoga została pokonana. A taki był ładny lokal... Koło 22 opuszczaliśmy go, widząc jeszcze panią, która miała przyjemność zadbać o to, żeby szalety powróciły do stanu sprzed wizyty szanownych gości.

Z racji rozmiarów naszej grupy, musieliśmy zdać się na dwie taksówki. O ile pierwsze pojechała bez problemu i używając po bożemu licznika, o tyle druga okazała się być nieco inną historią. Za nic nikt nie odgadnie, w której mieliśmy przyjemność być. Pan taksiarz ocenił nas wzrokiem i powiedział:

– 10 RMB!

Pomyślałem. Dobra, niech będzie. Kurs na tej trasie kosztuje 8 (tyle jest za włączenie licznika, taksiarze załatwili sobie bardzo długie starty, więc wiele kursów jest po 8), ale jest niedziela, spędziliśmy miły wieczór w gronie znajomych, jest nas czwórka, ma pewnie rodzinę, niech będzie.

– Dobrze, 10 RMB – zgodziłem się bez walki i targowania.

Po dotarciu na miejsce okazało się, że jednak nie tak do końca dobrze.

– 15 RMB!

– Miało być 10!

– Ja chcę 15!

Rozpoczęła się bardzo długa i zawiła debata nt. tego, że 10 to nie 15. Że kurs kosztuje normalnie 8, więc 10 to i tak dobry interes. Że przecież miało być 10. Z drugiej strony padały argumenty, że 15 i że autobus kosztuje po 2 RMB za osobę, więc nie może być tak tanio. Nie

chcieliśmy go zostawiać z poczuciem krzywdy, ale średnio też chcieliśmy utwierdzać baodińskiego taksiarza, że każdy obcokrajowiec odpuszcza, gdy się go pomęczy. Widząc nasze kłopoty, do rozmowy wmieszała się jakaś studentka, że może chcemy, żeby nam pomóc. Jej obecność pozwoliła nam na przekazanie panu, że jechał bez licznika i że jeżeli bardzo chce kontynuować tę konwersację, to możemy sobie zadzwonić po jakąś radiolę. Wiele razy słyszałem, że sporo tracę, nie znając chińskiego. To był jeden z tych momentów, gdy zrozumiałem, jak dobrze rozumieć język pana taksjarza.

– *Pierdoleni obcokrajowcy, wracajcie sobie do domów!*

Aż dopytałem mej nagłej przyjaciółki, czy dobrze zrozumiałem.

– *Hm, a czy ja dobrze rozumiem, że on teraz mówi, że nigdy już w tym mieście nie pojedziemy taksówką?* – dopytał sąsiad.

Bardzo się spieszyła, że zrozumieliśmy i powiedziała, że mniej więcej tak. Podczas wizyty w Shijiazhuang przerobiliśmy moduł mówienie. Wieczorne wyjście na kolację (a raczej powrót) pozwoliło sprawdzić się ze słuchu. Przypomniał mi się spotkany dawno temu Rosjanin, który był biegły w wiadomym języku. Gdy wyraziłem swój podziw dla jego kompetencji, powiedział że są dni, gdy wolałby powrócić do stanu błogiej nieświadomości w kwestii tego, co też mówią do niego ludzie, oczywiście pewni, że niczego nie rozumie.

W trakcie trwania tej pogawędki na kampus wchodziła trójka... Dwójka... Dwóch i pół studenta. Dwóch niosło trzeciego. Poszedł okrutnie po bandzie, rzygał jak kot, tu to pewnie jak tygrys raczej. Strażnicy z bramy dali znak-sygnal kolegom, żeby go obsłużyli poza terenem kampusu, my zdążyliśmy wejść, a on jeszcze kończył średnio radosny dla siebie wieczór. Z jednej strony dość niespotykane, nasi studenci piją rzadko, właściwie po raz pierwszy widziałem któregoś z nich w takim stanie. Jeszcze kiedyś trójka spała na stołówce na stołach, stały koło nich niedopite piwa, więc chyba też zostali tak pokonani. Jednak na około 12 tysięcy studentów to jest nic, wiadomo, jak wyglądałoby to na kampusie na Zachodzie. Niemniej to znak dość powszechnej tendencji: bardzo wiele osób nie rozumie tu alkoholu i nie potrafi go używać. Wrócić po ciężkim, gorącym dniu pracy, odbić sobie piwo? Nieee, luksusowy lokal i baijiu szklankami, do pawiów. Można za to winić system edukacyjny, który nie pozwala im odwalić takich numerów, gdy mają pod 20 lat, więc uczą się nieco później, przez mękę i na błędach. Wyjaśnia to też, dlaczego kiedyś moja studentka była przerażona, gdy odpowiedziałem jej twierdząco na pytanie, czy lubię wino.

Taksjarze w tym mieście mają opinię najgorszych w całych Chinach. Nigdzie nie doświadczyłem takiej patologii i tylu historii o tym, że oszukują, moi studenci również, a rozmawiałem o tym z ludźmi z różnych prowincji i licznych miast. Zapewne jakiś kuzyn, brat, wujek ma siostrę, żonę, ojca i istnieje mafia taksówkarska, która najpierw musi się opłacać za funkcjonowanie, a potem z tej okazji zachowują się jak absolutni wariaci. Sytuacja nie ulega żadnej poprawie, doszło już do tego, że moi studenci rozważają napisanie petycji do władz miasta, żeby coś z tym zrobili. Pozwolę sobie nie wstrzymywać oddechu, czekając na rezultaty ich działań.

[29.07.2015]

Życie nie sprowadza się jedynie do jedzenia. Jest to fakt, w który często trudno uwierzyć, widząc, z jakim nabożeństwem wiele osób planuje posiłki i jak wiele energii poświęca, by zdobyć ulubiony makaron albo przekonać kogoś, że Sarepska to najlepsza musztarda. Jest jeszcze parę innych aspektów życia, które nieco wpływają na kształt wydatków, jak i na jakość życia.

Żyjąc w Polsce wydawaliśmy po kilkadziesiąt-kilkaset złotych miesięcznie na tak zwaną kulturę – kino, płyty CD, DVD, muzea, wystawy. W ciągu ostatniego roku życia w Chinach wydałem niecałe 100 RMB – 68 za książkę, 29 RMB za trzy pirackie płyty DVD ze sklepu. W kinie leci chała (*Szybcy i Wściekli 7* ustanowili ostatnio rekord wszech czasów, przebitu już pewnie przez *Avengers*), bilety są drogie (zależnie od filmu i godziny seansu: 35-70 RMB). Do tego Chińczycy w kinie zachowują się tak, że idzie oszaleć – telefony, żarcie, gadanie, trzaskanie drzwiami w drodze do kibla i z powrotem. Żyjąc w Europie, chodziłem przynajmniej ze dwa razy rocznie (a czasem o wiele więcej, bywało i do sześciu razy) na koncerty. To już są solidne wydatki, nierzadko z przejazdem przez pół kraju lub nawet przez dwa kraje. Tyle że te dni się potem pamięta przez resztę życia, i to dla nich się chodzi do pracy. Duża część tego, co się tu oszczędza, to pieniądze, które normalnie wydałoby się na przyjemności i rozrywki. W Chinach tej opcji praktycznie nie ma. Nie pójdzie się na 18 do kina, na 20 na egzotyczną kolację np. do hinduskiej restauracji, a na 21:30 na imieniny znajomego do urokliwej knajpki.

Wszystkie święta, rocznice, urodziny, imieniny stają się z czasem powodem do depresji. Ktoś się rozwodzi, ktoś umiera, a jest się tysiące kilometrów dalej. Z jednej strony człowiek widział globus i atlas świata, zanim tu się wybrał. Z drugiej pojawia się pytanie: co dostaję w zamian? Pieniądze. A poza tym? Pieniądze. Już było. Aha, to nic. Zresztą obsesja na punkcie pieniędzy to jedna z największych plag tutejszej ludności. Część ekspatów z czasem przestaje o tym rozmawiać, bo po prostu nie ma o czym. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek snuł opowieści o tym, że oszczędził tysiące RMB i że robi cudowny interes, mieszkając w ChRL. Większość z czasem nabiera obrzydzenia do tych czerwonoćców, które dają każdego miesiąca (albo i nie dają lub dają fałszywe). W jakimś sensie nabiera też obrzydzenia do siebie, że żyje w ten sposób. Uwaga ta nie dotyczy wielu Polaków, którzy wychwalają ten kraj jako idealny do życia, bo można zarobić. Z perspektywy polskiej tak. Z zachodniej nie.

Inną składową jakości życia są relacje międzyludzkie. Zaprzyjaźnienie się z Chińczykiem jest możliwe, ale tak naprawdę często podszyte jest to tym, że chce się on lansować na białego znajomego lub też liczy na jakieś korzyści związane z tym, że spędza z tobą czas. Z n-dziesięciu osób, z którymi się jakoś zbliżyłem, może ze czwórką miałem poważniejsze rozmowy i relacje. Tematy rozmów z większością: żarcie i pieniądze. Ewentualnie: opowiedz nam o Zachodzie, swoich ulubionych miejscach w Chinach, jak się nauczyć angielskiego, jak stąd wyemigrować. Koniec listy tematów. Nauczyliśmy się to ciągnąć w jakieś ciekawsze rejony rozmów, ale przeważająca większość ludzi jest przeraźliwie nudna i ma horyzonty na poziomie zachodniego nastolatka. Niektórzy deklarują, że będą sobie oczy wypłakiwali gdy odjedziesz, a potem nawet nie odpisują na maile.

Gdy zapraszałem niegdyś na spotkanie, szesnaście osób zadeklarowało, że przyjdzie. Pojawiły się cztery. Nikt nie napisał, że przeprasza, ale mu coś wypadło. Zapewne uznali, że byłoby niemiło powiedzieć, że nie przyjdą, więc powiedzieli, że oczywiście, że będą. Z czasem liczbę znajomych ogranicza się głównie do ludzi z Zachodu, bo tu przynajmniej wie się, na czym człowiek stoi, że przyjdę znaczy przyjdę, i że nie zapraszają go po to, żeby sobie z nim robić zdjęcia. Co robić z czasem wolnym? KTV! Nie spotkałem jeszcze człowieka spoza Azji, który zrozumiałby magię tych miejsc i czerpał dziką radość z siedzenia w nich.

Praca to inny czynnik mający wpływ na jakość życia. Uwielbiam uczyć, ale są pewne warunki, które muszą być spełnione, żeby się dało. Kierownictwo nie powinno istnieć, żeby rzucać człowiekowi kłody pod nogi, a gdy zjawiam się w biurze, to współpracownicy nie powinni ukrywać się i modlić, żebym tylko nie zgłosił jakiegoś problemu. Ignorowanie maili, smsów, udzielanie odpowiedzi całkowicie nieprawdziwych to absolutne mantou powszednie. Perspektywy rozwoju? Kursy zawodowe? Spotkania i zebrania? Jakakolwiek informacja zwrotna dotycząca pracy? Gdzie tam, nikt z nas nawet nie miał obserwowanych lekcji. W zamian są komentarze za plecami i nieszczerze uśmiechy podczas zebrań. Pod koniec semestru studenci mieli wypełnić ankiety na temat naszych zajęć – po chińsku. Administracja miała przetłumaczyć to na angielski. Zgadnijcie, czy to zrobiła. I tak wiemy, co tam jest, i że to wszystko jest bez znaczenia.

Poza pracą można poczytać sobie gazetkę. Media rozumiane jako dostęp do informacji. Czytasz coś w poniedziałek, w środę okazuje się, że jednak nie. Statystyki wszystkiego są zakłamane, nawet sam pan premier powiedział, żeby ich nie traktować poważnie. Nie, że w Polsce ktoś przesadnie wierzy GUS, ale jednak, premier chyba jeszcze u nas nie mówił/-a, żeby zlewać ich dane, bo są dla picu. Właściwie zdobycie jakiegokolwiek wiarygodnej informacji uzależnione jest od tego, czy uda się połączyć z mediami zachodnimi i czy mają one nastrój pisać o regionie. Najpierw ogłoszenie, że Chiny mają najwięcej winnic na świecie. Kilka dni potem CNN: tak, ale tylko z 5-10% upraw robią wino. Protesty w Hongkongu – w chińskich mediach znalazłem jakiś reportaż o drugorzędym turnieju ping-ponga. Statystyka wypadków, samobójstw, przemocy domowej – oficjalne dane ciągle są poprawiane przez organizacje niezależne. O internecie wspominam na bieżąco. To też się przekłada na jakość życia i możliwość prowadzenia rozmów. Niegdyś studentka spytała mnie, czemu Tybet jest inny niż reszta Chin. No i chociaż wiem, to odpowiedzieć za bardzo nie mogłem. Inny student, co ja myślę o sytuacji z sąsiadami Chin. Weź sobie gazetkę, tam ci już komitet na pewno napisał całą prawdę, bo jeżeli ci podam mój punkt widzenia, to potem pójdziesz do wychowawcy i będą problemy, że prowadzę działalność antychińską.

Taksówki są tanie. Problemem jest przekonanie kierowcy, żeby włączył licznik. O ile w ciągu dnia zazwyczaj nie ma problemu, o tyle po zmroku i gdy jeszcze pada deszcz, to bywa różnie. Przejazd do nas z dworca wschodniego powinien być kosztować 30 do góra 40 RMB. Najlepszy wynik po godzinie 20, to 50 RMB, a często rozmowa zaczyna się od 100 RMB bo to taka ładna, okrągła suma. Z baru do nas licznik pokazuje 12 lub 14. Nikt go nie włączy po 23, a rozmowy zaczynają się od 50, żeby usiąść koło 30 RMB. To mniej więcej krakowskie ceny, tylko że w rodzimym mieście dostają je bez wielkich pertraktacji i kształt moich oczu nie ma wpływu na rachunek. Początkowo myślałem, że golą nas, bo biali. Jednak nzbierałem solidną kolekcję historii od studentów. Najlepsza była taka, że dziewczę jechało na dworzec, a pan taksiarz nagle odebrał komórkę i uznał, że woli jechać gdzieś indziej, więc wysadził ją

w średnio atrakcyjnym miejscu. Spóźniła się na pociąg, musiała zamienić bilet, poczekać kilka godzin, no po prostu rewelacja. Kwestia wydaje się losowa, podczas całego roku mieszkania w Huainan nie miałem ani razu problemu z taksiarzami. W Baoding kłopoty występowały dość często. Kolega w Szanghaju został kiedyś zamknięty w taksie, bo nie chciał dać się oszukać na ileś tam RMB. To jest po prostu chore – bo nawet policja tutaj służy do zbierania łapówek od ulicznych handlarzy, a nie zajmowaniem się takimi rzeczami.

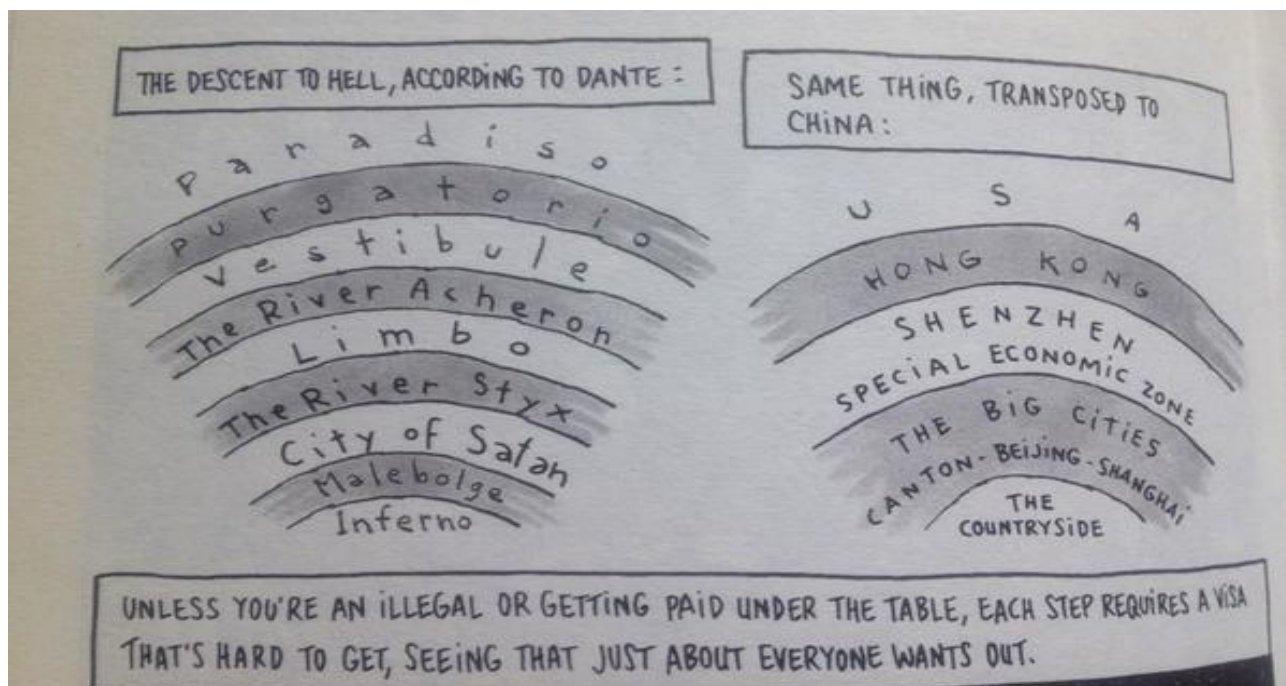
Kolejny jasny punkt życia w Chinach: idzie się coś załatwić do banku. Raz się uda, raz nie, zależy to wszystko od układu gwiazd i nastroju pani w kasie. Bardzo wygodnie się tak żyje, podobnie przyjemna jest wymiana pieniędzy. Kontrakt głosi, że mogę sobie wymienić do 70% przychodu. No a oni mi nie wymieniają. I co, cham się uprze i mu daj! Za to pod bankiem koczują stada cinkciarzy, którzy rzucają się człowiekowi na szyję z jakichś dwudziestu metrów. Co z tego, że to zakazane i że obok stoi radiola? Witamy w realiach trzeciego świata, gdzie prawo i regulacje pisane są dla jaj, a większość ludzi nie ma nawet pojęcia o ich istnieniu. Niemniej pewnego dnia jakiś oficjał może się obudzić i wtedy nagle zaczyna się egzekwować jakiś zapis, który był martwy przez lata. Większości z nas szczęśliwie problem nie dotyczył.

Gdy mieszkaliśmy w Polsce i wypadały święta narodowe, to na parę dni wcześniej wszyscy się cieszyli, robiono plany, czasem nawet szukano sobie tanich lotów. Tutaj, nauczeni doświadczeniem, jesteśmy przerażeni. Po pierwsze to totalny burdel, często trzeba coś odrobić. Najczęściej wygląda to tak: czwartek należy odrobić w sobotę, ale za to dostaniecie wolny poniedziałek, który będziecie odrabiać za tydzień według grafiku z piątku. W sobotę nie przychodzi połowa grupy, a kiedy indziej ma się znowu z tych piątku, którzy dostają torsji na nasz widok dzień po dniu, a i my za bardzo nie mamy materiału na kolejne 100 minut zajęć. Przeważająca większość świąt to kara – jeździć się za bardzo nie da, bo wszędzie tłumy, brakuje biletów, brakuje noclegów, ceny wszystkiego są wywindowane, w telegraficznym skrócie: idzie oszaleć. Jakies lokalne wydarzenia? Nie ma. W Dragon Boat Festival i według mojej wiedzy w całym mieście nie odbywało się absolutnie nic. Takie same atrakcje zapewniono nam w Złotym Tygodniu, na Qing Ming i w Święto Pracy. Nowy Rok w Pekinie to była istna rewelacja, no ale przynajmniej nas nie zdeptali, bijąc się o fałszywe pieniądze, jak to się wydarzyło w Szanghaju. Po jakimś czasie przestaje się nawet kombinować, bo po co się denerwować i jeszcze wydawać na to? Jakość doświadczenia żadna, ogrom wścieku bezmierny. Mieszkasz więc w kraju, który ma niby ogromną ilość turystycznych destynacji pełnych historii, tyle że do większości masz za daleko, żeby je odwiedzić w ciągu trzech-czterech dni. Podczas pierwszego roku jeździliśmy dość dużo, w drugim trochę. W ostatnich miesiącach nie jeździmy prawie nigdzie, bo wychodzi z tego Sunshine City. Mieliśmy blisko do Pekinu, ale po serii wizyt nie było za bardzo po co jeździć. Skoro już o świętach: naprawdę trudno kupić komuś jakiś sensowny prezent. W efekcie koło gwiazdki wymieniliśmy z innymi nauczycielami produkty w stylu angielskie herbatniki, ukraińskie piwo, irlandzki likier. Bo co innego? Kupowaliśmy sobie nawzajem puzzle i figurki, bo przecież nie płyty, książki i perfumy, jak to drzewiej bywało. To jest właśnie bardzo duża część tych pieniędzy, które tak łatwo oszczędza się w Chinach. Oszczędza się, bo nie ma na co wydawać.

Całe życie w chińskich realiach staje się walką o bycie człowiekiem. Z ich punktu widzenia, jednostka nie ma racji bytu, życie jest nic nie warte, a student to śmieć, który ma w zębach przynosić pieniądze. Jeżeli ktoś myśli, że Polak Polakowi wilkiem, to może mu zabraknąć skali zwierzęcej na realia chińskie. Niemal nikt nikomu nie ufa, ludzie się nienawidzą, kłamstwo i hipokryzja to wyznaczniki rzeczywistości. Ktoś będzie udawał twojego przyjaciela, żeby za plecami obrabiać ci kuper. Miewałem studentów, którzy deklarowali dozgonną miłość, przychodzili na święta, Nowy Rok, inne chińskie rocznice. Gdy tylko skończyłem ich uczyć, niemal przestali mnie rozpoznawać na ulicy. Bo i po co, przecież oceny już dostali, więc nie ma absolutnie żadnego powodu do znania mnie. Znalazłem parę osób, które nie operowały w tym modelu, ale to są jednostki. No i pewnego dnia zdaliśmy sobie sprawę, że wielu z nich jest tak fajnych, bo po prostu cała reszta to dno. W innych realiach pewnie nie chciałoby się nam z nimi za wiele gadać, bo co za radość nurzać się w nacjonalistycznych opowieściach z rzeczywistości alternatywnej? Dwadzieścia lat prania mózgu swoje robi i nawet najoporniejsi i najbardziej sceptyczni nie wyobrażają sobie życia bez Partii, Japonii lub Tybetu. Dokonuje się więc autocenzury i nie rozmawia o tym. Podobno chińskie książki do biznesu piszą, że jeżeli robiłeś biznes z kumplem przez pięć lat, ale pewnego dnia masz okazję zyskać na wyruchaniu go, to koniecznie powinienesz to zrobić. Ja tu jestem na nieco bardziej zyskującym końcu, ale współczuję wielu moim studentom, że będą musieli spędzić życie w takich realiach. Do tego jeszcze ty jesteś laowai, nie rozumiesz Chin i masz być wdzięczny, że pozwoliliśmy ci tu pracować, cieszyć się wspólnie z nami tym, do jakiego stadium doprowadziliśmy naszą ojczyznę. Oczywiście nikt się nie cieszy, wszystkich szlag trafia na miliony rzeczy, ale powiedzenie o tym czegokolwiek to byłaby utrata twarzy. Wymyśla się więc jakąś pokrętną logikę, która ma wyjaśniać, dlaczego jest jak jest i że właściwie to lepiej. A jak rzeczywistość trzeszczy w szwach, rozpada się i wychodzi wszystko na wierzch? Nie mów o tym nic, a w ogóle to wyjeżdżaj, bo nie jesteś godzien tu mieszkać. To naczelny argument Chińczyków i apologetów tego kraju. Na pewno wszystko się poprawiło, bo wyjechaliśmy – internet stał się wolny, a córa Xi Jinpinga wkrótce przeprowadzi pogawędkę o 35 maja.

Człowiek wyemigrował, żeby podnieść jakość swego życia wobec tej, jaką miał w Polsce. Przerobiliśmy trzy różne miejsca pracy, prywatne i państwowe, trzy różne prowincje. W każdym miejscu były rzeczy lepsze, były gorsze, wszędzie lista tych drugich była znacznie dłuższa. Naiwnie wierzyliśmy, że da się znaleźć miejsce dobre do życia, pracę, która daje satysfakcję i jest doceniana. Może się da, ale średnio chcemy sprawdzać po raz kolejny. Po prostu w Chinach pracy jest na tony. O dobrych czasem się słyszy, ale bardzo mało osób naprawdę taką ma. W czasie naszego życia tutaj zmieniło się też podejście do obcokrajowców – w końcu miło, że pan premier wygłasza sobie rzewną przemowę o tym, że trzeba nas stąd wszystkich pożegnać. Gdy przemija początkowe zainteresowanie nieznanym i gdy zbierze się już dość standardowe dla Chin doświadczenia, wówczas zaczyna się zadawać sobie pytanie, czy aby na pewno ta jakość życia uległa poprawie. Od jakiegoś czasu nam wychodzi, że nie. Średnio nas bawi to, że plują nam w twarz i nie będziemy opowiadać, że to opady atmosferyczne.

Tak naprawdę wszystko sprowadza się właśnie do jakości – jedzenia, pracy, relacji międzyludzkich, układów na linii władza-obywatel, rozrywki, internetu, usług. Zarabiane pieniądze stają się czymś abstrakcyjnym, gdy nie ma ich na co wydawać. W sumie jest – na bilety, żeby stąd wyjechać, wsiąść w jakimś azjatyckim kraju w stylu Tajlandii lub Filipin i zdać sobie sprawę, jak wiele z życia traci się, mieszkając w Chinach. Być może to właśnie jakość jest głównym powodem tego, że każdego wieczora miliony Chińczyków zasypiają, marząc o tym, by mieszkać w jakimś innym, a najlepiej zachodnim, kraju. Nigdzie nie jest idealnie, ale jak wiemy, piekło też ma dziewięć/pięć kręgów.



To nie my, to Guy Delisle i jego komiks Shenzhen

Przez ostatnie miesiące mieliśmy wrażenie, że byliśmy nieco bliżej tego z Judaszem, Brutusem i Kasjuszem.

[7.08.2015]

Z jednej strony chcielibyśmy podziękować adminom Skośnym Okiem za popularyzowanie naszej twórczości, chociaż okazało się, że to trochę tzw. betonowe koło ratunkowe. Zgaduję, że skoro ją linkują, to nie uważają jej za bezwartościową. Co ciekawe, większość wpisów, które są repostowane, ma znikomą liczbę komentarzy. Ilekroć pojawiajemy się my, rozpoczyna się dyskusja. Głównie o tym, że wszystko jest naszą winą i że trzeba się uczyć chińskiego. Na większość z nich już odpisywaliśmy.

Pragniemy zauważyć parę spraw. Po pierwsze, podobne do naszych przemyślenia mają ludzie z innych krajów – ale raczej tych bardziej położonych na tzw. Zachód od naszej ojczyzny – za to do Państwa, ci z krajów bardziej na Wschód. Fajne jest to podejście, że jak się jest z Polski, to ma się wielbić jakikolwiek kraj imigracji, niemniej go nie podzielam. Uważam, że tak samo jak Kanadyjczyk i Australijczyk mam prawo do godnego życia. Pozwolę sobie nie wyrzekać się go.

Napiszę też po raz setny: pojechaliśmy do Chin do pracy, nie z dzikiej miłości do tego kraju, chociaż początkowo (rok-półtora, parę przeblysków potem) byliśmy żywo zainteresowani, dokładaliśmy starań, żeby się z ludźmi przyjaźnić, wychodziliśmy z inicjatywą spotkań, zapraszaliśmy naszych współpracowników na różne obiady i imprezy. W pierwszym miejscu pracy to działało i ogólnie mieliśmy więcej znajomych, w drugim i trzecim już nie. Pisaliśmy o tym.

Zauważę, że tak się złożyło, że jesteśmy nauczycielami. Uczyłem już przed wyjazdem do Chin. To naprawdę nie moja wina, że Chiny sprowadziły ten zawód do roli cyrkowca, białej małpy i to Chiny zatrudniają ludzi, którzy w żadnych innych realiach nie zostaliby wpuszczeni do szkoły, nie mówiąc już o uczeniu dzieci (naprawdę, w Europie jest troszkę papierów, które należy mieć, żeby zostać wpuszczonym do klasy z sześciolatkami). Po jakimś czasie irytujące staje się dowiadywanie się o tym, że tylko nieudacznicy zostają nauczycielami. Naprawdę nie mam zamiaru za to przepraszać, bo śmiem uważać, że to nie jest najgorszy zawód świata.

Zgaduję, że każde z Państwa spotkało w życiu jakiegoś nauczyciela, który miał wpływ na to, kim są dzisiaj, ja przynajmniej miałem takie szczęście. Choćby to, że umiem pisać, jest zasługą pewnej kobiety, która mnie do tego zmusiła w 1995 roku. Tak więc być może uda nam się ustalić, że można ten zawód wykonywać z godnością i podług pewnych zasad. My zawsze pracowaliśmy według naszej wiedzy i według standardów, w jakie wierzymy, w jakich bywaliśmy kształceni w najlepszych momentach naszej edukacji. Uważaliśmy, że jesteśmy to winni naszym uczniom, że jest to jakaś forma szacunku i że to de facto oni płacą nam pensję. Nigdy nie sądziłem, że za takie podejście można spotkać się z krytyką. Rozumiem, że jeżeli mają/będą Państwo mieli dzieci, to podobne standardy (za)stosujecie do ich nauczycieli. Sytuacja, w której nauczyciel obok puszcza filmy i gra na telefonie, a ja walczę z robieniem ćwiczeń kinestetycznych w grupie 60 osób, następnie odbieramy to samo wynagrodzenie, a z kierownictwa nikt nigdy słowa nie powie, jest nieco dziwaczna. Wiele takich epizodów było naszym udziałem i wiele z nich opisaliśmy. Dowiadywaliśmy się, że mamy za wysokie standardy. Jeżeli przyjaciele Chin uważają, że Chińczyków należy traktować jako niezdolnych do sprostanania standardom zachodnim, to Chiny już nie potrzebują wrogów. Ci ludzie nie są

genetycznie głupszy, żadni nie są. Kwestią jest kontekst społeczny, który czynił naszą pracę bardzo trudną. Informowaliśmy o tym wiele razy. Wymioty intelektualne Partii o ograniczaniu wpływów zachodnich nierzadko utrudniały nam pracę. W ilu innych krajach mają miejsce takie zjawiska?

Rozumiem, że gdy Państwu nie chcą płacić lub płacą w fałszywych pieniądzach, to eksplodujecie radością? Rozumiem, że Chiny mogą być fajne do studiowania języka, czy też ogólnie studiowania. Dla nas jednak były miejscem pracy, studia skończyliśmy jakiś czas temu. A do pracy musimy chodzić, żeby mieć na chardonnay i płyty Tori Amos. Parę razy byliśmy naprawdę pod ścianą, właśnie dzięki mentalności i podejściu ludzi Państwa Środka. Opisywaliśmy to niemal na bieżąco dokładnie tak, jak to wpływało na nasze życie. Pisaliśmy od prawie dwóch lat, dość dokładnie, jak wyglądają te relacje, jak szanuje się nasz czas, jakie są pomysły i dlaczego czasem nam to średnio pasuje, więc to, że mogłem iść z moją studentką na kolację i dwie godziny porozmawiać z nią o tym, że chłopak ją zostawił, to jedno. Ale to, że dwa tygodnie musieliśmy niemal żebrnąć o pieniądze, to drugie. Bez żadnej ironii – pierwsze było niesamowite, nigdy nie sądziłem, że ktoś będzie chciał rozmawiać z laowaiem o czymś takim, do tego sam się wiele dowiedziałem, bardzo skrupowany coś tam poradziłem. W pewnym sensie cieszę się, że żyłem i pracowałem w Baoding, bo mogłem odbyć tę – i wiele innych – rozmów. Drugie super nie było.

Odpisałem już to pod wpisem, odpiszę i tutaj: większość Chińczyków nie mieszka w Pekinie. Ani nawet Szanghaju. Oni mieszkają w Baoding, Huainan, Shijiazhuang i innych miastach, które właśnie tak wyglądają. W jakimś sensie chcieliśmy zobaczyć „prawdziwe” Chiny, no i zobaczyliśmy. Aplikowaliśmy o pracę w tzw. najlepszych miastach, ale mantrą było, że będzie praca, ale bez wizy, bo nie-natyw. Jeżeli się nie mylę, to w przynajmniej paru przypadkach solidnie rozmijano się z prawdą, niemniej legalna praca była dla nas absolutnym priorytetem. Dlatego odpadło Shenzhen i Guangzhou („blisko do HK, to nie problem!” – jak policja wpadnie do klasy, to też luz?). Odpadło Chengdu, bo „to jest takie super miasto, że dostaniecie 4000 RMB i się spodoba”. Przykro nam, że obraz naszego życia odbiega od centralnego Pekinu, ale opisywaliśmy rzeczywistość, jaka była naszym udziałem.

W Pekinie bywaliśmy dość często, szczególnie upodobaliśmy sobie okolice dworca głównego – jest tam zaiste pięknie, gdy byłem tam na początku lipca, to widziałem kobietę bez piersi, która żebrała i płakała. W przejściach pod Tiananmen też bajka. To jest ten chiński sen? To jest komunizm? Pod tym względem duże miasta przebijają Baodingi, w Chengdu swego czasu widziałem dwóch mężczyzn, którzy wynieśli ojca na noszach na ulicę. Żebrali na szpital. Tych historii są tysiące.

Państwo uważają, że miałem nie pisać o takich rzeczach? O wiecznym *mei you* w np. bankach? Że nie chcą mi sprzedać biletu kolejowego, bo laowai? O tym, że wyśmiewa się nas, gdy próbujemy mówić po chińsku? Że próbuje się oszukiwać np. w taksówkach? Że człowiek jest oceniany na podstawie kształtu oczu? Chińczycy bardzo lubią grać kartą rasizmu, ale większości do głowy nie przyjdzie, że to właśnie ich zachowanie jest tak nacechowane. Zresztą samo Baoding jest większe od właściwie każdego miasta w Polsce, więc trochę nie rozumiem, czemu nazywa się je zadupiem. Ba, a jak wielki jest Chongqing! I jak tam z życiem kulturalnym?

To jest ten chiński sen? My się postanowiliśmy obudzić. Chiny to wspinały kraj, ale my nie zasługujemy by w nim żyć. Ma najlepszego na świecie Wodza, ale nam go już wystarczy.

Fajnie się siedzi w PL na FB i komentuje? Pisałem MILION razy, jak bardzo nam to daje w plecy, że od mniej więcej czerwca 2014 trwa wojna z internetem. Czemu tego profilu nie ma na QQ? Czemu tam sobie nie porozmawiamy?

W kółko czytam słowa „malkontenci”, „frustraci”, „wyjeżdżajcie”. Nigdy nie widzę jakichś poważniejszych argumentów, czy też zarzucania nieprawdy. Dlatego, że Państwo dobrze wiedzą, że to jest prawda. Tak wyglądają Chiny. Tak wygląda życie obcokrajowca w Chinach, nie w Szanghaju, ale w PRAWDZIWYCH Chinach, w najludniejszym kraju świata. Gdy Solżenicyn napisał *Archipelag GUŁag*, to posypały się podobne hasła i okrzyki – że przecież stalinizm się skończył, że jest odwilż, a ten bydlak sobie pisze takie rzeczy! Mnie lata świetlne do jednego z mych ulubionych pisarzy, ale cała ta chińska retoryka jest kopią sowieckiej – „u was biją Murzynów!”. „Są pewne wypaczenia, ale jest dobrze!”. „W USA też strzelali do studentów!!!”. „Nie narzekaj, było gorzej!”.

Jeszcze o miastach: nasz sąsiad mieszkał w Szanghaju. Każdego ranka kobieta rozstawiała mu się pod oknem i od 6 do 18 miała włączoną szczekaczkę, że *pingguo*. Brzmi to jak nasza poprzednia praca, Dongkou – tam to było pod szkołą, ale *boluo*, podobnie irytujące. Nasz kolega zamienił Szanghaj na Baoding. Bo chciał poznać prawdziwe Chiny. Obecnie jest w Meksyku i złożył śluby, że nigdy więcej. Który inny kraj tak działa na ludzi? Korea Północna? Chociaż tam się jeździ dla jaj. Nam też się nie pali do ponownych odwiedzin w Chinach, obiecałem dwóm osobom, że przyjadę na ich potencjalny ślub, i szczerze, w sekrecie to życzę staropanieństwa/starokawalerstwa, bo mam średnią melodię na powtórkę z rozrywki, choćby na parę dni.

Pisaliśmy też wiele o życiu naszych uczniów i całym systemie edukacyjnym – TO JEST PRAWDA! Państwo o tym dobrze wiedzą, tak wygląda chińskie szkolnictwo, zapewne niektórzy z Państwa się z nim zetknęli od drugiej strony barykady. Nam też się trafiali świetni studenci, ale przeważająca większość jest po prostu infantylna, męcząca i ograniczona – za sprawą systemu edukacyjnego, cenzury i realiów społecznych. To jest malkontenctwo, że pisaliśmy o tym? Że na użytek władzy niszczy się ludzi od kołyski aż po grób? I że po tym wszystkim zostaje jakiś minimalny procent, który się nie dał? Z tego mieliśmy się cieszyć? Chcieliby Państwo być Chińczykiem? Przechodzić całą ścieżkę po paszport? Nie mieć opcji wyjazdu? A w krańcowych przypadkach posiedzieć w jakimś ośrodku odosobnienia w Mongolii Wewnętrznej lub Xinjangu? Fajnie jest mieć paszport UE, co nie? Pewien noblista go nie ma, a jego żona chyba dalej się z nim nie widziała.

Wyjechaliśmy po ponad dwóch latach życia – czasie, po którym zazwyczaj imigruje się na stałe, jednak dla nas sytuacja stała się po prostu przesadnie uciążliwa, więc z pewnym żalem serca odmówiliśmy kolejnego kontraktu, który miał być dużo lepszy niż poprzedni. Nie sądzę jednak, że Państwo Środka bardzo się bez nas zmieni, chociaż mają podobno dokładniej sprawdzać nauczycieli (co uważam za absolutną konieczność).

Z innym żalem serca pożegnaliśmy naszych studentów – kilkanaście osób, które były dla nas wsparciem i pomocą. Byli to ludzie, z którymi spędzaliśmy czas z niekłamaną przyjemnością. O tym też pisaliśmy, ale tego jakoś nikt nie zauważał. Ilekroć jednak napisaliśmy, że coś jest nie teges, to natychmiast ożywienie na całego: „WYJEŹDŻAJCIE, CHAMY, W GOŚCIACH JESTEŚCIE!!!”. W tych gościach musiałem złożyć wszystkie certyfikaty, jakie w życiu zdobyłem, musiałem sobie postać pod ambasadą, zapłacić za wizę. Fajna koncepcja gości, jeżeli tak ją Państwo pojmują, to proszę nas nie zapraszać.

Aha, wobec zeszłego roku dział kulturalny przeżył cudowne ożywienie: DWA komentarze. Jakoś o filmach i książkach o Chinach nikomu się nie chce rozmawiać, niemniej jak się napisze, że jedzenie bywa deko syfne, to od razu dziki rzut obrońców Chin i jedna z mantr – „WYJEŹDŻAJCIE!!!” albo „This is China! You don't understand China!”. Bo kreuje się obraz nauczyciela-nieudacznika-alkoholika. W momencie, gdy on się trochę różni od tego modelu, następuje panika: facet umie składać litery, ma certyfikaty, jest naprawdę nauczycielem, do tego rzeczowo pisze o Chinach! To wtedy od razu: „Ratunku, brońmy ojczyzny! WYJEŹDŻAJ, THIS IS CHINA!”. To są moje wspomnienia z większości debat na blogu. Państwo sami sobie wystawiają opinię – powtarzane w kółko frazesy, brak odniesienia się do faktów i zjawisk RZECZYWIŚCIE opisywanych.

Mam pośród znajomych różnych filologów – kroatystów, bohemistów, wszystkie odmiany anglistów, germanistów, arabistów, romanistów, rusycystów, jeszcze paru innych, ale głównie z tymi jestem w dość stałym kontakcie. Ludzie ci zajmują się różnymi krajami, często to oni są o wiele bardziej krytyczni niż tzw. postronni obserwatorzy – zwłaszcza w ocenie propagandy obozu rządzącego, kreowania polityki historycznej, nacjonalizmu, praw człowieka i obywatela. Ludzie zajmujący się niejako zawodowo Chinami przyjmują chińską perspektywę „jest super!”. Z podobnym fanatyzmem i uwielbieniem spotkałem się chyba jedynie w kontekście Japonii, gdzie argumenty są takie same – to inna kultura, nie wolno jej oceniać, nigdy nie zrozumiesz (choć tam przynajmniej jest książka *Psy i demony*, obecnie solidnie przedatowana, ale to już coś).

Nie staraliśmy się oceniać, ale opisywać, jak wygląda rzeczywistość i co stało się naszym udziałem. Niemniej, jeżeli widzi się setne dzikie wysypisko śmieci, to trudno powiedzieć, że mają alternatywne podejście do utylizacji odpadów. Gdy aresztują ludzi zajmujących się prawami człowieka, to mamy powiedzieć, że mają odmienne podejście do wolności osobistej? Gdy mi przełożona nakazuje zmieniać oceny, „bo student płaci i musi być szczęśliwy!”, to mam powiedzieć, że mają relatywne podejście do systemu edukacji? Mają, potem w mediach krążą artykuły o tym, że chiński system edukacyjny jest taki dobry. Ba, ja sam w to wierzyłem, ale chiński uniwersytet solidnie mi to zweryfikował.

Co do narzekania, Chińczycy nie mają wyboru, bo gdy „u nas” mamy pretensje, to zazwyczaj zmieniamy władzę. Z wiadomych powodów, oni nie mają tej opcji, więc dlatego wszyscy na zewnątrz mówią, że jest super. Przy bliższym poznaniu często okazywało się, że nie. System, w jakim żyją, skazuje ich na pewną marginalizację świata – gdy mój student pojedzie na wymianę do Irlandii lub Australii, to nie da sobie rady. Nie pod względem językowym, ale dlatego, że jest po prostu kaleki kulturowo. Ba, w przeważającej większości nie znają nawet własnej literatury i kinematografii. Ilu Państwo spotkało znawców noblisty? Ale nie Mo Yana, który opowiada bajki o Partii, ale Gao Xingjiana? Ocenia go Państwo jako reakcję? Tak samo jak poniekąd oceniacie nas? Moja ulubiona książka o Chinach to *Pekińska koma*. Ilu Państwa znajomych Chińczyków ją czytało? Chyba że jedziemy dyskursem, że CIA stało za Tiananmen, a obecnie Żydzi próbują zniszczyć giełdę w Szanghaju.

W odróżnieniu od nas, Chińczyk nie może założyć bloga i opisywać swego kraju. My mogliśmy, więc to zrobiliśmy i pisaliśmy, jak wygląda nasze życie. Uważaliśmy, że potrzebna jest jakaś odtrutka na ciągle, neoliberalne opowieści o tym, że Chiny są najlepsze na świecie, lepsze od USA, wzrost PKB, 80% popiera władzę, itp.

Uważaliśmy też, że wisimy tę przysługę naszym najlepszym uczniom. Wiele razy myśleliśmy o tym, że w „normalnym” systemie edukacyjnym ci ludzie byliby rewelacyjni, pewnie lepsi od nas. Skoro w systemie, który zmusza ich do uczenia się bzdur o Mao osiągnęli aż tyle, to ile mogliby w „normalnym”? Pewności nie ma, może niektórzy by się rozleniwili, niemniej większość dałaby sobie spokojnie radę. Dużą część ich potencjału zmarnowano na uczenie ich totalnych bzdur. Czy chcieliby Państwo być na ich miejscu?

Jakoś nie widziałem, żeby wielu Polaków pisało w sposób podobny do naszego. Pozwolę sobie założyć, że są Państwo humanistami, więc mówimy raczej o być niż mieć. Niemniej, jak chcą Państwo nieco bardziej pozytywnych tonów, to nie brakuje polskich blogerów, głównie fanów Korwina, którzy piszą bardzo dużo dobrego o Chinach. Ortografia u nich bywa dość alternatywna, niemniej promują pozytywny obraz Państwa Środka.

Jest jeszcze jedna sprawa: gdy ja pytam mojego przyjaciela np. o to, czy wyglądam lub zachowałem się jak kretyn, to oczekuję szczerzej odpowiedzi. Tak samo szczerze pisaliśmy o Chinach. W tym sensie śmiem uważać, że to my szanujemy ten kraj bardziej niż Państwo. Myślę, że zostawiliśmy w nim znacznie więcej serca. Staraliśmy się nie żyć jedynie pośród ekspatów, co wydaje się dla wielu z Państwa receptą na Chiny. To nam, tym beznadziejnym nauczycielom, uczniowie opowiadali o tym, że ich rodzice się rozwodzą i że to ich wina. To nam uczniowie mówili, że się zabijają, jak nie zdadzą Gaokao. Nam mówiono o tym, że rodziców nie ma, bo tyrają w Guangdongu.

To my odebraliśmy ten chiński sen na żywo. To wszystko opisaliśmy. Jednak Państwo nigdy nie chcieli tego zobaczyć. Pytanie, czy chcieliby Państwo być na miejscu tych ludzi.